

PETER ROBINSON



KRYMINAL



GROBY NIEWINNYCH

Książka nagrodzona **Arthur Ellis Award** w kategorii najlepsza powieść przyznawanej przez **Crime Writers of Canada**.



WYDAWNICTWO
SOWA DRĄGA

PETER
ROBINSON
GROBY NIEWINNYCH

Z języka angielskiego przełożyła
Alina Siewior-Kuś



Tytuł oryginału:
INNOCENT GRAVES

Copyright © 1996 by Peter Robinson

Copyright © 2016 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2016 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Szara Sowa

Redakcja: Jacek Ring

Korekta: Iwona Wyrwisz, Barbara Meisner

ISBN: 978-83-7999-645-2

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

<http://www.soniadraga.pl>

<http://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga>

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Podziękowania

Dla Sheili

Rozdział 1

I

W wieczór, kiedy to wszystko się zaczęło, gęsta mgła otuliła miasteczko Eastvale. Na rynku wkradała się w rowki pomiędzy brukiem, tłumiła śmiech dobiegający z pubu Queen's Arms i światło padające przez czerwone i pomarańczowe szyby, ocierała się i lizała zimne szkło w zasłoniętych oknach i wdzierła się przez malutkie szczeliny pod drzwiami.

Mgła wydawała się najgęstsza na cmentarzu przy kościele Marii Panny, gdzie piękna kobieta z długimi rudymi włosami wędrowała boso pijana, pod niebezpiecznym kątem trzymając w dłoni pełny kieliszek pinot noir.

Szła zygzakiem, omijając rozłożyste cisy z wygiętymi gałęziami i pokryte plamami porostów kamienie. Czasami myślała, że widzi duchy, szare, przezroczyście kształty przemykające pomiędzy grobami, ale nie czuła strachu.

Dotarła do mauzoleum Inchcliffe'ów.

Majaczyło przed nią we mgle, potężne i wspaniałe: klasyczne linie wykute w marmurze, zarośnięte chwastami stopnie prowadzące do ciężkich drewnianych drzwi.

Kobieta przyszła tu na spotkanie z aniołem. Lubiła go. Oczy miał utkwione w niebie, jakby ziemskie sprawy były bez znaczenia, dłonie złożone do modlitwy. Chociaż wyrzeźbiono go z marmuru, kobieta często wyobrażała sobie, że jest bezcielesny i jej dłoń przeszłaby przez niego na wylot.

Zachwiała się lekko, uniosła kieliszek, przypijając do anioła, i wlała w siebie resztkę wina. Pod stopami czuła zimną wilgotną ziemię i trawę.

– Witaj, Gabrielu – powiedziała nieco bełkotliwie. – Przykro mi, znowu zgrzeszyłam. – Czknęła, przykładając rękę do ust. – Wybacz, ale po prostu nie umiem...

Wtedy coś zobaczyła, czarno-biały kształt wystający zza mauzoleum. Zaciekawiona, zmrużyła oczy i niepewnym krokiem podeszła. Dopiero kiedy od tej rzeczy dzielił ją metr, uświadomiła sobie, że to czarny but i biała skarpeta. Okrywające stopę.

Cofnęła się z ręką na ustach, potem poszła na tyły grobowca. W mroku widziała tylko blade nogi, jasne włosy, otwarty tornister i rdzawoczerwony mundurek Szkoły Marii Panny dla Dziewcząt.

Krzyknęła i upuściła kieliszek. Rozbił się na kamieniu.

Później Rebecca Charters, żona pastora w kościele Marii Panny, padła na kolana na potłuczone

szkło i zaczęła wymiotować.

II

Mgła ma smak popiołów, pomyślał główny inspektor Alan Banks, stawiając kołnierz płaszcza i śpiesznie idąc asfaltową ścieżką w kierunku słabego, stłumionego światła. A może ponosiła go wyobraźnia. Chociaż jeszcze nie widział ciała, już czuł znajomy ucisk w żołądku, który zawsze wywoływało morderstwo.

Kiedy znalazł się na miejscu zbrodni, tuż przy wąskiej zwirowanej ścieżce koło zarośli, przez płócienny ekran zobaczył zamazaną sylwetkę doktora Glendenninga, pochylającego się nad niewyraźnym kształtem leżącym na ziemi.

Mgła kompletnie pomieszała zwykły porządek pojawiania się na miejscu zbrodni. Banks brał udział w zebraniu wyższych rangą oficerów w Northallerton, kiedy dostał wezwanie, i w rezultacie przybył niemal ostatni. Wyprzedzili go Peter Darby, policyjny fotograf, oraz inspektor Barry Stott, bardziej znany jako „Uszatek”, z powodów jasnych dla wszystkich, którzy choć raz go widzieli. Stott, niedawno awansowany i przeniesiony z Salford, czasowo zastępował sierżanta, który pojechał do Scotland Yardu, gdzie został członkiem specjalnej jednostki komputerowej.

Banks wziął głęboki wdech i wszedł za zasłonę. Doktor Glendenning podniósł wzrok; dym z papierosa zwisającego mu z ust niemal całkowicie zlewał się z otaczającą ich mgłą.

– Ach, Banks... – powiedział ze śpiewnym edynburskim akcentem, po czym wolno pokręcił głową.

Banks spojrzał na ciało. Przez wszystkie lata pracy w Eastvale nie musiał radzić sobie z tego rodzaju zbrodnią. Jasne, w Londynie widywał gorsze, co po części było powodem, dla którego opuścił stolicę i przeniósł się na północ. Najwyraźniej jednak nie można było przed nimi uciec. Nigdzie. George Orwell miał rację, mówiąc o upadku angielskiego morderstwa, Banks miał przed sobą potwierdzenie jego zdania.

Dziewczyna, przypuszczalnie piętnasto-, szesnastoletnia, leżała na plecach w wysokiej trawie za wielkim wiktoriańskim mauzoleum, na którym stał marmurowy pomnik anioła. Anioł był do niej odwrócony plecami, Banks we mgle dostrzegł ułamane pióra skrzydeł.

Ofiara wpatrywała się w mgłę, długie jasne włosy otaczały jej głowę jak aureola, twarz miała czerwono-fioletowy odcień. Pod okiem była niewielka rana, na szyi odbarwienia. Strumyczek krwi w kształcie wielkiej łyzy ciekł z prawej dziurki nosa.

Rdzawoczerwony szkolny blezer leżał zwinięty na ziemi, biała bluzka była rozdarta, stanik zdjęty –

na oko sądząc, dość gwałtownie.

Banks poczuł impuls, żeby przykryć dziewczynę. W swojej pracy widział o wiele więcej niż powinien oglądać człowiek, i tego rodzaju drobiazgi czasami działały na niego silniej niż krew i wnętrzności. Dziewczyna wyglądała tak niewinnie, a tak brutalnie pogwałcono jej ciało. Potrafił sobie wyobrazić jej wstyd, że tak ją obnażono, rumieniec i pośpiech, z którym próbowałyby się okryć, gdyby żyła. Ale teraz już się nie będzie wstydzić.

Sprawca zadarł jej spódnicę, odsłaniając uda i łono. Długie nogi były rozłożone pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Białe skarpetki zwinęły się wokół kostek. Na stopach miała błyszczące czarne buciki z boku zapinane na klamry.

Obok niej leżał otwarty tornister, pasek z jednej strony wypadł z metalowego kółka. Banks długopisem odwrócił klapę, na której przeczytał starannie wypisany atramentem adres:

Panna Debora Catherine Harrison

Hawthorn Close 28

Eastvale

North Yorkshire

Anglia

Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej

Unia Europejska

Ziemia

Układ Słoneczny

Droga Mleczna

Wszechświat

Uśmiechnął się smutno do siebie. To był przejaw typowej nastoletniej beztroski, w szkole sam też takie rzeczy robił.

Hawthorn Close oznaczało pieniądze, podobnie jak szkoła Marii Panny. Była to część miasta z wielkimi, w większości wolno stojącymi domami, z których każdy miał spory ogród, długi podjazd i boisko do krokieta w cieniu miedzianych buków. Jeśli człowiek chciał tam mieszkać, musiał zarabiać dość, żeby w najgorszym razie zatrudniać ogrodnika. Szkoła także wymagała pieniędzy – około tysiąca dwustu funtów na semestr. Banks to sprawdził zaraz po przeprowadzce, ale szybko się przekonał, że nie stać go na posłanie tam córki Tracy.

Od jednego z techników wyprosił kilka torebek na dowody, po czym trzymając tornister za krawędzie, przełożył do nich zawartość. W środku znalazł tylko dwie książki do ćwiczeń podpisane

na okładce „Debora Catherine Harrison”, przenośne szachy, kilka kosmetyków i trzy luźne tampony w celofanowym opakowaniu. Dlaczego jednak tornister był otwarty? Zapięcie wydawało się mocne, Banks wątpił, by otworzyło się w czasie szarpaniny. Czy ktoś czegoś w nim szukał?

Glendenning polecił jednemu z podwładnych pobranie wymazów z ust, odbytu i pochwy oraz wyczesanie włosów łonowych. Jęknął i wstał.

– Robię się za stary, Banks – powiedział, masując sobie kolana. – Za stary na takie rzeczy. – Głową wskazał ciało. Wysoki i białowłosy, miał poplamione nikotyną wąsy; Banks przypuszczał, że pewnie dobiegał sześćdziesiątki.

Odeszli, teraz namiot zasłaniał im widok na ofiarę. Co pewien czas flesz aparatu Petera Darby’ego błyskał, tworząc we mgle efekt stroboskopowy. Banks przyjął od Glendenninga papierosa marki Senior Service. Zwykle palił silk cuty z filtrem, ale w ostatnich kilku miesiącach drastycznie ograniczył palenie i nawet nie nosił przy sobie papierosów. Ha, pomyślał, podczas gdy Glendenning podsunął mu złotą zapalniczkę z inicjałami, łatwo było się ograniczać w leniwe lato, bez dochodzenia w sprawie morderstwa. Teraz był listopad, tuż koło niego leżały zwłoki. Zaciągnął się i zakaszał.

– Powinieneś się zbadać, chłopcze – powiedział Glendenning. – Ten kaszel może oznaczać raka.

– To nic takiego. Zaczyna mi się robić zimno, i tyle.

– Tak... Nie przypuszczam, że wywlokłeś mnie na tę parszywą noc, żeby rozmawiać o swoim zdrowiu, mam rację?

– Masz. Co o tym sądzisz?

– Na razie niewiele wiem, ale sądząc po kolorze skóry i śladach na szyi, powiedziałbym, że asfiksja spowodowana zadziergnięciem.

– Jakiś ślad po pasku?

– To nieoficjalne, ale pasek tornistra ładnie pasuje.

– A czas śmierci?

– Och, dajże spokój, chłopcze.

– W przybliżeniu?

– Nie więcej niż dwie, trzy godziny temu. Ale nie powołuj się na mnie w tej kwestii.

Banks spojrział na zegarek. Ósma. Co oznaczało, że przypuszczalnie zginęła pomiędzy piątą a szóstą. Nie w drodze ze szkoły do domu. W każdym razie nie zaraz po szkole.

– Zamordowano ją tutaj?

– Tak. Niemal na pewno. Plamy opadowe są całkowicie zgodne z pozycją ciała.

– Znaleźliście resztę jej bielizny?

Glendenning pokręcił głową.

– Tylko stanik.

– Kiedy weźmiesz ją na stół?

– Jutro z samego rana. Przyjdiesz?

Banks przełknął; mgła drapała go w gardle.

– Za skarby świata bym tego nie przegapił.

– Dobrze. Zarezerwuję dla ciebie najlepsze miejsce. Jadę do domu. Możecie przewieźć ją do kostnicy.

Glendenning odwrócił się i zniknął we mgle.

Banks przez chwilę stał sam, usiłując zapomnieć o dziewczynie, którą widział tak okrutnie upozowaną, i desperacko próbując nie zobaczyć na jej miejscu Tracy. Starannie zgasił papierosa na ścianie mauzoleum Inchcliffe'ów i schował niedopałek do kieszeni. Nie ma sensu zostawiać na miejscu zbrodni fałszywych tropów.

Kilka metrów dalej zauważył na trawie jasną plamę. Podeszedł i kucnął, żeby lepiej się przyjrzeć. Plama wyglądała i cuchnęła jak wymioty. Dostrzegął także nóżkę i fragmenty kieliszka do wina, który najwyraźniej rozbił się o kamienny murek otaczający grób. Ostrożnie podniósł odłamek, trzymając go kciukiem i palcem wskazującym. Był poplamiony krwią albo winem, Banks nie potrafił tego rozstrzygnąć.

W zasięgu słuchu dostrzegł inspektora Stotta i zawołał go.

– Wiesz coś o tym?

Stott popatrzył na szkło i wymiociny.

– Rebecca Charters. Kobieta, która odkryła ciało – powiedział. – Trochę dziwna. Mieszka na plebanii. Jest z nią posterunkowa Kemp.

– Dobra, później z nią porozmawiam. – Banks wskazał mauzoleum. – Ktoś zajrzał do środka?

– Jeszcze nie. Wysłałem posterunkowego Aikena, żeby sprawdził, czy pastor ma klucz.

Banks kiwnął głową.

– Barry, ktoś musi przekazać wiadomość rodzicom dziewczyny.

– A ponieważ jestem nowy...

– Nie to miałem na myśli. Jeśli nie czujesz się dobrze w tej roli, pošlę kogoś innego. Bo trzeba to załatwić.

– Przepraszam. – Stott zdjął okulary i przetarł je białą chusteczką. – Jestem trochę... – Machnął

dłonią w kierunku ciała. – Oczywiście pojedę.

– Na pewno?

– Jasne.

– Dobrze. Niedługo tam do was dołączę. Zanim wyjedziesz, wezwij posterunkową Gay i sierżanta Hatchleya. Niewykluczone, że trzeba będzie wywlec Jima z pubu Oak.

Stott uniósł brwi. Banks dostrzegł lekki wyraz niesmaku na wzmiankę o sierżancie Hatchleyu. Cóż, pomyślał, to mój krzyż.

– I wyślij na ulice tylu funkcjonariuszy, ilu się da. Chcę, żeby od razu przepytano mieszkańców domów w tej okolicy. Zapowiada się długa, pracowita noc, ale nie możemy zwlekać. Ludzie szybko zapominają. Poza tym jutro zlecą się sępy.

– Sępy?

– Prasa, telewizja, gapie. Będzie niezły cyrk, Barry. Przygotuj się.

Stott kiwnął głową. Wrócił posterunkowy Aiken z kluczem do grobowca. Banks pożyczył latarkę od jednego z techników, po czym obaj ze Stottem ostrożnie zeszli po zarośniętych zielskiem schodach.

Po krótkich zmaganiach z kluczem ciężkie drewniane drzwi ustąpiły. Mężczyźni znaleźli się w mroku z umarłymi: sześć solidnych trumien spoczywało na krzyżakach. Kilka macek mgły zsunęło się za nimi i owinęło wokół ich stóp.

W małym grobowcu nie unosił się zapach śmierci, tylko pleśni i ziemi. Na szczęście ostatnio nie chowano tu nowych Inchcliffe'ów; rodzina opuściła Eastvale pięćdziesiąt lat temu.

Na pierwszy rzut oka Banks widział tylko pajęczyny, które wydawały się stworzone z samego powietrza. Lekko zadrżał i skierował latarkę na podłogę. W kącie najbardziej oddalonym od wejścia leżały dwie puste butelki po wódce i stos niedopałków. Trudno było stwierdzić, od jak dawna tu są, ale z całą pewnością nie liczyły pół wieku.

Poza tym nie znaleźli nic interesującego i Banks z wielką ulgą opuścił mauzoleum; po jego wnętrzu powietrze, choć gęste od mgły, było czyste jak kryształ. Poprosił techników, żeby spakowali puste butelki i niedopałki, a także gruntownie przeszukali mauzoleum.

– Musimy przygotować na posterunku pokój przeznaczony dla tego dochodzenia – powiedział, znowu zwracając się do Stotta – i zostawić wóz koło miejsca zbrodni; to ludziom ułatwi przekazanie nam informacji. Funkcjonariusz od dowodów, linie telefoniczne, personel cywilny i tak dalej. Niech Susan Gay się tym zajmie. I trzeba poinformować komendanta – dodał z przygnębieniem.

Aktualnie Banks był najwyższym stopniem funkcjonariuszem w wydziale kryminalnym w Eastvale,

jako że nadinspektor Gristhorpe złamał sobie nogę, naprawiając kamienne ogrodzenie. Formalnie rzecz biorąc, śledztwo w sprawie morderstwa powinien prowadzić główny nadinspektor Jack Wormsley z regionalnej komendy North Yorkshire w Northallerton, Banks jednak wiedział z doświadczenia, żeby od Jacka Wormsleya nie oczekiwać niczego więcej poza telefonem od czasu do czasu; jak głosiły plotki, był za blisko ukończenia modelu Tadź Mahal, żeby zaprzętać sobie głowę jakimś morderstwem. Banks wiedział, że jeśli już, to utrudnień mógł się spodziewać ze strony nowego głównego komendanta Jeremiaha „Jimmy’ego” Riddle’a, młodego wilka wyznającego agresywną szkołę policyjnego zarządzania, w myśl której podwładni powinni czuć na karku oddech przełożonego.

– Musimy też dokładnie przeszukać cmentarz – ciągnął Banks – ale będzie lepiej, jak zrobimy to w dzień, bo może w nocy mgła nieco opadnie. Tak czy owak trzeba się upewnić, że cmentarz jest zabezpieczony. – Banks się rozejrzył. – Ile tu jest bram?

– Dwie. Jedna z North Market Street, druga z Kendal Road, zaraz obok mostu.

– Więc to nie będzie trudne. Mur jest wysoki, wygląda na to, że powstrzyma ewentualnych intruzów, ale na wszelki wypadek wyślemy dwóch ludzi do patrolowania ogrodzenia. Nie potrzebujemy jakiegoś nieustraszonego fotoreportera zalewającego poranną prasę zdjęciami z miejsca zbrodni. Można wejść na cmentarz od strony rzeki?

Stott pokręcił głową.

– Tam mur też jest wysoki i ma potłuczone szkło na wierzchu.

– Uroczy zakątek, co?

– Jak rozumiem, dochodziło do aktów wandalizmu.

Banks wysilił wzrok, przez mgłę patrząc na światła plebanii. Wyglądały jak pozbawione ciał oczy.

– Ty jesteś człowiekiem kościoła, co, Barry?

– Owszem. Ale chodzę do Świętego Cuthberta, nie tutaj.

Banks głową wskazał plebanię.

– Wiesz, kto tu jest pastorem?

– Ojciec Daniel Charters.

Banks uniósł brwi.

– Tak myślałem. Nie znam wszystkich szczegółów, ale to o nim ostatnio mówili w wiadomościach?

– Tak – odparł Stott przez zaciśnięte zęby.

– Interesujące – powiedział Banks. – Bardzo interesujące. – Ruszył w stronę plebanii.

Kobieta, która otworzyła tylne drzwi w odpowiedzi na pukanie Banksa, miała trzydzieści kilka lat, połyskliwą kaskadę rudych włosów spadających na ramiona, oliwkową cerę, wielkie orzechowe oczy i najpełniejsze, najbardziej zmysłowe usta, jakie w życiu widział. Na jej twarzy malowały się oszołomienie i dezorientacja.

– Jestem Rebecca Charters – powiedziała, ściskając jego dłoń. – Proszę, niech pan wejdzie.

Banks ruszył za nią korytarzem. Była wysoka, ubrana w ciężki czarny szal zarzucony na ramiona i luźną niebieską spódnicę, która spływała z krzywizny bioder niemal do kamiennej podłogi. Stopy miała bosa i brudne, ze źdźbłami trawy przyklejonymi do kostek i podeszew. Na prawej stopie koło ścięgna Achillesa była świeża rana. Kiedy szła, kołysała biodrami bardziej niż spodziewałby się po żonie pastora. To wytwór jego wyobraźni czy rzeczywiście nieco chwiejnie stawiała kroki?

Zaprowadziła go do wysokiego salonu z nijaką tapetą w paski. Posterunkowa Kemp stała przy drzwiach; Banks powiedział jej, że może iść.

Aksamitne zasłony barwy butelkowej zieleni zasłaniały wykuszowe okno. Dokładnie naprzeciwko drzwi znajdował się pusty kominek wykładany kafelkami; leżał przed nim ogromny kłęb brązowo-białej sierści, który Banks uznał za psa. Miał nadzieję, że cokolwiek to jest, pozostanie na miejscu. To nie znaczy, że nie lubił psów, ale nie znosił, jak go obwąchiwały, śliniąc się przy tym. O wiele bardziej wolał koty. Podobała mu się ich arogancja, niezależność, skłonność do złośliwostek i sprawiłyby sobie jednego, gdyby jego żona Sandra nie była na nie uczulona.

Jedynym źródłem ciepła był mały biały grzejnik pod ścianą w głębi. Banks ucieszył się, że nie zdjął płaszcza.

Stolik do kawy otaczał trzyczęściowy komplet wypoczynkowy, obity zniszczonym brązowym sztruksem; w jednym z foteli siedział mężczyzna z krzaczastymi, niemal zrosniętymi czarnymi brwiami, zmarszczonym czołem, pociągłą bladą twarzą i wystającymi kośćmi policzkowymi. Miał zgnębioną minę udręczonego młodego księdza ze starego filmu.

Kiedy Banks wszedł, mężczyzna wstał; przypominał jakieś wielkie zwierzę z długimi kończynami, które podnosi się z legowiska. Wyciągnął szczupłą dłoń.

– Jestem Daniel Charters. Napije się pan kawy?

Ściskając mu rękę, Banks zauważył dzbanek na stole, i kiwnął głową.

– Bardzo chętnie. Czarną, bez cukru.

Banks usiadł na sofie, Rebecca Charters obok niego. Na stoliku stała także pusta butelka po pinot noir z Sainsbury.

Kiedy Daniel Charters zajmował się kawą, gospodyni podeszła do szafki ze szklanymi drzwiami, wyjęła butelkę i kieliszek do brandy, po czym naląła sobie szczodłą porcję. Banks zauważył, że mąż gniewnie na nią spojrział, ale ona go zignorowała. Kawa była dobra. Upił łyk i niemal od razu poczuł, jak drapanie w gardle nieco ustępuje.

– Zdaję sobie sprawę, że to był dla pani wielki szok – zaczął – ale czy mogłaby pani odpowiedzieć na kilka pytań?

Rebecca potaknęła.

– Świetnie. Od razu zgłosiła pani znalezienie zwłok?

– Niemal natychmiast. Kiedy zobaczyłam ten kształt, zorientowałam się, czym jest, najpierw... zrobiło mi się niedobrze. Potem pobiegłam do domu i zadzwoniłam na policję.

– Co pani robiła na cmentarzu o takiej porze, w taki ponury wieczór?

– Poszłam do anioła.

Mówiła cicho i Banks nie uwierzył w to, co usłyszał.

– Co takiego?

– Mówiłam, że poszłam do anioła. – Jej wielkie wilgotne oczy z czerwonymi obwódkami od płaczu patrzyły na niego buntowniczo. – Co w tym złego? Lubię cmentarze. W każdym razie lubiłam.

– A szkło?

– Miałam kieliszek wina. Upuściłam go, potem upadłam. Niech pan patrzy. – Uniosła spódnicę do kolan. Oba były zabandażowane, ale krew przesiąkała przez gazę.

– Nie powinna pani pójść do lekarza?

Rebecca pokręciła głową.

– Nic mi nie jest.

– Poruszyła pani ciało?

– Nie. Niczego nie dotykałam. Nie zbliżałam się do niego.

– Rozpoznała pani ofiarę?

– Tylko że jest ze szkoły Marii Panny.

– Znała pani Deborę Catherine Harrison?

Rebecca przycisnęła dłoń do ust i potaknęła. Przez chwilę Banks myślał, że znowu będzie wymiotowała. Jej mąż się nie poruszył, ale z jego miny Banks wywnioskował, że jemu też to nazwisko nie jest obce.

– To ona? – zapytała Rebecca.

– Tak podejrzewamy. Muszę prosić, żeby państwo nikomu o tym nie mówili, dopóki nie

potwierdzimy tożsamości.

– Oczywiście. Biedna Debora.

– Więc znała ją pani?

– Śpiewała w chórze – powiedział Daniel Charters. – Szkołę i kościół łączą bliskie więzi. Nie mają własnej kaplicy, na nabożeństwa przychodzą do nas. Wiele dziewcząt śpiewa w chórze.

– Przychodzi państwu do głowy wyjaśnienie, co mogła robić na cmentarzu około piątej, szóstej po południu?

– Szła skrótem ze szkoły do domu – wyjaśniła Rebecca.

– Ale lekcje kończą się o wpół do czwartej.

Rebecca wzruszyła ramionami.

– Mają kluby, zrzeszenia, różne zajęcia. Będzie pan musiał zapytać doktor Green, dyrektorę szkoły. – Znowu napiła się brandy. Pies przed kominkiem ani drgnął. Banks pomyślał, że może jest martwy, ale potem dostrzegł lekkie poruszenia sierści przy oddechu. Pewnie jest stary. Banks też się tak czuł.

– Czy któreś z państwa coś widziało albo słyszało dzisiaj po południu?

Daniel pokręcił głową.

– Wydawało mi się, że słyszałam – powiedziała Rebecca. – Kiedy w kuchni otwierałam wino. To brzmiało jak zduszony krzyk albo coś w tym rodzaju.

– Co pani zrobiła?

– Podeszłam do okna. Oczywiście w tej mgle nic nie zobaczyłam. Postałam kilka minut i kiedy nic więcej nie usłyszałam, uznałam, że to musiał być ptak albo jakieś małe zwierzę.

– Pamięta pani, o której to było?

– Około szóstej, może kilka minut po. W telewizji zaczęły się wiadomości lokalne.

– Słyszała pani krzyk, a mimo to czterdzieści pięć minut później wyszła pani sama na mroczny, zasnuty mgłą cmentarz?

Rebecca rzuciła spojrzenie na pustą butelkę po winie.

– Do tego czasu już o tym zapomniałam. Poza tym, jak mówiłam, uznałam, że to zwierzę.

Banks zwrócił się do Daniela Chartersa.

– A pan coś słyszał?

– Był w swoim gabinecie do chwili, kiedy wróciłam z krzykiem po odkryciu ciała – wyjaśniła Rebecca. – Gabinet jest po drugiej stronie domu. Tam żadne odgłosy z cmentarza nie dochodzą.

– Panie Charters?

Daniel Charters kiwnął głową.

– Tak było. Pracowałem nad kazaniem. Obawiam się, że żona ma rację. Nic nie słyszałem.

– Czy któreś z państwa widziało ostatnio nieznajomych włóczących się po okolicy?

Oboje pokręcili głowami.

– Ktoś niedawno wchodził do mauzoleum Inchcliffe'ów?

Charters zmarszczył brwi.

– Nie. O ile się orientuję, nikt tam nie był od pół wieku. Dałem klucz jednemu z pańskich ludzi.

– Gdzie pan zwykle przechowuje klucz?

– W kościele. Na haczyku w zakrystii.

– Więc wszyscy mają do niego dostęp?

– Tak. Ale nie rozumiem...

– Ktoś tam był. Znaleźliśmy butelki po wódce i niedopałki. Przychodzi panu ktoś na myśl?

– Nie potrafię... – Charters urwał i zbladł. – Chyba że...

– Chyba że co, panie Charters? – Banks napił się kawy.

– Jak przypuszczalnie pan wie, od dwóch miesięcy ciąży na mnie podejrzenia. Zna pan szczegóły?

Banks wzruszył ramionami.

– Tylko mgliście.

– Cała ta sprawa jest mglista. Chodzi o to, że zatrudniliśmy chorwackiego uchodźcę jako kościelnego. Okazało się, że to był błąd. Pił, był gwałtowny i straszył ludzi.

– A dokładnie?

– Gapił się na dziewczyny, wykonywał lubieżne gesty. Jedna widziała, jak oddawał mocz na grób.

– Charters pokręcił głową. – Tego rodzaju rzeczy. O ile się orientujemy, nigdy żadnej nie tknął, ale niektóre skarżyły się doktor Green. Przeprowadziłem z nią długą rozmowę i postanowiłem się go pozbyć, a on od razu zwrócił się do władz kościelnych i oskarżył mnie, że go zwolniłem, bo nie chciał ze mną uprawiać seksu.

– Uwierzyli mu?

– To bez znaczenia, w co uwierzyli – odparł Charters, rzucając gorzkie spojrzenie na żonę. –

W chwili gdy oskarżenie padło, tryby zaczęły się obracać, trzeba było przeprowadzić dochodzenie. A oskarżony momentalnie zostaje zepchnięty do defensywy. Powinien pan wiedzieć, jak to działa, inspektorze.

– Jak w przypadku „kiedy pan przestał bić żonę”?

– Właśnie.

– I myśli pan, że to on był w mauzoleum?

– Nikt inny nie przychodzi mi do głowy. Co więcej, miał łatwiejszy dostęp do klucza niż inni. Jak pamiętam, najchętniej pił wódkę, bo był przekonany, że ludzie nie czują jej w jego oddechu.

– Co pani o tym myśli, pani Charters?

Rebecca pokręciła głową, odwróciła wzrok i napiła się brandy.

– Jak pan widzi, moja żona jest prawdziwą opoką – skomentował Charters.

Banks postanowił, że zostawi to bez komentarza.

– Jak się nazywał ten kościelny?

– Ive Jelačić.

– Jak to się pisze?

Charters przeliterował, pamiętając o znakach diakrytycznych. Banks notował.

– Jak on wygląda?

– Wysoki, mniej więcej mojego wzrostu, solidnej budowy. Ma czarne włosy, które zawsze wymagają strzyżenia, ciemną cerę, lekko zakrzywiony nos. – Charters wzruszył ramionami. – Nie wiem, co jeszcze mógłbym dodać.

– Gdzie teraz jest?

– W Leeds.

– Groził panu albo niepokoił pana, odkąd go pan wyrzucił?

– Tak. Przyjeżdżał tu dwukrotnie.

– Dlaczego?

– Proponował mi układ. Sugerował, że wycofa oskarżenie, jeśli dam mu pieniądze.

– Ile?

Charters prychnął.

– Obawiam się, że więcej niż mógłbym mu zapłacić.

– A jak uzasadniłby wycofanie oskarżenia?

– Powiedziałby, że źle zinterpretował mój gest. Różnice kulturowe. Kazałem mu się wynosić. Ten człowiek to kłamca i pijak, inspektorze. Co za różnica?

– Niewykluczone, że ogromna – odparł wolno Banks – skoro znany był z niepokojenia uczniów i miał do pana pretensje. Zna pan jego adres?

Charters podszedł do kredensu i otworzył szufladę.

– Powinienem go mieć – mruknął, przeglądając stos kopert. – W tej sprawie było mnóstwo listów.

A, tu jest.

Banks spojrział na adres. Dzielnica Burmantofts w Leeds, ale ulicy nie kojarzył.

– Pozwoli pan, że skorzystam z telefonu?

– Niech się pan nie krępuje – odparł Charters. – W moim gabinecie po drugiej stronie holu jest wewnętrzny aparat, jeśli zależy panu na prywatności.

Banks wszedł do gabinetu i usiadł za biurkiem. Wrażenie zrobił na nim panujący tu porządek: żadnych rozrzuconych papierów, obgryzionych ołówków, otwartych książek położonych okładkami do góry, karteczek z pilnymi notatkami ani gumek, jak zwykle wyglądało jego biurko, kiedy nad czymś pracował. Nawet linijka leżała równolegle do bibuły. Schludny człowiek z wielebnego Chartersa. Do tego stopnia pedantyczny, że uporządkował biurko po tym, jak jego żona wpadła z krzykiem, że na cmentarzu popełniono morderstwo?

Banks zajrzał do notatnika i zadzwonił pod domowy numer inspektora Kena Blackstone'a. Blackstone, dobry przyjaciel, pracował w wydziale śledczym policji West Yorkshire dla okręgu Millgarth w Leeds. Banks wyjaśnił, co się stało, i zapytał, czy Blackstone mógłby wysłać funkcjonariuszy pod adres, który podał mu Charters. Po pierwsze, chciał się dowiedzieć, czy Jelačić jest w domu, a po drugie, czy ma alibi na ten wieczór. Blackstone odparł, że nie ma problemu, i rozłączyli się.

Kiedy wrócił do salonu, nie ulegało wątpliwości, że przerwał małżonkom prowadzoną przyciszonymi głosami kłótnię. Zauważył, że Rebecca dołała sobie brandy.

Banks nie miał dalszych pytań, wypił więc resztę letniej kawy i ruszył na cmentarz.

IV

Zaraz po wyjściu Banksa Daniel Charters z niesmakiem spojrział na pustą butelkę po winie i drugą, niemal opróżnioną z brandy, po czym przeniósł wzrok na Rebecę.

– Pytałem, dlaczego to zrobiłaś. Na Boga, dlaczego go okłamałaś?

– Wiesz dlaczego.

Daniel pochylił się na krześle, złożone dłonie wsuwając między kolana.

– Nie wiem. Nie dałaś mi nawet szansy na odpowiedź. Uprzedziłaś mnie tym swoim głupim kłamstwem.

Rebecca napiła się brandy.

– Jakoś nie zauważyłam, żebyś się śpieszył ze sprostowaniem.

Daniel poczerwieniał.

– Wtedy już było za późno. Wyglądałoby podejrzenie.

– Podejrzanie? O, to dobre, Danielu. A według ciebie jak to wszystko wygląda?

Twarz Daniela ściągnęła się w wyrazie bólu.

– Myślisz, że to zrobiłem? Naprawdę wierzysz, że zabiłem tę dziewczynę? – Długim kościstym palcem wskazał w kierunku cmentarza. – Sądziś, że przed tym mnie chronisz? Na to dajesz mi alibi?

Rebecca odwróciła się od niego.

– Nie bądź niemądry.

– Więc dlaczego skłamałaś?

– Żeby było łatwiej.

– Kłamstwa nigdy niczego nie ułatwiają.

Och, czyżby? – pomyślała Rebecca. Od razu widać, co wiesz.

– Mamy aż nadto problemów bez ciebie w roli podejrzanego o morderstwo – powiedziała, wzdychając głośno.

– Nie chcesz wiedzieć, gdzie byłem?

– Nie. Nie obchodzi mnie to.

– Ale skłamałaś dla mnie.

– Dla nas. Owszem. – Przeczesła dłonią włosy. – Posłuchaj, Danielu, na cmentarzu widziałam coś strasznego. Jestem zmęczona, rozdygotana i niedobrze mi. Nie mógłbyś po prostu zostawić mnie w spokoju?

Daniel chwilę milczał. Rebecca słyszała tykanie zegara na kominku. Ezekiel poruszył się i znowu głęboko zasnął.

– Uważasz, że to zrobiłem, prawda? – nalegał Daniel.

– Proszę cię, daj temu spokój. Wcale tak nie uważam, Danielu.

– Nie pytam o morderstwo, tylko o tę drugą sprawę.

– Nic takiego nie myślę. Mówiłam ci. Przecież stałam po twojej stronie, prawda? Myślisz, że nadal bym tu była, gdybym myślała, że to zrobiłeś?

– Tutaj? Ciebie tu nie ma. Nie ma cię tutaj, odkąd to się zdarzyło. Och, może jesteś fizycznie obecna w tym pokoju. Owszem, z tym się zgadzam. Ale tak naprawdę nie ma cię tutaj ze mną. Przez większość czasu jesteś wstawiona, przez resztę... Bóg wie gdzie.

– Jasne, a wszyscy wiemy, że z ciebie taki pieprzony święty, że odkąd zaczęły się nasze kłopoty, nie wzięłaś do ust nawet kropli. Cóż, może nie jestem taka silna jak ty, Danielu. Może my wszyscy nie jesteśmy aż tak cholernie pobożni. Niektórym z nas od czasu do czasu zdarza się okazać odrobinę ludzkiej słabości. Ale ty o tym nie wiesz, co?

Rebecca drżącą dłonią naląła brandy do kieliszka. Daniel wyciągnął rękę i wytrącił go z jej dłoni.

Brandy chlusnęła na stolik i sofę, kieliszek spadł na dywan.

Rebecce odebrało mowę. Po raz pierwszy, odkąd go znała, Daniel zachował się tak gwałtownie.

Twarz miał purpurową i wykrzywioną, gęste ciemne brwi stykały się nad nosem.

– Masz wątpliwości, co? No, dalej. Powiedz to. Czekam.

Rebecca pochyliła się po kieliszek, po czym drżącą dłonią naląła sobie nową porcję. Tym razem Daniel nie zareagował.

– Odpowiedz. Tylko szczerze.

Rebecca pozwoliła, by milczenie się przedłużało, po czym upiła wielki łyk i tonem dziwki powiedziała:

– Wiesz, co mówią, prawda, słodziaku? Nie ma dymu bez ognia.

V

Banks zostawił samochód zaparkowany przy North Market Street, koło kościoła Marii Panny, i pieszo ruszył do Hawthorn Close. Na głównej ulicy mgła wydawała się mniej złowroga niż na mrocznym cmentarzu, chociaż umieszczone wysoko latarnie uliczne i migające lampy znaczące przejścia dla pieszych wyglądały jak marsjańskie maszyny z *Wojny światów*.

Dlaczego Rebecca Charters skłamała dla męża? Bo skłamała, tego był pewien, nawet bez dowodu w postaci uporządkowanego biurka. Dawła mu alibi? Może jutro znowu ich odwiedzi. Kobieta bez dwóch zdań była dziwna. Poszła zobaczyć anioła, faktycznie!

Spojrzał na zegarek. Na szczęście dopiero minęła dziewiąta, nadal miał czas, żeby wpaść do sklepu na rogu Hawthorn Road i kupić paczkę silky cutów.

Przeszedłszy około dwustu metrów Hawthorn Road, skręcił w prawo w Hawthorn Close, krętą ulicę z wielkimi kamiennymi domami, gdzie tradycyjnie mieszkała szlachta Eastvale.

Znalazł numer 28, zgasił papierosa i ruszył zwirowym podjazdem. Przed frontowymi drzwiami stał zaparkowany jaguar z rejestracją „O”. Impulsywnie położył dłoń na masce. Nadal ciepława.

Drzwi otworzył z ponurą miną Barry Stott. Banks podziękował mu za odwalenie brudnej roboty i powiedział, że może wracać na posterunek i zająć się organizacją sali, a sam z holu wszedł do przestronnego białego pokoju z białym fortepianem. Jedyne kolorowe elementy były tureckie dywany i chyba oryginalny Chagall wiszący nad kominkiem w stylu Adamów, w którym strzelały iskry z płonącego grubego polana. W białej biblioteczce stała literatura klasyczna w wydaniach Folio Society, balkonowe drzwi z białymi framugami wychodziły na ciemny ogród.

W pokoju były trzy osoby, wszystkie siedziały i wyglądały na zaszokowane. Kobieta miała na sobie szarą spódnicę i błękitną jedwabną bluzkę, obie rzeczy takiej jakości, że z pewnością nie kupiła ich w Eastvale. Jej blond włosy były specjalnie zmierzwione i otaczały owalną twarz z bladą nieskazitelną cerą, jasnoniebieskimi oczami oraz ustami i nosem o pięknych proporcjach. Jednym słowem, była to elegancka i atrakcyjna kobieta.

Podniosła się i podpłynęła ku niemu jak w transie.

– Czy zaszła pomyłka? – zapytała. – Proszę, niech mi pan powie, że to pomyłka. – Mówiła ze słabym francuskim akcentem.

Zanim Banks zdążył się odezwać, jeden z mężczyzn ujął ją pod ramię i powiedział:

– Chodź, Sylvio, usiądź. – Zwrócił się do Banksa. – Jestem Geoffrey Harrison, ojciec Debory. Jak przypuszczam, nadzieja, że to jednak pomyłka, jest płonna?

Banks potaknął.

Geoffrey miał około stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu, długie ręce i szerokie bary świetnego serwującego. Prawdę mówiąc, przypominał sławnego krykiecistę, ale Banks nie potrafił przypomnieć sobie nazwiska. Był ubrany w szare spodnie z ostrymi kantami i robiony na drutach zielony sweter na białej koszuli. Miał kręcone jasne włosy z pasmami siwizny nad uszami i mocno zarysowany podbródek z dołeczkiem, trochę jak Kirk Douglas. Wszystko w jego ruchach i postawie mówiło, że jest człowiekiem nawykłym do rządzenia. Banks ocenił, że gospodarz ma jakieś czterdzieści pięć lat, przypuszczalnie jest o dobre dziesięć starszy od żony.

Niespodziewanie to sobie uświadomił i poczuł się tak, jakby ktoś wylał mu na głowę wiadro zimnej wody. Chryste, powinien był od razu wiedzieć. Powinien był dodać dwa do dwóch. To przekłete zimno pewnie mąci mu w myślach. Człowiek, który przed nim stoi, to sir Geoffrey Harrison. Sir. Chyba ze trzy lata temu dostał tytuł za zasługi dla przemysłu – coś związanego z nowoczesnymi komputerami, elektroniką, mikroczipami i tak dalej. A Debora Harrison była jego córką.

– Ma pan fotografię córki z ostatniego okresu, sir?

– Na kominku. Zrobiono ją latem.

Banks podszedł i przyjrzał się zdjęciu młodej dziewczyny pozującej na pokładzie jachtu. Przypuszczał, że to jej pierwsze bikini, a chociaż nadal nie miała figury, która dobrze by je wypełniała, wyglądała świetnie. Choć pewnie taka młodość, taka energia, taki potencjał we wszystkim wyglądałyby dobrze.

Uśmiechnięta Debora trzymała jedną ręką maszt, drugą długie pasmo jasnych włosów, jakby wiatr

zwiewał je na jej twarz. Mimo że dziewczyna na fotografii tryskała zdrowiem i energią, nie ulegało wątpliwości, że to ta sama, która teraz leży w kostnicy.

– Obawiam się, że nie zaszła pomyłka – powiedział Banks, spoglądając na sąsiednie zdjęcie. Przedstawiało stojących na czworokątnym dziedzińcu dwóch uśmiechniętych młodych mężczyzn w białych krykietowych strojach. Jednym z całą pewnością był sir Geoffrey, tym zaś, który przyjacielsko obejmował go ramieniem, z łatwością mógł być drugi mężczyzna w pokoju. Pozostał szczupły i przystojny, chociaż piaskowe włosy szybko się cofały nad wysokim czołem i przerzedzały na czubku głowy. Miał na sobie drogi swobodny ubiór – czarne sztruksowe spodnie i rdzawą bawełnianą koszulę – oraz wiszące na łańcuszku okulary w złotych oprawkach.

– Michael Clayton – powiedział, wstając i ściskając dłoń Banksa.

– Michael to mój wspólnik w interesach – wyjaśnił sir Geoffrey – a także najstarszy przyjaciel i ojciec chrzestny Debory.

– Mieszkam tuż za rogiem – powiedział Clayton. – Jak tylko Geoff się dowiedział... cóż, zadzwonili do mnie i przyszedłem. Ustaliliście już coś?

– Jeszcze na to za wcześnie – odparł Banks, po czym zwrócił się do sir Geoffreya i lady Harrison.

– Orientują się państwo, czy Debora planowała gdzieś się wybrać po lekcjach?

Sir Geoffrey poświęcił sekundę na zebranie myśli, po czym powiedział:

– Tylko do klubu szachowego.

– Klub szachowy?

– Tak. Szkolny. Spotykają się w każdy poniedziałek.

– O której zwykle wraca do domu?

Sir Geoffrey spojrzał na żonę.

– Zwykle po szóstej – powiedziała lady Harrison. – Najczęściej kwadrans po. Czasami dwadzieścia, jeśli się guzdrze z koleżankami.

Banks zmarszczył czoło.

– Musiało być po ósmej, kiedy inspektor Stott przyszedł z tą złą wiadomością, państwo jednak nie zgłosili zaginięcia Debory. Nie martwiliście się państwo? Gdzie państwa zdaniem była?

Lady Harrison zaczęła płakać. Sir Geoffrey ścisnął jej dłoń.

– Dopiero wróciliśmy – wyjaśnił. – Ja byłem na biznesowym przyjęciu w hotelu Royal w Yorku i przez tę cholerną mgłę przyjechałem później. Sylvie była w klubie fitness. Debora ma klucz. W końcu to szesnastolatka.

– O której państwo wrócili?

– Około ósmej. W odstępie kilku minut. Myśleliśmy, że Debora już była i znowu wyszła, choć miała zwyczaj nas w takiej sytuacji uprzedzać, a już na pewno zrobiłaby to w taki wieczór jak dzisiaj. Nie było listu ani żadnych śladów świadczących o jej bytności. Debora nie jest... cóż, zwykle zostawia szkolny blezer na oparciu krzesła, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi.

– Rozumiem. – Córka Banksa, Tracy, tak samo nie przykładła wagi do porządku.

– Martwiliśmy się, że może ją porwano. Mieliśmy dzwonić na policję, kiedy przyjechał inspektor Stott.

– Grożono państwu porwaniem?

– Nie, ale słyszy się o takich rzeczach.

– Czy córka mogła mieć przy sobie coś wartościowego? Gotówkę, karty kredytowe i tak dalej?

– Nie. Dlaczego pan pyta?

– Jej tornister był otwarty. Zastanawiałem się dlaczego.

Sir Geoffrey pokręcił głową.

Banks zwrócił się do Michaela Claytona.

– Widział pan dzisiaj wieczorem Deborę?

– Nie. Byłem w domu do telefonu Geoffa.

Sir Geoffrey i lady Harrison siedzieli na białej sofie zgarbieni, trzymając się za ręce jak nastolatki.

Banks przycupnął w fotelu i pochylił się z dłońmi opartymi na kolanach.

– Inspektor Stott mówił, że Deborę znaleziono na cmentarzu przy kościele Marii Panny – powiedział sir Geoffrey. – To prawda?

Banks kiwnął głową.

Gniew wykrzywił twarz sir Geoffreya.

– Rozmawiał pan z tym cholernym proboszczem? Tym zboczeńcem?

– Danielem Chartersem?

– Właśnie. Wie pan, o co został oskarżony, prawda?

– O składanie homoseksualnych propozycji.

Sir Geoffrey potaknął.

– Tak jest. Na pańskim miejscu...

– Proszę, Geoffreju. – Sylvie skubnęła go za rękaw. – Uspokój się. Pozwól inspektorowi mówić.

Sir Geoffrey przecesał dłonią włosy.

– Tak, oczywiście. Przepraszam.

Skąd taka wrogość wobec Charteresa? – zastanawiał się Banks. Ale lepiej zostawić to na później.

Sir Geoffrey jest zrozpaczony, nie należy go teraz naciskać.

– Czy mógłbym obejrzeć pokój Debory? – zapytał.

Sylvie wstała.

– Zaprowadzę pana.

Banks poszedł za nią szerokimi, wykładanymi białym chodnikiem schodami. Złapał się na refleksji, że utrzymanie porządku w tym domu musi być piekielną harówką. Sandra nigdy by się nie zgodziła na białe chodniki albo obicia. Nie przypuszczał jednak, by Harrisonowie osobiście sprząkali.

Sylvie otworzyła drzwi do pokoju córki, potem przeprosiła i wróciła na parter. Banks zapalił światło. Pokój był większy, ale panował tu taki sam bałagan jak u Tracy. Ubrania leżały na podłodze, na łóżku wznosił się kłęb pomiętej pościeli, otwarte drzwi szafy ujawniały długi rząd wieszaków z sukienkami, bluzkami, zakietami i džinsami. Były drogie, Banks przekonał się o tym, kiedy sprawdził kilka metek z nazwiskami znanych projektantów.

Komputer stał na biurku pod oknem, leżały tam również płyty. Obok znajdowała się biblioteczka, wypełniona głównie podręcznikami z nauk ścisłych i informatyki oraz kilkoma romansami historycznymi. Banks przeszukał wszystkie szuflady, ale nie znalazł nic interesującego. Oczywiście pomógłoby mu, gdyby wiedział, czego szuka.

Na stole przy nogach łóżka stała miniwieża, mały kolorowy telewizor i odtwarzacz wideo, wszystkie z pilotami. Banks przejrzał płyty. W przeciwieństwie do Tracy, Debora lubiła surową, grunge'ową muzykę: Hole, Pearl Jam, Nirvana. Na ścianie obok wielkiego plakatu Kurta Cobaina wisiał mniejszy z Riverem Phoenixem.

Banks zamknął za sobą drzwi i zszedł po schodach. Z białego salonu dobiegały go płacz Sylvie i stłumiona rozmowa sir Geoffreya z Michaeliem Claytonem. Nie rozróżniał słów; zobaczyli go przez otwarte drzwi i zaprosili do środka.

– Mam jeszcze jedno pytanie, sir Geoffreyu, jeśli można.

– Słucham.

– Czy pańska córka prowadziła pamiętnik? Wiem, że moja to robi. Odnoszę wrażenie, że pamiętniki są bardzo popularne wśród nastolatków.

Sir Geoffrey chwilę się zastanawiał.

– Tak, chyba tak – odparł w końcu. – Michael kupił jej pamiętnik na ostatnie Boże Narodzenie.

Clayton potaknął.

– Owszem. Oprawny w skórę, z jedną stroną na dzień.

Banks znowu zwrócił się do sir Geoffreya.

– Wie pan, gdzie go przechowywała?

– Niestety nie. Sylvie?

Pokręciła głową.

– Mówiła mi, że go zgubiła.

– Kiedy to było?

– Gdzieś na początku semestru. Od jakiegoś czasu go nie widziałam, więc ją zapytałam, czy przestała go prowadzić. Dlaczego pan pyta? Czy to ważne?

– Przypuszczalnie nie – odrzekł Banks. – Tylko że czasami to, czego nie znajdujemy, jest równie ważne jak to, co znajdujemy. Problem polega na tym, że dowiadujemy się o tym za późno. Nie będę już dzisiaj zajmował państwu czasu.

– Inspektor Stott mówił, że muszę zidentyfikować ciało – powiedział sir Geoffrey. – Poczyni pan stosowne ustalenia?

– Oczywiście. Proszę jeszcze raz przyjąć moje kondolencje.

Sir Geoffrey kiwnął głową, po czym odwrócił się do żony. Banks został odprawiony jak kamerdyner.

VI

Sprawy się nawarstwiały i w rezultacie było po drugiej w nocy, kiedy Banks zaparkował przed swoim domem granatowego cavaliera, którego w końcu kupił w miejsce zdezelowanej cortiny. Po Hawthron Close dobrze było wrócić do normalnego świata bliźniaczych domów z ogródkami wielkości znaczka pocztowego, z fiestami i astrami stojącymi na ulicy.

Zaraz od progu na palcach poszedł na piętro zajrzeć do Tracy. Wiedział, że to głupie, ale po zobaczeniu ciała Debory Harrison czuł potrzebę przekonania się, że jego córka żyje i oddycha.

Bursztynowa poświata latarni ulicznej wpadała przez okno i wydobywała z mroku niewyraźny zarys jej postaci. Co chwila dziewczyna przewracała się z boku na bok i cichutko wzdychała, jakby coś jej się śniło. Banks delikatnie zamknął drzwi i wrócił na dół, uważając, by ominąć trzeszczący trzeci stopień od góry. Pomimo późnej pory wcale nie był zmęczony.

Zapalił lampę i nalał sobie czystej whisky Laphroaig w nadziei, że wymaże z jego myśli obraz Debory Harrison leżącej z rozrzuconymi kończynami na cmentarzu.

Po pięciu minutach uznał, że poniósł klęskę. Muzyka będzie lepsza. „Muzyka z nagłymi zaklęciami może powstrzymać błędzące myśli i ukoić wzburzony umysł”, jak powiedział Congreve. Przecież nie

obudzi Sandry ani Tracy, jeśli cicho włączy płytę z muzyką klasyczną?

Przejrzał swój szybko rosnący zbiór – miał wrażenie, że płyty rozmnażają się z dnia na dzień – i wybrał *Cztery ostatnie pieśni* Richarda Straussa.

W środku drugiej, *Września*, kiedy kryształowy sopran Gunduli Janowitz wznosił się wysoko, Banks dolał sobie whisky i zapalił papierosa.

Zdażył się trzy, cztery razy zaciągnąć, kiedy drzwi się otworzyły i Tracy wsunęła głowę do pokoju.

– Co ty tu robisz? – szepnął Banks.

Tracy przetarła oczy i weszła do środka. Miała na sobie długą, obszerną koszulę nocną z obrazkiem pandy na piersiach. Chociaż skończyła siedemnaście lat, wyglądała w niej jak mała dziewczynka.

– Wydawało mi się, że usłyszałam kogoś w moim pokoju – mruknęła. – Nie mogłam znowu zasnąć, więc przyszłam, żeby napić się mleka. Tato, ty znowu palisz!

Banks przyłożył palec do ust.

– Ciii! Mama. – Spojrzał na papierosa z poczuciem winy. – Rzeczywiście.

– Przecież obiecałeś.

– Nieprawda. – Banks zwiesił głowę ze wstydu. Nikt tak skutecznie jak nastoletnia córka nie potrafił wzbudzić w człowieku poczucia winy z powodu złych przyzwyczajęń, zwłaszcza że w szkole robiono im pranie mózgu całą tą antynikotynową propagandą.

– Obiecałeś. – Tracy podeszła do niego. – Coś się stało? Dlatego siedzisz tu w środku nocy, pijesz i palisz?

Przysiadła na oparciu sofy i przyglądała mu się z troską w zaspanych oczach, długie jasne włosy spadały jej na wąskie ramiona. Syn Banksa, Brian, który w Portsmouth studiował architekturę, był podobny do ojca, ale Tracy odziedziczyła wygląd po matce.

Przeszli długą drogę od gorzkich kłótni o jej pierwszego chłopaka, dawno porzuconego, i o zbyt wiele późnonocnych powrotów do domu latem. Teraz Tracy postanowiła, że w tym roku wcale nie będzie miała chłopaka, a całą energię poświęci nauce, żeby dzięki dobrym wynikom dostać się na uniwersytet, gdzie chciała studiować historię. Banks mógł tylko ją za to pochwalić. Kiedy patrzył na nią, kruchą i bezbronną, czuł, jak wzbiera w nim duma z niej i rośnie strach o nią.

– Nie – powiedział, wstając i głaszcząc ją po głowie. – Nic się nie stało. Jestem po prostu starym głupcem, który nie potrafi oduczyć się starych przyzwyczajęń, to wszystko. Zrobię nam kakao, co ty na to?

Tracy kiwnęła głową, ziewnęła i wyciągnęła ręce wysoko w powietrze.

Banks się uśmiechnął. Gundula Janowitz śpiewała wiersz Hermanna Hessego. Słuchał tych pieśni tak wiele razy, że znał przekład na pamięć:

*Dzień mnie znużył
I dusza ma łaknie
Gwiazdzistej nocy
By objąć ją
Niczym zmęczone dziecko.*

Możesz to powtórzyć, pomyślał Banks. Wchodząc do kuchni, obejrzał się na Tracy. Mrużąc oczy, usiłowała odczytać tekst drobnym drukiem na okładce CD.

Niedługo się dowie, jaki los spotkał Deborę Harrison, pomyślał. Jutro całe miasto będzie o tym huczeć. Ale nie dzisiaj w nocy. Dzisiaj w nocy ojciec i córka będą się cieszyć spokojnym, niewinnym kubkiem kakao w bezpiecznym ciepłym domu dryfującym we mgle jak wyspa.

Więcej ciekawych ebooków na: <http://ebookgigs.pl>

Rozdział 2

I

Komendant Jeremiah Riddle już krążył nerwowo, kiedy wcześniej rano Banks przyjechał do pracy. Łysa głowa lśniła niczym nowa piłeczka do krykieta świeżo wypolerowana na kroczu rzucającego, czarne oczy błyszczały jak gagaty, ogolona broda wystawała niczym dziób statku, mundur był wyprasowany, nigdzie ani śladu kurzu czy kłaczków, mak ostentacyjnie wpięty w klapę: wyglądał na czujnego, rozbudzonego i gotowego na wszystko.

Banks wcale tak nie wyglądał ani nawet się nie czuł, skoro o tym mowa. W sumie miał za sobą nie więcej niż trzy godziny niespokojnego snu, zwłaszcza że obudził go wczesny telefon Kena Blackstone'a. Chociaż mgła szybko zmieniała się w mżawkę, półtora kilometra do pracy przeszedł pieszo, żeby rozjaśnić sobie umysł. Nie był pewien, czy mu się udało. Nie pomagało też to, że katar się pogarszał, wypełniając mu głowę wilgotną watą.

– Ach, Banks, w samą porę, cholera – powiedział Riddle.

Banks zdjął słuchawki i wyłączył kasetę z nagraniami Jimiego Hendrixa, której słuchał. Szalone arpeggia *Pali Gap* nadal dzwoniły mu w uszach.

– I musisz paradować z tym cholerstwem w uszach? – ciągnął Riddle. – Nie wiesz, jak idiotycznie wyglądasz?

Banks potrafił rozpoznać pytanie retoryczne.

– Jak przypuszczam, wiesz, kim jest ojciec ofiary?

– To sir Geoffrey Harrison, sir. Wczoraj wieczorem z nim rozmawiałem.

– W takim razie zdajesz sobie sprawę, jakie to ważne. To... to... straszna tragedia. – Jimmy Riddle zawsze ma banały na podorędziu, pomyślał Banks. Riddle przesunął dłonią po głowie. – W tej sprawie wymagam stu procent, Banks. Nie. Dwustu procent. Rozumiesz? Żadnego migania się. Żadnego obijania.

Banks kiwnął głową.

– Tak jest, sir.

– Co z tym gościem z Bośni? Jurassic, tak?

– Jelačić, sir. I jest Chorwatem.

– Nieważne. Myślisz, że to nasz człowiek?

– Z całą pewnością go przesłuchamy. Mam informację od Kena Blackstone'a, że Jelačić jest znany

policji z Leeds. Picie i naruszanie porządku, jeden zarzut o bójkę w pubie. Dzisiaj w nocy wrócił do domu dopiero po drugiej. Mają jego odciski, więc będziemy mogli je porównać, jeśli Vic zdejmie coś z butelki po wódce.

– Dobrze. – Riddle się uśmiechnął. – Takich rzeczy lubię słuchać. Chcę szybkiego aresztowania, Banks. Sir Geoffrey to mój przyjaciel. Rozumiesz?

– Tak jest, sir.

– Świetnie. I nie narzucaj się rodzinie. Nie chcę, żebyś ich nagabywał w czasie żałoby. Czy to jasne?

– Tak, sir.

Riddle wygładził mundur, który tego nie potrzebował, i strzepnął wymaginowany łupież z ramion. Pobożne życzenia, pomyślał Banks.

– Idę na konferencję prasową – oznajmił. – Powinienem wiedzieć o czymś, co pozwoli mi nie wyjść na skończonego idiotę?

Nic nie zdoła ci w tym przeszkodzić.

– Nie, sir – odparł. – Może jednak wpadnie pan do naszej sali i sprawdzi, czy nie pojawiły się nowe informacje.

– Już to zrobiłem. Za kogo mnie masz, cholernego głupka?

Banks pozwolił, by cisza się przedłużyła.

Riddle wciąż krążył, chociaż wyglądało na to, że na razie nie ma nic więcej do powiedzenia.

– Dobrze. Pamiętaj, co mówiłem, Banks. – Wycelował w niego palec. – Wyniki. Szybko.

Po odejściu Riddle'a Banks poczuł, że się odpręży i łatwiej mu się oddycha, jak wiktoriańskiej damie po zdjęciu gorsetu. Czytał artykuł o osobowościach typu A: rozpychanie się, ambicja, zarozumiałość, agresja, dla otoczenia piekielnie męczące.

Zapalił papierosa, przeczytał raport leżący na biurku i popatrzył na kalendarz „Dalesmana” wiszący na ścianie. Karta z listopadem przedstawiała wioskę Muker w Swaledale, grupę wapiennych budynków stłoczonych w dolinie pełnej stłumionych jesiennych kolorów. Podszedł do okna, przez które wpadało wczesnoporanne światło, sączące się przez pokrywę chmur barwy pomyj.

Rynek z normańskim kościołem po lewej, bankiem, sklepami i kafejkami naprzeciwko oraz pubem Queen's Arms po prawej był studium w szarości, wyjątek stanowiła czerwona honda zaparkowana koło krzyża. Banks obserwował staruszkę z czarnym parasolem kuśtykającą po bruku. Porównał czas na swoim zegarku z czasem na zegarze na wieży kościelnej – za pięć ósma, czas pozbierać papiery i ruszyć na poranną odprawę.

Inspektor Stott już czekał, gotów od razu pójść do „Sali konferencyjnej”, nazywanej tak z powodu owalnego stołu wypolerowanego na wysoki połysk, dziesięciu krzeseł do kompletu oraz ciemnobordowej tapety nad boazerią.

Posterunkowa Susan Gay pojawiła się dziesięć minut później. Makijaż niemal ukrywał worki pod oczami, żel nadał krótkim kręconym włosom taki wygląd, jakby nadal były mokre po prysznicu, subtelne perfumy wniosły do pokoju powiew wiosny.

Sierżant Jim Hatchley, wielki i ciężki jak podstarzały rugbysta, przyszedł ostatni. Nie odświeżył się. Jego twarz wyglądała jak kula ciasta z wystającymi z niej kępkami zarostu, oczy miał przekrwione, słomiane włosy skołtunione, granatowy garnitur wymięty i wyświecony.

– Dobra – powiedział Banks, przerzucając papiery na stole – mamy dwie nowe informacje. Waham się przed nazwaniem ich tropami, ale nigdy nic nie wiadomo. Po pierwsze, jeden z naszych funkcjonariuszy znalazł brakującą bieliznę, kiedy przypilony przez naturę schował się za cis, żeby odsączyć kartofelki. Jest z resztą ubrania ofiary w kostnicy. Druga sprawa może mieć jeszcze większe znaczenie. Niektórzy z was pewnie wiedzą, że chorwacki uchodźca Ive Jelačić został niedawno wyrzucony z pracy przez Daniela Chartersa, proboszcza kościoła Marii Panny, po czym oskarżył go o napastowanie seksualne. Wygląda na to, że ten Jelačić to nieciekawy typek. Według policji z West Yorkshire wczoraj w nocy pana Jelačića nie było w domu do po drugiej, co oznacza, że miał mnóstwo czasu na popełnienie morderstwa w Eastvale i powrót, nawet w tej mgle. Powiedział, że grał w karty z rodakami w domu przyjaciela.

Hatchley chrząknął.

– Ci obcokrajowcy zaczynają łąć, kiedy tylko nas zobaczą – stwierdził. – Zwłaszcza żeby wzajemnie się chronić.

– Policja z West Yorkshire już to sprawdza – ciągnął Banks – ale obawiam się, że sierżant Hatchley na swój niepowtarzalny sposób trafił w sedno. Dlatego potraktujemy to alibi ze sporą rezerwą. Inspektor Blackstone powiedział, że zatrzymają Jelačića do naszego przyjazdu. Myślę, że pozwolimy mu się pocić jeszcze przez kilka godzin. Następna sprawa. Laboratorium na razie nic dla nas nie ma, ale z moich obserwacji poczynionych na miejscu zbrodni wynika, że mamy do czynienia z morderstwem z pobudek seksualnych. Sprawiało wrażenie zaaranżowanego. W tej chwili po prostu za mało wiemy. Istnieje kilka innych wątków, których nie możemy przeoczyć. – Wyliczył je na palcach. – Szkoła, rodzina, Jelačić, chłopcy ofiary i para na probostwie, to na przystawkę. Rebecca Charters okłamała mnie wczoraj wieczorem, kiedy zapytałem, gdzie był jej mąż w czasie popełnienia przestępstwa. Dała mu fałszywe alibi, a ja chciałbym się dowiedzieć, dlaczego go potrzebował,

zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę niedawny skandal, w który jest zamieszany. Musimy także dokładniej poznać Deborę Harrison. Nie tylko to, co wczoraj robiła, ale jej zainteresowania, zajęcia, życie seksualne, o ile takie miała, oraz przeszłość. Trzeba się dowiedzieć, co ją rajcowało, jaką była osobą. Jakież pytania?

Wszyscy pokręcili głowami.

– Dobra. Barry, chciałbym, żebyście z sierżantem Hatchleyem najpierw przejrze kartoteki wszystkich znanych przestępców seksualnych w hrabstwie. Znać procedurę. Jeśli coś wyda się wam prawdopodobne, sprawdźcie to. Później popytajcie w restauracjach i kafejkach w okolicy kościoła, w lokalach, które mogły być zamknięte po ósmej, dziewiątej wieczorem, kiedy wczoraj mundurowi chodzili od domu do domu. Nigdy nie wiadomo, nasz człowiek mógł wpaść na filiżankę herbaty w drodze na cmentarz.

Stott kiwnął głową.

– Chciałbym też, żebyście spróbowali dowiedzieć się wszystkiego o Jelačiću od policji, urzędu imigracyjnego i tak dalej. Czy w ojczyźnie był notowany? Czy popełnił tam jakiegokolwiek wykroczenie o podłożu seksualnym?

Stott notował.

– Susan, ty pójdziesz ze mną. Sprawdzimy kilka rzeczy bliżej domu. Na początek musimy się dowiedzieć, co dokładnie robiła wczoraj Debora, kto widział ją ostatni. Dobrze?

– Tak jest.

– Jeśli to wszystko, zabieramy się do roboty. Każdy regularnie składa raporty w sali odpraw.

Dostawszy zadania, po kolei wyszli. Tylko Susan Gay została. Napila się kawy z mlekiem i ponownie usiadła.

– Dlaczego ja, sir? – zapytała.

– Słucham?

– Dlaczego ja z panem pracuję? Jestem tylko posterunkową. Według rangi to powinien...

– Susan, niezależnie od stopnia jesteś dobrym detektywem. Nieraz to udowodniłaś. Pomyśl o tym. Zabieranie Jima Hatchleya do szkoły dla dziewcząt, na probostwo i do domu sir Geoffreya Harrisona... To byłoby jak wpuszczenie byka do sklepu z porcelaną.

Usta Susan wygięły się w uśmiechu.

– Co dokładnie będziemy robić?

– Rozmawiać z rodziną, przyjaciółmi, nauczycielami. Spróbujemy się dowiedzieć, czy to jest mord z pobudek seksualnych, na jaki wygląda, czy ktoś po prostu miał powód, by chcieć śmierci Debory

Harrison.

– Zamierza pan sprawdzić alibi jej rodziców?

Banks przez chwilę się namyślał, po czym odparł:

– Owszem. Prawdopodobnie.

– To się nie spodoba komendantowi, prawda?

– Co mu się nie spodoba?

– Wszystko. To, że będziemy wściubiać nosy w przeszłość rodziny Harrisonów.

– Może nie.

– Chodzi mi o to, że na posterunku wszyscy wiedzą, że oni należą do tej samej łoży, sir. To znaczy komendant i sir Geoffrey.

– Naprawdę?

– Tak głosi plotka, sir.

– A ty martwisz się o karierę.

– No cóż, jak pan wie, zdałam egzamin na sierżanta. Czekam na awans. Chcę powiedzieć, że jestem całkowicie po pańskiej stronie, ale wolałabym nie robić sobie wrogów w nieodpowiednich miejscach, nie teraz.

Banks się uśmiechnął.

– Nie przejmuj się, to moje jaja leżą na rzeźnickim pieńku, nie twoje. Wszystko biorę na siebie.

Masz na to moje słowo.

Susan odpowiedziała uśmiechem.

– Ha, po raz pierwszy to, że nie mam jaj, przynosi mi jakąś korzyść.

II

Obudziwszy się we wtorkowy rano tuż po ósmej, Rebecca Charters poczuła dudniący ból za oczami, który zapowiadał kolejnego kaca.

Nie zawsze tak było, przypomniawszy sobie. Kiedy dwanaście lat temu wyszła za Daniela, był dynamicznym młodym duchownym. Kochała jego namiętną wiarę i oddanie tak samo jak jego poczucie humoru i radość z doznań zmysłowych. Akty fizyczne były zawsze dla obojga źródłem rozkoszy. Aż do niedawna.

Wstała, okryła się szlafrokiem i podeszła do okna. Przeprowadzili się tutaj sześć lat temu i wszyscy przyjaciele mówili, jak przygnębiająco i niezdrowo jest mieszkać na cmentarzu. Jak siostry Brontë, kochanie, powtarzali, i popatrz, co się z nimi stało.

Dla Rebekki jednak to wcale nie było przygnębiające. Wręcz przeciwnie, odnalazła dziwne ukojenie i spokój w rozważaniach o robakach z zapalem wykonujących swoją pracę tuż pod porośniętą zielenią powierzchnią. To nadawało sprawom odpowiednią perspektywę. Przypominało jej wiersz Marvella, który Patrick jej recytował na początku ich romansu, kiedy rzeczy mogły się potoczyć tak albo inaczej:

*Cóż, kiedy za mną pędzi pogoń chyża –
Skrzydlaty rydwan czasu wciąż się zbliża;
A tam, przed nami, czekają jedynie
Nieogarnionej wieczności pustynie.
Uroda twoja w mrok grobu się schowa
I nie usłyszy krypta marmurowa
Echa mej piosnki; robak niszczyć zacznie
Dziewictwo, które chroniłaś tak bacznie;
Cała twa cnota prochem wnet się stanie,
Popiołem – całe moje pożądanie.
Chociaż przytulnym miejscem jest mogiła,
Wątpię, czy ktoś cię tam przytuli, miła.¹*

W ostatecznym rozrachunku to było łatwe uwiedzenie. Wiersz poskutkował. Marvell byłby z siebie dumny.

Rebecca rozsunęła zasłony. Pasma mgły wciąż wiły się wokół pni cisów i ciężkich szarych kamieni nagrobnych, choć teraz zaczęło mżyć. Z okna widziała policjantów w mundurach metodycznie i wedle planu przeszukujących teren otaczający kościół.

Debora Harrison. Często widywała, jak dziewczyna idzie na skróty przez kościelny dziedziniec; widywała ją także w kościele i na próbach chóru, zanim zaczęły się problemy.

Ojciec Debory, sir Geoffrey, opuścił Marię Pannę przy pierwszym znaku skandalu. Szkoła stanęła po stronie Daniela, ale sir Geoffrey, dla którego pozory były o wiele ważniejsze od prawdy, ostentacyjnie odwrócił się do nich plecami, zabierając ze sobą rodzinę i wielu innych zamożnych i wpływowych członków kongregacji. Maria Panna była najbogatszą parafią w Eastvale. Była. Teraz fundusze topniały w zastraszającym tempie.

Rebecca oparła czoło o chłodne szkło i patrzyła, jak jej oddech tworzy na nim mgiełkę. Złapała się na tym, że paznokciem wypisuje imię Patricka, i poczuła, jak w lędźwiach płonie jej tęsknota za nim. Nienawidziła siebie za te doznania. Patrick miał dopiero dwadzieścia sześć lat, dziesięć lat mniej niż

ona, ale był taki żarliwy, taki namiętny, zawsze z taką ekscytacją mówił o życiu, poezji i miłości. Chociaż go potrzebowała, nienawidziła siebie za to; chociaż codziennie postanawiała, że z nim zerwie, nie pragnęła niczego poza całkowitym zatraceniem się w nim.

Patrick był ucieczką, jak picie; na tyle dobrze się znała, by dojść do tego wniosku. Ucieczką przed zatrutą atmosferą w Marii Pannie, od tego, czym stali się oboje z Danielem, a także, co przyznawała w najmroczniejszych chwilach, od swoich własnych obaw i podejrzeń.

A teraz to. Próbowwała siebie przekonać, że to nie ma sensu. Wykluczone, żeby Daniel był mordercą. Dlaczego chciałby zabić istotę tak niewinną jak Debora Harrison? Nawet jeśli się obawiasz, że ktoś może być odpowiedzialny za jedno, to przecież nie oznacza jeszcze, że jest odpowiedzialny także za drugie, prawda?

Obserwując policjantów w pelerynach i kaloszach rozsuwających wysoką trawę, musiała stawić czoło faktom: Daniel wrócił do domu dopiero po tym, jak poszła do anioła; wyszedł z domu, zanim wydawało się jej, że słyszy krzyk; nie miała pojęcia, gdzie był, a po powrocie buty miał ubłocone, z liśćmi i kamyczkami przyklejonymi do podeszew.

III

Kostnica mieściła się w szpitalu ogólnym, surowym wiktoriańskim budynku z wysokimi korytarzami, po których hulały przeciągi, i oddziałami, na których zdaniem Susan człowiek na sto procent zachoruje, jeśli jeszcze nie jest chory.

Wykładana białymi kafelkami sala sekcyjna została jednak niedawno zmodernizowana, jakby umarli jakimś sposobem zasługiwali na zdrowsze otoczenie niż żywi, pomyślała Susan. Klimatyzowana, a nie chłodzona wiatrem wpadającym przez okno, sala była wyposażona w dwa lśniące metalowe stoły z rynienkami i długą laboratoryjną ławę pod ścianą ze szklanymi szafkami zawierającymi słoje z próbkami. Susan nigdy nie odważyła się zapytać o dwa, których zawartość wyglądała jak ludzkie mózgi.

Asystenci doktora Glendenninga już wyjęli ciało Debory Harrison z plastikowego worka. Leżała teraz na stole ubrana tak jak na cmentarzu.

Była dziewiąta rano, radio nadawało audycję *Wake up to Wogan*.

– Musimy słuchać tego badziewia? – zapytał Banks.

– To jest normalne, Banks – odparł Glendenning. – I dlatego włączamy Wogana. W całym kraju miliony ludzi go teraz słuchają. Ludzi, którzy nie przygotowują się do rozcięcia ciała szesnastolatki. Podejrzewam, że wolałbyś jakiś snobistyczny koncert muzyki klasycznej, co? Nie mogę powiedzieć,

że myśl o przeprowadzeniu sekcji przy akompaniamencie *Enigma Variations* Elgara jakoś wspaniale na mnie wpływa. – Wsadził papierosa w kącik ust i wciągnął rękawiczki chirurgiczne.

Susan się uśmiechnęła. Banks spojrział na nią i wzruszył ramionami.

Dziewczyna na stole nie jest istotą ludzką, powtarzała sobie Susan. To tylko kawał martwego mięsa, jak u rzeźnika. Przypomniała sobie June Walker, córkę rzeźnika, z którą chodziła do szkoły w Sheffield, i otaczający ją specyficzny odór. Dziwne, od lat nie myślała o June Walker.

Odór – stęchły i intensywny, ale też słodkawy – unosił się w powietrzu, owszem, choć ukryty pod warstwami formaliny i dymu papierosowego, bo obaj, Glendenning i Banks, raz po raz zaciągali się gwałtownie. Nie miała o to do nich pretensji. Kiedyś widziała film w telewizji, w którym amerykańska policjantka smarowała skórę pod nosem jakąś maścią, mającą zamaskować odór rozkładającego się ciała. Susan nie ośmieliła się tego zrobić z obawy, że inni ją wyśmieją. W końcu to jest Yorkshire, nie Ameryka.

Mimo to, gdy patrzyła, jak Glendenning przecina ubranie dziewczyny, a potem je zdejmuje i przekazuje do wysuszenia, niemal pożałowała, że nie pali. Przecież łatwiej zmyć smród dymu niż śmierci – ten wydawał się utrzymywać w jej włosach i garderobie przez wiele dni.

Majtki Debory leżały w plastikowej torebce na ławie. Drogie, jedwabne i seksowne, zupełnie nie przypominały granatowych majtasów, „morderców namiętności”, które Susan nosiła w szkole. Może tego rodzaju rzeczy są *de rigueur* dla uczennic tej szkoły, pomyślała. Czy raczej Debora liczyła, że na kimś zrobi wrażenie? Nadal nie wiedzieli, czy miała chłopaka.

Obok majtek w osobnym worku leżał szkolny blezer, a dalej tornister. Vic Manson, ekspert od odcisków palców, przysłał go wcześniej rano z informacją, że znalazł wyraźne odciski na jednej z butelek po wódce, ale tylko zamazane częściowe na gładkiej skórze tornistra. Inspektor Stott przejrzał dokładnie kieszenie blezera; odkrył jedynie portmonetkę z sześcioma funtami i trzydziestoma trzema pensami, opakowanie po gumie do żucia, klucze do domu, wykorzystany bilet do kina i połowę rulonika dropsów miętowych.

Jeden z asystentów zrobił zdjęcia, po czym Glendenning zbadał twarz, notując punktowe wybroczyny w białkach oczu, na powiekach i policzkach. Następnie zajął się pręgą na szyi.

– Jak mówiłem wczoraj wieczorem, to wygląda jak czysty przypadek uduszenia przez zadzierzgnięcie. Popatrzcie tutaj.

Banks i Susan pochylili się nad ciałem. Susan usiłowała nie patrzeć w oczy zwłok. Glendenning wskazał przebarwioną pręgę na gardle.

– Ktokolwiek to zrobił, był dość silny. Widzicie, jak głęboko pasek wbił się w ciało?

Powiedziałbym też, że gość był kilka dobrych centymetrów wyższy od ofiary. A jak na swój wiek była wysoka. Pięć stóp sześć cali. – Zwrócił się do Susan. – Czyli prawie sto sześćdziesiąt osiem centymetrów według młodszego pokolenia. Widzicie, że rana jest głębsza z dołu, co oznacza, że pasek ciągnięto do góry? – Odszedł od stołu i zademonstrował to na jednym z asystentów. – Widzicie? – Banks i Susan pokiwali głowami.

– Jesteś pewien, że użyto paska tornistra? – zapytał Banks.

Glendenning potaknął. Podniósł tornister.

– Na krawędzi pozostały ślady krwi w miejscu, gdzie pasek przeciął skórę. Oczywiście sprawdzamy grupę, ale idę o zakład, że macie narzędzie zbrodni.

Następnie zdjął plastikowe torebki okrywające dłonie ofiary. Łagodnie – Susan pomyślała, że niemal jak manikiurzystka – podnosił dłonie i przyglądał się uważnie paznokciom. Dość długie, nieogryzione do żywego mięsa jak moje, gdy miałam tyle lat, stwierdziła posterunkowa.

Przy środkowym palcu prawej dłoni Glendenning mruknął coś pod nosem, po czym z tacy wziął lśniące narzędzie, którym przesunął pod paznokciem, wołając do asystenta, by ten dał mu pelurową kopertę.

– Co to jest? – zapytał Banks. – Broniła się?

– Wygląda na to, że co najmniej raz solidnie drapnęła. Przy odrobinie szczęścia uzyskamy DNA.

Obejrzał pośpiesznie piersi i brzuch, wziął próbnik i zajął się okolicą łona. Susan odwróciła wzrok; nie chciała być świadkiem tego znieważenia i guzik ją obchodziło, co inni o niej powiedzą albo pomyślą.

Nie potrafiła jednak wyłączyć głosu Glendenninga.

– Hmm, interesujące. Brak oczywistych śladów penetracji. Żadnych siniaków, żadnych otarć. Obejrzyjmy plecy.

Przewrócił ciało; plasnęło o stół jak mięso o rzeźnicki pień. W ciszy, która nastąpiła, Susan słyszała głośnie i szybkie walenie własnego serca.

– Nie. Nic – oznajmił wreszcie Glendenning. – W każdym razie nic widocznego na pierwszy rzut oka. Czekam na wyniki badania wymazów, ale stawiam funta przeciwko pensowi, że będą czyste.

Susan odwróciła się do mężczyzn.

– Więc jej nie zgwałcono?

– Nic na to nie wskazuje – odrzekł Glendenning. – Oczywiście nie będziemy wiedzieć na pewno, dopóki dokładnie nie zbadamy jej w środku. Żeby to zrobić... – Wziął do ręki wielki skalpel.

Pochylił się nad ciałem, by wykonać rozcięcie w kształcie litery Y od ramion do łona. Wprawnym

ruchem nadgarstka ominął twardą tkankę pępka.

– Dobra – powiedział Banks, zwracając się do Susan. – Lepiej się zbierajmy.

Glendenning oderwał wzrok od rozciętych płatów i uniósł brwi.

– Nie zostaniecie na resztę przedstawienia?

– Nie mamy czasu. Nie chcemy się spóźnić do szkoły.

Glendenning spojrział na ciało i pokręcił głową.

– Trudno mieć wam to za złe. Czasami żałuję, że wstałem z łóżka.

Kiedy wychodzili, zostawiając Glendenninga przy przeglądzie narządów wewnętrznych Debory Harrison, Susan czuła, że nigdy dotąd nie była tak wdzięczna Banksowi. Przysięgła sobie, że przy następnej bytności w Queen's Arms postawi mu piwo, ale nie powie z jakiej okazji.

Rozdział 3

I

Szkoła Marii Panny nie była może zamkiem Howard, choć bez wątpienia wyglądała dostatecznie imponująco, by ją wykorzystać w historycznym filmie BBC.

Banks i Susan wjechali przez wysoką żeliwną bramę na długi kręty podjazd; z obu stron rosły sykomory, zaścielając ziemię dywanem rdzawych i złotych liści, skrzydlaki wirowały na wietrze niczym śmigła helikoptera.

Przez gałęzie drzew mignął im majestatyczny budynek z szarego kamienia z kopułą, wysokimi oknami i kolumnami przy frontowym wejściu. Na tle fryzu stały na kolumnach posągi, podwójne schody rozchodziły się kręto od drzwi jak macki homara.

Banks przeczytał, że Szkoła dla Dziewcząt Marii Panny została założona w tysiąc osiemset trzydziestym drugim roku na czterdziestu akrach zalesionego terenu koło rzeki Swain. Główny budynek, ukończony w tysiąc siedemset siedemdziesiątym trzecim roku, pierwotnie przeznaczony był na wiejską rezydencję, ale nikt nigdy w nim nie mieszkał. Plotki głosiły, że lord Satterthwait, dla którego dom zbudowano, stracił lwią część fortuny oraz pieniądze wielu luminarzy hrabstwa na nierozważnym zagranicznym przedsięwzięciu i został zmuszony do ucieczki w niesławie za ocean.

Dzisiaj rano na terenie szkoły panował spokój, chociaż grupka dziewcząt w rdzawoczerwonych blezerach na widok samochodu Banksa zaczęła coś do siebie szeptać. Samochód był nieoznakowany, ale Banks i Susan byli obcymi, a do teraz wszyscy musieli już wiedzieć o zamordowaniu Debory Harrison.

Banks zapytał jedną z dziewczyn, gdzie mogą znaleźć dyrektorkę. Zgodnie z jej wskazówkami za progiem poszli prosto, potem skręcili w długi korytarz po prawej. Sufit był tu wysoki i ozdobny, ściany pokrywała ciemna boazeria na wysoki połysk. Kroki Susan odbijały się echem. To bez dwóch zdań bardzo się różniło od instytucjonalnej posępności liceum w Eastvale czy starej szkoły z czerwonej cegły w Peterborough, do której chodził Banks.

Szli wąskim korytarzem, oglądając portrety dawnych dyrektorów w złotych ramach; w większości byli to mężczyźni. Kiedy stanęli przed drzwiami z tabliczką „Dr J. S. Green, Dyrektor”, Banks głośno zapukał.

Spodziewając się, że wejdą do przedpokoju, z którego sekretarka zaprowadzi ich dalej, Banks był zaskoczony, kiedy od razu znaleźli się w gabinecie dyrektorki. Jak w całym budynku, tu też wysoki

sufit miał ozdobne rzeźbienia, ale na tym staroświecki charakter tego pomieszczenia się kończył.

Boazeria, o ile kiedykolwiek tu była, została zdjęta, a ściany pokryto tapetą w atrakcyjny wzór Laury Ashley. W miejscu dawnego żyrandola wisiała lampa osłonięta kloszem, pod ścianą stało kilka metalowych szafek na dokumenty. Pokój był zdominowany przez okno wykuszowe, na siedzisku pod nim leżały poduszki pasujące do tapety. Banks stwierdził, że widok przez drzewa na rzekę jest wspaniały nawet w dżdżysty listopadowy poranek. Za rzeką znajdował się park Marii Panny ze stawem, drzewami, ławkami i placem zabaw.

– I co pan myśli? – zapytała doktor Green, kiedy się przedstawili i wymienili uściski dłoni.

– Słucham? – zdziwił się Banks.

Odebrała od nich płaszcze i powiesiła na wieszaku w kącie.

– Trudno było nie zauważyć, że pan „ocenia hawirę”, jak to mówią.

– Raczej nie. Tak robią źli chłopcy – odparł Banks.

Lekko się zarumieniła.

– Ojej. Popełniłam gafę. Podejrzewam, że gwara przestępcza nie jest moją mocną stroną.

Banks się uśmiechnął.

– Bardzo dobrze. Tak czy owak, bardzo tu ładnie.

Wysoka i elegancka doktor Julia Green dopasowała się do otoczenia, gdyż była ubrana w stylu Laury Ashley. Spódnicę i żakiet, który miała na białej bluzce, uszyto z ciężkiego materiału; we wzorze przeważały kolory ziemi, brązy i zielenie, zmieszane tu i tam z plamą stłumionego rózu lub żółci, jak dzikie kwiaty przedzierające się przez poszycie.

Popielatoblond włosy zwinęła w schludny kok, z którego wymykał się jeden luźny kosmyk lub dwa. Miała pociągłą twarz, wysokie kości policzkowe i mały nos. Emanowała jakąś trudną do uchwycenia wyniosłością wyższych sfer, która zaintrygowała Banksa. Może i była jedną z tych bladych, odległych piękności, ale od razu się dostrzegało błysk inteligencji w jej zielonych jak jabłuszko oczach. W tej chwili były zaczerwienione od płaczu.

– To straszna sprawa – powiedziała. – Choć podejrzewam, że pan musi z czymś takim stykać się cały czas.

– Nie za często. I człowiek nigdy się do tego nie przyzwyczaja.

– Proszę usiąść.

Banks i Susan usiedli na krzesłach po drugiej stronie małego, solidnego biurka. Susan wyjęła notatnik.

– Nie wiem, jak mogę państwu pomóc – ciągnęła doktor Green – ale dołożę wszelkich starań.

– Może na początek powie nam pani, jaką dziewczyną była Debora.

Doktor Green położyła dłonie na biurku i splótła smukłe palce.

– Tego nie będzie wiele. Debora jest... była... uczennicą dzienną. Wiedzą państwo, jak działa ten system?

– Mało się orientuję w organizacji szkół prywatnych.

– Niepublicznych – poprawiła go dyrektorka. – „Szkoly prywatne” brzmią bardzo wiktoriańsko,

nie sądzi pan? Cóż, mamy dziewczynyienne i mieszkające w internacie. Proporcje z roku na rok nieznacznie się zmieniają, ale w tej chwili mamy sześćdziesiąt pięć uczennic dziennych i dwieście osiemdziesiąt sześć mieszkających w internacie. Mówiąc, że Debora należała do tych pierwszych, w żaden sposób nie określam jej statusu, stwierdzam tylko, że codziennie rano przychodziła do szkoły i po południu wracała do domu, więc nikt nie nawiązał z nią szczególnych więzi.

– Więzi?

– Tak. Kiedy się mieszka tak blisko uczennic, wie się o nich więcej, to nieuniknione, prawda?

– Więcej na jaki temat?

– Każdy. To może być kryzys związany z pierwszym okresem Elizabeth, rozwodem rodziców Meredith albo oddaleniem się Barbary od matki. Tego rodzaju sprawy zawsze od czasu do czasu wychodzą na jaw, gdy uczennice mieszkają w internacie.

– Czyli szybko by pani odkryła, kto na przykład sprawia problemy?

– Tak. Co nie znaczy, że mamy dziewczyny sprawiające problemy. W każdym razie poważne. W zeszłym roku przyłapaliśmy jedną na paleniu marihuany, a kilka lat temu nasza maturzystka zaszła w ciążę. Ale to przypadki ekstremalne, rozumieją państwo, bardzo rzadkie.

– Czy kiedykolwiek podejrzewała pani, że pojawiają się u was problemy występujące obecnie wszędzie?

– Na przykład?

– Powiedzmy narkotyki albo pornografia.

– Inspektorze, to nie jest liceum publiczne.

– Może nie, ale dziewczyny to dziewczyny.

– Nie wiem, co pan przez to rozumie, ale odpowiedź na pańskie pytanie brzmi: nie, nic takiego u nas się nie zdarzyło.

– Mieszka pani na terenie szkoły?

Doktor Green kiwnęła głową.

– Jest tu niewielki dom z mieszkaniami dla członków personelu – w każdym razie niektórych –

i tam mieszkam.

– Sama?

– Sama.

– Co może mi pani powiedzieć o Deborze Harrison?

Doktor Green wzruszyła ramionami.

– Prawdę mówiąc, znałam ją dość powierzchownie. Była bystra. Bardzo inteligentna. Bez wątpienia dostałaby się do Oksfordu albo Cambridge, gdyby żyła.

– Co było jej mocną stroną?

– W gruncie rzeczy wszystko, choć doskonałe wyniki osiągała w przedmiotach ścisłych, zwłaszcza w matematyce i fizyce. Języki nowożytne także nie sprawiały jej żadnych trudności. W tym roku rozpoczęła ostatnią klasę. Szkoła oferuje dwadzieścia trzy przedmioty maturalne. Debora wybrała cztery: matematykę, francuski, niemiecki i fizykę.

– A co może pani powiedzieć o jej osobowości?

Doktor Green odchyliła się, kładąc ręce na oparciach krzesła.

– Znowu muszę zastrzec, że to będą obserwacje dość powierzchowne.

– W porządku.

– Zawsze sprawiała wrażenie pełnej życia i wesołej. Wiedzą państwo, niektóre dziewczęta w tym wieku potrafią być bardzo przygnębione i zamknięte w sobie – przechodzą przez trudny okres w życiu – ale Debora była otwarta. Świetnie radziła sobie w sporcie: pływanie, tenis, biegi, lekka atletyka.

Dobrze jeździła konno.

– Rozumiem, że należała do klubu szachowego?

– Tak. Grała wyśmienicie. Wspaniały strateg.

– Mówi pani tak, jakby też grała.

Dyrektorka się uśmiechnęła.

– Umiarkowanie dobrze.

– Byłbym wdzięczny, gdyby dostarczyła mi pani listę pozostałych członkiń.

– Naturalnie. – Doktor Green poszukała w jednej z szafek i wręczyła Banksowi arkusz papieru z dziesięcioma nazwiskami. Poskrobała się po policzku i powiedziała: – Muszę przyznać, inspektorze, że pańskie pytania mnie zaskakują.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Cóż, oczywiście nic nie wiem o pracy policji, ale nie potrafię pojąć, dlaczego potrzebne są panu moje wrażenia dotyczące Debory, żeby złapać zbrodniarza, który ją zaatakował i zamordował.

– Jakiego rodzaju pytania pani zdaniem powinienem zadawać?

Zmarszczyła czoło.

– Sama nie wiem. O obcych w okolicy, takie sprawy.

– Czy ostatnio zauważyła pani podejrzanych nieznajomych kręcących się w pobliżu szkoły?

– Nie.

Banks wydmuchał nos.

– Przepraszam. Więc to mamy załatwione, prawda? A teraz przejdźmy do wad Debory.

– Wad?

– Owszem. Była złośliwa, nieposłuszna, nieuczciwa, samowolna?

– Nie bardziej niż inne dzieci w jej wieku. Właściwie mniej niż większość. – Przez chwilę się zastanawiała. – Nie, powiedziałabym, że jeśli Debora miała jakąś wadę, to była nią skłonność do pewnego popisywania się swoimi zdolnościami. Czasami umiała sprawić, że inne dziewczęta czuły się nieważne, niezgrabne, niezręczne. Miała tendencję do umniejszania zalet innych ludzi.

– Przechwalała się?

– Skądże. Nie o to mi chodzi. Nigdy nie przechwalała się zdolnościami, tylko po prostu w pełni je wykorzystywała. Nie należała do osób, które kryły się ze swoimi zaletami. Przez połowę czasu sprawiała wrażenie, jakby sobie nawet nie zdawała sprawy, że jest o wiele inteligentniejsza i ma o wiele większe szczęście niż inni. Na przykład podobało się jej, jak ludziom imponowało, że dodaje albo mnoży liczby w pamięci szybciej niż niektóre inne dziewczyny robią to na kalkulatorze.

– Dobry sposób na narobienie sobie wrogów. – Banks pamiętał uwagi przy ocenach z matematyki: „Stać cię na więcej. Musisz bardziej się przyłożyć. Uważaj przy obliczeniach!”.

– To jednak nie było poważne – ciągnęła doktor Green, wzruszając ramionami. – Po prostu kwestia dziewczęcej żywiołowości, młoda kobieta czerpiąca radość ze swoich talentów. – Oczywiście jej błysnęły. – Zapomniał pan, jak to jest być młodym, popularnym, utalentowanym?

– Nie wiem, czy kiedykolwiek byłem popularny albo utalentowany – odparł Banks, z ukosa zerkając na Susan, która uśmiechała się do notatnika. – Pamiętam natomiast, jak to jest być młodym. Myślałem, że będę żył wiecznie. – Po chwili niezręcznego milczenia Banks zapytał: – Czy Debora była popularna wśród dziewcząt?

– Co pan ma na myśli?

– Z tego, co pani mówi, odnoszę wrażenie, że to była rozpuszczona panienka, prawdziwy wrzód na tyłku. Zastanawiam się, jak układały się jej relacje z resztą klasy?

– No nie, inspektorze – wycedziła przez zaciśnięte zęby doktor Green. – To, o czym mówię, to

naprawdę były drobiazgi. Ogólnie Debora była przyjacielska, wesoła i skora do pomocy.

– Miała jakieś bliskie przyjaciółki?

– Tak. Megan Preece. Jej nazwisko jest na liście, którą panu dałam.

– Jak dowiedziałem się od Daniela Chartersa – ciągnął Banks – były problemy z Ivem Jelačiciem, zakrystianem.

– Owszem. – Julia Green potarła policzek. – Napastował dziewczyny. Mówił różne rzeczy,

wykonywał lubieżne gesty, tego rodzaju sprawy.

– Czy Debora także się na niego skarżyła?

– Wydaje mi się, że tak.

– Nadal chodziła do kościoła po tym, jak pan Jelačić wysunął oskarżenia przeciwko Danielowi

Chartersowi? Odniosłem wrażenie, że jej ojca bardziej zdenerwowały zarzuty wobec Chartersa niż to, co Jelačić robił.

Julia Green chwilę się namyślała.

– Tak rzeczywiście było – odparła wreszcie. – Nie rozumiem tego. Szkoła stoi murem za ojcem

Chartersem, ale sir Geoffrey zakazał córce śpiewania w chórze i uczestniczenia w nabożeństwach.

– Jak pani myśli, dlaczego tak postąpił?

– Nie wiem. Niektórzy ludzie po prostu... cóż, bardzo zabawnie reagują na jakąkolwiek aluzję

o homoseksualizmie wśród duchowieństwa.

– Debora stosowała się do poleceń ojca?

– O ile wiem, tak. W każdym razie ja jej więcej w kościele nie widziałam.

– Przechowywała swoje rzeczy w szkole?

– Wszystkie uczennice mają biurka.

– A zamykane szafki albo coś w tym rodzaju?

Dyrektorka pokręciła głową.

– Dienne uczennice nie. Zasadniczo przynoszą ze sobą potrzebne rzeczy.

– Moglibyśmy zerknąć na jej biurko?

– Oczywiście. Dzisiaj odwołaliśmy lekcje, więc klasa powinna być pusta.

Poprowadziła ich przez labirynt wysokich korytarzy do małej sali. Z drewnianymi elementami na wysoki połysk i ładnie rozstawionymi biurkami w niczym nie przypominała żadnej klasy, którą Banks widział.

– Tutaj – powiedziała doktor Green.

Banks uniósł blat na zawiasach. Nie oczekiwał wiele – szkolne biurka trudno uznać za prywatne

schowki – a mimo to poczuł rozczarowanie, tak mało tu było: dwa szkolne zeszyty ćwiczeń, czasopismo komputerowe, podręczniki, pióra i ołówki, a także podniszczone miękkie wydanie powieści Jeffreya Archera. Inteligencja Debory najwyraźniej nie obejmowała jej gustów literackich.

Po wewnętrznej stronie wieka Debora przykleiła fotografię niechlujnej gwiazdy pop, której Banks nie rozpoznawał.

Widząc to, doktor Green powiedziała z uśmiechem:

– Próbujemy walczyć z takimi rzeczami, ale co można zrobić?

Banks kiwnął głową. Obejrzał uważnie blat biurka, żeby się przekonać, czy Debora nie wryła czyichś inicjałów, jak sam robił w jej wieku. I znowu nic. Bez wątpienia z tym także walczone.

– Dziękuję – zwrócił się do doktor Green. – Czy teraz możemy zamienić parę słów z Megan Preece? Gdzie jest?

Kiwnęła głową. Wstąpiła do swojego gabinetu po płaszcz i parasol, po czym wyprowadziła ich z budynku.

– Dokąd idziemy? – zapytał Banks.

– Do szkolnej izby chorych. Tam jest Megan. Obawiam się, że przeżyła straszny szok, kiedy na porannym apelu przekazałam uczennicom wiadomość o śmierci Debory.

II

O wpół do dziesiątej rano cegła rozbiła okno na plebanii, budząc Rebeccę z niespokojnej drzemki, w którą zapadła po zażyciu trzech aspiryn i wypiciu szklanki wody.

Na początku leżała przerażona, obawiając się, że ktoś się włamał. Później wolno, tak by nie skrzypnęły sprężyny, usiadła i nasłuchiwała. Cisza.

Włożyła szlafrok i wyjrzała przez okno sypialni. Nic, tylko mżawka padająca na drzewa i groby oraz policjanci w pelerynach przeszukujący teren. Zeszła na palcach na parter. Dopiero kiedy zajrzała do wielkiego pokoju, zobaczyła, co się stało.

Odłamki szkła leżały na podłodze, niektóre aż przy sofie i stoliku. Nie ulegało wątpliwości, że cegłę rzucono ze ścieżki nad rzeką, zza małego ogródka; tej okolicy nie patrolowano, ponieważ nie było z niej wejścia na cmentarz.

Cegła odbiła się od stolika i wylądowała w odległym kącie obok kredensu. Była owinięta w papier, przymocowany gumową taśmą. Rebecca pochyliła się, podniosła cegłę i rozwinęła papier.

Kiedy wpuścisz diabła do swego serca, zniszczy każdą komórkę twojego ciała, i nie ulega wątpliwości, że właśnie tak się stało. Musisz wyznać swoje grzechy. To jedyna droga.

W przeciwnym razie musimy wziąć sprawy w swoje ręce.

Ktoś zapukał do tylnych drzwi. Schowawszy zgniecioną kartkę w kieszeni, Rebecca otuliła się szlafrokiem i poszła otworzyć.

– Wszystko w porządku, proszę pani? – zapytał jeden z funkcjonariuszy przeszukujących cmentarz.

– Wydawało mi się, że słyszę brzęk tłuczonego szkła.

– Słyszał pan – odparła Rebecca. – Ale to nic poważnego. Mały wypadek.

– Na pewno?

– Tak. – Rebecca zaczęła zamykać drzwi. – Dziękuję, wszystko w porządku.

Zatrzasnęła drzwi i oparła się o nie. Po kilku sekundach usłyszała oddalające się kroki na ścieżce.

Wyjęła miotłę i szufelkę, po czym zajęła się sprzątaniami szkła, zastanawiając się, czym mogłaby zasłonić wybitą szybę, zanim poważnie się przeiębi i umrze. Może tak byłoby najlepiej dla wszystkich, pomyślała. I bardzo stosownie. Przecież Emily Brontë umarła, przeiębiwszy się na pogrzebie brata. Ale nie. Nie zamierzała dawać tym żalosnym, podłym draniom takiej satysfakcji.

Kiedy usiłowała przykleić kawałek kartonu do framugi, zadzwonił telefon.

– Możemy rozmawiać? – zapytał znajomy głos.

– Patrick. Tak, tak.

– Dostaliśmy wolny dzień, uczennice i personel. Straszna sprawa z tą dziewczyną. Dla ciebie to musiało być szczególnie okropne. Jak sobie radzisz?

– Och, chyba nie najgorzej.

– Czy Daniel...?

– Nie ma go. Zebranie w Yorku. Powiedział, że nie może się wykręcić.

– Spotkamy się? Przyjechałbym do ciebie.

– Nie wiem – odparła Rebecca, czując, jak rumieni się z pożądania niczym niemądra nastolatka. –

Nie, nie sędzę, że powinniśmy. Nie w sytuacji, jaka tu teraz jest.

– Ale ja cię pragnę.

Rebecca przykryła dłonią słuchawkę i wzięła głęboki oddech.

– A ty mnie nie pragniesz? – ciągnął Patrick.

– Oczywiście, że tak, Patricku. Wiesz o tym. Chodzi tylko o to... że wszędzie roi się od policji.

– Moglibyśmy się wybrać na przejażdżkę.

Rebecca się rozejrzała. Nie była w stanie zostać tutaj, z tym bałaganem, z listem z pogrózkami, chybaby oszalała. No i jeszcze dochodziła ta policja. Z drugiej strony na samą myśl o Patricku przechodził ją dreszcz. Boże, jak siebie nienawidziła, nienawidziła swojego ciała, które z taką

łatwością zdradzało moralność i dobre intencje, nienawidziła ułomnego sumienia, które odnajdowało sposoby na racjonalizowanie takiego postępowania.

– Dobrze – powiedziała – ale nie możesz się tu pokazywać. Chodzi o policję. Nie powinni wiedzieć nas razem.

– Zabiorę cię z...

– Nie. Spotkamy się w hotelu. – Rebecca spojrzała na zegarek. – O dziesiątej piętnaście mam autobus.

– W porządku. Będę czekał.

III

– To jest internat – powiedziała doktor Green, gdy szli przez teren szkoły. Dwa wielkie budynki były o wiele nowsze niż szkoła, w większości z czerwonej cegły, z kamiennymi fundamentami, raczej funkcjonalne niż ładne. – Jak mówiłam wcześniej, dwieście osiemdziesiąt sześć dziewcząt mieszka w internacie. Mają tu prysznice, centralne ogrzewanie, wszystkie wygody wymagane przez współczesne dzieci. Zauważycie też, że zainstalowaliśmy latarnie wzdłuż głównych alejek. Pałają się do dziesiątej wieczorem, bo o tej porze wszystkie dziewczęta powinny leżeć w łóżku. To nie jest Lowood ani Dotheboys, sami widzicie. Rodzice wydają sporo pieniędzy, żeby posłać do nas córki.

– Telewizja?

Uśmiechnęła się.

– Owszem, telewizja też jest.

– A tamten budynek? – Banks wskazał na trzypiętrowy budynek za drzewami, który wyglądał, jakby go zbudowano z prefabrykatów barwy owsianki.

– Obawiam się, że to dom dla personelu – wyjaśniła doktor Green. – Brzydki, prawda? W gruncie rzeczy w środku jest całkiem ładny. Mieszkania są przestronne: salon, sypialnia, piece akumulacyjne. Luksus.

– Kto tutaj mieszka poza panią?

– W tej chwili zajętych jest sześć mieszkań. Ale to się zmienia. Nasze grono składa się z trzydziestu osób, jest bardzo liczne, i niektórzy nauczyciele mieszkają w miasteczku albo w okolicy. Te lokale w zasadzie przeznaczone są dla samotnych członków personelu, którzy niedawno się tutaj przeprowadzili, albo, jak w moim przypadku, pragną zachować bliski kontakt ze szkołą. – Przekrzywiła parasol i spod jego brzegu rzuciła Banksowi wyzywające spojrzenie. – Dość impertynencko pan mnie zapytał, czy mieszkam sama. Szkoła to moje życie, inspektorze. Nie mam ani

ochoty, ani czasu na inne rzeczy.

Banks kiwnął głową. Kichnął. Susan życzyła mu zdrowia.

– Jesteśmy na miejscu. – Doktor Green weszła na ganek internatu. Starannie strzepnęła parasol, po czym go złożyła. – Izba chorych jest na parterze. Pielęgniarka pracuje u nas na stałe, miejscowy lekarz przyjeżdża na wezwanie.

Poszli korytarzem do izby chorych. Unosił się w niej zapach środków dezynfekujących. Po krótkiej rozmowie z pielęgniarką doktor Green skierowała Banksa i Susan ku rzędowi zasłoniętych boksów. W jednym na wąskim łóżku leżała Megan Preece.

– Pielęgniarka mówi, że Megan dobrze się czuje – szepnęła doktor Green. – Ale przeżyła straszny szok i dostała łagodny środek uspokajający, proszę więc, żeby pan potraktował ją łagodnie.

Banks potaknął. W boksie nie było miejsca dla nich wszystkich, ale doktor Green nie zamierzała się wycofać.

– Wszystko w porządku – powiedział, prowadząc Susan do łóżka Megan. – Sami trafimy do wyjścia, kiedy skończymy.

Doktor Green chwilę się namyślała, potem odwróciła się na pięcie i odeszła, stukając obcasami.

Zanim Banks znalazł dla siebie krzesło, Susan już rozmawiała z Megan; zapewniała dziewczynę, że wszystko będzie dobrze. Ze swojego miejsca Banks widział głowę wystającą spod szarego koca. Oceniał, że Megan to drobna, szczupła dziewczyna mniej więcej w wieku Debory Harrison, z ciemnymi kręconymi włosami i śniadą cerą.

Rysom Megan brakowało jednak spójności czy symetrii, bez których nie można było jej uznać za konwencjonalnie ładną – w przeciwieństwie do jej przyjaciółki Debory, pięknej w ten pełen wdzięku, jasnowłosa, sportowy sposób. Megan miała nos nieco za duży, lekko skrzywiony, usta zbyt cienkie, wargi za małe w porównaniu z zębami. Ale jej wielkie i poważne brązowe oczy były niezwykle; zdawało się, że rzucają na człowieka urok i przyciągają.

Banks się przedstawił; zauważył przy tym, że Megan sprawia wrażenie swobodnej w towarzystwie mężczyzny. Powiedział, że chce jej zadać kilka pytań na temat Debory. Megan kiwnęła głową. Na wzmiankę o przyjaciółce oczy się jej zaszklily.

– Byłyście ze sobą blisko? – zaczął Banks.

– Tak. Obie jesteśmy dziennymi uczennicami i znamy się od lat. Mieszkamy w tej samej dzielnicy.

– Myślałem, że jesteś z internatu. Dlaczego nie poszłaś do domu?

– Na apelu zakreśliło mi się w głowie, potem... bardzo się zdenerwowałam. Pielęgniarka powiedziała, że powinnam tu odpocząć, a w porze lunchu mogę iść do domu. Tam zresztą nikogo nie

ma. Mama jest w Ameryce, a tata w pracy.

– Rozumiem. Opowiedz mi teraz, co wydarzyło się wczoraj po zajęciach w klubie szachowym.

Nie śpiesz się, mamy czas.

Megan przygryzła dolną wargę.

– No, kiedy schowałyśmy szachy w szafie i upewniłyśmy się, że w sali jest porządek, wyszłyśmy ze szkoły...

– Z głównego budynku?

– Tak. Członkowie klubu szachowego spotykają się w jednej z klas na piętrze.

– Która to była godzina?

– Tuż przed szóstą.

– Ile osób brało udział w spotkaniu?

– Tylko osiem. Lesley i Carol przygotowują sztukę z wydziałem teatralnym, więc były na próbie.

Pozostałe mieszkają w internacie.

– Rozumiem. Widziałyście kogoś?

– Kilka osób, jak zwykle przychodziły i wychodziły. Szkoła jest zawsze dobrze oświetlona i zawsze są w niej jacyś ludzie.

– Dobrze. Mów dalej.

– Podjazdem doszłyśmy do Kendal Road. Jest tylko jedna główna brama, bo szkołę otaczają lasy, a od zachodu płynie rzeka. Była taka mgła, że ledwo widziałyśmy drzewa. Muszę przyznać, że zaczęłam się bać, ale Debs dobrze się bawiła.

– To znaczy?

– Och, lubiła takie rzeczy. Niesamowite, budzące strach. Na cmentarzach dla zabawy lubiła opowiadać o duchach.

– Wiesz, czy kiedykolwiek wchodziła do środka mauzoleum Inchcliffe'ów?

– Jeśli nawet, to mnie o tym nie mówiła.

– W porządku. Mów dalej.

– Przeszłyśmy przez drogę. Mieszkam na St. Mary's Hill, za sklepami, więc na moście zawsze się z Debs żegnałyśmy. – Megan zakryła oczy ręką.

– Spokojnie – powiedziała Susan. – Nie musisz się śpieszyć.

Banks dostrzegł, że Megan drugą ręką ściska jej dłoń.

Megan wzięła głęboki wdech.

– To wszystko – powiedziała. – Pożegnałyśmy się. Debs biegła tyłem, popisująca się, potem

znikła we mgle. – Zmarszczyła czoło.

– Było coś jeszcze? – zapytał Banks. – Zauważyłaś kogoś?

– Jak mówiłam, w tej mgle ledwo było widać na metr, ale za Debs dostrzegłam postać. Pamiętam, jak myślałam, że jest w tym coś dziwnego, ale przypisałam to tym opowieściom o duchach przybierających kształt z mgły, którymi straszyla mnie Debs.

– Czyli pomyślałaś, że ci się wydaje?

– Tak. Że mi się przywidziało. Ale wiem, że tak nie było, jeśli to ma jakiś sens.

– Świetnie ci idzie, Megan. Co zobaczyłaś?

– Mężczyznę. Wysokiego.

– Co robił?

– Nic. Stał na moście i patrzył w kierunku miasta. – Urwała i oczy jej błysnęły. – Właśnie. Dlatego to było dziwne. Patrzył z mostu w kierunku miasta, ale przecież z powodu mgły nic nie mógł widzieć.

Więc dlaczego tam stał?

– Wtedy tak pomyślałaś?

– Nie. Dopiero teraz przyszło mi to do głowy.

– Zauważyłaś, jak wyglądał?

– Właściwie nie. No bo we mgle on był jak sylwetka, mroczna postać. Nie widziałam jego rysów, zresztą stał profilem do mnie. Ale miał dość duży nos.

– A potrafisz powiedzieć, w co był ubrany?

– Chyba anorak. W jaskrawym kolorze. Pomarańczowy albo czerwony.

– Widziałaś, jak podszedł do Debory?

– Nie. Po prostu był za nią. Nie wydaje mi się, żeby ona go widziała, bo nadal biegła tyłem i machała mi na pożegnanie. Pamiętam, jak myślałam, że jeśli nie będzie uważała, wpadnie na niego i się przestraszy, ale nie zastanawiałam się nad tym długo. Bo to nie była jedyna osoba, którą widziałyśmy.

– Kogo jeszcze widziałyście?

– Zwykłych ludzi przechodzących przez ulicę i tak dalej. Życie przecież się toczy, prawda? Ludzie nie porzucają wszystkich zajęć tylko dlatego, że jest mgła.

– To prawda – odparł Banks. – Przypominasz sobie coś jeszcze?

Megan zacisnęła powieki.

– Myślę, że miał ciemne włosy. Potem się odwróciłam i poszłam do domu. Nie myślałam o tym. Aż... aż do rana, kiedy usłyszałam... powinnam była wiedzieć, że coś się stanie, prawda?

– Skąd miałybyś to wiedzieć?

– Po prostu powinnam była wiedzieć. Biedna Debs. To mogłam być ja. To powinnam być ja.

– Nie bądź niemądra, Megan.

– Ale to prawda! Debs była taka dobra, taka cudowna, śliczna i utalentowana. A popatrzcie tylko na mnie. Jestem nikim. Nie jestem ładna. Ona powinna żyć. To ja powinnam umrzeć. To takie niesprawiedliwe. Dlaczego Bóg zawsze zabiera najlepszych?

– Na to pytanie nie znam odpowiedzi – odrzekł Banks łagodnie. – Wiem natomiast, że każde życie jest ważne, każde życie ma wartość i nikt nie ma prawa decydować, kto będzie żył, a kto umrze.

– Tylko Bóg.

– Tylko Bóg – powtórzył Banks. W ciszy, która zapadła, wydmuchał nos.

Megan wyjęła chusteczkę z pudełka na nocnym stoliku i wytarła oczy.

– Pewnie okropnie wyglądam – powiedziała.

Banks się uśmiechnął.

– Tak jak ja z samego rana. Wiesz, kiedy znaleźliśmy Deborę, miała w torebce około sześciu funtów. Czy nosiła dużo gotówki i przechwalała się tym?

– Pieniędźmi? Nie. Żadna z nas nie nosiła więcej niż kilka funtów.

– Wiesz, czy miała w tornistrze coś wartościowego?

Megan się zamyśliła.

– Nie, zwykłe rzeczy. Zeszyty ćwiczeń, podręczniki i tak dalej.

– Powiedziała, że chce się z kimś spotkać po zajęciach w klubie szachowym albo pójść dokądś przed powrotem do domu?

– Nie. O ile wiem, szła prosto do domu.

– Mogłabyś coś jeszcze nam o niej powiedzieć?

– Ale co?

– Byłaś jej najlepszą przyjaciółką, prawda?

– Tak.

– Kłóciłyście się?

– Czasami.

– O co?

– O nic poważnego. Na przykład Debs wyśmiewała się ze mnie z powodu chłopaka, który jej zdaniem mi się podobał, albo z tego, że nie jestem dobra z artymetyki, a ja się wściekałam. Ale to nie trwało długo.

– I to wszystko?

– Tak. Debs potrafi być złośliwa. Wie, gdzie najbardziej zboli, i tam wbija szpilkę. Głęboko. –

Megan zakryła usta dłonią. – Och, nie chciałam, żeby tak źle to zabrzmiało, naprawdę. Chodziło mi tylko o to, że wyczuwała cudzą słabość i wtedy się z człowieka nabijała. Ale to nigdy nie były poważne sprawy.

– Orientujesz się, czy ostatnimi czasy coś ją niepokoiło?

– Nie wydaje mi się. Była trochę przygnębiona, to wszystko.

– Od kiedy?

– Od początku semestru.

– Mówiła, z jakiego powodu?

– Nie. Mamy sporo na głowie. Sporo pracy. A ona wcześniej też taka była.

– Nie wspominała o żadnych problemach, o niczym, co mogło ją martwić?

– Nie.

– Miała wrogów? Czy ktoś chciałby ją skrzywdzić?

– Nie. Wszyscy kochali Debs. To musiał być obcy.

– Mówiła kiedykolwiek o panu Jelačiću, zakrystianie z Marii Panny?

– Tym wyrzuconym?

– Właśnie.

– Mówiła, że jest obrzydliwy, zawsze wyciąga język i oblizuje wargi, kiedy ona go mija.

– Ciebie też napastował?

– Ja nie chodzę przez kościelny dziedziniec. Mieszkam po tej stronie rzeki, za Kendal Road. Debs skracała sobie drogę.

– Jesteś pewna, że Debora nie miała żadnych problemów, żadnych zmartwień? Może w domu?

– Nie. Na nic konkretnego się nie skarżyła, tylko na to, co zwykle. Za dużo zadań domowych, tego rodzaju rzeczy.

Banks uświadomił sobie, że Debora Harrison przypuszczalnie miała mniej praktycznych powodów do narzekań niż jego córka Tracy, która – w każdym razie w pewnym okresie – nieustannie jęczała, że musi mieć modną kurtkę albo džinsy, bo wszyscy takie noszą, a martensy jej są po prostu niezbędne.

Banks w młodości sam taki był i udzielał Tracy tej samej odpowiedzi, którą usłyszał od rodziców, kiedy kupili mu do szkoły ciężkie robocze buty zamiast butów z ostrymi noskami na cienkiej podeszwie. „Nie stać nas. Musisz się zadowolić tymi. Wystarczą na dłużej”.

Ale Deborze Harrison niczego nie brakowało, w każdym razie niczego, co można kupić za pieniądze.

– A co z chłopakami? – zapytał Banks.

Megan się zarumieniła.

– Nie mamy czasu, w klasie przedmaturalnej musimy się dużo uczyć. A Debs zawsze angażowała się w szkolne imprezy: wyścigi konne, zawody sportowe, quizy i tak dalej.

– Więc nie miała chłopaka?

– Nie mówię, że nigdy nie miała.

– A ostatni kiedy był?

– Latem.

– Jak się nazywał?

– Powiedziała mi tylko, że miał na imię John. Nie chodzili zbyt długo. Mówiła, że był przystojny, ale dość tępy, więc go rzuciła.

– Powiedziała ci coś jeszcze na jego temat?

Megan znowu się zaczerwieniła.

– Nie.

– Na pewno?

– Na pewno. To wszystko, co wiem. Miał na imię John i był tępy.

– Gdzie go poznała?

– Nie mam pojęcia. Nie mówiła. Przez całe lato byłam z rodzicami w Ameryce, więc spotkałyśmy się dopiero w szkole, a wtedy już z nim zerwała.

– Był jej pierwszym chłopakiem?

– Nie wydaje mi się, ale to nigdy nie było nic poważnego.

– Skąd wiesz?

– Powiedziałyby mi.

– Mówiła ci o wszystkim?

Megan zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Nie, nie sędzę – odrzekła wreszcie. – Debs potrafiła być tajemnicza. Ale powiedziałyby mi, gdyby miała chłopaka. Albo po prostu bym się domyśliła.

– Czy ostatnio była w jakiejś sprawie tajemnicza?

Megan zmarszczyła czoło.

– Tak. Zaczynałam mieć tego dość.

– Opowiedziała ci o tym?

– Nie. To nie byłaby tajemnica, prawda?

– A powiedziała, o kogo albo o co chodzi?

Megan pokręciła głową.

– Nie.

– W ogóle coś o tym mówiła?

– Tylko że pora, żeby komuś powiedziała, a potem poczekała i zobaczyła, co się stanie, gdy... Co się stanie.

– Kiedy to było?

– Wczoraj. Kiedy się rozstawałyśmy na moście.

– A ona biegła tyłem?

– Tak... to jej ostatnie słowa. – Oczy Megan wypełniły się łzami. – Jestem zmęczona.

– Dobrze – powiedział Banks. – Przykro mi, Megan. Doskonale sobie radzisz. Postaram się nie przedłużać tej rozmowy, ale musisz sobie uświadomić, jakie to ważne. Jeśli ta tajemnica dotyczyła kogoś, kto nie chciał, żeby wyszła na jaw... I jeśli ten ktoś wiedział, co Debora wie... Rozumiesz, o co mi chodzi?

Megan potaknęła.

– Od jak dawna mówiła o tym sekrecie?

– Od początku semestru.

– Całkiem długo.

– Tak. Nie wspominała o tym przez tydzień albo dwa, potem znowu do tego wracała.

– Powiedziałyby o tym komuś jeszcze?

– Nie. Ja jestem jej najlepszą przyjaciółką.

– Jeszcze o czymś możesz nam powiedzieć, Megan? O czymkolwiek?

– Nie wydaje mi się.

Banks i Susan wstali.

– Odpoczywaj – powiedział Banks. – I wierz mi, zrobimy, co w naszej mocy, żeby znaleźć sprawcę.

Pożegnali się z pielęgniarką, włożyli płaszcze i wyszli na mżawkę.

– Co myślisz? – zapytał Banks, gdy wracali do samochodu.

– O Megan? Moim zdaniem powiedziała nam właściwie wszystko, co wie.

– Zauważyłaś, jak się rumieniła i odwracała wzrok, kiedy dopytywałem o chłopaka? Według mnie

nie powiedziała wszystkiego o tym związku.

– Cóż, opierając się na swoim doświadczeniu, powiedziałabym, że Debora przypuszczalnie stwierdziła, że chłopak był użyteczny, ale głupi.

– Myślisz, że Debora spała z tym Johnem?

– Niewykluczone, ale nie to jest istotne. Chodzi o to, że tak mówiła albo sugerowała, że to zrobiła.

To typowe dla dzieciaków. Co nie znaczy, że do czegośkolwiek doszło.

– A Megan to krępowało?

– Tak. Uważam, że Megan jest nieśmiała w towarzystwie chłopców.

– Zgodziłabyś się, że w tej relacji ona była tą brzydką?

– Nie ujęłabym tego w taki sposób.

Banks się uśmiechnął.

– Przepraszam. Pewnie ma to jakiś związek z przebywaniem na terenie szkoły. Wracają wspomnienia. Ale kiedy się jest nastolatkiem i spotyka się dwie dziewczyny, jedna z nich musi być brzydka.

– A kiedy się spotyka dwóch chłopców, jeden na sto procent jest głupkiem, a drugi lubi macanki. Jeśli masz szczęście, trafiasz na kombinację tych dwóch.

Banks się roześmiał.

– Przepraszam, sir – ciągnęła Susan – ale pana nie rozumiem. Przecież chyba pan nie sugeruje, że Megan Preece miała coś wspólnego z zamordowaniem Debory?

– Nie, jasne, że nie. Myślę na głos, to wszystko.

Wsiadli do nieoznakowanego wozu policyjnego. Kiedy silnik zapalił, z radia popłynęła *Suita na skrzypce i orkiestrę* Vaughana Williamsa: piękna, melancholijna „Ballada”. Idealnie pasuje do opadających liści i listopadowej mżawki, pomyślał Banks.

– Próbuję zrozumieć ich związek, żeby wiedzieć, jak Debora odnosiła się do ludzi – powiedział. – Widzę to tak: Megan była mniej atrakcyjna od przyjaciółki. To przypuszczalnie sprawiało, że zarówno uwielbiała ją, jak i czuła do niej urazę. Wiedziała, że Debora swoim wyglądem i talentami ją przyćmiewała, że należała do innej ligi, i przez większość czasu przypuszczalnie zadowalało ją, że może się pławić w glorii tej jedynej, najlepszej przyjaciółki bogini. Zgadzasz się?

– Tak, sir. Megan była taką przyjaciółką, przy której Debora prezentowała się lepiej.

– Właśnie. Ale z jej słów wynika, że Debora potrafiła mocno dopiec, bywała okrutna. Jeśli udawało się jej zirytować najlepszą przyjaciółkę, to mogła też rozgniewać o wiele bardziej niebezpiecznego wroga, nie sądzisz?

– To możliwe, choć wybaczy pan, moim zdaniem cokolwiek naciągane. Nadal uważam, że szukamy nieznanego. A z tego, co już wiemy, tym nieznanym na moście mógł być Ive Jelačić.

– Prawda – odparł Banks. – To również mógł być wytwór wyobraźni Megan, przynajmniej w części. Panem Jelačićem zajmiemy się później. Nigdzie się nie wybiera. Ken Blackstone kazał go śledzić. Co myślisz o tajemnicy?

– Niewiele. Mnóstwo nastolatków tak się zachowuje. Jak powiedziała Megan, to pewnie nic nie znaczyło.

– Może nie dla niej, ale dla kogoś innego tak. Popatrz, czy to nie jest... – Wyciągnął rękę.

Kiedy skręcali w lewo na North Market Bridge, Banks zauważył kobietę w długim granatowym płaszczu przeciwdeszczowym stojącą na przystanku autobusowym.

– Czy to to nie jest? – zapytała Susan.

– Och, zapomniałem. Nie poznałaś jej. To Rebecca Charters, żona proboszcza. Jestem pewien, że to ona. Dokąd się wybiera?

– Coraz ciekawszy i ciekawszy – skomentowała Susan.

Rozdział 4

I

– No tak – powiedział sierżant Hatchley, patrząc na zegarek. – Nie uważa pan, że moglibyśmy coś przekąsić?

Barry Stott westchnął.

– No dobra. Chodźmy.

Dla inspektora to była pierwsza poważna sprawa po awansie i przeniesieniu, zamierzał więc poprowadzić ją jak najlepiej. Jediną kroplą dziegciu w beczce miodu był ten leniwy, tępy gaduła z Yorkshire – sierżant Hatchley.

Stott wolałby pracować z posterunkową Susan Gay. Nie dlatego, że była ładniejsza od Hatchleya – nie pociągała go – ale dlatego, że była bystrzejsza, bardziej energiczna i sprawiała o wiele mniej kłopotu.

Jak teraz. Gdyby to od niego zależało, Stott dałby sobie spokój z lunchem albo kupił coś na wynos w jednej z knajpek przy North Market Street. Przedpołudnie okazało się czasem zmarnowanym; nie znalazł żadnych tropów w kartotekach przestępców seksualnych, a od urzędu imigracyjnego dowiedział się tylko, że Jelačić to inżynier ze Splitu, który przyjechał do Anglii dwa lata temu. Od tamtego czasu podejmował różne prace, ale nigdzie długo nie zagrażał miejsca. Małe szanse, że łatwo będzie zdobyć informacje o jego kryminalnej przeszłości, o ile takie istnieją, myślał Stott, chyba że pojedzie się do Chorwacji.

Przynajmniej tutaj, blisko miejsca zbrodni, odnosił wrażenie, że odniesienie sukcesu jest całkiem prawdopodobne. Przecież bez względu na mgłę ktoś musiał zauważyć obcego w okolicy. Albo samochód zaparkowany gdzieś, gdzie go nie powinno być. W końcu Maria Panna to elegancka dzielnica, ludzie, których stać na mieszkanie tutaj, są bardzo wyczuleni na obcych. A Stott był przekonany, że Deborę Harris zamordował obcy.

Stali w deszczu przed Nag's Head na północno-zachodnim rogu Kendal Road i North Market Road, po przekątnej od kościoła Marii Panny, i Stott był gotowy zrobić wszystko, byle tylko Hatchley się zamknął.

To nie był pub, którego można by się spodziewać w bogatej dzielnicy, myślał: żadnych puszystych dywanów, wypolerowanego mosiądzu i błyszczącego drewna, dzbanka z grzany winem stojącego na podgrzewaczu. W rzeczywistości było tu dość obskurnie. Stott przypuszczał, że to lokal dla

podróżujących, skoro usytuowany jest na ważnym skrzyżowaniu. W takiej albo innej postaci Kendal Road prowadziła od Krainy Jezior do wschodniego wybrzeża, a Market Street była ważną trasą z północy na południe. Miejscowi mieli swoje gustowne puby ukryte między domami albo jeździli do swoich wiejskich klubów.

Przy barze było z sześć osób. Stott z niesmakiem stwierdził, że w powietrzu unosi się odór piwa i dymu papierosowego. To z pewnością nie był jego ulubiony rodzaj pubu, jeśli w ogóle taki istniał. O wiele bardziej wolał kościoły. Jego zdaniem puby były wylęgarnią kłopotów.

Tam zaczynały się bójki – a na potwierdzenie tego Stott miał kilka blizn z czasów, gdy patrolował ulice – tam zawierano szemrane transakcje, tam trefne towary przechodziły z rąk do rąk, otwarcie sprzedawano narkotyki, prostytutki uprawiały swoją brudną profesję, roznosząc choroby i nieszczęścia. Zamknijmy wszystkie puby, a zmusimy przestępców do wyjścia na otwartą przestrzeń, prosto w ramiona policji. Tak przynajmniej myślał sobie inspektor Barry Stott, kiedy w czasie lunchu marszczył nos w Nag's Head.

Z kolei sierżant Hatchley czuł się tu jak w domu. Zatarł grube jak szynki dłonie i powiedział:

– Ach, o to chodziło. Lepiej niż jedzenie na zimnie, zgadza się pan, sir?

– Pośpieszmy się.

– Tak jest! Alf, tutaj, stary. No, rusz się, człowiek może umrzeć z pragnienia.

Stott zdziwiłby się, gdyby w całym Eastvale – nie, w całym Swainsdale – znalazł się właściciel pubu, którego Hatchley nie zna z imienia.

Kiedy Alf w końcu się pojawił, Stott musiał poczekać, aż wymieni z Hatchleyem grzeczności, dopiero potem zamówił kanapkę z szynką i serem oraz herbatę. Alf uniósł brwi, ale nic nie powiedział.

– A ja wezmę ten cholernie dobry wielki pudding Yorkshire pełny pieczonej wołowiny, groszku i sosu – odezwał się Hatchley. – I oczywiście piwo.

To najwyraźniej Alfowi sprawiło większą przyjemność.

Z kuflem w dłoni Hatchley pomaszerował do stolika pod oknem. Przez pokryte smugami szyby widzieli pociemniałe od deszczu drzewa w parku i ściany kościoła Marii Panny po drugiej stronie skrzyżowania, a także kwadratową wieżę górującą nad koronami drzew.

Deszcz nie przeszkodził żadnym krwi gapiom. Tu i tam wzdłuż dwumetrowego kamiennego muru ludzie podskakiwali i podciągali się na rękach, by choć na sekundę zajrzeć na cmentarz.

Na początku Kendal Road stała mniej więcej dziesięcioosobowa grupa. Dziennikarze. Jedna z nich, kobieta, mówiła do mikrofonu, patrząc w kamerę owiniętą w czarny plastikowy worek dla

ochrony przed wilgocią. Jakiś mężczyzna trzymał nad jej głową jaskrawy reflektor. Telewizja Yorkshire, pomyślał Stott. Albo BBC North. No i reporterzy prasowi. Już niedługo będą robić rekonstrukcję dla „Crimewatch”. Banks miał rację, sępy się zleciały.

– Nie mieliśmy okazji się poznać, odkąd pana do nas przeniesiono – powiedział Hatchley, zapalając papierosa. – A ja zawsze uważam, że dobrze jest wiedzieć o sobie co nieco, skoro się razem pracuje, zgadza się pan?

– Pewnie tak – odparł Stott, w duchu się krzywiąc i próbując zająć taką pozycję, żeby ominęła go chmura dymu. Nie udało się. Pomyślał, że to musi być jedno z tych praw, jak prawa Soda i Murphy’ego: gdziekolwiek niepalący usiądzie, dym zawsze będzie leciał na niego, niezależnie od prądów powietrznych w pomieszczeniu.

– Skąd pan pochodzi, sir? – zapytał Hatchley.

– Ze Spalding w Lincolnshire.

– Nigdy bym się nie domyślił. W każdym razie nie z pańskiego akcentu.

– Wyprowadziliśmy się, kiedy byłem mały.

– Dokąd?

– Jeździliśmy z miejsca na miejsce. Cypr. Niemcy. Ojciec był wojskowym. – Stott pamiętał, jaki był nieszczęśliwy przy każdej przeprowadzce. Wydawało się, że ledwo zdążył się z kimś zaprzyjaźnić, musiał go porzucać i zaczynać od nowa. Jego dzieciństwo składało się z niemającej końca procesji grup, przed którymi musiał na nowo udowadniać swoją wartość. Okrutnych nieznanym z własnymi regułami inicjacji, tylko czekających, żeby go upokorzyć. Pamiętał bicie, wyzwiska, samotność.

– Szeregowiec, co?

– Ściśle rzecz biorąc, major.

– Ha, całkiem wysoki stopień. – Hatchley napił się piwa. – Gdzie teraz mieszka?

– W Worthing. Kilka lat temu przeszedł na emeryturę.

– Mam nadzieję, sir, że to nie było zwolnienie dyscyplinarne.

– Nie.

– Niech pan posłucha – powiedział Hatchley. – Zastanawiam się nad tym egzaminem na inspektora. Tak sobie myślę, żeby spróbować. Jest łatwy?

Stott pokręcił głową. Wszystkie egzaminy na wyższe stopnie były trudne i składały się z kilku etapów, począwszy od prawniczego testu wielokrotnego wyboru i odgrywania ról do finalnego egzaminu ustnego przed szefami policji. Jak Hatchleyowi udało się zdać egzamin na sierżanta, było

dla Stotta tajemnicą.

– Powodzenia – mruknął, kiedy młoda kobieta o nalanej, bladej twarzy przyniosła jedzenie i dzbanek z herbatą, który w rzeczywistości był tylko dzbankiem letniej wody z zanurzoną w niej torebką herbaty ekspresowej. Na szynce też oszczędzali. – Zdaje mniej więcej jeden na czterech – dodał.

Ile lat ma Hatchley? – zastanawiał się. Nie może mieć więcej niż trzydzieści kilka. I popatrzcie na niego: gruby, ze złą kondycją, włosami jak słoma, świńskimi oczkami, piegami na mięsistym nosie i poplamionymi od nikotyny zębami. Najwyraźniej miał tylko jeden garnitur, wyświecony i pognieciony, a krawat zdobiła plama po jajku. Stott nie potrafił sobie wyobrazić, jak Hatchley w takim stroju staje przed komendantem na oficjalnej uroczystości.

Stott był dumny ze swojego wyglądu. Miał pięć garniturów, dwa szare, dwa granatowe i jeden brązowy w jodełkę, które wkładał na zmianę. Jeśli dzisiaj jest czwartek, to garnitur musi być w jodełkę. Nosił też dawny wojskowy krawat ojca w paski i świeżo upraną białą koszulę z wykrochmalonym kołnierzykiem.

Zawsze starannie się golił i pilnował, żeby włosy miały równy przedziałek po lewej i były zaczesane do tyłu po każdej stronie, a jeśli zachodziła taka konieczność, traktował je kremem albo lakierem. Zdawał sobie sprawę, że odstające uszy wciąż nadają mu dziwny wygląd, zwłaszcza że nosił okulary, i ludzie za plecami się z niego śmieją. Słyszał, że w dzisiejszych czasach można zoperować odstające uszy. Jeśli nie jest za późno, to może niedługo się na to zdecyduje. Bo przecież dziwny wygląd może być przeszkodą w karierze. A Barry Stott czuł, że jego przeznaczeniem jest funkcja komendanta.

Hatchley z zapalonym zapałem zajął się puddingiem, dodając płamę sosu do jajka na krawacie. Kiedy skończył, znowu zapalił, zaciągając się głęboko i wydmuchując dym z westchnieniem takiej głębokiej satysfakcji, z jaką Stott nigdy się nie spotkał z powodu równie zwykłej czynności, i to nieprzyjemnej. Sierżant Hatchley to prawdziwy prymityw.

– Musimy się zbierać, sierżancie – powiedział, odsuwając talerz i wstając.

– A mogę najpierw skończyć jarać, sir? Najlepsza część posiłku to papieros po nim, jeśli mnie pan rozumie. – Hatchley mrugnął porozumiewawczo.

Stott poczuł, że się rumieni.

– Może pan palić na dworze – odparł dość szorstko.

Sierżant wrzucił ramionami, dopił piwo i poszedł za Stottem do drzwi.

– Cześć, Alf – powiedział. – Mam nadzieję, że nasi chłopcy nie złapali cię wczoraj wieczorem na

podawaniu drinków po godzinach.

– Jacy chłopcy? – zapytał Alf.

Hatchley zawrócił w stronę baru.

– Policja. Nikt wczoraj nie przyszedł, żeby ci zadać kilka pytań? No wiesz, czy widziałeś obcych i tak dalej?

Alf pokręcił głową.

– Nie. Nikogo nie było. Zamknąłem o dziesiątej. Pogoda była podła.

Zanim Stott doszedł do baru, przed Hatchleyem jakimś cudem stało następne piwo, a papieros urósł do pierwotnej długości.

Stott przełknął gniew.

– A wcześniej miałeś otwarte? – zapytał Hatchley.

Alf prychnął.

– Owszem, choć nie było warto.

– Jacyś obcy?

– U nas ciągle jest pełno obcych. No wiesz, ludzie w podróży służbowych i tak dalej. Turyci.

Włóczędzy.

– Wiem – potwierdził Hatchley. – Ale jak było wczoraj późnym popołudniem, wczesnym wieczorem?

– Nikogo. Przy tej pogodzie nikt nie siada za kółkiem.

– I nie było zupełnie nikogo?

Alf poskrobał się po zarośniętym policzku.

– Jeden gość. Zamówił tylko dwa piwa i whisky, a później poszedł. To wszystko.

– Stały bywalec?

– Nie. Nie mamy wielu stałych gości. Tutejsi za wysoko zadzierają nosy, żeby odwiedzać takie knajpy.

Stotta zaczynała ogarniać frustracja. Ten Alf to jakiś krety, nie wyciągną z niego nic pożytecznego.

– Ale mówił pan, że ostatnio nie było u was żadnych obcych – powiedział.

– Bo to nie był obcy.

– Więc kto to był?

– Niech mnie pan nie pyta.

– Powiedział pan, że go zna.

Alf spojrział na Hatchleya i prychnął z niesmakiem, po czym odwrócił się do Stotta.

– Wcale tego nie mówiłem. Powiedziałem, że to nie był stały gość, ale nie był też obcy. A to zupełnie inna para kaloszy.

– Czyli widział go pan wcześniej?

Alf splunął na podłogę za barem.

– No, jasne, cholera, że tak. To logiczne, no nie? Byłby obcy, gdybym nigdy wcześniej go nie widział.

Hatchley przejął prowadzenie rozmowy.

– Dobra, Alf. Masz rację, trafna uwaga. Jak często go widywałeś?

– Niezbyt. Ale w zeszłym roku był u nas trzy, cztery razy. Zwykle z dziewczyną. Prawdziwą laską. Choć ostatnio nie.

– Wiesz, kto to jest?

– Nie. Z nikim nie gada.

– Domyślasz się, gdzie mieszka?

– Jak dla mnie, mógłby mieszkać w pieprzonym Timbaktu.

– Czy to znaczy, że był z pochodzenia Afrykańczykiem? – wtrącił Stott.

Alf posłał mu miażdżące spojrzenie.

– Tak się tylko mówi. Moja matka tak mówiła.

– Jak wyglądał? – zapytał Hatchley.

– No, był wysoki, na pewno ponad metr osiemdziesiąt. Gęste czarne włosy, trochę za długie na kołnierzu, gdyby mnie ktoś pytał. Dość długi nos.

– Rozmawiałeś z nim?

– Tylko kiedy go obsługiwałem. Rzuciłem parę słów o pogodzie. Nie miał ochoty gadać. Usiadł przy kominku i wpatrywał się w szklankę. Od czasu do czasu mamrotał do siebie, jak pamiętam.

– Mówił do siebie?

– No, nie przez cały czas. I to nie było tak, że prowadził rozmowę. Nie, czasami coś powiedział, jakby na głos się zastanawiał, wiecie, jak to jest.

– Słyszałeś, co mówił?

– Nie. Był o wiele za daleko.

– Jaki miał akcent? – wtrącił Stott.

– Nie wiem.

– Zna pan Jelaćcia, zakrystiana w kościele Marii Panny?

– Nie. Pił w Pig and Whistle.

– Skąd pan wie?

– Powiedział mi Stan, właściciel, kiedy we wszystkich gazetach pisano o nim i tym podejrzanym pastorze.

– Wie pan, jak Jelačić wygląda?

– Widziałem go tylko z daleka.

– To mógł być on?

– Chyba tak. Ten sam wzrost i kolor włosów.

– Czy ten gość miał samochód?

– Skąd miałbym wiedzieć? – Alf potarł się po brodzie. – Ale jak o tym myślę, to bardziej wyglądał na takiego, co przyszedł pieszo. Zmoczony, zadyszany.

– O której to było, Alf? – zapytał Hatchley.

– Koło piątej?

– O której wyszedł?

– Zaraz po szóstej. Jak mówiłem, wziął tylko dwa piwa i podwójną whisky. Jedną na drogę, powiedział, i wypił ją duszkiem, a potem już go nie było.

Stott nadstawił uszu. Czas pasował, zakładając, że dziewczynę zamordowano w drodze z klubu szachowego do domu. Czy tak mógł się zachowywać człowiek przed zgwałceniem i zamordowaniem szesnastolatki na zasnutym mgłą cmentarzu? Dodawał sobie odwagi alkoholem? Stott próbował sobie przypomnieć, czego się nauczył na kursie psychologii kryminalistycznej.

Szkopuł w tym, że można uzasadnić absolutnie każde zachowanie świrów. Jedni lubią usiąść przy piwie i papierosku, zanim zabiorą się do rozczłonkowania ofiary, inni kupić bombonierkę albo bukiet kwiatów dla matki. Tego nie można przewidzieć. Może więc morderca wpadł do Nag's Head. Dlaczego nie? Może musiał posiedzieć tam przez chwilę, pogadać ze sobą o tym, co planuje zrobić?

– Widział pan, w którym kierunku odszedł? – zapytał Stott.

– Nie. Chyba się pan nie spodziewa, że będę latał za każdym klientem i patrzył, w którą stronę idzie, co?

– W co był ubrany? – ciągnął Stott.

– W pomarańczowy anorak. Z wyglądu sądząc, kurtka była droga, z goreteksu. Pełno kieszeni i zamków.

– Pamięta pan coś jeszcze na temat jego wyglądu?

– Opisywanie ludzi nie wychodzi mi dobrze. Nigdy nie wychodziło.

– Jak pan myśli, dałby pan radę popracować z policyjnym rysownikiem?

– Nie mam pojęcia. Nigdy tego nie robiłem.

– Spróbuj pan?

Alf wzruszył ramionami.

– Sierżancie – polecił Stott – niech pan idzie i sprawdzi, czy rysownik może natychmiast przyjechać, dobrze? Ja tu poczekam.

Niemal warto było skazywać się na wdychanie stęchłego odoru dymu i alkoholu przez następną godzinę, żeby zobaczyć minę sierżanta Hatchleya, kiedy skulony wychodził na deszcz.

II

Kochali się w każdej możliwej pozycji: z boku, z tyłu, z przodu, na jeźdźca. Robili to w każdym miejscu, które przychodziło im do głowy, w jej łóżku, jego łóżku, w hotelach, na polach, w jego ciasnym orionie, oparci o ścianę, pod kuchennym stołem. Czasami się wydawało, że akt trwa wiecznie, kiedy indziej – że się skończył, zanim właściwie się zaczął. Czasami gra wstępna trwała tak długo, że Rebecca myślała, iż eksploduje, kiedy indziej dawali się porwać namiętności i nie mieli nawet czasu zrzucić ubrań.

Tym razem im się śpieszyło. Później spocona Rebecca leżała w hotelowym łóżku w Richmond, z trudem łapiąc oddech. Spódnicę miała zwiniętą w talii, majtki nadal wisiały na jednej gołej kostce, w rozpiętej bluzce brakowało dwóch guzików urwanych w gorączce, zepchnięty pod brodę stanik odsłaniał piersi.

Patrick opierał głowę o jej ramię. Na skórze czuła ciepło jego oddechu. Obojgu serca mocno biły. Rebecca trzymała jedną dłoń na jego szerokim, mocnym ramieniu, drugą gładziła włosy za jego uszami, szczecinę na niedawno ostrzyżonym karku. To nie była miłość – wiedziała dość, by zdawać sobie z tego sprawę – ale cholernie dobry substytut.

Wstyd i melancholia, które zawsze ją ogarniały po seksie z Patrickiem, pojawiły się jednak zbyt szybko niczym gęsta mgła, stępując zakończenia nerwów, ledwo kilka minut temu drżących z niezwyklej rozkoszy, i poczucie winy wzięło górę nad radością.

Patrick się odsunął i sięgnął po papierosa. Tej jednej rzeczy nie lubiła – że palił po seksie, ale nie miała serca mu o tym powiedzieć. Włożył okulary. Orientowała się, że bez nich jest ślepy jak kret, ale czasami się śmiała, bo wyglądał tak zabawnie nagi, mając na sobie tylko okulary.

– Co się stało? – zapytał Patrick, wyraźnie wyczuwając, że coś jest nie w porządku. – Nie było ci dobrze?

– Jasne, że było. Wiesz o tym. Zawsze jest mi dobrze... z tobą. Nie... chodzi o to, że się czuję...

cholernie winna.

– Więc odejź od niego. Zamieszkać ze mną.

– Nie bądź niemądry, Patricku. Wyobraź sobie ten skandal. Nauczyciel pieprzy się z żoną pastora.

Na początek wylaliby cię z pracy. I gdzie byśmy mieszkali?

– A ty nie bądź taka praktyczna. Dalibyśmy sobie radę. Wynajmiemy mieszkanie w mieście. Mogę znaleźć inną pracę. Wyprowadzimy się.

Rebecca pokręciła głową.

– Nie. Nie. Nie.

– Dlaczego nie? Nie kochasz mnie?

Rebecca nie odpowiedziała.

– Nie kochasz mnie, prawda? – naciskał Patrick.

– Oczywiście, że cię Kocham – skłamała Rebecca. Tak było łatwiej.

– Więc go zostaw.

– Nie mogę.

– Nie kochasz go.

– Ja... ja... nie wiem. – Rebecca kochała Daniela. Gdzieś w jej wnętrzu to uczucie nadal było, choć poobijane, posiniaczone i połowiczne. Nie potrafiła wyjaśnić tego Patrickowi.

– Nie powinienem ci tego mówić, ale...

Rebecca poczuła, jak po kręgosłupie przebiega jej dreszcz, który nie ma nic wspólnego z seksem.

– Tak? – ponagliła go. – Mów.

– Wczoraj wieczorem odwiedził mnie twój mąż.

– Daniel był u ciebie? Dlaczego?

– Żeby ze mną porozmawiać.

Usiadła. Pośpiesznie zsunęła stanik, okryła się spódnicą i dłonią przytrzymała bluzkę.

– O czym? – zapytała, czując się niezręcznie i głupio.

– O nas. – Patrick strzepnął popiół do popielniczki na nocnym stoliku. To był mały pokój i przy zasłoniętych oknach Rebecca poczuła, jak ogarnia ją klaustrofobia.

– Ale on o nas nie wie.

– Wręcz przeciwnie. Powiedział, że wie od pewnego czasu. Zaczął coś podejrzewać, potem cię obserwował. Widział nas razem.

– Boże.

– Powiedział, żebym ci nie mówił, że u mnie był.

– Czego chciał?

– Prosił, żebym przestał się z tobą spotykać.

– Co odpowiedziałeś?

– Prawdę. Że się kochamy. Że po raz pierwszy odkrywasz swoją prawdziwą seksualną naturę. I że

kiedy tylko uda się nam to załatwić, odejdziesz od niego i zamieszkamy razem.

Rebecca nie wierzyła własnym uszom. Daniel wiedział? Wiedział od dawna?

– Ty cholerny idioto. – Zsunęła nogi na podłogę i wciągnęła majtki. Zapięła bluzkę, włożyła zakiet i podeszła do szafy, w której wisiał jej płaszcz przeciwdeszczowy. – Ty cholerny głupcze – mruknęła pod nosem. – Daniel. Muszę do niego jechać.

Patrick usiadł i zgasił papierosa.

– Co masz na myśli? Powiedziałem prawdę, tak czy nie?

– Ty kretynie. Wszystko popsułeś.

Wstał i podszedł do niej. Pomyślała, że nagle wygląda idiotycznie z obwisłym penisem kołyszącym się między chudymi, owłosionymi nogami.

– Rebecco. – Złapał ją za ramiona. – On się przejmuje tylko tym, jak to wygląda. Nie rozumiesz?

Chce, żeby wszystko było normalnie, żebyś ty zachowywała się jak obowiązkowa żona pastora. Ale ty taka nie jesteś. Naprawdę nie. Znam cię, Rebecco. Znam twoją prawdziwą naturę. Odkrywamy ją razem. Jesteś dziką, zmysłową, namiętną istotą, a nie cholerną wysuszoną żoną pastora.

– Puszczaj!

Wyrwała się z jego uścisku, włożyła płaszcz i złapała za klamkę.

– Nie rób tego, Rebecco. Zostań ze mną. Nie bój się odkrycia, kim naprawdę jesteś. Podążaj za swoją namiętnością, za swoimi uczuciami.

– Och, zamknij się, ty nadęty draniu. To było tylko bzykanie, nic więcej. O niczym nie masz pojęcia, co?

– Poczekaj, odwiozę cię! – zawołał, gdy wychodziła z pokoju.

– Nie fatyguj się – odparła przez ramię. – Złapię autobus. – I z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi.

III

Dwóch funkcjonariuszy w mundurach nie dopuszczało przedstawicieli prasy do domu sir Geoffreya. Kiedy Banks i Susan przyjechali tam wczesnym popołudniem, na końcu podjazdu kręciło się tylko sześciu dziennikarzy, którzy zasypali ich pytaniami, ale Banks ich zignorował. Za wcześnie na

wyglaszanie oswiadczen dla prasy. Chyba ze sie jest komendantem Riddle'em.

Banks mial tylko jedna nowa informacje: probki pobrane od Debory nie ujawnily obecnosci nasienia, i z cala pewnoscia nie zamierzal mowic o tym mediom. Odkryl takze, ze przyjecie sir Geoffreya w hotelu Royal w Yorku zakonczylo sie o czwartej, a to oznaczalo, ze mial mnostwo czasu na powrot do domu okolo szostej, nawet w tej mgle. Lady Harrison rzeczywiscie byla na silowni i przyjechala dopiero przed wpol do siodmej.

Wczoraj wieczorem Banks tego nie zauwazył, teraz widzial, ze przed domem byl wielki trawnik i piekne rabaty, bez watpienia dzieło ogrodnika. Samo utrzymanie trawnika zapewniało mu prace na caly etat. Dom byl ostentacyjnym zbiorem wiktoriańskich kamieni, pewnie zbudowano go w zeslym wieku dla jednego z tych handlarzy wełna, ktorzy błyskawicznie sie wzbogacili.

Na dzwonek Banksa odpowiedzial sir Geoffrey we własnej osobie. Banks przedstawil mu Susan.

– Jakies wiadomosci? – zapytal sir Geoffrey.

Banks pokręcił głową.

– Na razie nie, sir. Przykro mi.

Sir Geoffrey wygladal na przybitego. Był zgarbiony i pod oczyma mial wielkie cienie. Banks poszedł za nim do bialego pokoju z regalami na ksiazki, Chagallem i fortepianem. W jednym z foteli siedzial Michael Clayton, który takze wygladal, jakby przez tydzien nie spal.

– Michaelu, wydaje mi sie, ze wczoraj wieczorem spotkales głównego inspektora Banksa – powiedzial sir Geoffrey.

– Tak – odparł Clayton. – Posterunkowa Gay takze poznalem. Nie wiem, czy pani podziekowalem.

Susan sie usmiechnęła.

– To nalezy do naszych obowiazkow, sir.

Banks spojrzal na nia pytajaco.

– W sierpniu panu Claytonowi ukradziono samochod i cenny notebook – wyjasnila. – Odzyskalismy je. Ktos probowal sprzedac komputer na targu w Eastvale.

– Nie wiem, czy wczoraj mowilem – ciagnal sir Geoffrey – ze Michael to nie tylko nasz drogi przyjaciel, ale takze geniusz naukowy HarClay Industries. Ja tylko zapewniam strategie reklamowe i handlowe. – Poklepal Clayтона po ramieniu. – Nie wiem, co bysmy bez niego poczeli. Proszę, usiadzcie.

– Gdzie jest pańska zona, sir? – zapytal Banks.

– Sylvie odpoczywa. Ona... malo spalismy. Jest wyczerpana. Ja tez. Proszę posluchac, my... eee... przykro mi. Mamy tu chaos. Jak moge wam pomoc?

– Nie zajmiemy panu wiele czasu. Zadamy tylko kilka pytań.

Sir Geoffrey ze znużeniem kiwnął głową.

– Zrobię co w mojej mocy.

– Dziękuję – odparł Banks. – Rozmawialiśmy z paroma osobami w szkole Debory. Wszyscy powtarzali, że była pogodną i utalentowaną dziewczyną.

Sir Geoffrey potaknął.

– Sylvie i ja jesteśmy z niej bardzo dumni.

– Ale najlepsze osoby robią sobie wrogów – ciągnął Banks. – Często mimowolnie. Przychodzą panu na myśl wrogowie Debory?

Sir Geoffrey zamknął oczy i chwilę się namyślał, potem pokręcił głową.

– Nie. Miała dobre relacje z koleżankami i nauczycielami – jestem przekonany, że wszyscy to potwierdzą – i w jej życiu poza rodziną nikogo innego nie było.

– Usłyszałem, że miała skłonność do popisywania się. Pana zdaniem to sprawiedliwa ocena?

Uśmiechnął się.

– Tak, Debora czasami się popisuje i bywa prawdziwym diabełkiem. Ale które dziecko takie nie jest?

Banks pomyślał o Tracy i także się uśmiechnął.

– Debora pod wieloma względami była wciąż dzieckiem – powiedział. – Zapewne nie zawsze zdawała sobie sprawę, jak jej postępowanie wpływa na innych. Rozumie pan, o co mi chodzi?

Sir Geoffrey kiwnął głową.

– Nie rozumiem jednak, dokąd nas to może zaprowadzić – odparł. – Chyba że sugeruje pan, że ktoś ze szkoły miał coś wspólnego z jej śmiercią. Albo ten przeklęty pastor.

– Daniel Charters?

– Właśnie.

– Dlaczego tak bardzo go pan nie lubi?

– Facet jest zboczeńcem. Nadużył swojej pozycji.

Banks pokręcił głową.

– Tylko że nic mu nie udowodniono. Nie powinno się go uważać za niewinnego, dopóki nie udowodni się mu winy?

– Może w teorii. Ale człowiek z jego pozycją powinien być poza podejrzeniami.

– Człowiek, który oskarżył ojca Chartersa, nazywa się Ive Jelačić. Zdziwiłoby pana, gdyby się pan dowiedział, że wykonywał lubieżne gesty w obecności pańskiej córki, na co skarżyła się dyrektorce

szkoły, doktor Green?

– Nigdy mi o tym nie wspomniała. Gdyby to zrobiła, przetrąciłbym mu kark.

Banks zwrócił się do Claytona.

– Czy Debora z czegokolwiek się panu zwierzała?

Clayton uniósł brwi.

– Mnie? Wielkie nieba, nie. Przypuszczam, że z jej punktu widzenia byłem równie niefajny jak rodzice.

– Niefajny?

– Zna pan nastolatki, inspektorze. Dla nich jesteśmy istotami starożytnymi i zgrzybiałymi.

– Pewnie tak. – Banks wziął głęboki oddech i ponownie zwrócił się do sir Geoffreya. – To delikatna sprawa, ale obawiam się, że muszę pana zapytać, dokąd pan poszedł po czwartej, kiedy skończyło się przyjęcie w hotelu Royal.

– Dobry Boże, człowieku! Nie może pan przecież...

– Geoff, on musi o to zapytać. Wykonuje tylko swoją pracę – przerwał Michael Clayton, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Niezależnie od tego, jak obraźliwe mogą być te pytania.

Sir Geoffrey przesunął dłonią po włosach.

– Chyba tak. Miałem prywatne spotkanie z klientem, skoro musi pan wiedzieć. Człowiekiem z rządu, nazywa się Oliver Jackson. To niezwykle poufna sprawa i nie chcę, żeby ktokolwiek o tym wiedział. Tego rodzaju informacje mogą mieć wpływ na cenę akcji i mnóstwo czynników rynkowych. Nie wspominając już o stosunkach z zagranicą. Rozumie pan?

Banks kiwnął głową.

– I jeszcze jedno.

Sir Geoffrey westchnął.

– Niech pan pyta, skoro pan musi.

– Zastanawiałem się, czy Debora spotykała się z chłopcami.

– Chłopcami?

– Tak. Zainteresowanie płcią przeciwną byłoby czymś absolutnie naturalnym dla szesnastolatki.

Mam na myśli rzeczy niewinne, w rodzaju chodzenia do kina. W kieszeni swetra znaleźliśmy bilet z kina Regal.

Sir Geoffrey pokręcił głową.

– Bardzo często chodziła do kina z matką. We dwie... Debora nie miała chłopaka, inspektorze. Grubo się pan myli. Nie miała czasu na chłopców.

– I nigdy z nikim nie chodziła?

– Tylko z Pierre'em, jeśli to w ogóle się liczy.

– Pierre?

– W Bordeaux, czy raczej w Montclair. Rodzina mojej żony ma zamek na wsi w pobliżu Bordeaux, często spędzamy tam wakacje. Pierre to syn sąsiada. Ich relacja była niewinna, oczywiście.

– Oczywiście – zgodził się Banks. – No i to daleko stąd.

– Tak... dobrze. Ten typ, Jelačić. To niepokojąca wiadomość. Zamierzacie go aresztować?

– Prowadzimy śledztwo w wielu kierunkach – powiedział Banks, idąc z Susan do drzwi.

Zirykowało go, że brzmi to tak, jakby rozmawiał z prasą.

Na zewnątrz przepchnęli się przez dziennikarzy przed bramą i schowali w samochodzie Banksa.

– Interesujące, nie sądzisz? – powiedział Banks. – To o chłopaku.

– Tak, sir. Albo on naprawdę o niczym nie ma pojęcia, albo kłamie.

– Ale dlaczego kłamie?

– Może Debora utrzymywała to przed nim w tajemnicy? Jeśli był surowym ojcem, to mogę sobie wyobrazić, że tak robiła.

– To możliwe. A jego alibi?

– Bardzo wiarygodne – odparła Susan. – Zauważyłam, że nie zapytał pan jego żony o jej alibi.

– Nie wszystko naraz, Susan. Po kolei. Poza tym nie wydaje mi się, żeby Sylvie Harrison zabiła swoją córkę. Zaczniemy od tego, że nie jest dość wysoka ani silna.

– Jeśli chodzi na siłownię, to pewnie jest dość silna – zauważyła Susan. – Może stała na kamieniu?

Banks kichnął w chusteczkę.

– Na zdrowie – powiedziała Susan.

Jechali w kierunku North Market Street.

– Wiesz – zaczął Banks – myślę, że w życiu Debory działo się o wiele więcej niż ludzie wiedzą albo nam mówią. Chciałbym znowu porozmawiać z jej matką, w cztery oczy, jeśli się da. Michael Clayton miał rację, nastolatki nie mają czasu dla dorosłych, ale córki czasami zwierzają się matkom. I chciałbym odnaleźć tego Johna, o ile istnieje.

– Och, w to nie wątpię, sir. Debora była atrakcyjna. I miała szesnaście lat. Byłabym bardzo zdziwiona, gdyby wcale nie zadawała się z chłopcami.

Zadzwoił telefon w samochodzie. Banks odebrał.

– Mówi inspektor Stott.

– Co jest, Barry?

– Powinniśmy się spotkać na posterunku. Mamy rysopis potencjalnego podejrzanego w sprawie Debory Harrison i niewykluczone, że to Jelačić. Poza tym dzwonił Vic Manson. Na butelce wódki było pełno odcisków Jelačića.

– Już jedziemy – odparł Banks. Rozłączył się i wcisnął pedał gazu.

IV

Przez całą drogę do domu w rozklekotanym autobusie Rebecca obgryzała paznokcie. Ani razu nie spojrzała na blaknącą jesienną scenerię za pokrytymi kroplami deszczu oknami: liście barwy stłumionego złota i rdzy nadal wiszące na przydrożnych drzewach, kruche i tak bezcielesne jak księżycowa poświata, łagodne zielenie i brązy pól, runiczne wzory kamiennych murków. Nie zauważyła, że na zachodzie dolina ze swymi schodzącymi stopniowo zboczami częściowo została zasłonięta przez mgłę i mżawkę, które nadały jej wygląd jak z chińskiej akwareli.

Rebecca obgryzała paznokcie i pragnęła, by to nieprzyjemne, rozdzierające, palące uczucie w jej wnętrzu zniknęło. Miała wrażenie, że jest ciągle na granicy krzyku, i wiedziała, że gdyby raz zaczęła, nie potrafiłaby przestać. Nabierała powietrza w płuca i wstrzymywała oddech, żeby się uspokoić. To pomagało.

Kiedy autobus wtoczył się do Eastvale, odzyskała po części panowanie nad swoimi emocjami, chociaż nadal była zdruzgotana, jakby jej świat rozpadł się w proch. Przypuszczała, że musiało do tego dojść, ponieważ żyła w kłamstwie, żyła pożyczonym czasem, bo jakim innym banałem należałoby opisać te ostatnie miesiące.

Patrząc wstecz, widziała, że jej życie składało się z następujących po sobie kaców po alkoholu albo niewierności, które nie bardzo się od siebie różniły. Przyjemność, jaką odnajdywała w upijaniu się albo seksie, była taka ulotna, tak szybko zastępował ją ból żołądka czy głowy, wyrzuty sumienia, wstyd, że przestawała być tego warta. Czy jest już za późno? Utraciła Daniela?

Dotarła niemal na miejsce.

Nacisnęła dzwonek i poczuła, jak kierowca i pozostali pasażerowie dziwnie na nią patrzą, kiedy czekała, aż autobus się zatrzyma. Co o niej myśleli? Czuli zapach seksu? Nie umyła się, zostawiając Patricka w Richmond, po prostu ubrała się jak najszybciej i wyszła. Płaszcz zakrywał podartą bluzkę. Boże, co z tym zrobić? Jeśli Daniel będzie w domu, zauważy. Ale jakie to ma teraz znaczenie? I tak wiedział. Mimo to nie mogła znieść myśli, że się zorientuje, iż dzisiaj po południu była z Patrickiem.

Kiedy autobus zbliżał się do przystanku, zobaczyła grupę dziennikarzy kręcących się koło kościoła

i rozumiała, dlaczego pasażerowie na nią patrzyli. Wysiadała przy kościele Marii Panny, gdzie popełniono tak przerażającą zbrodnię, że czegoś podobnego mieszkańcy Eastvale nie widzieli od dziesięcioleci.

Autobus ostro zahamował i Rebecca poleciałaby do przodu, gdyby się nie trzymała poręczy. Kiedy drzwi się otworzyły, wyskoczyła i przemknęła koło policjantów przy bramie, po czym przez dziedziniec pobiegła na plebanię.

Otworzyła szeroko drzwi, wołając Daniela. Cisza. Dzięki Bogu, nie ma go w domu. Ściągając podartą bluzkę, popędziła na piętro do łazienki, żeby zmyć z siebie zapach seksu. Później będzie gotowa stawić czoło Danielowi. Musi być.

V

Ive Jelačić mieszkał na szóstym piętrze dziesięciopiętrowego bloku w Burmantofts niedaleko York Road. W szarej listopadowej mżawce labirynt wysokich budynków przypominał Banksowi widzianą kiedyś fotografię prasową, przedstawiającą dzielnicę robotniczą w jakimś syberyjskim mieście.

– Urocze, nie? – powiedział Blackstone, który na nich czekał przed blokiem. Spojrzał na zegarek. – Wiesz, że rada miejska musiała na wszystkich dachach położyć śliskie kopuły, żeby smarkacze nie schodzili z nich na wyższe balkony i nie włamywali się do mieszkań?

Jak zwykle nieskazitelny ubiór Blackstone’a uświadomił Banksowi, że sam ma odpięty górny guzik koszuli, a krawat lekko przekrzywiony. Blackstone wyglądał jak uczonec z tymi okularami w drucianych oprawkach, cerą mola książkowego i rzednącymi włosami barwy piasku, które lekko kręciły się za uszami, i rzeczywiście był czymś w rodzaju eksperta w dziedzinie sztuki. Co nie znaczy, że tego rodzaju wiedza była często wykorzystywana w Leeds. Ostatnio nikt nie ukradł żadnego obrazu Atkinsona Grimshawa, a tylko idiota próbowałby sfałszować rzeźbę Henry’ego Moore’a.

– Alibi Jelačića się potwierdziło – powiedział Blackstone, kiedy szli do drzwi bloku. – O ile to coś warte. No i przeszukaliśmy jego mieszkanie. Nic.

– A twoim zdaniem ile to warte? – zapytał Banks.

– Moim zdaniem? Mniej więcej tyle co pierd w kąpielni. Było ich trzech, wszyscy Chorwaci. Stipe Pavić, Mile Pavelić i Vjeko Batorac. Przypuszczalnie przysięgliby, że dzień to noc, żeby wzajemnie się chronić przed policją. Uwierz mi na słowo, winda nie działa.

Banks spojrział do środka przez otwarte rozsuwane drzwi. Ściany pokrywało jaskrawe, wymalowane sprayem graffiti i nawet z tej odległości czuł odór kleju i moczu. Poszli schodami,

zaskakując dwoje dzieciaków, które na czwartym piętrze wdychały rozpuszczalnik. Smarkacze uciekli. Wiedzieli, że w okolicy jedyne osoby ubrane jak Blackstone to gliniarze.

Bywały momenty, kiedy Banks żałował, że palił; jednym z nich było wchodzenie na szóste piętro. Z trudem łapiąc powietrze i trochę się pocąc, w końcu dotarł na zewnętrzną galerię prowadzącą wzdłuż wejściowych drzwi.

Drzwi mieszkania 604 kiedyś były czerwone, ale farba w większości się złuszczyła. Wyglądały też, jakby je wykorzystano do ćwiczeń w rzucaniu nożem. Jelačić otworzył po pierwszym pukaniu, ubrany w dżinsy i siatkowy podkoszulek. Tułów miał silny i muskularny, przez oczka w podkoszulku wystawały kępki gęstych czarnych włosów. Ze swoim wzrostem, przydługimi włosami i zakrzywionym nosem z całą pewnością przypominał mężczyznę widzianego wczoraj wieczorem koło kościoła Marii Panny.

– Dlaczego mnie niepokoiacie? – zapytał, cofając się, by ich przepuścić. Zatrzymał wzrok na Susan dłużej niż to było konieczne. – Już mówię, nic nie zrobiłem.

Mieszkanie było na tyle małe, że przy czterech osobach sprawiało wrażenie zatłoczonego, i na tyle schludne, by zaskoczyć Banksa. Jeśli już, to Ive Jelačić dobrze sobie radził z prowadzeniem domu. W jednym kącie stała deska do prasowania z rozłożoną koszulą, w przeciwległym – mały telewizor. Nigdzie śladu sprzętu wideo czy stereo. Całe umeblowanie składało się z podniszczonej sofy, stołu i trzech krzeseł. Na obudowie elektrycznego kominka stały rodzinne zdjęcia i dwie ikony.

– Z czego się pan teraz utrzymuje, panie Jelačić? – zapytał Banks.

– Z zasiłku.

– Ma pan samochód?

– Dlaczego pan pyta?

– Niech pan odpowie.

– *Da*. Stary ford fiesta.

– Pojechał nim pan wczoraj do Eastvale?

Jelačić spojrzał na Blackstone'a.

– *Ne*. Już mu mówiłem. Gram w karty. Vjeko wam mówi. I Stipe, i Mile.

Jelačić usiadł na sofie, zajmując ją prawie w całości, i zapalił papierosa. Pokój szybko zaczął się wypełniać dymem. Blackstone stał oparty o drzwi, a Banks i Susan usiedli na krzesłach. Banks wkrótce zauważył, jak wzrok Jelačića przesuwa się po Susan, i ze sposobu, w jaki ściągnęła spódnicę za kolana, które trzymała mocno razem, domyślił się, że ona też o tym wie. Ale Jelačić nadal się ślinił.

– Chodzi o to – powiedział Banks – że ludzie często kłamią, żeby ochronić przyjaciół, jeśli myślą, że ci przyjaciele mają kłopoty.

Jelačić agresywnie pochylił się do przodu; przy tym ruchu napięły się mięśnie jego rąk i barków.

– Mówisz, moi przyjaciele to kłamcy! *Jebem ti mater!* Powiedz im to w oczy. Faszystowska policja. *Supak.*

Banks wyciągnął fotografię Debory Harrison.

– Znał pan tę dziewczynę?

Jelačić najpierw obrzucił go gniewnym spojrzeniem, potem przeniósł wzrok na zdjęcie. Pokręcił głową.

– Jest pan pewien?

– *Da.*

– Chodziła do szkoły Marii Panny, śpiewała w chórze kościelnym, wracała do domu przez cmentarz.

Ponownie pokręcił głową.

– Myślę, że pan kłamie, panie Jelačić. Widzi pan, ona się na pana skarżyła. Mówiła, że w jej obecności zachowywał się pan obscenicznie. Co pan na to?

– To nieprawda.

– Ojciec Charters powiedział, że przez większość czasu był pan pijany, nie wykonywał pan dobrze swojej pracy i niepokoił dziewczęta. Czy to prawda?

– *Ne.* On kłamie. Wszyscy ludzie od Marii Panny kłamią, pakują Ivego w kłopoty, odbierają mu pracę.

– Wchodził pan kiedyś do mauzoleum Inchcliffe'ów?

– *Nikada.* Jest zawsze zamknięte.

Banks spojrział na Kena Blackstone'a i przewrócił oczami.

– No, Ive, daj spokój. Znaleźliśmy tam pustą butelkę po wódce całą w twoich odciskach.

– *Vrag ti nosi!*

– Wiemy, że tam wchodziłeś. Po co?

Jelačić chwilę ponuro rozmyślał, później powiedział:

– Dobra. Wchodzę tam latem, jak jest za gorąco. Tylko żeby się ochłodzić, rozumie pan? Może się napiję i zapalę. To nie przestępstwo.

– Zabierałeś tam kogoś? Jakież dziewczyny?

– *Nikada.*

Banks pomachał fotografią.

– I przysięgasz, że nie znasz tej dziewczyny?

Jelačić usiadł wygodnie.

– Może ją tylko widzę, jeśli pracuję, a ona idzie.

– Więc przyznajesz, że mogłeś ją widzieć?

– *Da*. Ale to wszystko.

– Panie Jelačić, w co pan był ubrany wczoraj wieczorem?

Jelačić wskazał wieszak koło drzwi. Wisiała na nim czerwona kurtka.

– Buty?

Krzywiąc się, Jelačić wstał i z wycieraczki pod wieszakiem wziął parę starych sportowych butów.

Banks obejrzał podeszwy, przyczepił się do nich żwir i chyba kawałki liści. Boki były zabłocone.

– Jak to się stało, że tak zabrudził pan buty? – zapytał.

– Od Milego idę pieszo.

– Nie jechał pan samochodem?

Jelačić wzruszył ramionami.

– To nie tak daleko.

– Chcielibyśmy zabrać pańskie buty i kurtkę na badania – powiedział Banks. – Najłatwiej byłoby, gdyby nam pan pozwolił. Oczywiście za pokwitowaniem.

– A jak nie dam?

– To wrócimy z nakazem.

– Dobra. Bierzcie. Nie mam nic do ukrycia.

– Czy wczoraj koło szóstej po południu stał pan na moście przy Kendall Road?

– Mówię panu. Idę do Milego, gramy w karty i pijemy.

– Daniel Charters powiedział nam, że wrócił pan do Eastvale, żeby wyłudzić od niego pieniądze.

To prawda?

– *Vrazje!* Mówię panu, on jest narzędziem szatana, złym kłamcą.

– Więc to nieprawda, że zaproponował pan, że wycofa pan skargę, jeśli panu zapłaci?

– To nieprawda. *Ne*. I nie mam nic więcej do powiedzenia. – Jelačić znowu spojrzął na Susan, przesuając wolno wzrokiem od jej stóp do piersi, gdzie się zatrzymał. Nie oblizał się, ale równie dobrze mógł to zrobić. Banks widział, jak Susan rumieni się z zakłopotania i wściekłości.

– Pozwoli pan, że uporządkuję to, co pan nam powiedział. Wczoraj wieczorem grał pan w karty z przyjaciółmi, którzy to potwierdzą, tak? – zapytał Banks.

– *Da.*

– I z całą pewnością nie zachowywał się pan wobec tej dziewczyny obleśnie ani nie wykonywał żadnych gestów.

– *Ne.*

– A kiedy niesłusznie wylano pana z pracy, nie pojechał pan do Eastvale i nie próbował szantażem wyłudzić pieniędzy od ojca Daniela Chartersa.

– *Nikada.*

– W takim razie w porządku. – Banks wstał. – To wszystko. Pożegnamy się teraz.

Jelačić wyglądał na zaskoczonego.

– Idziecie?

– Niech się pan nie martwi, zaopiekujemy się pańskim ubraniem. Dostanie je pan, kiedy przeprowadzimy testy. Dziękuję za współpracę, panie Jelačić. Życzę miłego dnia.

Wyszli, a on gapił się za nimi zdumiony.

– Największy stek bredni, jaki w życiu słyszałem – powiedział Ken Blackstone na schodach. Pies nonszalancko nadal sikał na ścianę, nie zwracając na nich uwagi.

Banks zapalił papierosa.

– Rzeczywiście. Susan, a ty co myślisz?

– Niezależnie od tego, czy to zrobił, czy nie – odparła przez zaciśnięte zęby – tego drania powinno się powiesić za jaja. Sir.

Rozdział 5

I

Minęła szósta i Daniela nadal nie było. Rebecca krążyła po pokoju. Powinna zabrać się do przygotowywania kolacji, to przynajmniej oderwie jej myśli od różnych spraw. Gdyby to wszystko się zdarzyło dwa dni temu, poszłaby do anioła, wylałaby swoje obawy i uczucia, patrząc w marmurowe oczy niebiańskiego stróża, ale mauzoleum Inchcliffe'ów zostało teraz napiętnowane tym, co tam widziała.

Włożyła pasiasty fartuch rzeźnicki – urodzinowy prezent od Daniela, kiedy jeszcze miał poczucie humoru – i poszukała w lodówce resztek niedzielnej pieczeni. Przyrządzi zapiekankę owczarza. Na półce leżała butelka sauvignon blanc. Po krótkim wahaniu Rebecca otworzyła ją, nalała szczodłą porcję do kieliszka, po czym zaczęła mielić mięso.

Była w połowie drugiego kieliszka i akurat nastawiła ziemniaki, kiedy usłyszała szcęk otwieranych drzwi. Daniel. Nogi się pod nią ugięły. Nagle nie była w stanie spojrzeć mu w oczy, nie miała pojęcia, co powie. Zawołał ją, a jej się udało odpowiedzieć, że jest w kuchni. Pośpiesznie wypila i nalała kolejną porcję. Ręka tak się jej trzęsała, że część rozlała na stół. Czasami po prostu nie można się upić dostatecznie szybko.

– Co się stało z frontowym oknem? – zapytał Daniel, wchodząc do kuchni.

Rebecca wpatrywała się w garnek z ziemniakami i czekała, aż woda się zagotuje.

– Ktoś wrzucił cegłę – powiedziała. Nie wspomniała o liście.

– Gdzie była policja?

– Koło mauzoleum Inchcliffe'ów.

– Cudownie, prawda? Roi się od policji, a mimo to przestępstwa nadal są popełniane. – Daniel oparł się udami o solidny drewniany stół.

– Danielu, zamordowano młodą dziewczynę. A ja ją znalazłam.

Daniel potarł się po czole.

– Wiem. Przykro mi. Nie myślałem jasno. Fatalny dzień.

– Jak było na zebraniu?

– Przynajmniej zdecydowali, że na razie mnie nie wykopią – odparł Daniel. W ciągu ostatniego miesiąca nabawił się tiku przy lewym oku. Teraz mięsień mu skakał. – Ale biskup jest bardzo zdenerwowany morderstwem, zwłaszcza tym, że doszło do niego na terenie kościelnym. To kolejny

gwóźdź do mojej trumny. Gorzej już być nie może.

– Nie kuś opatrności.

– Opatrzności? Ha. Nie wiem, czy nadal wierzę w opatrność. Czy w cokolwiek innego, skoro o tym mowa. Jestem głodny. – Podszedł do lodówki, znalazł kawałek starego cheddara i odkroił kawałek. – A ty?

Rebecca pokręciła głową. Sądząc z tego, co wyprawiał jej żołądek, może już nigdy nie będzie w stanie nic przełknąć. Czuła potężne napięcie, jak wulkan, który zaraz wybuchnie. Nie zniesie tego dłużej.

– Danielu? – Zwróciła się do niego twarzą.

– Co?

– Ja... nie... Dzisiaj. Ja...

Rozległ się dzwonek do drzwi.

– Cholera jasna! – Rebecca uderzyła pięścią w stół. – Kto to może być?

– Pójdę sprawdzić. – Daniel wyszedł z kuchni.

Rebecca złapała się stołu. Pokój wokół niej wirował i tym razem to nie był skutek alkoholu.

– Becky! – Nuta troski w jego głosie otrzeźwiła ją. – Dobrze się czujesz?

Zamknęła oczy i pokręciła głową. Nie tak źle.

– Nic mi nie jest. Przepraszam. Zakręciło mi się w głowie. – Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że obok Daniela stoi policjant, który odwiedził ich wczoraj wieczorem.

Był niższy niż można by oczekiwać po policjancie, pomyślała, zwarty, szczupły i muskularny, emanujący tłumioną siłą. W krótko ostrzyżonych czarnych włosach połyskiwały na skroniach srebrne nitki, niebieskie oczy tańczyły i błyszczały od energii. Pod prawym miał małą bliznę w kształcie półksiężyca.

– Inspektor Banks wrócił – powiedział Daniel. – Chce nam jeszcze zadać kilka pytań.

Rebecca kiwnęła głową, zdjęła fartuch i poszła za mężczyznami do salonu. Kieliszek wina zostawiła na kuchennym stole. Następna zwłoka. Może będzie mogła się upić w kolejny z rzędu wieczór wypełniony wyrzutami sumienia i poczuciem nieszczęścia.

– Przepraszam, że znowu się państwu narzucam – zaczął Banks, kiedy wszyscy usiedli. Kichnął, wyjął wielką chusteczkę i wydmuchał nos. – Przepraszam, chyba się przeziębilem. Przejdę od razu do rzeczy. Widzę, że przygotowuje pani kolację. Zastanawiałem się tylko, czy może zdecydowała się pani powiedzieć mi prawdę o wczorajszym wieczorze?

Przez moment Rebecca była oszołomiona rzeczowym tonem Banksa.

– Prawdę? – powtórzyła.

– Tak. Nie potrafi pani kłamać, pani Charters. I proszę to uznać za komplement. – Banks spojrział na Daniela. – Kiedy zapytałem pani męża, gdzie był w czasie, gdy usłyszała pani krzyk, wzdrygnęła się pani i trochę za szybko odpowiedziała za niego.

– Tak?

– Tak. Później on poczuł się zobowiązany brnąć w to kłamstwo ze względu na panią. To pod wieloma względami niezwykle godne podziwu, ale trzeba z tym skończyć. Zwłaszcza kiedy w kostnicy w Eastvale leży martwa szesnastolatka.

Rebecca poczuła, że nie jest w stanie wykrztusić słowa. Do diabła, co tu się dzieje? Zastanawiała się gorączkowo, co powiedzieć, ale zanim zdążyła otworzyć usta, rozległ się głos o wiele spokojniejszy niż jej własny.

– Inspektorze – powiedział Daniel Charters – obawiam się, że to moja wina. Powinienem był poprawić Rebeccę, zamiast pozwolić na oszustwo. Proszę mi wierzyć, nie było powodu, żeby kłamać. Nie mam nic do ukrycia.

Banks pokiwał głową. Najwyraźniej czekał na dalszy ciąg.

Daniel westchnął.

– Tak, nie było mnie w domu w czasie, kiedy moja żona usłyszała krzyk, mogę jednak pana zapewnić, że miejsce mojego pobytu nie miało absolutnie nic wspólnego z morderstwem tej biednej dziewczyny.

– Gdzie pan był? – zapytał Banks.

Rebecca zauważyła, że zastanawiając się, Daniel na moment zaciska usta.

– Wolałbym nie mówić.

– Bardzo by nam pomogło, gdybyśmy mogli zweryfikować pańskie słowa.

Daniel pokręcił głową.

– Obawiam się, że nie zdołałbym potwierdzić swojego alibi, nawet gdybym panu powiedział.

– Niech pan przynajmniej pozwoli, żebyśmy spróbowali.

Daniel smutno się uśmiechnął.

– To miła propozycja, ale...

Znowu rozległ się dzwonek.

– Ja pójdę – odezwała się Rebecca.

– Ktokolwiek to jest, pozbądź się go – powiedział Daniel.

Wyszła bez słowa. Kiedy otworzyła drzwi wejściowe, w progu zobaczyła Patricka Metcalfe'a.

Wyglądał, jakby godzinami chodził po deszczu bez płaszcza.

– O Boże! – krzyknęła, próbując zamknąć drzwi, na które napierał ramieniem. – Odejdź, proszę. Nie widzisz, że narobiłeś już dość kłopotów?

– Wpuść mnie, Rebecca. Chcę wejść. Muszę wejść. Chcę porozmawiać z wami obojgiem. Musicie mnie wysłuchać.

Pchał drzwi, a Rebecca nie była dość silna, by sobie z nim poradzić. Nagle za plecami usłyszała spokojny głos Banksa.

– Dlaczego go pani nie wpuści, pani Charters? Kimkolwiek jest. Im nas więcej, tym weselej.

II

Około wpół do siódmej nawet Barry Stott był niemal gotów uznać, że czas na dzisiaj kończyć. Mżawka, która w pewnym momencie wydawała się ustawać, o zmierzchu przybrała na sile i teraz obaj z sierżantem Hatchleyem byli przemoknięci do nitki. Najlepszy płaszcz przeciwdeszczowy i buty, takie jak u Stotta, mogły się oprzeć tylko określonej ilości wody, potem zaczynały przepuszczać. Gdyby tylko Jelačić się załamał i przyznał, zamiast z uporem twierdzić, że jest niewinny, to jak kiedyś powiedział Banks, życie byłoby o wiele prostsze.

Pokazywali portret wykonany przez rysownika na podstawie opisu Alfa – cóż to był za długotrwały i frustrujący proces – personelowi cukierkowatych sklepów naprzeciwko szkoły, odsuniętych od Kendal Road. Kioskarz nikogo nie widział, sklep spożywczy był zamknięty, fryzjerka obszernie skomentowała fatalny stan kędziorów podejrzanego, po czym oznajmiła, że w poniedziałki zakład jest nieczynny, i nie, w pozostałe dni nie zauważyła, żeby działo się tu coś dziwnego.

Herbaciarnia także była zamknięta, jak większość herbaciarni w Yorkshire, które kończą działalność w porze podwieczorku, za to sąsiadujący z nią Peking Moon właśnie otworzono. Jak wyjaśnił Hatchley, była to dość droga i elegancka chińska restauracja, nie knajpa, do której dresiarze wpadają na szybki chop suey po schlaniu się piwem w piątkowy wieczór.

– Ciekawe, dlaczego nie zmienili nazwy – powiedział sierżant. – Pekin teraz to Beijing, no nie? Pewnie prawdziwy Chińczyk nie miałby pojęcia, gdzie jest, gdyby to zobaczył.

Zanim Hatchley pchnął drzwi, Stott zwrócił się do niego:

– Wiem, co pan myśli, sierżancie. I może pan o tym zapomnieć. Nie zostaniemy tu na kolację. Wykluczone. Zrozumiano?

Hatchley wyglądał na urażonego.

– Do głowy by mi to nie przyszło, sir. Nawet nie lubię chińskiego żarcia. Od razu przez człowieka

przelatuje. Zawsze jestem głodny dziesięć minut po posiłku.

– Dobrze. Dopóki się wzajemnie rozumiemy...

Kiedy weszli, zadzwieczał dzwonek nad drzwiami. Jak w wielu chińskich restauracjach, wystrój był prosty i odprężający: na ścianach kopie starych grafik przedstawiających maleńkie figury ludzi pomniejszone przez wiecznie zielone góry, czerwone obrusy na stołach. Łagodna, metaliczna muzyka rozbrzmiewała w tle. Tak cicho, że Stott nie umiał powiedzieć, czy to muzyka pop, klasyczna czy może chińska. Co nie znaczy, że to go obchodziło.

Na ich spotkanie ruszył kelner w białej marynarce.

– Jim, stary druhu. Czym mogę ci służyć? – zapytał. Gdyby nie skośne oczy i orientalna cera, można by go wziąć za cockneya.

– To inspektor Stott, a to Well Hung Low – dokonał prezentacji Hutchley. Wybuchnął śmiechem, kelner także się roześmiał.

Stott się zagotował, jak zawsze jego wściekłość szybko ze stanu ognia przeszła w lód.

– Taki żart, sir – ciągnął Hatchley. – On się nazywa Joe Sung. Porzucił jasne światła Whitechapel dla zielonych pastwisk Eastvale. Joe chciał być gliniarzem, sir, ale udało mi się go przekonać, że tu mu będzie lepiej. Jego ojciec jest właścicielem. To mała kopalnia złota.

– Może powinien pan to przemyśleć – powiedział Stott z uśmiechem, ściskając Joemu rękę. – Potrzebne nam większe... większe zróżnicowanie etniczne w policji. Zwłaszcza w Yorkshire.

– Taa – potwierdził Hatchley. – Powiedziałem mu, że nie będzie wiedział, co gorsze, uprzedzenia czy lekceważenie.

Joe się roześmiał.

I znowu Stott poczuł, jak jego gniew osiąga punkt wrzenia i zamarza. Osły w rodzaju Hatchleya symbolizowały to wszystko, co jest złe w dzisiejszej policji. Dni tego typu są policzone.

– Czy mógłbym zadać panu kilka pytań?

– Niech pan strzela, stary. – Joe wskazał pustą restaurację. – Widzi pan, jacy jesteśmy zajęci. Proszę, niech pan siada. – Gestem zaprosił ich do stolika.

– Niech pan pamięta, co mówiłem, sierżancie – syknął Stott Hatchleyowi do ucha, kiedy szli za kelnerem. – To nie jest kolejna przerwa na posiłek.

– Oczywiście, sir. – Ale Hatchley potraktował popielniczkę na stole jako zaproszenie do zapalenia.

– Więc o to chodzi, tak? – zapytał Joe, kiedy zajęli miejsca. – Przyszliście służbowo? W sprawie tego morderstwa?

– Tak – odparł Stott.

Joe pokręcił głową.

– Straszne. Znałem tę dziewczynę.

– Znał ją pan?

– Nie, nie w dosłownym sensie. Nie, żeby z nią rozmawiać. Chodzi mi o to, że przychodziła tu z koleżankami. Własnym oczom nie wierzyłem, kiedy zobaczyłem to zdjęcie w „Evening Post”.

Stott nie miał pojęcia, jak to się stało, że nagle pojawiła się przed nimi taca z zakąskami: sajgonkami, krewetkami z czosnkiem, kulkami z kurczaka. Zauważył tylko oddalające się plecy kelnera. I nic nie słyszał. Hatchley wziął krewetkę i wrzucił sobie w usta pomiędzy jednym a drugim zaciąganiem się.

– Kiedy tu jadła? – zapytał Stott.

– Od czasu do czasu tu przychodzą. To znaczy dziewczyny ze szkoły. Może kiedy tatusiowie przysyłają miesięczny czek. Tak czy owak zwykle zachowują się spokojnie, nie sprawiają kłopotu i nie domagają się piwa. Była z nimi raz czy dwa ta Debora Harrison, którą zamordowano. Rozpoznałem ją.

– Pamięta pan coś na jej temat?

– Nie, właściwie nie. Tylko że była ładna. Przede wszystkim dlatego ją zapamiętałem.

– Zauważył pan kogoś, kto za bardzo interesował się nią albo innymi dziewczętami ze szkoły?

– No, zwracały na siebie uwagę. Dwie z nich to prawdziwe laski, no i zawsze jest coś w dziewczynie w szkolnym mundurku. Przepraszam. To było w złym guście.

– Wcale nie, Joe – powiedział Hatchley. – Wiem, co masz na myśli, i jestem pewien, że inspektor też.

Stott milczał. Na stole jakby za sprawą magii zmaterializowały się trzy butelki piwa i trzy szklanki.

– Do popicia jedzenia – powiedział Joe z uśmiechem. – Ja stawiam.

Stott zignorował piwo. Hatchley złapał butelkę i zignorował szklankę. Niech pije, pomyślał Stott. W porządku. Sam nie zamierzał tego robić. Starczy popuścić Hatchleyowi dość liny, a na pewno się na niej powiesi. Gdyby tylko sierżant nie miał takiego silnego sojusznika jak główny inspektor Banks. Stott kompletnie nie rozumiał tego związku. Banks sprawiał wrażenie kulturalnego, inteligentnego policjanta. Jakie zalety dostrzegał u Hatchleya?

Teraz jednak były ważniejsze sprawy niż przyzwyczajenia Hatchleya dotyczące jedzenia i picia.

– Więc nie zauważył pan nic nietypowego w związku z tą dziewczyną ani nikogo, kto nadmiernie interesowałby się nią albo jej przyjaciółkami?

– Nie – odparł Joe. – Nic odbiegającego od normy.

– Czy kiedykolwiek tu się z kimś spotkała? To znaczy poza koleżankami ze szkoły?

– Nie. Zawsze przychodziły i wychodziły razem. Nigdy nie było z nimi chłopców, jeśli o to panu chodzi. Za blisko szkoły, gdyby mnie ktoś pytał. Nigdy nie wiadomo, czy któryś z nauczycieli nie wpadnie i ich nie przyłapie. Oni też czasami tu jadają.

Stott spojrział na Hatchleya, który wyjął sporządzony przez rysownika portret nieznanego w Nag's Head.

– Widział pan tego człowieka?

Joe przyglądał się rysunkowi, kręcąc głową.

– Nie bardzo go przypomina, tylko włosy ma takie same – powiedział. – Wczoraj wieczorem był u nas facet, który trochę tak wyglądał.

Stottowi puls przyśpieszył.

– W co był ubrany?

– W pomarańczową kurtkę.

– Wysoki?

– Owszem. W każdym razie miał ponad metr osiemdziesiąt.

– O której przyszedł?

– Około wpół do siódmej. Pamiętam, bo o tej porze nikogo poza nim nie było. Marny wieczór.

Czas pasuje, pomyślał Stott, coraz bardziej podekscytowany. Morderca wypił kilka drinków w Nag's Head, zabił Deborę Harrison, a potem przyszedł tu na kolację.

– Zrobił albo powiedział coś nietypowego?

– Był niespokojny. Widziałem, jak raz czy dwa coś do siebie mamrotał.

– Słyszał pan co?

– Niestety nie.

– Kto go obsługiwał?

– Ja. Z powodu mgły mieliśmy problemy z personelem. Na pewno był głodny. Najpierw zamówił sajgonki, potem wołowinę w pomarańczach i krewetki seczuańskie, ryż i szklanę lagera. Wszystko zjadł.

– Rozmawiał pan z nim?

– Tylko przy przyjmowaniu zamówienia. Nie był zbyt gadatliwy, więc nie naciskałem. Człowiek się uczy, jak się zachowywać w tym biznesie, który gość ma ochotę pogadać, a który chce, żeby zostawić go w spokoju. Ten facet chciał, żeby zostawić go w spokoju.

Stott zobaczył, jak jego butelka piwa znika w dłoni Hatchleya. Nie zareagował.

– Zauważył pan coś jeszcze?

– Tak. Miał niewielkie zadrapanie wysoko na lewym policzku. – Joe pokazał to miejsce na swojej twarzy.

Stott z trudem ukrywał podniecenie. W czasie sekcji znaleziono skórę i tkankę pod paznokciem środkowego palca prawej ręki Debory Harrison. Podrapała napastnika. To musi być Jelačić.

– Jak długo u was był?

– Tyle, ile zajęło złożenie zamówienia i jedzenie. Ze trzy kwadransy.

– Miał samochód?

– Jeśli nawet, to ja go nie widziałem. Ale odniosłem wrażenie, że przyszedł pieszo. To znaczy kto wsiadałby do samochodu, żeby w pojedynkę przyjechać do chińskiej restauracji? Chociaż jedzenie mamy świetne. Ja zamówiłbym coś na wynos, niech kto inny prowadzi.

– Słuszna uwaga – powiedział Stott. – Widział pan, dokąd poszedł?

– Niestety nie.

Kącikiem oka Stott dostrzegł, że ostatnia sajgonka znika pomiędzy dwoma grubymi jak parówki palcami sierżanta.

– Widział go pan wcześniej?

Joe pokręcił głową.

Stott się uśmiechnął.

– Nie podejrzewam, że przypadkiem wspomniał, jak się nazywa, co?

Joe odpowiedział uśmiechem.

– Przykro mi. Adresu też nie podał. Nie. Jak mówiłem, jedni lubią pogadać, inni nie. – Na chwilę umilkł. – Ale coś panu powiem.

– Co?

Joe wstał.

– Jeśli pamięć mnie nie myli, zapłacił kartą. Niewykluczone, że uda się wam uzyskać jego nazwisko. Jeszcze nie rozliczyłem kasy. Mam przynieść?

Stott w duchu podziękował Bogu.

Joe wrócił z plikiem wydruków Visy i zaczął je przeglądać.

– Nie ten. Nie ten... nie... nie... Tak. To ten.

Stott pośpiesznie złapał kawałek papieru, ale kiedy na niego spojrział, humor mu się zepsuł. Nie potrafił odczytać podpisu – plątaniny wirów i pętelek – w lewym górnym rogu jednak widniało

wydrukowane wyraźnie nazwisko. I to nie był Ive Jelačić.

Obok siebie usłyszał gulgot towarzyszący opróżnianiu butelki piwa, po którym nastąpiło dźwięczne beknięcie.

III

– Dobrze – powiedział Banks – skoro wszyscy troszkę się uspokoiliśmy, to możemy się zabawić w prawdę albo konsekwencje. Zapewniam was, konsekwencje będą cholernie surowe, jeśli wybieriecie taką opcję. Zrozumiano?

Troje bladych, udręczonych osób w chłodnym salonie plebanii równocześnie skinęło głowami. Brązowo-biały kłęb futra przy kominku podrapał się i znowu znieruchomiał.

W momencie gdy Banks się pojawił w holu, Patrick Metcalfe rzucił się do ucieczki. Może wierzył, że potęga jego miłości zdoła pokonać nieszczęśliwych mężów, ale musiał wiedzieć, że nie ma szans w starciu z długim ramieniem sprawiedliwości. Niestety, potknął się o próg i spadł z trzech kamiennych stopni. W deszczu wyłożył się na zniszczonym chodniku, kłęb i trzymał się za kolano. Banks chwycił go mocno, pomógł mu wejść do środka i posadził go w fotelu.

Siedział tam teraz z włosami przyklejonymi do czaszki, z posępną miną. Szczupłe ciało i zapadnięte policzki nadawały mu wygląd suchotnika. Rzuczał Rebecce Charters znaczące spojrzenia, ale ona unikała jego pełnego uczucia wzroku.

Do tego czasu Rebecca przyniosła z kuchni butelkę wina i naląła sobie do kieliszka. Zaczynała wyglądać niewyraźnie. Daniel Charters z głęboką bruzdą na wysokim czole i mięśniem drgającym pod lewym okiem siedział z założonymi nogami; bladł coraz bardziej i wyglądał jak człowiek, który przedwcześnie się postarzał.

– Panie Charters – zwrócił się do niego Banks. – Próbował mi pan powiedzieć, gdzie pan był wczoraj wieczorem, kiedy tak niegrzecznie nam przerwano.

– Był ze mną – wypalił nowo przybyły.

– A pan to?

– Patrick Metcalfe. Uczę historii w szkole Marii Panny.

– Więc znał pan Deborę Harrison?

– Nie powiedziałbym, że ją znałem. W zeszłym roku uczyłem ją historii.

– I mówi pan, że pan Charters był z panem wczoraj wieczorem?

– Tak.

– O której przyszedł?

Metcalfe wzruszył ramionami.

– Za kwadrans szósta, jakoś tak. Myślałem, żeby włożyć coś do mikrofalówki na kolację, a zwykle jem około szóstej.

– Pan to potwierdza, panie Charters?

Pastor ponuro potaknął.

Banks spojrzał na Metcalfe'a.

– Gdzie pan mieszka?

– W jednym ze szkolnych mieszkań. Na terenie szkoły.

– Sam?

– Tak, sam. – Metcalfe spojrzał tęsknie na Rebeccę Charters, która wpatrywała się w kieliszek wina.

– O której pan Charters wyszedł? – pytał dalej Banks.

– Mniej więcej za dziesięć szósta. Nie był u mnie dłużej niż pięć minut. Od razu się zorientował, że nie interesowało mnie, co ma mi do powiedzenia.

Co oznaczało, że Charters nie miał alibi na najistotniejszy czas tuż przed szóstą i zaraz po niej. Banks widział, jak Rebecca przyjmuje tę informację ze zmarszczonym czołem. Skłamała dla męża po to tylko, by ktoś inny zapewnił mu alibi, ale zaraz je podważył. Czy wiedziała, gdzie był za dziesięć szósta i później oraz kiedy wrócił do domu?

A poza tym, uświadomił sobie Banks, to Patricka Metcalfe'a także pozostawiało bez alibi. A skoro o tym mowa, do tego grona powinien włączyć i Rebeccę – miał tylko jej słowo, że około szóstej słyszała coś, co przypominało krzyk.

– W co pan był ubrany? – spytał Banks Chartersa.

– W co? Płaszcz przeciwdeszczowy.

– Kolor?

– Beżowy.

– Mogę go zobaczyć?

Charters poszedł po płaszcz do szafy w holu. Banks dokładnie go obejrzał, ale nie dostrzegł śladów krwi ani ziemi.

– Pozwoli pan, że go zabiorę i oddam do laboratorium? – zapytał. – Oczywiście wystawię panu pokwitowanie.

Charters wyraźnie się przestraszył.

– Powinienem wezwać prawnika?

- Nie, jeśli nie ma pan nic do ukrycia.
- Nie mam nic do ukrycia. Proszę bardzo, niech pan go bierze.
- Dziękuję.
- Dokąd pan poszedł po wyjściu od pana Metcalfe'a?
- Nigdzie. Po prostu chodziłem.
- Gdzie?
- Po terenie szkoły. Koło rzeki.
- Widział pan kogoś?
- Owszem, kilka osób.
- A na moście albo w jego pobliżu?

Charters chwilę się zastanawiał, po czym powiedział:

- Tak, jak się nad tym zastanawiam, to rzeczywiście kogoś widziałem. Kiedy opuściłem teren szkoły główną bramą i przeszedłem na drugą stronę ulicy, przede mną jakiś mężczyzna szedł Kendal Road w stronę mostu.

– Dobrze się mu pan przyjrzał?

- Nie. Zatrzymał się na moście, ja go wyminąłem. Był mniej więcej mojego wzrostu – prawie metr dziewięćdziesiąt – i miał na sobie pomarańczowy anorak. Z tyłu tyle udało mi się zobaczyć. Włosy miał ciemne i dość długie.

– Jest pan pewien, że to był mężczyzna?

- Tak. Nawet w tej mgle było to jasne ze sposobu, w jaki szedł. Jest coś... nie wiem, jak to wyjaśnić... ale jestem przekonany, że to był mężczyzna.

– Może mi pan więcej o nim opowiedzieć?

– Obawiam się, że nie. Miałem inne sprawy na głowie.

– Czy to mogła być czerwona wiatrówka, a nie pomarańczowy anorak?

Charters zmarszczył czoło.

– Chyba tak. W gruncie rzeczy nie zwracałem na niego uwagi.

– Mam nadzieję, panie Charters, że zdaje pan sobie sprawę, że gdyby nadal pan nas okłamywał, równocześnie ukrywałby pan ważne dowody.

Charters milczał.

– Dokąd pan potem poszedł? – zapytał Banks.

– Skręciłem w North Market Street, przez pewien czas nią szedłem, potem Constance Avenue zawróciłem na ścieżkę nad rzeką, która prowadzi do plebanii. – Spojrzał na Rebeccę i zaraz

odwrócił wzrok. – Ale gdy się znalazłem na miejscu, nie... nie... chciałem wchodzić do środka i... Jeszcze nie. Spacerowałem przez dobre dziesięć minut, później poszedłem do domu.

– I to wszystko?

– Tak.

– Czy w którymś momencie wszedł pan na kościelny dziedziniec?

– Nie. Żałuję, że tego nie zrobiłem. Niewykluczone, że byłbym w stanie zapobiec zamordowaniu tej biednej dziewczyny.

– O której mąż wrócił do domu, pani Charters?

– Był już, kiedy przyszedłem z cmentarza.

– I to było mniej więcej za piętnaście siódma?

– Tak.

– A co pan robił, kiedy pan Charters opuścił pańskie mieszkanie? – zwrócił się Banks do Metcalfe'a.

– Niewiele. Podgrzałem sobie kolację. Zastanawiałem się, czy przyjść tutaj i zakończyć tę idiotyczną szaradę, ale uznałem, że to nie jest dobry pomysł.

– Jaką idiotyczną szaradę?

Wszyscy przez chwilę milczeli, jakby ktoś w końcu za daleko się posunął, i szukali sposobu ukrycia gąfy. Wreszcie przemówił Daniel Charters.

– Poszedłem porozmawiać z Metcalfe'em, bo chciałem go przekonać, żeby przestał spotykać się z moją żoną.

Banks spojrzał na Metcalfe'a.

– To prawda?

– Tak.

– I co pan odpowiedział?

Metcalfe wykrzywił się pogardliwie do Chartersa.

– Że mnie to nie interesuje i że jest za późno. Rebecca i ja kochamy się i razem stąd wyjedziemy.

Banks przeniósł spojrzenie na Rebeccę. Pochyliła głowę, nie widział więc wyrazu jej twarzy, tylko gęste rude włosy opadające na kolana. Kieliszek wina od kilku minut stał nietknięty na stole.

– Powiedz mu – ponaglił Metcalfe. – No, Rebecco. Powiedz mu, że to prawda. Że wasze małżeństwo to fikcja. Powiedz, jak bardzo cię tłamsi, niszczy twoją prawdziwą naturę. Powiedz, że nie kochasz swojego...

– Nie!

– Słucham?

Rebecca Charters podniosła głowę i spojrzała prosto na Metcalfe'a. W jej ciemnych oczach błyszczały łzy gniewu.

– Powiedziałam „nie”, Patricku. – Wydawało się, że odzyskuje panowanie nad sytuacją, wzbierające łzy jednak nie popłynęły. Mówiła spokojnie. – Próbowałam wcześniej ci to powiedzieć, ale ty mnie nie słuchałeś. Nie chciałeś zrozumieć. Nie bronię się. To, co zrobiłam, jest złe. Bardzo złe. – Spojrzała na męża, który nie okazał żadnych emocji, potem przeniosła wzrok z powrotem na Metcalfe'a. – Ale to jest moja wina, mój grzech. Jeśli nie byłam dość silna, by stać przy mężu, kiedy najbardziej mnie potrzebował, jeśli pozwoliłam, by zapowiedź skandalu i podejrzenia zatrąły moje małżeństwo, to także jest mój błąd, moja słabość. Ale nie zamierzam dodawać do tego kłamstw. – Zwróciła się do Banksa. – Tak, inspektorze, miałam romans z Patrickiem. Poznałam go na wieczorku, który urządziliśmy dla personelu szkoły i ostatniej klasy w połowie zeszłego miesiąca. Był czarujący, pełen pasji, interesujący, a ja się w nim zadurzyłam. Przechodziliśmy z Danielem trudny okres, myślę, że pan o tym wie, i kiedy powinnam być silna, okazałam się słaba. Nie jestem z siebie dumna, ale chcę, żeby pan wiedział jedno: okłamałam pana wyłącznie ze strachu, że zbyt wiele pytań doprowadzi właśnie do takiej sytuacji, jaką mamy teraz. A skoro do niej doszło, jestem zadowolona, proszę mi wierzyć, chociaż za wszelką cenę usiłowałam jej uniknąć. Ostatnio w tym domu było o wiele za dużo nieufności i podejrzeń. Nie wierzę, że mój mąż miał cokolwiek wspólnego z tym morderstwem, podobnie jak nie wierzę, że jest zdolny do tego, o co oskarżył go ten nikczemnik. – Znowu spojrzała na Metcalfe'a; od łez nadal błyszczących w jej oczach zwilgotniały długie ciemne rzęsy. – Przepraszam, Patricku, jeśli cię zwodziłam. Nie miałam takiego zamiaru. Winą obarcz niemądrą kobietę szukającą tymczasowej ucieczki. Byłeś tylko sposobem na oderwanie myśli. Nie chciałam, żebyś się we mnie zakochał. Myślę, że gdybyś był wobec siebie szczery, musiałbyś przyznać, że wcale się we mnie nie zakochałeś. Moim zdaniem jesteś zakochany w samej idei bycia zakochanym, ale za bardzo absorbuje cię własna osoba, żebyś mógł pokochać kogoś innego.

Metcalfe wstał.

– To nieprawda, Rebecco. Ja naprawdę cię kocham. Czy nie widzisz, jaka jesteś teraz ślepa? Jeśli zostaniesz, będziesz wędła i umrzesz przedwcześnie, zanim nawet...

Z fotela dobiegł chrapliwy odgłos. Banks zobaczył, jak Daniel Charters się pochyła, chowa głowę w dłoniach i zaczyna płakać jak dziecko. Rebecca zerwała się na równe nogi, podbiegła i go objęła.

– On nawet nie lubi kobiet – ciągnął Metcalfe. – Przecież nie możesz...

Banks wziął płaszcz Chartersa, złapał Metcalfe'a za kołnierz i poprowadził do frontowych drzwi.

Chociaż Metcalfe był o kilka centymetrów wyższy, nie opierał się, mruzczał tylko coś o brutalności policji.

Za progiem Banks zatrzasnął drzwi, zszedł z Metcalfe'em na podjazd i wyrzucił go za bramę prosto na ścieżkę biegnącą nad rzekę.

– Wynocha – powiedział.

Mamrocząc pod nosem, Metcalfe ruszył w stronę szkoły. Zamykając bramę, Banks obejrzał się na dom i w oknie zobaczył Rebeccę z Danielem. Rebecca tuliła głowę męża do piersi, jakby był dzieckiem, i gładziła go po włosach. Jej usta otwierały się i zamykały, chyba wypowiadała uspokajające słowa.

Banks miał na plebanii nieskończoną sprawę – jeszcze nie byli poza podejrzeniami – ale może ona zaczekać. Spojrzał na ciemne niebo, jakby szukając oświecenia, ale na twarzy poczuł tylko zimne krople deszczu. Kichnął. Postawił kołnierz i ruszył ścieżką nad rzeką w stronę mostu przy Kendal Road.

Rozdział 6

I

Owen Pierce otworzył butelkę wina i wyjął z piekarnika podgrzane resztki wołowego gulaszu z zeszłego tygodnia, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi.

Mrucząc pod nosem przekleństwo, wstawił gulasz z powrotem do piekarnika i potruchtał do holu. Przez mrożoną szybę w drzwiach widział kontury dwóch postaci, jednej wysokiej i masywnej, drugiej niższej i szczuplejszej.

Kiedy otworzył, w pierwszej chwili pomyślał, że to świadkowie Jehowy albo mormoni – kto inny chodzi po domach ubrany w garnitur? Ale ci dwaj nie do końca pasowali. Prawda, jeden z nich rzeczywiście miał powierzchność handlarza Biblią – odstające uszy, okulary, każdy włos na swoim miejscu, wygląd człowieka świeżo wyszorowanego – za to drugi bardziej przypominał zbira.

– Pan Pierce? Pan Owen Pierce? – zapytał komiwojazer.

– Tak, to ja. Posłuchajcie, właśnie miałem zjeść kolację. Co się stało? Czego chcecie? Jeśli sprzedajecie...

– Policja – ciągnął nieznajomy. – Jestem inspektor Stott, a to sierżant Hatchley. Możemy wejść? – Machnęli odznakami. Owen odsunął się, robiąc im przejście.

Kiedy weszli do salonu, ten wielki zaczął się rozglądać.

– Ładnie tu – powiedział Stott, podczas gdy jego partner krążył po pokoju, biorąc do ręki wazon i zaglądnąwszy do środka, otwierając na kilka centymetrów szuflady, sprawdzając książki.

– Zaraz, co to ma być? – zapytał Owen. – Czy on może tak grzebać w moich rzeczach? Tu nie ma narkotyków, jeśli tego szukacie.

– Och, niech pan nie zwraca uwagi na sierżanta Hatchleya. Taki już jest. Nienasycona ciekawość.

– Nie powinniście mieć nakazu przeszukania czy czegoś takiego?

– No cóż, Owenie – odparł Stott – to działa tak. Rzeczywiście moglibyśmy pójść do sędziego pokoju i złożyć wniosek o nakaz przeszukania pańskiego lokalu, ale to zabiera mnóstwo czasu. Sierżant Hatchley musiałby zostać tu z panem, podczas gdy ja zająłbym się formalnościami. Myślę, że ten sposób dla wszystkich jest o wiele lepszy. Zresztą nie ma pan nic do ukrycia, prawda?

– Nie, nie, nie o to chodzi. Tylko że...

– No tak – powiedział Stott z uśmiechem. – W takim razie w porządku, prawda?

– Tak sądzę.

– Mogę usiąść?

– Niech pan się czuje jak u siebie w domu.

Stott zajął miejsce na krześle koło kominka ze sztucznymi węglami, Owen – naprzeciwko niego na sofie. Kubek z do połowy wypitą kawą stał na rozdzielającym ich stoliku ze szklanym blatem obok kilku niezapłaconych rachunków i ostatniego numeru „Radio Times”.

– Obawiam się, że macie nade mną przewagę – powiedział Owen. – O co tu chodzi?

– Rutynowe działanie. Ma pan brzydkie zadrapanie na twarzy. Może pan zdradzić, skąd się wzięło?

Owen dotknął policzka.

– Nie mam pojęcia. Obudziłem się rano i już było.

– Czy wczoraj wieczorem był pan w okolicy szkoły Marii Panny w Eastvale?

– Niech pomyślę... Tak, tak. Wydaje mi się, że byłem. – Spojrzał na Hatchleya, który sprawiał wrażenie zafascynowanego odbitką *Kapiących się Renoira* nad kominkiem.

– Dlaczego?

– Co? Przepraszam.

– Niech pan na chwilę zignoruje sierżanta Hatchleya – powiedział Stott. – Niech pan patrzy na mnie. Pytałem, dlaczego pan był koło Marii Panny.

Owen wzruszył ramionami.

– Bez szczególnego powodu. Spacerowałem.

– Spacerował pan? W taką podłą pogodę?

– No, jeśli pozwoli pan, żeby zależało to od pogody, to w Yorkshire niewiele pan pospaceruje.

– Stąd do Marii Panny jest całkiem daleko.

– Nie więcej niż cztery i pół kilometra w jedną stronę. A droga wzdłuż rzeki jest bardzo przyjemna. Nawet we mgle.

Hatchley wyłowił „Playboya” z półki na czasopisma i pokazał Stottowi. Stott zmarszczył czoło i wyciągnął rękę. Na okładce była kształtna blondynka w skąpych różowych koronkowych figach z czarnym obszyciem, przezroczystej koszulce, pasie do pończoch i pończochach. Klęczała na sofie, tyłem do patrzącego. Twarz zwróciła do kamery: błyszczące czerwone usta, oczy w niemożliwym odcieniu zieleni, zamglone, jakby właśnie się obudziła z głębokiego snu. Cieniutkie ramiączko zsunęło się z jednego ramienia.

– Kupiłem go ze względu na opowiadanie, które chciałem przeczytać – powiedział Owen, czując, jak się oblewa rumieńcem. Nie tyle chodziło o to, że przyłapano go z czymś pokręconym

i perwersyjnym, ile o to, że pismo było mało literackie, dla kogoś mniej inteligentnego. – To nie jest nielegalne. Można je kupić w każdym kiosku. To nie jest pornografia.

– To kwestia opinii, nie uważa pan? – odparł Stott. Oddał czasopismo Hatchleyowi takim gestem, jakby wrzucał coś do kosza na śmieci, trzymając je palcem wskazującym i kciukiem.

– I jest tu kaseta wideo z seksownymi filmikami, tak wynika mi z tytułów – powiedział Hatchley. – Jeden się nazywa *Koniec szkoły*. I powinien pan się przyjrzeć pozom w tych tak zwanych albumach artystycznych.

– Jestem fotografem amatorem – oznajmił Owen. – To moje hobby. Na rany Chrystusa, czego się spodziewacie? O to tu chodzi? O pornografię? Bo jeśli tak...

Stott machnął ręką.

– Nie. W gruncie rzeczy to bez znaczenia, choć może okazać się ważne. Zobaczymy. Mieszka pan sam, panie Pierce?

– Tak.

– Gdzie pan pracuje?

– Jestem wykładowcą angielskiego w Eastvale College.

– Był pan żonaty?

– Nie.

– Dziewczyny?

– Kilka.

– Ale z żadną pan nie mieszkał?

– Nie.

– Kasety i czasopisma wystarczają panu do uzyskania satysfakcji, co?

– Zaraz, zar...

Stott podniósł rękę.

– Przepraszam. Przepraszam, nie powinienem tego mówić. To z mojej strony niesmaczne. Niestosowne.

Dlaczego Owen nie potrafił uwierzyć w szczerłość tych przeprosin? Wyczuwał wyraźnie, że Stott wygłosił tę uwagę celowo, żeby go zirytować. Miał nadzieję, że zdał egzamin, chociaż nie był do końca pewny, jak brzmiało pytanie. Z każdą minutą czując się coraz bardziej jak Kafkowski Józef K., poprawił się na krześle.

– Dlaczego pan o to wszystko pyta? – powtórzył. – Powiedział pan, że wszystko mi wyjaśni.

– Naprawdę? Ale najpierw pozwoli pan, że rozejrzemy się w innych pomieszczeniach? To może

nam oszczędzić powtórnej wizyty.

– Proszę bardzo – odparł Owen. Towarzyszył policjantom, gdy obchodzili dom. To nie było gruntowne przeszukanie i Owen odnosił wrażenie, że udzieliwszy im zgody, przypuszczalnie oszczędził sobie mnóstwa kłopotów. Widział w telewizji, jak wyglądały mieszkania po rewizji. Oni natomiast tylko pobieżnie obejrzelili sypialnie, z których jedna była całkowicie pusta, otworzyli szafę i szuflady. W gabinecie Stott podziwiał akwarium z tropikalnymi rybkami, a Hatchley oczywiście grzebał w zbiorach fotografii Owena. Znalazł czarno-białe akty Michelle i pokazał je Stottowi, który zmarszczył brwi.

– Kto to jest? – zapytał.

Owen wzruszył ramionami.

– Modelka.

– Jak się nazywa?

– Przykro mi, nie pamiętam.

– Wygląda bardzo młodo.

– Miała dwadzieścia dwa lata, kiedy robiłem te zdjęcia.

– Hm, naprawdę? – mruknął Stott, oddając fotografię Hatchleyowi. – Dostrzega pan podobieństwo, sierżancie?

– O tak, sir, dostrzegam.

– Podobieństwo do kogo?

– Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że te fotki też zabierzemy?

– Prawdę mówiąc, będę miał. To jedyne odbitki, a negatywy zgubiłem.

– Rozumiem. Chce je pan zatrzymać z powodów sentymentalnych. Ale my dobrze się nimi zaopiekujemy. Zaraz... mówił pan, że to tylko modelka?

– Tak. I nie powiedziałem, że chcę je zatrzymać z powodów sentymentalnych. Stanowią część mojego portfolio. Na wystawy i tak dalej.

– Ach, rozumiem. W takim razie weźmiemy tylko jedną, dobrze?

– W porządku. Skoro musicie.

Hatchley nadal oglądał albumy ze sztuką na półce nad szafką. Jeden dotyczył japońskiej sztuki erotycznej; otworzył go na szkicu węglem przedstawiającym dwie młode dziewczyny splecione na łóżku. Albo zgoliły włosy łonowe, albo jeszcze ich nie miały, trudno było rozstrzygnąć. Podsunął go Stottowi pod oczy.

– To jak albumy w tamtym pokoju, sir – powiedział. Stott zadarł nos. – A niektóre z tych książek

były przedmiotem procesów sądowych – ciągnął sierżant. – *Kochanek lady Chatterley, Nagi lunch, Ulisses, Delta Wenus*, markiz de Sade...

– Na litość boską! – przerwał mu Owen. – Własnym uszom nie wierzę. Uczę angielskiego, wy pierdoleni idioci. Tym zarabiam na życie.

– Hej, przyjacielu, momencik. – Hatchley podszedł do niego. – Ostatni gość, który użył takiego języka wobec mnie, miał brzydki wypadek na schodach posterunku.

– Grozi mi pan?

Hatchley zadarł brodę.

– Niech pan to rozumie, jak pan chce.

– Proszę przestać, sierżancie – wtrącił się Stott. – Nie pozwolę, żeby pan tak mówił do obywatela. Niech pan natychmiast przeprosi pana Pierce’a.

– Tak jest, sir – odparł Hatchley. Spojrzał na Pierce’a i powiedział: – Przepraszam pana.

– Gdyby mnie pan pytał – oznajmił Owen – to wy jesteście chorzy. Jak ci, co polowali na czarownice, wszędzie widzicie dzieło szatana.

– Bo może to dzieło jest wszędzie – odparł Stott spokojnie. – Nie przyszło to panu do głowy?

– Po prostu trudno mi uwierzyć, że jest ktoś, kto nadal uważa *Kochanka lady Chatterley* i *Ulissesa* za świńskie książki, to wszystko.

Ponownie usiedli w salonie.

– Może teraz opowie mi pan, co wczoraj wieczorem robił pan w Marii Pannie – zaczął Stott. – Sierżant Hatchley będzie notował. Niech się pan nie śpieszy. Powoli.

Owen opowiedział o spacerze, o drinkach w Nag’s Head, kolacji w Peking Moon i powrocie do domu. Przez cały ten czas Stott nie spuszczał z niego wzroku. Surowa, trójkątna twarz nie zdradzała emocji, oczy za szklami okularów wydawały się zimne. Uszy tego człowieka o mało nie skłoniły Owena do wybuchu śmiechu, ale się powstrzymał. Ten wielki, Hatchley, bazgrał w kołonoratniku. Owen był zaskoczony, że w ogóle potrafi pisać.

– Ma pan zwyczaj mówić do siebie, panie Pierce? – zapytał Stott, kiedy Owen skończył.

Pierce poczerwieniał.

– Ściśle rzecz biorąc, nie mówię do siebie. Czasami pogrążam się w myślach i zapominam, że dokoła są ludzie. Panu to się nie zdarza?

– Nie – odparł Stott. – Nigdy.

W końcu, kiedy go poprosili, żeby ponownie omówił jeden czy dwa wybrane na chybił trafił szczegóły, Hatchley zamknął notatnik, a Stott podniósł się z fotela.

– To na razie wszystko – powiedział.

– Na razie?

– Niewykluczone, że znowu będziemy chcieli z panem porozmawiać. Nie wiem. Najpierw musimy sprawdzić kilka rzeczy. Pozwoli pan, że wychodząc, zajrzemy do szafy w holu?

– Dlaczego?

– Rutynowe działanie.

– Proszę bardzo. Coś mi się wydaje, że nie mógłbym wam zabronić.

Stott i Hatchley przeszukali rząd płaszczy i kurtek, z którego wyciągnęli nowy pomarańczowy anorak.

– W tym był pan wczoraj wieczorem?

– Tak, owszem, ale...

– A buty?

– Tak, te. Posłuchajcie...

– Pozwoli pan, że je weźmiemy?

– Ale dlaczego?

– W celu eliminacji.

– Mówi pan, że to pomoże wyjaśnić sprawę?

Stott się uśmiechnął.

– Tak, to niewykluczone. Oddamy je tak szybko, jak to będzie możliwe. Przyniósłby mi pan wielki plastikowy worek, kiedy sierżant będzie wypisywał pokwitowanie?

Owen poszedł do kuchni po worek na śmieci, potem patrzył, jak Stott wkłada do niego anorak i buty, a Hatchley wypisuje pokwitowanie. Wziął je i podpisał się pod oświadczeniem, że rzeczy przekazane policjantom należą do niego.

Hatchley zajął się workiem, Stott schował fotografię do portfela, po czym ruszyli do wyjścia.

– Nie powiecie mi, o co tu chodzi? – ponownie zapytał Owen, otwierając drzwi. Nadal lało.

Stott odwrócił się, marszcząc czoło.

– Wie pan, to właśnie jest zabawne, że pan nie wie. – Wolno pokręcił głową. – Można by pomyśleć, że nie czyta pan gazet. Co jest dziwne w przypadku tak wykształconego człowieka jak pan.

II

Sypialnia Tracy Banks, w której paliła się tylko lampa, tak jak sypialnia Debory Harrison była typowym pokojem nastolatki: plakaty gwiazd popu na ścianie, przenośny magnetofon, wąskie łóżko,

zwykle niepościelone, ubrania na całej podłodze.

Tracy miała także biurko i przypuszczalnie więcej książek niż spora część jej rówieśniczek. Obejmowały cały wachlarz od *O czym szumią wierzby* do *Historii świata* wydawnictwa Penguin. Rząd lalek i pluszowych misiów siedział na najniższej półce biblioteczki; zawsze przypominały Banksowi, że jego córka jeszcze nie oddaliła się od dzieciństwa. Pewnego dnia wszystkie znikną, tak jak zniknęła większość jego zabawek: fort z żołnierzami, kolejka Hornby, klocki i autka Meccano. Nie miał pojęcia, gdzie się podziały. Razem z jego dzieciństwem.

Tracy w czarnych legginsach i luźnej koszulce leżała na łóżku. Wyglądała, jakby płakała. Kiedy Banks dostał wiadomość od Sandry, swojej żony, że Tracy jest bardzo przybita i chce z nim rozmawiać, natychmiast pojechał do domu.

Teraz siedział na brzegu łóżka i gładził córkę po zebranych w koński ogon włosach.

– O co chodzi, kochanie? – zapytał.

– Nie powiedziałaś mi wczoraj wieczorem.

– Mówisz o morderstwie?

– Tak. Och, wszystko w porządku. Wiem, dlaczego mi nie powiedziałaś. – Pociągnęła nosem. – Chciałaś mnie oszczędzić. Nie mam do ciebie pretensji, nie jestem na ciebie zła. Żałuję tylko, że mi nie powiedziałaś. Nie przeżyłabym takiego szoku, kiedy wszystkie dziewczyny w szkole zaczęły o tym mówić.

– Przepraszam – odparł Banks. – Zdawałem sobie sprawę, że w końcu się dowiesz i to cię zdenerwuje. Chyba próbowałem ci zapewnić jeszcze jedną spokojną noc, zanim będziesz musiała stawić temu czoło. Może z mojej strony było to samolubne.

– Nie, naprawdę. Wszystko w porządku.

– Więc co się dzieje?

Tracy chwilę milczała. Z parteru dobiegał śmiech i muzyka.

– Znałam ją – powiedziała wreszcie.

– Kogo znałaś?

– Deborę Harrison. Znałam ją.

Poza tym, że obie były ślicznymi jasnowłosymi nastolatkami, Tracy i Debora Harrison bardziej się różnić nie mogły, jeśli chodzi o pochodzenie i klasę. Debora chodziła do drogiej elitarniej szkoły Marii Panny, gdzie starannie przygotowywano ją do Oksfordu albo Cambridge, a Tracy uczyła się w państwowym liceum w Eastvale, gdzie musiała rozpychać się łokciami, walcząc z przepelnionymi klasami, powszechną apatią i niekompetentnymi nauczycielami, by przyzwicie zdać maturę i dostać

się do jednego z sześciu najlepszych uniwersytetów. A teraz mówi, że znała Deborę.

– Skąd? – zapytał.

Tracy usiadła po turecku, naciągając kołdrę na ramiona niczym szal.

– Nie będziesz na mnie zły, tato? Obiecuj.

Banks się uśmiechnął.

– Mam przeczucie, że to mi się nie spodoba, ale daję słowo.

Tracy wzięła głęboki wdech, po czym powiedziała:

– Poznałam ją latem. Kilka razy byłam w Swainsdale Center koło dworca autobusowego.

– Zadawałaś się z tymi łobuzami? Jezu Chryste, Tracy, ja...

– Widzisz! Wiedziałam, że będziesz zły.

Banks nabrał powietrza.

– Dobra. Nie jestem zły. Tylko zaskoczony, to wszystko. Jak mogłaś coś takiego zrobić? Ci smarkacze to ćpuny, wandalę, najgorsze męty.

– Och, nie robiliśmy nic złego, tato. To tylko miejsce, do którego się chodzi, nic więcej. A oni nie są tacy źli, naprawdę. Wiem, że niektórzy wyglądają dziwnie i groźnie, ale tacy nie są. Co ty robiłeś, kiedy byłeś młody i nie miałeś dokąd pójść?

Banks chciałby odpowiedzieć: „Odwiedzałem muzea i galerie sztuki, chodziłem na długie spacerory i koncerty muzyki klasycznej, czytałem książki”, ale nie mógł. Zasadniczo z przyjaciółmi wystawał na rogach ulic, wałęsał się po nieużytkach albo pustych boiskach szkolnych. Czasami nawet włamywali się do domów przeznaczonych do rozbiórki i tam się bawili.

– Okej – powiedział. – Na razie to pomińmy. Mów dalej.

– Pewnego dnia Debora Harrison była tam na zakupach, a jedna dziewczyna z naszej paczki znała ją z konkursu ujeżdżania albo pływakiego, nie wiem dokładnie, i zaczęły rozmawiać. Dwa dni później znowu przyszła, mniej wystrojona, i tak to się zaczęło. Myślę, że nudziło ją siedzenie w domu i uczenie się, więc uznała, że na chwilę zniży się do naszego poziomu.

– A jej przyjaciółki?

– Nie wydaje mi się, żeby jakieś miała. Mówiła, że większość dziewczyn ze szkoły wyjechała na wakacje. Te z internatu oczywiście wróciły do domu, a pozostałe poleciały do egzotycznych miejsc jak Ameryka czy południe Francji. Dlaczego my tam nie jeździmy, tato?

– W tym roku byłaś we Francji.

Klepnęła go w ramię.

– Tylko żartuję. To nie było pytanie na poważnie.

– Kiedy Debora przyłączyła się do waszej paczki?

– Chyba na początku sierpnia.

– Jak pozostali się do niej odnosili?

– Czasami się z niej wyśmiewali, że zachowuje się jak wielka pani, ale się nie obrażała. Mówiła, że tacy też muszą być, a poza tym to wcale nie jest taki miód.

– Co przez to rozumiała?

– Ona po prostu tak mówiła o różnych rzeczach.

– Chwaliła się bogactwem, popisывała się nim?

– Nie. W każdym razie ja nie widziałam.

– Jak długo spędzała czas z waszą paczką?

– Jakieś trzy tygodnie, z przerwami.

– A później ją spotkałaś?

Tracy pokręciła głową.

– No, pod żadnym pozorem nie chciałyby, żeby ją widziano z takimi jak my, no nie? Skoro jest znowu w szkole. – Zakryła usta dłonią. – Przepraszam, tato. Jeszcze się nie przyzwyczyłam do myśli, że ona nie żyje.

Banks poklepał ją po ramieniu.

– Wszystko w porządku, kochanie. To musi potrwać. Jak dobrze ją znałaś?

– Niezbyt, choć kilka razy rozmawialiśmy. Wiesz, zyskiwała, kiedy się ją bliżej poznało. To znaczy nie była straszną snobką. No i była inteligentna.

– Rozmawialiście o szkole?

– Czasami.

– Co sądziła o Marii Pannie?

– Że jest w porządku. Przynajmniej nauczyciele byli dobrzy, a klasy dość małe. Mówiła, że na dziesięć uczennic przypada jeden nauczyciel. U nas to raczej jeden na pięciuset.

– O jakimś nauczycielu mówiła w szczególności?

– Nie przypominam sobie.

– Patrick Metcalfe. To nazwisko brzmi znajomo?

Tracy pokręciła głową.

– Nie.

– A co jeszcze mówiła o szkole?

– Właściwie niewiele. Tylko rzeczy w rodzaju: „Zdziwilibyście się, gdybyście wiedzieli

o niektórych rzeczach, które tam się dzieją”. Strasznie melodramatycznie.

– Według ciebie co miała na myśli?

Tracy spuściła wzrok i potarła dłonią kolano.

– No wiesz, w internacie mieszka mnóstwo dziewczyn. Uznałam, że chodzi jej, no, o lesbijki i tak dalej.

– Sugerowała, że któryś z nauczycieli miał jakieś relacje seksualne z uczennicami?

– Nie, tato. Naprawdę nie wiem. To znaczy ona właściwie nigdy nic nie mówiła. Nic konkretnego.

Tylko rzucała aluzjami. Dawała do zrozumienia. Ciągłe tak się zachowywała.

– Czyli jak?

– Jakby wiedziała więcej niż mówi. I jakbyśmy my byli biednymi idiotami, którzy widzą tylko powierzchnię, a ona doskonale się orientuje, co dzieje się pod nią. Wiesz, jakbyśmy wszyscy dali się nabrać na iluzję, za to ona znała kryjącą się za nią prawdę. Nie próbuję przedstawić jej w złym świetle. Naprawdę była miła, tylko używała takiego tonu, jakby wiedziała więcej niż wszyscy pozostali.

– Mówiła o rodzinie?

– Czasami wspominała o ojcu.

– Co dokładnie?

– Raz powiedziałam, że to pewnie interesujące mieć ojca tak sławnego jak sir Geoffrey Harrison, z tytułem szlacheckim i tak dalej.

To tyle, jeśli chodzi o ojca, który jest zwykłym detektywem, pomyślał Banks, przełykając dumę.

– I co odpowiedziała?

– To, co zwykle. „Och, byłabyś zszokowana, gdybyś wiedziała to, co ja wiem”.

– Nie dodała nic więcej?

– Nie, a ja nie pytałam. Pomyślałam, że chodzi jej o złą stronę technologii, sprawy związane z wojną, raketami i bombami. Wszyscy wiemy, że przedsiębiorstwa sir Geoffreya Harrisona są zaangażowane w taką działalność. Codziennie piszą o tym w gazetach.

– I nic więcej nie powiedziała?

– Nie.

– Wspominała kiedyś o ojcu Danielu Chartersie albo Ivem Jelačiću?

– Ludziach z kościoła?

– Tak.

– Nie przy mnie. Gdyby mnie ktoś pytał, to najbardziej ze wszystkiego interesowała się chłopcami.

– Chłopcami? Kimś konkretnym?

– No, tak jakby chodziła z Johnem Spinksem. – Tracy się skrzywiła. – Wiesz, ze wszystkich chłopców...

Banks się pochylił i sprężyny łóżka zatrzeszczały.

– Opowiedz mi o Johnie Spinksie – powiedział.

Rozdział 7

I

College w Eastvale był mieszaniną brzydkich ceglanych i betonowych budynków na południowym krańcu miasta, oddzielonych od kilku ostatnich domów pasem bagnistych nieużytków. W sąsiedztwie były tylko pub Featherstone Arms po drugiej stronie drogi, dwa przedsiębiorstwa i oddalona o jakieś siedemset metrów wielka stajnia.

Ten college jest obciachowy, myślał Owen nad lunchem złożonym z piwa i wodnistej lazanii. Nie uczyłby tu, gdyby udało mu się znaleźć pracę na lepszej uczelni. Problem w tym, że z licencjatem z Leeds i magisterium z jakiegoś zapyziałego kanadyjskiego uniwersytetu na nic lepszego nie miał najmniejszych szans. Tak więc tkwił tu, ucząc studentów z kierunków biznesowych, rolniczych i administracyjnych ortografii i układania zdań, umiejętności, których nawet nie chcieli zdobywać. To było bardzo dalekie od literackich ambicji, które nie tak dawno temu hołubił.

Miał jednak inne problemy niż własna kariera wykładowcy: okłamał policjantów, a oni przypuszczalnie go o to podejrzewali.

W gruncie rzeczy kłamstwo nie było bardzo poważne, a poza tym to nie ich interes. Powiedział, że nigdy nie mieszkał z kobietą, ale to nieprawda. Mieszkał z Michelle. Przez pięć lat. I to ona była kobietą na czarno-białych aktach.

Dlatego też Owen nie był szczególnie zaskoczony, kiedy do pubu weszli Stott i Hatchley i zapytali, czy mógłby z nimi pojechać na posterunek, żeby wyjaśnić kilka szczegółów. Był zdenerwowany, owszem, ale nie zaskoczony. Dodali, że dziekan im powiedział, gdzie prawdopodobnie go znajdują.

Przez pierwszą część podróży nikt się nie odzywał. Nieoznaczonego range rovera prowadził sierżant Hatchley, obok niego siedział inspektor Stott. Owen widział ostrą linię włosów na karku i uszy jak ucha od dzbanka, na których spoczywały zauszniaki okularów. Kiedy zbliżali się do rynku, Owen patrzył przez okno na ponure, podobne do cieni postacie, które biegały od sklepu do sklepu, przytrzymując nakrycia głowy.

– Zastanawiam się, czy bardzo będzie panu przeszkadzało – powiedział Stott, nieznacznie się odwracając – jeśli załatwimy pobranie od pana kilku próbek?

– Jakich próbek?

– To co zwykle. Włosy. Krew.

– Muszę się zgodzić?

– Pozwoli pan, że ujmę to tak. Nie jest pan aresztowany, ale prowadzimy śledztwo w bardzo poważnej sprawie. Byłoby najlepiej, gdyby pan się zgodził. W celach eliminacji.

– A jeśli odmówię? Co wtedy zrobicie? Przytrzymacie mnie, wyrwiecie mi włosy i wbijecie igłę?

– Nic w tym rodzaju. Moglibyśmy poprosić nadinspektora o upoważnienie, ale to nie wyglądałoby dobrze, prawda? Zwłaszcza kiedy sprawa trafi do sądu. Odmowa pobrania próbek? Przysięgli mogą to odebrać jako przyznanie się do winy. Oczywiście kiedy wykluczmy pana ze śledztwa, próbki zostaną zniszczone i nie pozostanie po nich ślad. Co pan na to?

– W porządku.

– Dziękuję panu. – Stott usiadł prosto i podniósł słuchawkę telefonu w samochodzie. – Pozwolę sobie zadzwonić do doktora Burnsa i poprosić go, żeby spotkał się z nami na posterunku.

Sprawę załatwiono szybko i sprawnie w gabinecie na posterunku. Owen podpisał stosowne formularze, podwinął rękaw i odwrócił wzrok. Poczł tylko ostre i przelotne ukłucie, gdy igła opuszczała jego ciało. Potem lekarz wyrwał mu kilka włosów z głowy. To bardziej bolało.

Pokój przesłuchań, do którego go zaprowadzili, był posępnym miejscem: brudne okna z grubego szkła zbrojonego, martwa mucha rozmazana na przepisowo zielonej ścianie, i to wszystko.

W powietrzu unosił się zatechły odór dymu. Na biurku stała niebieska popielniczka z grubego szkła, pusta, choć oblepiona starym popiołem.

Stott usiadł naprzeciwko Owena, sierżant Hatchley postawił sobie krzesło obok drzwi, poza polem widzenia Owena. Usiadł okrakiem, oplatając grubymi rękoma oparcie.

Najpierw Stott położył na biurku teczkę, którą przyniósł, uśmiechnął się i poprawił okulary. Następnie włączył dwukasetowy magnetofon, sprawdził go, po czym podał datę, godzinę i nazwiska obecnych.

– Zadamy panu tylko kilka pytań – zaczął. – Dotąd chętnie pan z nami współpracował. Mam nadzieję, że nie zabierzemy panu dużo czasu.

– Ja też – odparł Owen, rozglądając się po ponurym pomieszczeniu. – Powinienem wezwać adwokata albo coś w tym rodzaju?

– Och, nie wydaje mi się – powiedział Stott. – Oczywiście może pan to zrobić, jeśli pan chce. To pańskie prawo. – Uśmiechnął się. – Ale nie jest pan aresztowany ani nic takiego. W każdej chwili może pan odejść. A poza tym ma pan prawnika? Większość ludzi nie ma.

Skoro o tym mowa, to Owen także nie miał, ale znał jednego, dawnego kolegę, który po pierwszym roku przeniósł się z anglistyki na prawo i teraz prowadził praktykę w Eastvale. Nie widzieli się od wielu lat, dopiero kilka miesięcy temu Owen wpadł na niego w pubie. Nazywał się Gordon Wharton.

Owen nie przypominał sobie, w jakim rodzaju prawa się specjalizował, ale to przynajmniej byłyby niezły początek, gdyby sprawy zaszły tak daleko. Na razie jednak Stott miał rację. Owena nie aresztowano i dlatego nie widział powodu, dla którego miałby płacić adwokatowi.

– Owenie, pozwoli pan, że wyłożę karty na stół. Przyznał pan, że w poniedziałek wieczorem był pan w pobliżu kościoła Marii Panny. Czy to prawda?

– Tak.

– Dlaczego?

– Mówiłem wam. Poszedłem na spacer.

– Możemy jeszcze raz to omówić? Do protokołu.

Owen wzruszył ramionami.

– W gruncie rzeczy nie ma czego omawiać. – Widział arkusz papieru leżący przed Stottem z rubrykami jak w księdze rezerwacji. Przy niektórych godzinach i notatkach widniały czerwone pytajniki.

– O której wyszedł pan na ten spacer?

– Zaraz po powrocie z pracy. Około czwartej. Może dopiero o wpół do piątej.

– Jak daleko jest do Marii Panny?

– Brzegiem rzeki? Jakies cztery i pół kilometra z mojego domu. A z domu do rzeki około ośmiuset metrów.

– Czyli tam i z powrotem to daje ponad dziesięć kilometrów, tak?

– Tak. Mniej więcej.

– Zanim pan zjadł kolację w Peking Moon, wypił pan dwie szklanki piwa i szkocką w Nag's Head, mam rację?

– Nie liczyłem, ale tak, wypilem kilka drinków.

– Wyszedł pan z pubu za kwadrans szósta?

– Nie zwracałem szczególnej uwagi na czas.

– Tak nam powiedział właściciel pubu.

– Więc to pewnie prawda.

– Kolację w Peking Moon jadł pan około wpół do siódmej?

– Mniej więcej. Tam też nie patrzyłem na zegarek.

– A co pan robił między za piętnaście szósta a wpół do siódmej?

– Chodziłem. Stałem na moście.

– Był pan na cmentarzu przy kościele Marii Panny?

– Nie, nie byłem. Niech pan posłucha, jeśli próbuje mi pan przypisać zamordowanie tej dziewczyny, to pan się grubo myli. Dlaczego miałbym coś takiego zrobić? Może jednak będzie lepiej, jak wezwę prawnika.

– Ach! – Stott ponad ramieniem Owena spojrzął na sierżanta Hatchleya. – Więc on czyta gazety.

– Przeczytałem po waszym wyjściu. Jasne, że tak.

Stott spojrzął na niego.

– Ale wcześniej nie?

– Wtedy wiedziałbym, o czym mówicie, prawda?

Stott poprawił przekrzywione okulary.

– Co sprawiło, że połączył pan naszą wizytę z tą konkretną wiadomością?

Owen się zawahał. Czy to było podchwytliwe pytanie?

– Nie trzeba było długo się zastanawiać – odparł wolno – zważywszy na rodzaj pytań, które mi zadawaliście. Mimo że nie mam pojęcia, co tam się stało, tamtego wieczoru byłem w okolicy kościoła Marii Panny. Nigdy się tego nie wypierałem. A skoro o tym mowa, co was doprowadziło do mnie?

Stott się uśmiechnął.

– To naprawdę było łatwe. Popytaliśmy. W małej bogatej dzielnicy jak ta ludzie zauważają obcych. Poza tym miał pan na sobie pomarańczowy anorak i zapłacił pan kartą Visa w Peking Moon.

Owen się pochylił i uderzył dłońmi o zimny metalowy blat stołu.

– Proszę! To dowód, prawda!

Stott obrzucił go spojrzeniem bez wyrazu.

– Dowód na co?

– Że ja tego nie zrobiłem. Gdybym to zrobił, a najwyraźniej o to mnie oskarżacie, chyba nie byłbym taki głupi, żeby zostawiać wizytówkę, prawda?

Stott wzruszył ramionami.

– Przestępcy popełniają błędy tak samo jak wszyscy inni. W przeciwnym razie nigdy byśmy ich nie złapali, racja? Ale w tej chwili o nic pana nie oskarżam. Rozumie pan jednak, na czym polega nasz problem, prawda? Pańska historia brzmi słabo, bardzo słabo. Bo jeśli był pan w tamtej okolicy z jakiegoś rzeczywistego, wiarygodnego powodu... Może żeby się z kimś spotkać? Znał pan Deborę Harrison?

– Nie.

– Obserwował ją pan, śledził?

Owen usiadł prosto.

– Mówiłem wam, dlaczego tam byłem. Nic nie mogę poradzić na to, że wam moje powody się nie podobają, prawda? Nigdy nie myślałem, że będę się musiał przed kimś tłumaczyć.

– Widział pan kogoś, kto podejrzenie się zachowywał?

– Nie przypominam sobie.

– Widział pan Deborę Harrison?

– Nie.

– To zadrapanie na pańskim policzku – powiedział Stott. – Pamięta pan, skąd się wzięło?

Owen dotknął policzka i wzruszył ramionami.

– Pewnie zaciąłem się przy goleniu.

– Trochę za wysoko na golenie, nie sądzi pan?

– Mówiłem. Nie pamiętam. Dlaczego pan pyta?

– A co z tymi fotografiami przedstawiającymi nagie kobiety? Tymi, które znaleźliśmy w pańskim domu?

– Co z nimi? To akty, nic więcej.

Po raz pierwszy odezwał się Hatchley; szorstki głos, który rozległ się za jego plecami, przestraszył Owena.

– Daj spokój, chłopcze, nie bądź nieśmiały. Co z tobą nie tak? Nie lubisz popatrzeć na ładne cycki? Nie jesteś chyba pedałem, co?

Owen okręcił się na krześle.

– Nie. Nie mówiłem, że nie lubię patrzeć na nagie kobiety. Jasne, że lubię. Jestem absolutnie normalny.

– A niektóre z dziewcząt w tym czasopiśmie wydały mi się bardzo młode – powiedział Stott.

Owen na powrót odwrócił się do niego.

– Od kiedy to kupowanie „Playboya” jest przestępstwem? Wy nadal żyjecie w średniowieczu. Na litość boską, to modelki. Dostają pieniądze za pozowanie w taki sposób.

– Filmy wideo też pan lubi, co? Była jedna kasetka w pańskim gabinecie, prywatna, do oglądania, kiedy przyjdzie panu ochota. Z filmem *Koniec szkoły*.

– Dał mi ją przyjaciel, to był żart. Powiedziałem mu, że nigdy nie widziałem żadnego filmu porno, żadnych tego rodzaju wideo, więc dał mi tę kasetę i zapewnił, że mi się spodoba.

– Coś panu powiem – odparł Stott. – Muszę się zastanawiać nad facetem, który ogląda takie rzeczy, lubi takie albumy ze sztuką i fotografie jak pan. Zwłaszcza że sam także fotografuje nagie

młode dziewczyny.

– To wolny kraj. Jestem normalnym samotnym facetem. Tak się składa, że jestem także fotografem amatorem. Mam prawo oglądać takie filmy wideo, jakie chcę, pod warunkiem że są legalne. – Owen czuł, jak z zakłopotania się rumieni. Chryste, bardzo żałował, że Chris Lorimer z college’u dał mu tę przeklętą kasetę.

– *Koniec szkoły* – powiedział cicho za jego plecami Hatchley. – To trochę przesada, nie uważa pan?

– Nawet nie widziałem tego filmu.

– Ale rozumie pan, do czego zmierza sierżant Hatchley, prawda? – zapytał Stott. – Wygląda to fatalnie: temat, obraz. Wszystko to jest trochę dziwne. Bardzo podejrzane.

– Cóż, nic nie mogę na to poradzić. To nie jest podejrzane, ja jestem absolutnie niewinny, i tyle.

– Kim jest dziewczyna ze zdjęć? Ta, co wygląda na jakieś piętnaście lat.

– Miała dwadzieścia dwa. To tylko modelka. Fotografowałem ją dwa lata temu. Nie pamiętam jej nazwiska.

– To dość zabawne.

– Co?

– Że pamięta pan jej wiek, a nazwiska nie.

Owen poczuł, jak serce mu wali. Stott przez kilka sekund uważnie się mu przyglądał, po czym nagle wstał.

– Może pan iść – powiedział. – Cieszę się, że porozmawialiśmy.

Owen był zdezorientowany.

– To wszystko?

– Na razie tak. Będziemy w kontakcie.

Owen momentalnie się poderwał. Walnął kolaniem w metalowy blat i zaklął. Roztarł kolano, po czym ruszył do drzwi. Twarz mu płonęła.

– Naprawdę mogę iść?

– Tak. Ale proszę nigdzie nie wyjeżdżać.

Owen cały się trząsł, kiedy opuścił posterunek i skręcił w Market Street, kierując się do domu. *Czy oni naprawdę mogą mnie w taki sposób traktować, skoro z własnej wolnej woli przez cały czas im pomagam?* Miał wrażenie, że jego prawa zostały podeptane, i chyba czas najwyższy zwrócić się do Gordona Whartona.

Po powrocie do domu najpierw podarł na kawałki egzemplarz „Playboya” z opowiadaniem

Cormaca McCarthy'ego i całą resztą, po czym wrzucił je do śmieci. Następnie wziął kasetę, którą dał mu Chris Lorimer, wyciągnął taśmę, połamał plastikową obudowę i wszystko także wrzucił do kosza, żeby spalić. Przynajmniej teraz nie będą mogli wykorzystać tego jako dowodu przeciwko niemu.

Na koniec poszedł do pustego pokoju i z szafki wyjął akty Michelle. Trzymał je w dłoniach, gotów podrzeć i spalić z resztą, ale nie mógł się powstrzymać, żeby na nie nie spojrzeć.

To były proste, pełne smaku akty wykorzystujące światłocień; z błysku w oczach Michelle i z układu jej ust domyślał się, że powstrzymywała się od śmiechu. Pamiętał, jak narzekała na gęsią skórkę, na długie ustawianie świateł. Pamiętał wino i szalony seks później. Lubiła pozować nago, to ją podniecało.

Ręce znowu zaczęły mu dygotać. Boże, wyglądała tak pięknie, doskonale, tak młodo, tak cholernie niewinnie. Wciąż się trzęsąc, wrzucił fotografie z powrotem do szafki i odwrócił się. Oczy piekły go od łez.

II

Kiedy Stott i Hatchley przesłuchiwali Owena Pierce'a, Banks pojechał do dzielnicy Marii Panny na spotkanie z lady Sylvie Harrison. Wolałby mieć ze sobą Susan, cenił jej reakcje i obserwacje, ale wiedział, że naraża się na gniew komendanta Riddle'a, ponownie kontaktując się z Harrisonami, a nie chciał pakować Susan w kłopoty.

Miała rację, ciężko pracowała i zdała egzamin na sierżanta, brakowało tylko pieczątki, i nie wybaczyłby sobie, gdyby zmarnował jej szansę na szybki awans. Ale będzie mu smutno, gdy ją straci. W wydziale śledczym posterunkowych rzadko awansowano od razu na sierżanta i niemal nigdy na tym samym posterunku, zwykle co najmniej na rok wracali do munduru, później musieli ponownie złożyć podanie.

Przed wyjazdem Banks zadzwonił do Harrisonów i ledwo mógł uwierzyć we własne szczęście: sir Geoffrey wyszedł z Michaeliem Claytonem, lady Harrison była w domu sama. Nie, powiedziała z tym słabym francuskim akcentem, nie ma żadnych obiekcji dotyczących rozmowy z Banksem pod nieobecność męża.

Jadąc North Market Street obok sklepów z pamiątkami i domu kultury, w którym pracowała Sandra, słuchał Ute Lemper śpiewającej wiersze Paula Celana do muzyki Michaela Nymana. To była dziwna muzyka, musiał minąć jakiś czas, zanim się do niej przyzwyczaił, ale teraz uwielbiał wszystkie pieśni, jego zdaniem przesiąknięte posępną melancholią.

To był chłodny dzień, szary i wietrzny, miotający liśćmi po chodnikach. Ale przynajmniej

przystało padać. W chwili gdy *Corona* dobiegła końca, Banks zahamował na podjeździe Harrisonów.

Lady Harrison musiała słyszeć, jak nadjeżdża, ponieważ otworzyła wielkie białe drzwi, gdy wysiadł z samochodu. Miała na sobie dzinsy i niebieski kaszmirowy sweter. Stojąc w progu, kuliła się z zimna.

Dołożyła starań, by zamaskować ślady rozpaczy i bólu, ale przezierały spod makijażu jak odległe postaci we mgle.

Powiesiła jego płaszcz i zamiast skierować się do białego pokoju, poprowadziła go do kuchni urządzonej w stylu, który Banks uznał za francuski rustykalny: mnóstwo drewnianych kredensów i boazerii, miedziane patelnie i garnki wiszące na hakach, kubki w kwiaty na drewnianych haczykach, kilka roślin doniczkowych, wazon z chryzantemami na stole i obrus w czerwono-białą kratkę. W powietrzu unosił się zapach przypraw i ziół, wśród których dominowały cynamon i rozmaryn. Na czerwonej kuchence woda zaczynała bulgotać w czajniku.

– Proszę usiąść – powiedziała lady Harrison.

Banks usiadł na drewnianym krześle przy stole. Nogi krzesła zazgrzytały na wykładanej terakotą podłodze.

– Herbaty? Właśnie miałam parzyć.

– Poproszę – odparł Banks.

– Ceylon, darjeeling, earl grey czy lapsang souchong?

– Lapsang, jeśli to nie sprawi kłopotu.

Uśmiechnęła się.

– Też miałam zamiar ją wybrać.

Poruszała się wolno, Banks dostrzegł też, że uśmiech nie objął jej oczu. Przypuszczalnie minie dużo czasu, zanim tak się stanie.

– Na pewno powinna być tu pani sama, lady Harrison? – zapytał.

– Tak. Prawdę mówiąc, to był mój pomysł. Wysłałam Geoffreya z domu. Działał mi na nerwy. Potrzebowałam trochę spokoju, żeby... żeby przywyknąć. Jaki sens snuć się we dwoje po domu przez cały dzień? On jest przyzwyczajony do działania. I proszę – dodała z przelotnym uśmiechem – proszę nazywać mnie Sylvie.

– Dobrze, Sylvie.

Wsypała odmierzoną porcję herbacianych liści do nagrzanego czajnika – raczej kwadratowego, brzydkiego naczynia w niebieskie zawijasy z prostym grubym dzióbkiem – po czym usiadła naprzeciwko Banksa.

– Przepraszam, że niepokoję panią w żałobie – powiedział – ale wciąż wiele pytań wymaga odpowiedzi.

– Oczywiście. Geoffrey mówił mi jednak dzisiaj rano, że już macie podejrzanego. To prawda?

Interesujące, pomyślał Banks. Nie zdawał sobie sprawy, że wczoraj wieczorem odbyło się spotkanie łoży. Oczywiście, gdy tylko Stott wyśledził Owena Pierce'a i posłał jego anorak do laboratorium, Banks powiadomił komendanta o najnowszych ustaleniach, a Riddle najwyraźniej nie marnował czasu i od razu zdał relację sir Geoffreyowi. Ach, te przywileje.

– Owszem, ktoś pomaga nam w śledztwie – odparł, natychmiast żałując użycia tego wyświechtanego stwierdzenia. – To znaczy, wczoraj wieczorem rozmawialiśmy z mężczyzną, którego widziano w okolicy w poniedziałkowy wieczór. Teraz inspektor Stott ponownie go przesłuchuje.

– To nie jest ten człowiek z kościoła, ten wyrzucony?

– Nie przypuszczamy, żeby on to zrobił, choć nadal bierzemy go pod uwagę.

– Myślicie, że to ten drugi?

– Nie wiem, jeszcze z nim nie rozmawiałem. Rozgrywamy sprawę bardzo ostrożnie, bardzo rozważnie. Jeśli to on, chcemy być pewni, że nie popełnimy żadnych błędów, które będą nas prześladować, kiedy sprawa trafi do sądu.

– Czasami – powiedziała z namysłem Sylvie – można pomyśleć, że system bardziej faworyzuje sprawcę niż ofiarę, nie sądzi pan?

Nie musisz mi o tym mówić, pomyślał Banks ze znużeniem. Kiedy zyskają pewność, że mają sprawcę, muszą przekonać prokuraturę, że zdobyli dość dowodów – a to nie zawsze jest łatwe – a następnie pokonać całą serię cyrkowych przeszkód, by wreszcie patrzeć, jak obrońca oskarżonego ściera na proch efekty ich pracy.

– Czasami – zgodził się. – Czy Debora wspominała o Owenu Pierce?

Sylvie zmarszczyła czoło.

– Nigdy nie słyszałam tego nazwiska.

Banks opisał Pierce'a, ale to też nic jej nie powiedziało.

Nalała herbaty, nieznacznie przekrzywiając głowę i gryząc koniuszek języka. Lapsang pachniał i smakował wyśmienicie, dymna nuta była idealnym remedium na szary i zimny listopadowy dzień. Na dworze wiatr gwizdał między drzewami, grzechotał oknami, tworzył słupy kurzu i unosił opadłe liście, a one wirowały nad ziemią. Sylvie Harrison objęła kubek dłońmi, jakby chciała je rozgrzać.

– O czym chce pan ode mnie usłyszeć?

– Usiłuję jak najwięcej dowiedzieć się o Deborze, o tym, jaka była. Nadal jest kilka luk.

– Jakich?

– Na przykład jej chłopcy.

– Ach, chłopcy. Ale Debora była za bardzo zajęta szkołą. Na chłopców będzie mnóstwo czasu później, kiedy skończy edukację.

– No tak, ale były wakacje.

Sylvie patrzyła mu w oczy.

– Nie miała chłopaka.

Banks chwilę milczał, potem z wrażeniem, jakby z każdym słowem kopał grób dla swojej policyjnej kariery, powiedział wolno:

– Słyszałem coś innego. Ktoś mówił, że w sierpniu miała chłopaka.

Sylvie zbladła. Zacisnęła wargi tak mocno, że niemal zbieleły.

– Miała chłopaka? – ponownie zapytał Banks.

Sylvie westchnęła i kiwnęła głową.

– Tak. Latem. Ale z nim zerwała.

– Nazywał się John Spinks?

Uniosła brwi.

– Skąd pan o tym wie?

– A pani o nim wiedziała?

Potaknęła.

– Tak. Był bardzo nieprzyjemnym typem.

– Jak pani myśli, dlaczego inteligentna i śliczna dziewczyna jak Debora umawiała się z kimś takim?

Zamyśliła się.

– Nie wiem. Przypuszczam, że był przystojny, może na swój sposób ekscytujący. Czasami człowiek popełnia błędy – odparła ze wzruszeniem ramion, które Banks uznał za bardzo galijskie. – Czasami człowiek zachowuje się jak głupiec, z absolutnie niewłaściwych powodów robi coś z niewłaściwą osobą.

– Jakich powodów?

Znowu to wzruszenie ramion.

– Kobiecych. Powodów młodej kobiety.

– Czy Debora uprawiała seks z Johnem Spinksem?

Po krótkiej chwili Sylvie kiwnęła głową i wzdychając, powiedziała:

– Tak. Pewnego dnia niespodziewanie wróciłam do domu i przyłapałam ich w pokoju Debory.

Wściekłam się. Krzyczałam na niego, wyrzuciłam go z domu i zakazałam mu wracać.

– Jak zareagował?

Poczerwieniała.

– Obrzucił mnie wyzwiskami, których panu nie powtórzę.

– Użył przemocy?

– Nie uderzył mnie, jeśli to ma pan na myśli. – Głową wskazała hol. – Na stojaku obok drzwi był wazon, niezbyt cenny, ale ładny, prezent od mojego ojca. Spinks złapał go oburącz i z całej siły rzucił nim w ścianę. Jeden odłamek zranił mnie w brodę, to wszystko.

– Później wyszedł?

– Tak.

– Powiedziała pani o tym sir Geoffreyowi?

– Nie.

– Dlaczego nie?

Chwilę milczała.

– Musi pan zrozumieć, że Geoffrey potrafi być bardzo wiktoriański w niektórych sprawach, zwłaszcza dotyczących Debory. Dlatego nie powiedziałam mu, że Debora spotyka się z chłopakiem. Bardzo utrudniłby jej życie, gdyby o tym wiedział, wzięwszy pod uwagę charakter i pochodzenie Spinksa. Ja... cóż... jestem kobietą i myślę, że pod wieloma względami rozumiałam, przez co Debora przechodzi, w każdym razie lepiej niż rozumiałby Geoffrey. Nie mówię, że akceptowałam jej postępowanie, ale gdybym spróbowała ją powstrzymać, tylko zwiększyłaby się jej determinacja i w ostatecznym rozrachunku szkody przypuszczalnie byłyby większe. Rozumie pan, co mam na myśli?

– Tak sędzę. Czy Debora nadal spotykała się ze Spinksem?

– Nie. Nie wydaje mi się. Nie po tym, jak rzucił wazonem. Ogromnie ją to zdenerwowało i długo rozmawialiśmy. Powiedziała, że bardzo jej przykro, i przeprosiła mnie. Chciałabym wierzyć, że rozumiała, o czym jej mówiłam, jakim marnowaniem czasu jest spotkanie się ze Spinksem. Powiedziała, że uświadomiła sobie, co z niego za człowiek, i nigdy więcej nie chce go widzieć. Słyszała, jak przeklinał mnie w bardzo wulgarny sposób. Widziała, jak rzucił wazonem, jak odłamek mnie zranił, jak pojawiła się krew. – Sylvie znowu dotknęła małej blizny. – Myślę, że to naprawdę ją wstrząsnęło, kazało jej spojrzeć na niego innymi oczami. Debora to dobra dziewczyna, inspektorze. Uparta, może kapryśna, ale też rozsądna. I jak wiele dziewcząt w jej wieku, bardzo

naiwna, jeśli chodzi o mężczyzn.

– W jakim sensie?

– Nie rozumiała sposobu, w jaki mężczyźni wykorzystują kobiety, manipulują nimi, nie znała potęgi pożądania. Chciałam ją nauczyć, żeby siebie ceniła. W seksie, kiedy przyjdzie na to właściwy czas, i we wszystkich innych aspektach życia. Jeśli kobieta nie szanuje własnej seksualnej natury, to przez całe życie będzie ofiarą mężczyzn. Oddanie się temu... temu zwierzęciu było fatalnym początkiem. Wy, mężczyźni, nie zawsze rozumiecie, jaki to ważny okres w życiu kobiety.

– Była dziewicą, kiedy poznała Spinksa?

Sylvie kiwnęła głową, ściągając usta w wyrazie niesmaku.

– Opowiedziała mi o wszystkim w wieczór po tamtej awanturze. Ukradł samochód, co w dzisiejszych czasach robi wielu młodych ludzi. Pojechali na bagna... – Zaciśnęła dłonie. – I zrobił to z nią na tylnym siedzeniu.

– Spotkała go pani wcześniej?

– Tylko raz, dwa albo trzy tygodnie wcześniej. Debora przyprowadziła go do domu. Był słoneczny dzień. Smażyli mięso na grillu, kiedy wróciłam z zakupów w Leeds.

– Co się stało?

– Wtedy? Och, właściwie niewiele. Pili. Bez wątpienia za poduszczeniem tego chłopaka Debora wzięła z piwniczki butelkę wina z winnicy mojego ojca. Byłam trochę zła, ale tylko trochę. Musi pan pamiętać, panie inspektorze, że wychowałam się we Francji. Piliśmy wino do każdego posiłku, z odrobiną wody, kiedy byliśmy dziećmi, więc picie przez niepełnoletnich nie wydaje mi się takim strasznym grzechem jak wam, Anglikom.

– Jakie wrażenie zrobił na pani John Spinks?

– Mówił półsłówkami. W gruncie rzeczy nie miał nic do powiedzenia. Przyznaję, nie lubiłam go od samego początku. Niech mnie pan uzna za snobkę, jeśli pan chce, ale to prawda. Kiedy poszedł, powiedziałam jej, że nie jest dla niej dość dobry i powinna się zastanowić nad zerwaniem z nim.

– I jak na to zareagowała?

Sylvie uśmiechnęła się smutno.

– Tak jak zareagowałaby każda szesnastolatka. Oznajmiła, że będzie się spotykała, z kim będzie chciała, a ja powinnam pilnować własnego nosa i przestać rujnować jej życie.

– Dokładnie to samo powiedziała moja córka w identycznej sytuacji – skomentował Banks. – Czy jeszcze coś może pani dodać na temat Spinksa?

Sylvie napiła się herbaty, potem poszła po torebkę.

– Nie będzie panu przeszkadzało, jeśli zapalę? – zapytała. – Nie pojmuję, dlaczego muszę pytać o pozwolenie we własnym domu. Tylko że w dzisiejszych czasach... ta kampania antynikotynowa... to na człowieka wpływa. Wracam do nałogu tylko w chwilach wielkiego stresu.

– Doskonale panią rozumiem – odparł Banks, z konspiracyjnym uśmiechem wyciągając paczkę silk cutów. – Mogę do pani dołączyć?

– Tak byłoby nawet lepiej. Geoffrey oczywiście się wścieknie. Myśli, że rzuciłam.

Słowo „wścieknie” zabrzmiało dziwnie z francuska, pomyślał Banks.

– Pani mąż mówił mi, że pochodzi pani z Bordeaux – powiedział, zapalając papierosa jej wąską złotą zapalniczką.

Sylvie potaknęła.

– Mój ojciec jest winiarzem. *Négociant*. Jeden z *la noblesse du bouchon*.

– Obawiam się, że mój francuski jest bardzo zardzewiały.

– Dosłownie znaczy to „szlachta korkowa”. Tak się określa *négociants* z wielkiego ośrodka winiarskiego, takiego jak Bordeaux.

– Przypuszczam, że to oznacza, iż jest bogaty?

Zmarszczyła nos.

– Bardzo. Poznałam Geoffreya, kiedy objeżdżał winnice i degustował wina. To musiało być, och, siedemnaście lat temu. Miałam wtedy dopiero dziewiętnaście lat, Geoffrey trzydzieści.

– I sir Geoffrey zakochał się w córce *négocianta*? Jak romantycznie.

Sylvie zdobyła się na kolejny smutny uśmiech.

– Tak, to było romantyczne. – Zaciągnęła się i wypuściła dym nosem. – Pytał mnie pan, czy mogę coś więcej powiedzieć o Spinksie, inspektorze. Owszem, mogę. Z domu zaczęły ginąć rzeczy.

– Ginąć? Co na przykład?

Wzruszyła ramionami.

– Srebrna tabakiera. Niezbyt cenna, choć dla niewprawnego oka mogła wyglądać na zabytkową. Obca waluta. Srebrne kolczyki. Tego rodzaju drobiazgi.

– Odkąd Debora zaczęła spotykać się ze Spinksem.

Potaknęła.

– Owszem, jestem tego niemal pewna. Debora nic takiego by nie zrobiła. Nie mówię, że była święta – bo nie była – ale przynajmniej była szczerą. Nie kradła.

– Zapytała ją pani o te skradzione przedmioty?

– Tak.

– I co odpowiedziała?

– Że nic o tym nie wie, ale z nim porozmawia.

– Powtórzyła pani, co powiedział?

– Że nie miał z tym nic wspólnego.

– Czy Spinks niepokoił którąś z was po dniu, gdy go pani wyrzuciła?

Sylvie zmarszczyła czoło i zgasiła papierosa. Potarła wierzchem dłoni wargi, jakby chciała pozbyć się smaku.

– Groził nam. Pewnego dnia przyszedł do domu pod nieobecność Geoffreya i Debory. Próbowалам zatrzasnąć przed nim drzwi, ale był silniejszy. Wszedł do środka i zażądał pieniędzy.

– Dała mu pani?

– Nie.

– Co mówił?

– Że jeśli nie zapłacę, będzie dalej spotykał się z Deborą, zrobi jej dziecko i w ten sposób stanie się członkiem rodziny.

– Mimo to nie spełniła pani jego żądań?

– Nie. Wtedy oznajmił, że zacznie rozpowiadać, że zdeflorował córkę sir Geoffreya Harrisona. Że Debora to zwykła dziwka. Powie o wszystkim w szkole i ją wyrzucą. Dopilnuje, żeby biznesmeni się dowiedzieli i wyśmiewali z Geoffreya za plecami.

– Co pani zrobiła?

– Nic. Byłam zbyt wstrząśnięta. Na szczęście Michael akurat nas odwiedził. On się tym zajął.

– W jaki sposób?

– Nie wiem. Musi pan jego zapytać. Byłam taka roztrzęsiona, że poszłam na piętro. Mogę tylko powiedzieć, że po tym incydencie więcej o tej sprawie nie słyszałam. Spinks zniknął z naszego życia, jakby nigdy się w nim nie znalazł. Choć naturalnie pozostawił po sobie szkody.

– Czy kiedykolwiek fizycznie groził Deborze?

Sylvie pokręciła głową.

– Nic o tym nie wiem.

– Ale bez wątpienia był zdolny do użycia przemocy?

Znowu musnęła bliznę.

– Tak. Uważa pan...?

– Szczerze mówiąc, nie wiem – odparł Banks. – Chociaż wszystko jest możliwe. Czy pan Clayton od początku wiedział o Spinksie?

– Tak. Wpadł do domu, kiedy robili tego grilla. Powiedział coś do Spinksa o picciu, a ten zareagował bardzo ordynarnie. Michael zgodził się ze mną, że Debora marnuje się przy tym chłopaku. I powiedziałam mu o... o tym, jak przyłapałam ich w łóżku. Musiałam komuś powiedzieć.

Wygląda na to, że Clayton bardzo często bywa w domu sir Geoffreya, pomyślał Banks. Zwłaszcza kiedy sir Geoffreya nie ma, za to jest Sylvie.

– Czy pan Clayton ma rodzinę? – zapytał.

– Michael? Nie. Trzy lata temu rozstał się z żoną, Gillian. Nie mieli dzieci. – Uśmiechnęła się. – Myślę, że po części problem wynika z tego, że Michael jest żonaty z pracą. Czasami odnoszę wrażenie, że komputery są bezpośrednio podłączone do jego mózgu. Ma obecnie dziewczynę w Seattle i to wydaje się dla niego idealnym rozwiązaniem. Romans na odległość. Często jeździ tam służbowo.

– Od jak dawna znają się z sir Geoffreym?

– Od Oksfordu. Zawsze byli nierozłączni. Kiedy poznałam Geoffreya, także byli razem.

Banks na moment umilkł, popijając letnią herbatę.

– Zna pani nauczycieli ze szkoły Marii Panny?

– Niektórych. Kiedy się płaci tyle pieniędzy, żeby posłać dziecko do szkoły, zwykle ma się coś do powiedzenia na temat sposobu jej prowadzenia.

– Czyli co?

– Szkoła jest świetna. Rewelacyjne wyposażenie, dobry personel, zdrowa atmosfera... Mogłabym długo tak wymieniać.

– Czy kiedykolwiek odniosła pani wrażenie, że dzieje się tam coś nieprzyjemnego?

– Nieprzyjemnego?

– Przepraszam, że nie potrafię tego sprecyzować. Ale gdyby ktoś albo jakaś grupa robiła coś złego w szkole – coś nielegalnego, na przykład związanego z narkotykami – i gdyby Debora się o tym dowiedziała... Przecież zaatakowano ją w drodze ze szkoły do domu. Ktoś mógł za nią iść.

Sylvie wolno pokręciła głową.

– Ach, te rzeczy, które wam, policjantom, wpadają do głowy. Nie, nigdy nie słyszałam żadnych aluzji ani plotek, że w szkole coś jest nie tak. A jestem przekonana, że tego rodzaju rzeczy zawsze wychodzą na jaw.

– Ma pani powody przypuszczać, że John Spinks albo ktoś inny namówił Deborę do brania narkotyków?

Westchnęła.

– Nie mogę powiedzieć, że się tym nie martwiłam. – Pokręciła głową. – Ale nie sędzę. Nigdy nie widziałam żadnych oznak. Debora była bardzo aktywną dziewczyną. Za bardzo ceniła sobie zdrowie fizyczne, sportową sprawność, żeby je niszczyć narkotykami.

– Zna pani Patricia Metcalfe’a?

– Spotkałam go, owszem.

– Debora o nim mówiła?

– Nie przypominam sobie.

– Lubiła go?

– Nie mówiła ani że go lubi, ani że nie lubi. Z historią dobrze sobie radziła, chociaż nie dostawała z niej najlepszych ocen. Ale dlaczego pan o to pyta?

– On po prostu jest częścią obrazu, to wszystko. Może nie najważniejszą. Czy Debora miała jakieś kontakty z kościołem, kiedy pani i mąż przestaliście tam uczęszczać?

– Nie wydaje mi się. Geoffrey stanowczo nakazał, że wszyscy powinniśmy trzymać się z daleka. Ale szkoła i kościół mają bliskie związki. Niewykluczone, że Debora jakieś kontakty miała. – Potarła oczy i wstała. – Proszę mi wybaczyć, inspektorze, ale jestem bardzo zmęczona. Myślę, że powiedziałam panu wszystko, co w tej chwili pamiętam. I mam nadzieję, że będzie pan dyskretny. Wolałabym, żeby nie powtarzał pan Geoffreyowi tego, co panu dzisiaj mówiłam.

Banks się uśmiechnął.

– Oczywiście. A panią proszę, żeby nie wspominała mu pani o mojej dzisiejszej wizycie. Obawiam się, że mój szef...

Zanim jednak zdążył skończyć, trzasnęły drzwi frontowe i sir Geoffrey zawołał:

– Wróciłem, kochanie. Co u ciebie?

III

Na tyłach dworca autobusowego w Eastvale, z dala od hałasu diesli i odoru spalin, obok małego kiosku z prasą znajdowały się ciężkie szklane drzwi. Po wejściu przez nie stawało się przed schodami ruchomymi, które jednak rzadko działały.

Na górze korytarz ze sklepami kończył się galeryjką, w dole znajdował się okrągły obszar z fontanną pośrodku, którą otaczało kilka rachitycznych drzewek w donicach. Swainsdale Center.

Kilka innych korytarzy prowadzących z ulicy zbiegało się jak szprychy w kole. Wszędzie dokoła były sklepy – HMV, Boots, W.H. Smith, Curry’s, Dixon’s – choć o wpół do siódmej w środę wieczór wszystkie były zamknięte. Działała tylko mała kawiarnia, ale trudno uznać za znaczący utarg

dwie filiżanki herbaty i batonik przez dwie ostatnie godziny.

Młodzi ludzie spędzali czas koło fontanny, zwykle opierali się o drzewka albo siedzieli na ławkach, które tu ustawiono, żeby staruszki miały gdzie odpocząć. Teraz żadna staruszka nie odważyłaby się do nich zbliżyć.

Sporo pensów połyskiwało w zbiorniku, do którego spływała woda z fontanny. Bóg jeden wie, dlaczego ludzie czują potrzebę wrzucania monet do wody, pomyślał Banks. Ale w zbiorniku przede wszystkim pływały niedopałki, celofan, opakowania po marsach, worek plastikowy z resztkami rozpuszczalnika oraz parę zużytych prezerwatyw.

Banks poczuł przelotne ukłucie gniewu, ponieważ wyobraził sobie Tracy, która stoi pośród tej hołoty, gdy ta pali, pije piwo, i głośno klnie niczym banda rozwyrzonych nastolatków.

Potem sobie przypomniał, co ostatnio często mu się zdarzało, że w ich wieku był właściwie taki sam i że na ogół mimo hałaśliwego zachowania i złych manier to dobre dzieciaki.

Z wyjątkiem Johna Spinksa.

Według Tracy Spinks dla grupy był kimś w rodzaju bohatera, a to dzięki swoim często relacjonowanym drobnym przestępstwom, na których nigdy nie wpadł. Uważała, że większość wymyślił, choć musiała też przyznać, że czasami częstował innych nielegalnie zdobytymi dobrami w postaci papierosów i piwa. A ponieważ nie pracował i nie dostawał wysokiego zasiłku, najwyraźniej musiał uzupełniać dochody kradzieżami. I nigdy nie brakowało mu kilku funtów na nową kurtkę skórzaną.

Mieszkał z mamą na osiedlu East Side, chylącym się ku upadkowi pomniku optymizmu społecznego z lat sześćdziesiątych, ale nigdy nie mówił zbyt wiele o swoim życiu rodzinnym.

Raz się chwalił, że pojechał do Manchesteru na „Acid Party” i brał tam ecstazy, opowiadała Tracy. Próbował też wachać klej, ale uznał, że to dla dzieci, a w dodatku ma się po tym pryszcze. Był dumny ze swojej nieskazitelnej cery.

Banks na podstawie opisu Tracy od razu rozpoznał Spinksa, który o głowę przerastał innych. Jasnobrązowe włosy miał krótkie po bokach i z tyłu, długie na czubku głowy, z pasmem włosów zakrywającym mu lewą połowę twarzy. Miał na sobie dzinsy, niezasnurowane sportowe buty i kamizelkę.

Kiedy Banks i Hatchley podeszli, pokazali odznaki i poprosili o rozmowę na osobności, nie zerwał się do ucieczki, nie zaczął ich przeklinać ani protestować, tylko wzruszył ramionami i powiedział:

– Jasne.

Odchodząc, posłał kumplom krzywy uśmiech.

Weszli do kawiarni, usiedli przy stoliku. Hatchley kupił trzy kawy i kilka czekoladowych herbatników. Twarz właścicielki się rozjaśniła: od wieków nie udało się jej tyle naraz zarobić.

W pewnym sensie Tracy miała rację, Spinks istotnie przypominał jednego z bohaterów *Sąsiadów*. Świeżo ostrzyżony, miał gładką cerę, pełne usta, może o odcień za czerwone jak na chłopaka, brązowe oczy, pod których spojrzeniem pewnie topniało dziewczęce serce, i proste białe zęby, tylko nieznacznie noszące ślady nikotyny. Przyjął od Banksa papierosa, po czym odłamał filtr.

– Pan jest tatą Tracy Banks, prawda? – zapytał.

– Tak.

– Mówiła, że jej ojciec jest gliniarzem. Fajna laska z tej Tracy. Przez pewien czas miałem ją na oku. A skoro o tym mowa, od kilku tygodni jej nie widziałem. Co u niej?

Banks się uśmiechnął. Nie trzeba było dużo czasu, by pod atrakcyjnym wyglądem dojrzeć śliskiego, próżnego i zarozumiałego małego świra. Teraz wiedział, że nie poczuje się źle, niezależnie od tego, co będzie musiał zrobić, żeby skłonić Spinksa do mówienia.

Kiedy Banks milczał, Spinks tylko lekko się zawahał, zaraz jednak dodał:

– Może poprosi ją pan, żeby któregoś wieczora tu wpadła? Wie, gdzie mnie znaleźć. Możemy bardzo fajnie spędzić czas. Rozumie pan, o co mi chodzi?

– Jeszcze jedna taka uwaga – wtrącił Hatchley – i do końca naszej pogawędki będziesz wycierał krew z buźki.

– Teraz to groźby, tak? – Spinks wzruszył ramionami. – O co właściwie chodzi? Już miałem tę małą sukę i nie jest...

Kobieta za kontuarem spojrzała na nich w chwili, gdy twarz Spinksa odbiła się od stołu, i zaraz podbiegła ze ścierką, by mógł zatamować strumień krwi płynący mu z nosa.

– To brutalność policji – protestował Spinks; słowa tłumiała zimna wilgotna ścierka. – Złamał mi pierdolony nos. Widziała pani?

– Ja? – zapytała kobieta. – Nic nie widziałam. A tutaj nie ma miejsca na taki język. Możesz zatrzymać ścierkę – dodała i wróciła za kontuar.

– Zabawne – powiedział Banks. – Ja też patrzyłem w przeciwną stronę. – Pochylił się nad stołem.

– A teraz posłuchaj, ty mały dupku, zacznijmy od początku. Tylko tym razem ja zadaję pytania, a ty odpowiadasz, okej?

Spinks zaklął, trzymając przy twarzy ścierkę.

– Okej? – powtórzył Banks.

Chłopak cofnął ścierkę. Krew przestała płynąć, teraz tylko przez całą rozmowę od czasu do czasu smętnie przytykał ścierkę do nosa.

– Złamał mi pan ząb – lamentował. – To kosztuje. Zresztą ja tylko żartowałem o pańskiej...

– Debora Harrison – powiedział Banks. – Coś ci to mówi?

Spinks odwrócił wzrok.

– Jasne. To ta laska ze szkoły Marii Panny, co to kilka dni temu dała się zabić. Trąbią o tym w wiadomościach.

– Nie „dała się” zabić. Ktoś ją zamordował.

– Nieważne. – Pasma włosów spadało Spinksowi na oko; nabrał zwyczaju odrzucania go ruchem głowy. – Niech pan na mnie nie patrzy. Ja jej nie zabiłem.

– Gdzie byłeś w poniedziałek około szóstej po południu?

– To był ten naprawdę mglisty dzień?

– Tak.

– Byłem tutaj. – Wskazał grupę koło fontanny. – Niech pan zapyta któregoś z nich. No, niech pan zapyta.

Banks kiwnął do sierżanta Hatchleya, który wyszedł porozmawiać z młodzieżą.

– A poza tym – ciągnął Spinks – dlaczego miałbym ją zabijać?

– Latem ze sobą chodziliście i rozstaliście się w gniewie. Byłeś na nią zły, chciałeś się zemścić.

Spinks dotknął zęba i skrzywił się.

– To pierdolone brednie, i tyle. A poza tym mieli panu o tym nie mówić.

– Kto?

– Oni. Francuska zdzira i ten pierdolony Clayton. Stanęli na głowie, żebym nikomu słowa nie pisnął, a teraz sami o tym gadają. Kompletna głupota, nic więcej. Bez sensu. Chyba że chcieli zwalić to na mnie. – Dotknął ścierką czerwonego nosa.

Hatchley wrócił do kawiarni i kiwnął głową.

– Mówią prawdę? – zapytał Banks.

– Trudno powiedzieć. Jak kumple Jelačicia pewnie przysięgną, że czarne to białe, jeśli nasz młody panicz tak im kazał.

Banks przyglądał się Spinksowi, który nie okazywał emocji, tylko wycierał nos i sprawdzał językiem ząb.

– Co zrobił Michael Clayton, żebyś trzymał gębę na kłódkę? – zapytał.

Spinks spojrział na zakrwawioną ścierkę.

– Niech pan se wyobrazi, jak by to wyglądało, gdyby do jakiejś gazety trafiła historia, że taki chuligan z osiedla East Side jak ja bzyka córkę sir Geoffreya Harrisona.

– To jest odpowiedź na „dlaczego”. A ja pytałem „co”.

– Dał mi pieniądze.

– Kto?

– Clayton.

– Michael Clayton dał ci pieniądze, żebyś się trzymał z daleka od Debory?

– Tak powiedziałem.

– Ile?

– Sto funtów.

– Więc przyznajesz, że szantażowałaś lady Harrison?

– Nic takiego. Niech pan posłucha, gdyby sprzedał pan historię gazecie, zapłaciliby panu, no nie?

Więc dlaczego nie miałby pan dostać forsy za to, że jej pan nie sprzeda?

– Twoja logika jest bez zarzutu, John. Mogę zrozumieć, dlaczego nie marnowałeś czasu w szkole.

Spinks się roześmiał.

– Szkoła? Prawie wcale mnie tam nie było, co?

– Debora była w domu, kiedy poszedłeś po pieniądze?

– Nie. Tylko oni dwoje. Clayton i ta stara torba. – Zaczął mówić z akcentem z wyższych sfer. –

Tego dnia Debora miała jazdę, wie pan. Ujeżdżanie. W stadninie przy drodze na Middleham. Debora zawsze lubiła gorące ciało pulsujące jej między nogami.

– Czyli oni z tobą rozmawiali?

– Tak.

– A kiedy lady Harrison poszła na piętro, Michael Clayton uderzył cię i dał ci sto funtów.

– Jak mówiłem, zawarliśmy umowę. Potem jaśnie pani wróciła i powiedziała, że jeśli kiedykolwiek usłyszy, że mówiłem o jej córce, powie o wszystkim sir Geoffreyowi, a on prawdopodobnie każe mnie zabić.

– Ty ją szantażowałaś, a ona groziła ci śmiercią?

– Właśnie. Uszło im płazem, tym skurwysyńskim bogaczom. Jak świniom.

– Słuchasz za dużo winyli Jefferson Airplane, John. Już nas nie nazywają świniami.

– Raz świnia, na zawsze świnia. A teraz są kompakty, nie winyle. Jefferson Airplane, faktycznie.

Od razu widać, ile ma pan lat.

– Och, oszczędź nam tych inteligentnych uwag. Później widziałeś się z Deborą Harrison?

– Nie.

– Czy kiedykolwiek miałeś coś wspólnego z kościołem Marii Panny, z Danielem Chartersem i jego żoną albo Ivem Jelačiciem?

– Z kościołem? Ja? Kurwa, chyba pan żartuje.

– Czy Debora wspominała o jakiejś ważnej tajemnicy?

– Jakiej tajemnicy?

– Nie jesteś przesadnie chętny do współpracy, Johnny.

– Nic nie wiem o żadnej tajemnicy. A na imię mam John. Co zrobicie? Aresztujecie mnie?

Banks napił się kawy.

– Jeszcze nie wiem. Skoro ty nie zabiłeś Debory, to kto twoim zdaniem to zrobił?

– Jakiś świr.

– Skąd ta pewność?

– Widziałem w telewizji. Tak mówili.

– Wierzysz we wszystko, co mówią w telewizji?

– A jeśli nie świr, to kto?

Banks westchnął i zapalił następnego papierosa. Tym razem nie poczęstował Spinksa.

– Właśnie o to cię pytam. – Strzelił palcami. – No, obudź się, John.

Spinks delikatnie wytarł nos, krew całkiem przestała płynąć.

– Skąd mam wiedzieć?

– Znałeś ją. Spędzałeś z nią czas. Miała wrogów? Opowiadała ci o swoim życiu?

– Co? Nie. Głównie to się pieprzyliśmy, skoro chce pan wiedzieć. Poza tym była nudna. Ciągle gadała o koniach i szkole. I ciągle się wyśmiewała z rzeczy, o których ja mówiłem, i z tego, jak mówiłem.

– Cóż, była wykształconą dziewczyną, John. Zdaję sobie sprawę, że trudno byłoby ci dorównać jej pod względem intelektualnym.

– Jak mówiłem, nadawała się tylko do jednego.

– Rozumiem, że pewnego razu ukradłeś samochód i zabrałeś Deborę na przejażdżkę?

– Ja... zaraz, moment. Nie wiem, kto rozsiewa takie złośliwe plotki o mnie, ale nigdy żadnego auta nie ukradłem. Nie umiem nawet prowadzić. – Z kieszeni kamizelki wyjął woreczek z tytoniem i skręcił papierosa.

– A narkotyki?

– Nie tykam ich. Pozostań czysty, to moje motto.

– Założę się, że gdybyśmy zajrzeli do tych kieszeni – wtrącił sierżant Hatchley – pewnie znaleźlibyśmy dość, żeby go zamknąć.

Banks przez chwilę mu się przyglądał, jakby rozważając pomysł. Zobaczył, jak w oczach chłopca coś się pojawia. Poczucie winy. Strach.

– Nie – powiedział, podnosząc się z krzesła. – Nie jest wart całej tej papierkowej roboty. Na razie go zostawimy. Ale prawdopodobnie wrócimy, więc nie odchodź za daleko. Chcę, żebyś wiedział, że masz szansę załapać się na podejrzanego w tej sprawie. Jesteś impulsywny, jak słyszeliśmy, i miałeś wszelkie powody, żeby czuć żal do ofiary. I jeszcze jedno. – Spinks uniósł brwi. Banks się pochylił, oparł dłonie o stół i zniżył głos. – Jeśli kiedyś cię złapię w odległości półtora kilometra od mojej córki, uznasz, że ten zakrwawiony nos, który zafundował ci sierżant Hatchley, był przyjacielskim klepnięciem.

IV

Później tego wieczoru, kiedy Tracy poszła do swojego pokoju odrabiać lekcje, Banks i Sandra mieli kilka godzin dla siebie. Przy wtórze I symfonii Elgara płynącej cicho z wieży Banks nalał sobie małą porcję laphroaiga, a Sandrze podał drambuie z lodem. Postanowił, że nie będzie palił dzisiaj wieczorem, w każdym razie nie w domu, chociaż torfowy smak whisky domagał się towarzystwa nikotyny.

Najpierw Banks opowiedział Sandrze o Johnie Spinksie i swojej wizycie u Sylvie Harrison.

– Zdawało mi się, że komendant zabronił kontaktów z rodziną.

– Owszem. – Banks wzruszył ramionami. – Prawdę mówiąc, byłem o włos od wpadki. Sir Geoffrey wrócił i zastał mnie w domu. Słówko szepnięte Jimmy’emu Riddle’owi i byłoby po mnie. Na szczęście lady Harrison nie chciała, żeby się dowiedział, że rozmawialiśmy o chłopaku Debory, więc mu powiedziała, że wpadłem zdać relację z postępów w śledztwie. Bardziej niż moja obecność zirytowało go, że paliła.

– Ten Spinks wygląda na drania. Myślisz, że Tracy miała z nim coś wspólnego?

Banks pokręcił głową.

– Po prostu należał do tej paczki, to wszystko. Tracy jest rozsądna.

– Debora Harrison najwyraźniej nie była.

– Wszyscy popełniamy błędy. – Banks wstał i ruszył do holu.

– Och, dajże spokój. – Sandra uśmiechnęła się. – Zapal, jeśli chcesz. Mieliśmy dzisiaj w galerii trudny dzień. Niewykluczone, że ja też zapalę. – Sandra rzuciła palenie kilka lat temu, ale od czasu do

czasu zdarzało jej się sięgnąć po papierosa i nie wpaść na powrót w nałóg. Banks jej tego zazdrościł.

W rzeczywistości Banks nie szedł po papierosy, ale po fotografię, którą Stott i Hatchley dostali od Owena Pierce'a. Wykorzystując okazję, z kieszeni płaszcza wyjął paczkę silk cutów.

Kiedy oboje zapalili, a symfonia zbliżała się do adagio, Banks wyjął fotografię z koperty i podał Sandrze.

– Co o tym myślisz?

– Bardzo ładna. Ale na pewno nie w twoim typie. Ma za małe piersi jak na twój gust.

– Nie o to pytałem. I nie mam nic przeciwko małym piersiom.

Sandra wbiła mu łokieć w bok i uśmiechnęła się.

– Żartuję.

– Myślisz, że nie wiem? Ale poważnie, co sądzisz? Z zawodowego punktu widzenia.

Sandra zmarszczyła brwi.

– To nie jest ona, prawda? To nie jest ta zamordowana dziewczyna?

– Nie. Ale widzisz podobieństwo?

Sandra się przesunęła, przyglądając się fotografii w świetle lampy.

– Owszem, trochę jest podobna. Chociaż pamiętaj, zdjęcie w gazecie było fatalne. A poza tym nastolatki pod pewnymi względami nadal są nieukształtowane. Jeśli mają podobny kolor włosów, fryzurę, figurę i wzrost, to bez trudności dopatrzysz się podobieństwa.

– Ona podobno nie jest nastolatką. Miała dwadzieścia dwa lata, kiedy zrobiono to zdjęcie.

Sandra uniosła ciemne brwi.

– Gdybyśmy wszyscy mogli wyglądać tyle lat młodziej.

– Co sądzisz o stylu?

– Fotografia jest dobra. Bardzo dobra. Doskonała kompozycja. Poza tym wygląda na naturalną, światło jest rewelacyjne. Widzisz, jak wydobywa to zagłębienie pod piersiami i leciutkie zaokrąglenie brzucha? Dostrzegasz nawet, gdzie światło odbija się we włoskach na jej skórze. I zdjęcie ma nastrój, jedność. Na twarzy modelki jest rodzaj sekretne uśmiechu, coś w rodzaju Mony Lisy. Silny związek z fotografem.

– Twoim zdaniem go znała?

Sandra w milczeniu przyglądała się fotografii przez kilka sekund. W tle rozbrzmiewała symfonia Elgara.

– Byli kochankami – oznajmiła wreszcie. – Stawiam pensa przeciwko funtowi, że byli kochankami.

– Kobięca intuicja?

Sandra znowu szturchnęła go w żebra, tym razem mocniej, po czym podała mu fotografię.

– Nie. Tylko popatrz w jej oczy, Alan, na jej uśmiech, na sposób, w jaki patrzy na niego. To oczywiste.

Przyjrząwszy się uważniej, Banks wiedział, że Sandra ma rację. To istotnie było oczywiste. Mężczyźni i kobiety patrzą tak na siebie tylko wtedy, kiedy uprawiali miłość albo zaraz to zrobią. Nie potrafił wyjaśnić dlaczego, z całą pewnością nie potrafił dostarczyć dowodu, ale tak jak Sandra wiedział. A podobno Pierce twierdził, że nie zna tej kobiety. W takim razie następnym zadaniem jest odnalezienie jej i odkrycie, dlaczego kłamał. Banks poczeka na pierwsze wyniki badań, potem osobiście pogawędzi sobie z Owenem Pierce'em.

Rozdział 8

I

Mężczyzna, który o drugiej po południu w sobotę siedział naprzeciwko Banksa w pokoju przesłuchań, wyglądał na bardzo rozgniewanego. Banks go rozumiał. Sam byłby zły, gdyby dwaj potężni gliniarze przyszedli i zawlekli go na posterunek w wolnym dniu, zwłaszcza że był to Dzień Pamięci.

Ale nic nie można było na to poradzić. Banks wolałby być w domu i słuchać *Requiem wojenne* Brittena, jak robił każdego jedenastego listopada, to jednak mogło poczekać. Pojawiły się nowe informacje. Pora, żeby osobiście porozmawiać z Owenem Pierce'em.

– Niech się pan odpręży, Owenie – powiedział Banks. – Przypuszczalnie spędzimy tu trochę czasu, więc nie ma sensu, żeby ciśnienie panu skoczyło.

– Może przejdziemy do rzeczy – odparł Owen. – Mam lepsze rzeczy do roboty.

Banks westchnął.

– Ja też, Owenie. Ja też. – Włożył nowe kasety do magnetofonu, po czym uprzedził Owena, że przesłuchanie jest nagrywane, i jak wcześniej podał nazwiska obecnych, godzinę, miejsce i datę.

Poza dwoma mężczyznami obecna była tylko Susan Gay. Jej rola polegała głównie na obserwacji, choć Banks zamierzał dać jej szansę na zadanie kilku pytań. Zdecydowali się na podejście z gatunku „nowa ekipa” – na razie Pierce'a przesłuchiwali tylko Stott i Hatchley – i Banks dwie godziny poświęcił na przejrzanie raportów.

– Dobrze – zaczął Banks – na początek informuję, że nie musi pan nic mówić, jeśli jednak nie wspomni pan teraz o czymś, co później spróbuje pan wykorzystać na swoją obronę, sąd może uznać, że milczenie w tej kwestii w trakcie przesłuchania działa na pana niekorzyść. Wszystkie pana słowa zostaną zapisane i mogą służyć jako dowód, jeśli stanie pan przed sądem.

Owen przełknął ślinę.

– Czy to znaczy, że jestem aresztowany?

– Nie – odparł Banks. – To tylko formalność, żebyśmy wszyscy wiedzieli, na czym stoimy.

Rozumiem, że powiadomiono pana o pańskim prawie do adwokata?

– Tak.

– I pan zrezygnował?

– Owszem, na razie. Powtarzam, nic nie zrobiłem. Dlaczego miałbym płacić adwokatowi?

– Słuszna uwaga. Słono sobie liczą. A teraz, Owenie, czy możemy jeszcze raz wrócić do poniedziałkowego wieczoru?

Owen westchnął i powtórzył to samo, co mówił Stottowi przy dwóch poprzednich przesłuchaniach.

– I ani razu, o żadnej porze nie miał pan tamtego dnia kontaktu z Deborą Harrison?

– Nie. Jak mógłbym? Nie miałem pojęcia, kim jest.

– Jest pan pewien, że jej pan nie spotkał?

– Mówiłem już, nie.

– Dlaczego był pan w tej okolicy?

– Po prostu chodziłem.

– Och, niech pan da spokój. Myśli pan, że się wczoraj urodziłem? Ejże. Był pan umówiony z Deborą, prawda? Znał ją pan.

– Niech pan nie będzie śmieszny. Skąd miałbym znać dziewczynę taką jak ona?

Banks z aktówki wyjął fotografię i przesunął ją po stole.

– Kto to jest?

– Modelka.

– Niech pan się przyjrzy. Uważnie. Pan ją zna. Każdy idiota to widzi.

Banks obserwował, jak Owen blednie i oblizuje usta.

– Nie wiem, o co panu chodzi – powiedział. – To była po prostu modelka.

– Brednie. Zauważył pan podobieństwo do zamordowanej dziewczyny? – Banks obok położył zdjęcie Debory Harrison.

Owen odwrócił wzrok.

– Nie mogę powiedzieć, że tak.

– Niech pan jeszcze raz spojrz.

Owen popatrzył i pokręcił głową.

– Nie.

– I nadal pan utrzymuje, że nigdy pan nie spotkał Debory Harrison?

– Tak jest. – Popatrzył na zegarek. – Kiedy ta farsa się skończy? Czeka na mnie praca.

Banks spojrział na Susan i kiwnął głową. Pochyliła się i położyła na stole dwie opisane koperty.

– Szkopuł w tym – powiedział Banks – że dowody świadczą o czymś zupełnie innym.

– Dowody? Jakie dowody?

– Włosy, Owenie. Włosy. – Banks poklepał pierwszą kopertę. – Żeby się długo nie rozwodzić,

w tej kopercie są próbki włosów zdjętych z anoraka, który miał pan na sobie, kiedy w poniedziałek wieczorem poszedł pan na spacer, a który za pana pozwoleniem przekazaliśmy do laboratorium. Jest na nich sporo włosów, przez naszych ekspertów zidentyfikowanych jako włosy Debory Harrison.

Owen chwycił się kurczowo blatu.

– Ale to niemożliwe! Musicie się mylić!

Banks z powagą pokręcił głową.

– Och, mógłbym pana zanudzać naukowymi szczegółami dotyczącymi rdzenia, kory i tak dalej, ale niech mi pan wierzy na słowo – są jej.

Owen milczał. Susan pchnęła w jego kierunku drugą kopertę.

– Ta z kolei – ciągnął Banks – zawiera próbki włosów zdjęte ze szkolnego blezera Debory Harrison. Dziwnym zbiegiem okoliczności niektóre zostały zidentyfikowane jako pańskie, pasujące do próbek, które z własnej woli pozwolił nam pan pobrać kilka dni temu. – Banks usiadł wygodnie i skrzyżował ręce. – Myślę, że ma pan sporo do wyjaśnienia, prawda, Owenie?

– Próbuje mnie wrobić. Te włosy nie są moje. Nie mogą być. Kłamiecie, żeby mnie skłonić do przyznania się, prawda?

– Przyznania do czego?

Owen się uśmiechnął.

– Nie złapiecie mnie tak łatwo.

Banks pochylił się i oparł dłonie o stół.

– Czytaj mi z ust, Owen. Nie kłamiemy. Włosy są twoje.

Owen przesunął dłonią po głowie.

– Zaraz, zaraz. Musi istnieć jakieś proste wyjaśnienie. Po prostu musi.

– Mam taką nadzieję – odparł Banks. – I bardzo chciałbym je usłyszeć.

Owen przygryzł wargę, skupiając się.

– Do głowy przychodzi mi tylko jedno – powiedział po chwili. – Kiedy byłem na moście, ktoś na mnie wpadł. To wszystko stało się bardzo szybko. Odwracałem się od rzeki i ta dziewczyna prawie zwała mnie z nóg. Nie zdążyłem się jej dobrze przyjrzeć, bo zniknęła we mgle, widziałem ją tylko od tyłu i myślę, że miała długie jasne włosy i była ubrana w kasztanowy blezer i spódnicę. To mogła być ona, prawda? I w taki sposób mogło do tego dojść?

Banks zmarszczył czoło, przeglądając leżące przed nim notatki.

– Nie rozumiem, Owenie. Kiedy rozmawiałeś z inspektorem Stottem i sierżantem Hatchleyem, słowem o tym nie wspominałeś.

– Wiem. – Owen umknął spojrzeniem. – Na początku po prostu o tym zapomniałem, a potem... cóż... kiedy sobie przypomniałem, zobaczyłem gazety i zrozumiałem, dlaczego mnie przesłuchiwali... Chyba się bałem, że to będzie źle wyglądało, jeśli teraz powiem.

– Będzie źle wyglądało? Ale dlaczego, Owenie? Jak mogłoby to wyglądać źle, skoro mówisz, że ta dziewczyna tylko na ciebie wpadła? Czego się bałeś?

– Owszem, ale jeśli to rzeczywiście była Debora Harrison... nie wiem. Poza tym nie byłem pewien, czy to ona. Wtedy wydawało mi się to najlepszym wyjściem. Nic nie mówić. Przykro mi, jeśli sprawiłem wam kłopoty.

– Nam sprawiłeś kłopoty? Właściwie nie, Owenie. Ale sobie trochę sprawiłeś. Zabawne jednak, że wspominasz o tym teraz, kiedy dopasowaliśmy próbki włosów.

– Tak, cóż... Mówiłem dlaczego. Ale chyba możecie to sprawdzić, prawda? Czy jej przyjaciółka mnie nie widziała? Ja widziałem ją w tej mgle.

Banks postukał po kopertach.

– A jeśli cię widziała? To wcale ci nie pomaga, prawda? Wręcz przeciwnie, tylko pogarsza sprawę.

– Ale ja nigdy się nie wypierałem, że byłem na moście.

– Nie, tylko kazałeś nam wierzyć, że nie widziałeś Debory Harrison. Teraz zmieniasz zeznania. Chciałbym wiedzieć dlaczego.

– Byłem dezorientowany, to wszystko.

– Rozumiem to, Owenie. Dlaczego jednak nie powiedziałeś policjantom, którzy pierwsi cię przesłuchiwali, że tamtego wieczoru widziałeś Deborę Harrison?

– Mówiłem, wypadło mi to z głowy. W końcu nie miałem pojęcia, z jakiego powodu do mnie przyszli. Później, kiedy już wiedziałem... Cóż, martwiłem się, że właśnie coś takiego się stanie, jeśli wam powiem. Że opacznie to zrozumiecie.

– Opacznie zrozumiemy?

– Tak. Źle zinterpretujecie, zniekształcicie, wyciągniecie błędne wnioski.

– Wiem, co to słowo oznacza, Owenie – powiedział Banks. – Nie potrzebuję cholernego słownika synonimów, bardzo dziękuję. Nie rozumiem tylko, jaki to ma związek z twoją sprawą.

– Przykro mi. Proszę to przypisać pedanterii nauczyciela angielskiego. Po prostu pomyślałem, że nadacie temu incydentowi większe znaczenie niż w rzeczywistości miał. – Owen próbował się uśmiechnąć, ale rezultat nie był przekonujący. – No bo co macie, kilka włosów. To chyba za mało, żeby utrzymało się w sądzie?

– Nie bądź taki sprytny, synu.

– Ja... to nie tak. Ja tylko mówię, to wszystko.

– Ale nie wiemy, jak te włosy znalazły się na kurtce, prawda?

– O tym właśnie mówię. Może to się stało wtedy, kiedy na mnie wpadła.

– Jeśli to ona na ciebie wpadła.

– Nie przychodzi mi do głowy żadne inne wyjaśnienie.

– Za to mnie tak. Widzisz, już wcześniej nas okłamałeś. Kiedy rozmawiałeś z inspektorem Stottem i sierżantem Hatchleyem. Dlaczego teraz mamy ci wierzyć?

Owen znowu przełknął ślinę. Jego grdyka poruszyła się w górę i w dół.

– Skłamałem?

– Nie wspomniałeś, że widziałeś Deborę ani że się z nią zderzyłeś, skoro o tym mowa. To rodzaj kłamstwa, zgodzisz się chyba? Można to nazwać kłamstwem przez pominięcie. Powiedziałeś też, że nie znasz dziewczyny ze zdjęcia, a przecież ją znasz, prawda?

– Nie. Ja...

Banks westchnął.

– Posłuchaj, Owen, daję ci szansę na wygrzebanie się z tej dziury, zanim będzie za późno. Jeszcze raz porozmawialiśmy z właścicielem Nag's Head, pokazaliśmy mu fotografię tej „modelki”. Mówi, że wiele razy byłeś z nią w pubie. Widział was razem. Co masz na ten temat do powiedzenia?

Zauważył, że na czole Owena zaczyna się zbierać pot.

– W porządku, znam ją. Znałem. Ale nie rozumiem, jaki to ma związek ze sprawą. Była moją dziewczyną. Mieszkaliśmy razem. Czy to pana satysfakcjonuje?

– Kim jest? Gdzie jest teraz? Co się z nią stało?

Owen przyłożył dłoń do uszu.

– To wprost niewiarygodne. Przecież nie możecie myśleć, że zabiłem także Michelle?

– Także? Tak samo jak kogo?

– Na rany Chrystusa. To taka figura retoryczna.

– Można by pomyśleć, że taki pedantyczny nauczyciel angielskiego jak ty będzie ostrożniej stosował figury retoryczne.

– Jestem zdenerwowany.

– Co się stało z tą Michelle?

– Mieszkaliśmy razem prawie pięć lat, latem się rozstaliśmy. I tyle.

– Gdzie ona jest teraz?

– Mieszka w Londynie. W Swiss Cottage.

– Dlaczego się rozstaliście?

– A dlaczego ludzie się rozstają?

– Różnica charakterów? – zasugerował Banks.

Owen chrapliwie się roześmiał.

– Właśnie. Tak było. Różnica charakterów. Może pan tak to nazwać.

– A jak ty byś to nazwał?

– Nie pański interes. Ale jest coś jeszcze. To nie ma nic wspólnego z tą sprawą, ale jeśli pomoże...

– Tak?

– To jest powód, dla którego wyszedłem pospacerować. Tamtego dnia była rocznica naszego poznania się. Byłem przygnębiony i smutny. Chodziliśmy z Michelle na spacer nad rzekę aż do Marii Panny, nawet dalej, i czasami wpadaliśmy do Nag's Head przepłukać gardła. Więc poszedłem na długi spacer, żeby się tych uczuć pozbyć.

– Byłeś przybity?

– Oczywiście. Kochałem ją.

– I pozbyłeś się tych uczuć?

– Do pewnego stopnia.

– A w jaki sposób się ich pozbyłeś?

– Och, to jakiś absurd. Pan myśli tylko o jednym. Nie ma sensu dłużej z panem rozmawiać.

– Może nie, Owenie. Musisz jednak przyznać, że sprawy rysują się w czarnych barwach. Okłamałeś nas cztery razy. – Banks odliczał na palcach. – Dlaczego poszedłeś na spacer, to raz. Dwa, że nigdy nie spotkałeś Debory Harrison, trzy, że nie znasz dziewczyny z fotografii, cztery, że nigdy z nikim nie mieszkałeś. To wszystko kłamstwa, Owen. Rozumiesz, w jakiej sytuacji mnie to stawia?

– Ale to wszystko były takie... mało istotne kłamstwa. Tak, dobrze, kłamałem. Przyznaję. Ale to wszystko. Nikomu nie zrobiłem krzywdy.

W tym momencie rozległo się ciche pukanie do drzwi; Banks wcześniej to zaaranżował. Wyłączył magnetofon i powiedział:

– Proszę wejść.

Inspektor Stott kiwnął głową do Owena Pierce'a i przeprosił, że przeszkadza, po czym wręczył raport Banksowi i stanął obok drzwi.

Banks przeglądał kartki, nie śpiesząc się, udając, że nie zna informacji, które zawierały. Kiedy skończył, podał raport Susan. Przez cały ten czas zdawał sobie sprawę z niepokoju i zakłopotania Owena. Susan przeczytała raport i uniosła brwi. Banks pomyślał, że przesadzają z reakcjami, zachowując się jak lekarze, którzy spojrzeli na zdjęcia rentgenowskie i dowiedzieli się, że ich pacjent ma nieoperacyjnego guza. Chociaż to było skuteczne. Teraz Pierce naprawdę się pocił.

Banks ponownie włączył magnetofon, wyjaśniając krótko, co było powodem przerwy, i dodając inspektora Stotta do listy osób obecnych przy przesłuchaniu.

– Wyniki badań krwi – zwrócił się do Owena.

– Jakich badań?

– Pamiętasz, kilka dni temu pobraliśmy próbki?

– Tak, ale...

– Za twoją zgodą.

– Wiem, ale...

– Na twoim anoraku znaleźliśmy małą plamę zaschniętej krwi, a według tego raportu, Owene, to grupa krwi Debory Harrison, nie twoja. Możesz to wyjaśnić?

– Ja... ja...

Troje policjantów milczało, podczas gdy Owen z wysiłkiem szukał wyjaśnienia.

– Daj spokój, Owene – odezwał się wreszcie Banks. – Opowiedz nam o tym. Dobrze ci to zrobi.

Owen walnął pięścią w stół.

– Nie ma nic do opowiadania! Widziałem dziewczynę. Wpadła na mnie i zaraz pobiegła dalej. To mogła być Debora Harrison. Była mgła. Nie przyjrzałem się jej dokładnie. To wszystko, nic więcej się nie zdarzyło. Nie mam pojęcia, skąd wzięła się jej krew na anoraku. Próbujecie mnie wrobić. Podrzuciliście dowód.

– Twój głos zaczyna brzmieć cokolwiek rozpaczliwie, Owene – powiedział Banks. – Chwytasz się brzytwy. Może się uspokoisz i o wszystkim nam opowiesz?

– Ale dlaczego miałbym zabijać tę dziewczynę? Jaki mógłbym mieć powód? Czemu mi nie wierzycie?

– Bo nie mówiłeś nam prawdy. A to oznacza, że miałeś coś do ukrycia. I jest jeszcze coś.

– Co?

– Pod paznokciami Debory Harrison znaleźliśmy twoją krew. Co ty na to?

– Nic – odparł Owen. – Chcę adwokata. Bez adwokata nie powiem ani słowa więcej.

– Masz prawo – stwierdził Banks. – Ale wysłuchaj mnie, zanim coś powiesz albo zrobisz.

Poczujesz się o wiele lepiej, jeśli nam opowiesz, co się stało. I w ostatecznym rozrachunku wyjdzie ci to na dobre. Kiedy zobaczyłeś Deborę Harrison na moście, przypomniała ci Michelle, prawda? Dziewczynę, z której powodu byłeś przygnębiony. Ukarłeś Michelle w osobie Debory, Owenie? O to tu chodziło? Co ona ci zrobiła?

Owen odwrócił wzrok.

– Nic – powiedział. – To wszystko tylko spekulacje. Stek bzdur.

– Poszedłeś za nią na cmentarz i zaczepiłeś ją, tak? – ciągnął Banks cicho, opierając się łokciami o stół. – Może zaproponowałeś jej pięć funtów, żeby ci obciągnęła, bo mógłbyś udawać, że robi to Michelle. Nieważne. To bez znaczenia. Ale ona źle zareagowała. Przeraziła się. Zepchnąłeś ją ze ścieżki i zawlokłeś za mauzoleum Inchcliffe'ów. Było ciemno, cicho, mgliście. Miałeś zamiar ją ukarać, co? Pokazać jej raz a dobrze, że jeśli tak cię traktuje, musi ponieść konsekwencje? Gniew eksplodował, tak, Owen? Co się stało? Nie stawał ci? Co ci zrobiła Michelle? To ją dusiłeś, tak? Dlaczego kłamałeś, że jej nie znasz?

Owen ujął głowę w dłonie i jęknął. Banks spakował papiery, wstał, po czym kiwnął do Stotta, który powiedział:

– Owenie Pierce, został pan poinformowany o swoich prawach. Jest pan aresztowany. Rozumie pan?

II

Stott po drodze nazwał to izbą zatrzymań, tabliczka na drzwiach głosiła „Areszt”, ale dla Owena to była brama do piekieł. Porzucicie wszelką nadzieję...

Areszt był ciemnym pomieszczeniem w piwnicy komendy w Eastvale, która mieściła się w starym budynku z frontonem z epoki Tudorów. Panował tu hałas, krzatali się ludzie. Sobotnie popołudnie należało do najbardziej ożywionych w areszcie w Eastvale. Dzisiaj do zwykłej sobotniej fali kradzieży sklepowych, chuligaństwa i pijaństwa dochodziły liczne akty przemocy, ponieważ Eastvale United grał u siebie ze swoim arcyrywalem Riponem.

Łuszcząca się farba, w przeszłości wyraźnie będąca próbą rozjaśnienia pomieszczenia wesołym cytrynowym kolorem, teraz wyglądała bardziej jak plama po nikotynie. Owen siedział między Stottem i Hatchleyem na twardej ławce naprzeciwko rzędu wysokich biurek przykręconych do podłogi, które biegły wzdłuż wszystkich ścian jak kontuar. Za biurkami sześciu albo siedmiu mundurowych stukano w maszyny do pisania, kręciło się, krzyczało, śmiało, wypełniało formularze i przesłuchiwało ludzi pod przewodnictwem sierżanta. Kontrast pomiędzy odorem strachu a tą gładką

biurokratyczną działalnością wywołał u Owena swoisty rodzaj przerażenia, jak oddział ratunkowy w szpitalu, gdzie z poszarpanych ciał płynie krew i popiskują urządzenia.

Pijak z zakrwawioną twarzą pochylał się nad biurkiem, śpiewając *Danny Boy* sierżantowi, który usiłował wyciągnąć od niego personalia. Niedaleko Owena na ławce siedziało dwóch ponurych skinheadów w glanach bez sznurówek, mężczyzna przypominający urzędnika bankowego, może malwersant, pomyślał Owen, i nerwowa młoda kobieta w eleganckim ubraniu, przygryzająca wargę. Kleptomanka?

Z jednym z funkcjonariuszy zaczął się kłócić jakiś mężczyzna, który twierdził, że wybrali go, bo jest czarny. Pijak przestał śpiewać i obejrzał się, a potem wrzasnął:

– I słusznie, kurwa! Wracaj do pieprzonej dżungli, z której przyszedłeś, Sambo!

Następnie rzygnął na biurko i padł na kolana, trzymając się za brzuch i pojękując. Sierżant zaklął i odskoczył, ale nie zrobił tego dostatecznie szybko i wymiociny poplamiły mu mundur.

– Weźcie stąd tego sukinsyna! – krzyknął. W dziwnej akustyce pomieszczenia jego głos uległ wzmocnieniu, odbił się echem i ucichł.

W żyłach Owena płynęła adrenalina. Zrobił kilka głębokich wdechów, żeby się uspokoić, i o mało się nie zadławił odorem wymiocin i płynu z amoniakiem do czyszczenia, który dominował w zatęchłym powietrzu.

Funkcjonariusz wypisywał nazwiska, numery, zarzuty i godziny czarnym markerem na białej tablicy. Na ścianach jeden koło drugiego wisały plakaty: graficzne ostrzeżenie przed prowadzeniem po alkoholu; informacja o prawach aresztantów; wyjaśnienie symboli; rada dla policjantów, by z uwagi na możliwość zakażenia się HIV i zapaleniem wątroby typu B wkładali rękawiczki, kiedy mają do czynienia z wymiocinami i krwią.

Dwaj policjanci wywlekli pijaka na zewnątrz, trzeci zaczął sprzątać bałagan, używając mopa, ścierki i lizolu. Na rękach miał plastikowe rękawiczki. Na jasnozielonym linoleum widniały krople krwi. Nawet skinheadzi wydawali się tym wszystkim przestraszeni.

Owen próbował siebie przekonać, że ten koszmar lada chwila się skończy, a on się obudzi i stwierdzi, że wraz z resztą sobotniego tłumu robi zakupy. Może pójdzie do HMV w Swainsdale Center i kupi nową płytę Vana Morrisona. Potem wypije piwo, dwa i na mieście zje kolację, chińską albo hinduską, żeby uczcić zakup płyty. Samotnie, tak jak najbardziej lubił.

A może policjanci zrzucą mundury, odsłaniając kostiumy kłownów, a Stott zacznie odgrywać piosenkarsko-taneczny numer jak bohaterowie sztuk Dennisa Pottera.

Sierżant był wolny, Stott podszedł więc i zamienił z nim kilka słów, po czym gestem wezwał

Owena, a sam zniknął za drzwiami.

– Opróżnij kieszenie, słoneczko – polecił sierżant, spisawszy dane Owena.

Owen wyjął zawartość kieszeni na biurko. Nie było tego wiele: klucze, portfel, trzy funty sześćdziesiąt osiem pensów, książeczka czekowa, karta bankomatowa i kredytowa, kilka zgniecionych list zakupów i stare bilety autobusowe, które kilka razy były prane i suszone, złote pióro wieczne marki Cross, mały notes z ołówkiem wetkniętym w grzbiet, trzy listki gumy do żucia i trochę kurzu.

Sierżant przejrzał notes, w którym poza kilkoma adresami nic nie było. Następnie otworzył portfel.

– Niewiele tu jest – powiedział, wkładając go do plastikowego worka razem z innymi przedmiotami. Ujął pióro w palce. – Ładne.

– Jest złote, nie po prostu ładne – odparł Owen.

– Nie sprowadzimy chyba pieprzonego rzeczoznawcy, co, przyjacielu? – zapytał sierżant. – Ładne.

– Wrzucił pióro do woreczka.

Zanim go zapieczętowano, funkcjonariusz obmacał Owena, by sprawdzić, czy niczego nie ukrył.

Skończywszy, zapytał sierżanta:

– Mamy zajrzeć mu w dupę?

Sierżant zmierzył Owena wzrokiem, potem spojrzął na funkcjonariusza, jakby poważnie rozważał propozycję.

– Nie – powiedział. – Osobiście nigdy nie lubiłem rewizji analnych. Brudna sprawa. Nigdy nie wiadomo, co można znaleźć. Zaprowadź go do studia.

Jezu Chryste, pomyślał Owen, im to sprawia przyjemność! Nie muszą być ordynarni i brutalni, lepiej się bawią przy takich złośliwych kpinach, okrutnych żartach. Już go osądzili i skazali. Dla nich jest winny, a reszta to zwykła formalność. A skoro oni w to uwierzyli, inni też nie będą mieć wątpliwości.

Kiedy zamknęli go w celi, ze strachem pomyślał, że może być jeszcze gorzej. Słyszał o różnych rzeczach, o tym, jak ludzi w rodzaju Rozpruwacza z Yorkshire i Dennisa Nilsena dla ich własnego dobra trzeba było trzymać w izolatkach, jak Jeffreya Dahmera zamordowano w więzieniu, a Frederick West się powiesił.

Izolotka pewnie byłaby lepsza od zgwałcenia przez stu pięćdziesięciokilogramowego Anioła Piekieł z wytatuowanym fiutem, pomyślał Owen. Ale czy zdołałby znieść samotność, poczucie, że został odcięty od wszystkiego, co było mu drogie, porzucony przez cały cywilizowany świat? Lubił samotne życie, ale to był jego wybór. Zniósłby je, gdyby go do niego przymuszono?

Funkcjonariusz zaprowadził go do kolejnego pomieszczenia, gdzie zdjęto mu odciski palców i zrobiono zdjęcia z aparatu na statywie. „Studio”. Kolejny okrutny żart.

– A teraz, stary – powiedział funkcjonariusz – oddaj pasek i sznurowadła.

– Co? Na litość boską, dlaczego...

– Regulamin. Żebyś się nie powiesił.

– Ale nie zamierzam się zabijać. Już mówiłem. Jestem niewinny.

– Taa. To bez znaczenia. Nie będę przez ciebie tracił roboty. Zabralibyśmy także krawat, gdybyś go miał. Raz widziałem, jak facet powiesił się na krawacie. W grochy. Ładny. Powinieneś być widzieć jego wybałuszone oczy i wystający język. I ten smród, nie uwierzyłbyś! Tak, brzydka sprawa. Nie przejmuj się, stary, dostaniesz swoje rzeczy z powrotem – to znaczy, jeśli jeszcze będziesz ich potrzebował.

Serdecznie się śmiał, gdy Owen wyciągał pasek z džinsów i długie białe sznurowadła z butów.

Po powrocie do biurka sierżant dał Owenowi broszurę z informacjami o uzyskaniu pomocy prawnej oraz kartkę, na której wypisano, że ma prawo do telefonu do adwokata, do powiadomienia przyjaciela i do zapoznania się z regulaminem. Następnie podszedł do tablicy i wpisał szczegóły.

– Chcę zadzwonić do adwokata – powiedział Owen.

Sierżant wzruszył ramionami i machnął na funkcjonariusza, a ten zaprowadził Owena do telefonu. Owen włożył rękę do wewnętrznej kieszeni, szukając notesu, w którym z uprzejmości zanotował numer Whartona, ale zaraz uprzytomnił sobie, że mu go zabrano razem z innymi rzeczami. Odwrócił się do policjanta.

– Numer telefonu jest w notesie. Mogę go dostać na minutę?

– Przykro mi. Niezgodne z regulaminem. Wszystko zostało spisane i zabezpieczone.

– Ale ja nie pamiętam numeru do adwokata.

– Więc niech pan tutaj poszuka. – Z szuflady biurka wyciągnął książkę telefoniczną z oślimi uszami. – Zwykle się udaje.

Owen zdołał znaleźć numer kancelarii Gordona Whartona. Odpowiedziała sekretarka automatyczna i chociaż było późne sobotnie popołudnie, zostawił pilną wiadomość, tak na wszelki wypadek. Później wybrał numer domowy kolegi, ale nikt nie odebrał.

– Co teraz? – zapytał posterunkowego.

– Cele. – Koło nich pojawił się inny posterunkowy. Ujęli Owena delikatnie pod łokcie i wyprowadzili go na korytarz.

– Nie ma się czym przejmować – powiedział pierwszy. – Są całkiem wygodne. Przypominają

szpitalny oddział. To najbardziej nowoczesna część budynku.

Kroki policjantów odbijały się echem od zielonkawoniebieskich ścian i wysokiego sufitu, kiedy we trzech szli korytarzem. Na jego końcu posterunkowy wyjął klucz i otworzył ciężkie drzwi.

To prawda, cela nie była wilgotną, zatęchłą piwnicą, jaką sobie wyobrażał Owen: bardzo czysta, cała w białych kafelkach jak publiczna toaleta, z jasnym światłem padającym z żarówek pokrytych drucianą siatką.

Wyposażenie składało się z wąskiego łóżka przymocowanego do ściany i podłogi, na którym leżał cienki materac, umywalki i toalety bez kłapy z pomarańczowego plastiku. Jedyne okno umieszczone było wysoko i głęboko w ścianie, miało mniej więcej metr kwadratowy powierzchni i bardzo grube szyby. W drzwiach znajdował się judasz. Przez zapach środków dezynfekujących przebijał się słaby odór starego potu.

– Przepraszamy, że nie ma telewizora – powiedział jeden ze strażników – ale możemy dać panu coś do czytania, jeśli pan chce. Może książkę albo czasopismo? – Odwrócił się do towarzysza. – Jock przypuszczalnie ma kilka numerów „Playboya” schowanych w szufladzie.

Owen zignorował kpinę. Pokręcił tylko głową, z konsternacją rozglądając się po celi.

– Coś do jedzenia? – zapytał strażnik.

Kiedy Owen teraz o tym pomyślał, uświadomił sobie, że rzeczywiście jest głodny. Odpowiedział twierdząco.

– Dzisiaj jest stek i pudding z nerek. Albo ryba z frytkami, kiełbasa i...

– Stek i pudding mogą być – przerwał Owen.

– Kubek herbaty? Z mlekiem i cukrem?

Owen potaknął. To pieprzony absurd, pomyślał, z trudem powstrzymując się od śmiechu. Oto ja, siedzę w celi w podziemiach komendy policji w Eastvale i składam zamówienie na stek, pudding z nerek i herbatę!

– Nie spędzi pan tu dużo czasu – powiedział strażnik. – I gdyby nie to, że mamy weekend, jutro stanąłby pan przed sędzią. Tak czy owak, będzie pan dobrze traktowany. Dostanie pan trzy pełne posiłki na tydzień, może pan poćwiczyć, jeśli będzie pan chciał, damy panu coś do czytania, długopis i papier...

– Nie możemy mu dać długopisu, Ted – przerwał Jock. – Mógłby... no wiesz... Pamiętasz tego gościa, który...? – Przeciągnął palcem po gardle, wydając gulgoczący dźwięk.

– Taa, masz rację. – Ted zwrócił się z powrotem do Owena. – Mieliśmy raz gościa, który próbował poderżnąć sobie gardło wiecznym piórem. Niezły bałagan. A inny wbił sobie ołówek

w oko. Żółty HB, o ile dobrze pamiętam. – Wolno pokręcił głową. – Przepraszam, chłopcze, będziesz musiał poczekać na przywilej pisania. Odpowiadamy za ciebie, rozumiesz. Jak będziesz chciał czegoś innego, daj nam znać. Jak zawsze mówię, po prostu zadzwoń i poproś o room service.

Roześmiali się i wyszli na korytarz. Ciężkie drzwi zatrzasnęły się za nimi.

III

– I co pan o tym myśli, sir? – zapytała Susan, przekrzykując gwar i podając Banksowi piwo, które dla niego kupiła.

– Dzięki. Wygląda na to, że się myliłem, co? – odparł Banks, wzruszając ramionami.

W ten sobotni wieczór w pubie Queen's Arms unosił się gwar rozmów i dźwięczał śmiech. Wyciekły plotki, że „Dusiciel z Eastvale” jest przetrzymywany w areszcie, i życie było piękne. Rodzice znowu mogli spokojnie spać, niemal każdy telefon, faks i modem w mieście zajęli dziennikarze, a policjanci, którzy nie mieli służby, świętowali sukces. Brakowało tylko fajerwerków i orkiestry dętej.

Banks siedział obok Susan Gay, Hatchley i Stott zajęli miejsca niedaleko. Stott wyglądał jak kocur, który dorwał się do śmietanki. Wcześniej posterunek odwiedził komendant Riddle, klepał po plecach i chełpił się przed mediami. Nie zmarnował okazji, by zganić Banksa za dręczenie Harrisonów ani nie zaniedbał pochwalić Stotta za odegranie głównej roli w przypuszczalnie najszybszym w dziejach aresztowaniu sprawcy mordu z pobudek seksualnych.

Tym razem Riddle zamierzał osobiście poinformować Harrisonów, że ma w areszcie człowieka odpowiedzialnego za śmierć Debory, głównie dzięki wysiłkom nowego członka wydziału śledczego policji w Eastvale, inspektora Barry'ego Stotta. Oczywiście Riddle prędzej padłby trupem niż pokazał się w pubie, żeby napić się ze zwykłymi posterunkowymi, nawet gdyby nie miał umówionych kilku wywiadów telewizyjnych. Dzięki Bogu za drobne łaski, pomyślał Banks.

Popijając piwo i pozwalając, by rozmowy i śmiech przepływały wokół niego, zastanawiał się, dlaczego jest taki przybity. Nigdy nie unikał analizowania powodów i teraz po raz pierwszy rozważał, czy tu nie chodzi po prostu o zazdrość zawodową.

Ale czy rzeczywiście? Banks musiał przyznać, że powody do tej zazdrości mógł mieć tylko w oczach komendanta i kilku innych, którzy żywili do niego urazę. Dla mediów główny inspektor Alan Banks przeprowadził najbardziej udane śledztwo w dziejach policji Eastvale. Jego oddziały wygrały bitwę. On był generałem. Więc dlaczego czuje takie przygnębienie?

– Dowody są dość solidne, zgadza się pan, sir?! – krzyknęła mu do ucha Susan.

Banks kiwnął głową. Na butach nie było nic, co mogło się do nich przykleić na ścieżce wzdłuż rzeki, ale próbki krwi i włosów pasowały. Jego i jej. Podejrzany jest dziwny. W dodatku kłamie. Widziano go w okolicy w czasie popełnienia morderstwa, swej bytności nie wyjaśnił przekonująco. O tak, przyznał Banks, nawet prokuratura nie powinna mieć z tym kłopotów. Czy mogłoby być lepiej? A jeśli wyniki badania DNA okażą się pozytywne...

Spojrzał na Susan: na jej okrągłą twarz z kremową cerą, krótki, nieco zadarty nos, mocno kręcone jasne włosy. Przed sobą miała szklanekę z St. Clementem.

Banks się uśmiechnął, usiłując otrząsnąć się z ponurego nastroju.

– Postawię ci drinka, Susan. Prawdziwego. Na co miałabyś ochotę?

– Nie powinnam, sir, naprawdę... – odparła Susan. – No wie pan, oficjalnie...

– Pieprzyć oficjalnie. Jesteś po służbie. A poza tym wyższy stopniem oficer mówi ci, że czas najwyższy, żebyś wypila prawdziwego drinka. Co to ma być?

Susan zarumieniła się i uśmiechnęła, odwracając od niego niebieskoszare oczy.

– W takim razie, sir, napiję się porto z cytryną.

– Porto z cytryną, proszę bardzo.

– Ja pójdę, sir.

– Nie, zostań tutaj. Popilnuj mi miejsca.

Banks wstał i zaczął przepychać się przez tłum, kiwając głową, uśmiechając się i witając. Kilka osób poklepało go po plecach i gratulowało szybkości, z jaką złapał mordercę.

Z piwem w jednej i porto w drugiej ręce wracał do stolika. W połowie drogi ktoś położył mu dłoń na ramieniu. Kiedy się odwrócił, zobaczył Rebeccę Charters. Długie rude włosy okalały jej bladą twarz.

Banks się uśmiechnął.

– Zboczyła pani trochę z utartego szlaku, co? – powiedział.

– Najpierw byłam na posterunku. Oficer dyżurny powiedział mi, że jesteście tutaj i świętujecie.

Słyszałam, że aresztowaliście mordercę Debory Harrison. To prawda?

Banks kiwnął głową.

– Tak. W każdym razie podejrzanego.

– Czy to znaczy, że teraz zostawicie nas w spokoju? Sprawy mogą wrócić do normalności?

– Czymkolwiek ona jest – odparł Banks. – A dlaczego? Co panią niepokoi?

– Nic mnie nie niepokoi. Po prostu byłoby miło wiedzieć, że możemy wrócić do życia we dwoje, zamiast dzielić się każdym emocjonalnie ważnym momentem z miejscową policją.

– Nigdy czegoś takiego nie chciałem, pani Charters. Proszę posłuchać, głupio tak tu stać. Ma pani ochotę na drinka?

Widział, że Rebecca poważnie rozważa jego propozycję. Zmierzyła wzrokiem butelki ustawione za barem, potem nagle pokręciła głową.

– Nie. Nie, dziękuję panu. To kolejna sprawa, którą próbuję zostawić za sobą.

– Świetnie – odparł Banks. – Brawo.

– Do diabła, skąd może pan to wiedzieć? – rzuciła i wybiegła z pubu.

Banks wzruszył ramionami i wrócił do stolika, gdzie wszyscy, nawet inspektor Stott, śmiali się z dowcipu Hatchleya. Banks nie żałował, że go przegapił; słyszał wszystkie wcześniej przynajmniej pięć razy.

Kiedy wsunął się na swoje miejsce, Susan podziękowała mu za drinka.

– O co chodziło? – zapytała.

– Nie jestem pewien. Chyba ją obraziłem. A może jest rozdrażniona, bo odstawiła alkohol.

– Dopóki się nie poskarży komendantowi, nie ma sprawy. Co dalej, sir?

– Myślę, że musimy dowiedzieć się, co spowodowało, że Pierce eksplodował. Nadal nie mamy motywu, prawda? Zapytał nas, dlaczego miałyby popełnić taką zbrodnię, i uważam, że naszym obowiązkiem jest znalezienie odpowiedzi. Jeśli nie dla jego dobra, to ze względu na przysięgłych.

– Ale jeśli to był mord z pobudek seksualnych, sir, to właściwie nie potrzebujemy motywu, no nie? Nie możemy oczekiwać racjonalnego zachowania.

– Czy Owen Pierce wydał ci się szalony?

– To bardzo trudne pytanie – odparła Susan wolno. – Z rodzaju tych, o które eksperci sprzecząją się w sądzie.

– Nie pytam o oficjalne oświadczenie. Rozmawiamy prywatnie. Chodzi o twoje osobiste obserwacje, o policyjną intuicję.

Susan napiła się drinka.

– No cóż, zacznijmy od tego, że był zdenerwowany, poirytowany, wrogo nastawiony i zdezorientowany.

– A ty nie zachowywałabyś się tak, gdyby cię oskarżono o morderstwo i przesłuchiowano?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, sir. Nigdy nie byłem w takiej sytuacji. To znaczy, jeśli człowiek nie ma nic do ukrycia... jeśli mówi prawdę... Po co się denerwować?

– Bo wszyscy myślą, że to zrobiłaś. I mają całą władzę. My mamy władzę. W zasadzie

dręczyliśmy Pierce'a, w końcu był tak zdezorientowany, że zachowywał się jak człowiek winny.

– Myśli pan, że on tego nie zrobił?

Banks podrapał się po bliźnie koło prawego oka. Swędziała; czasami to coś znaczyło, czasami nie. Żałował, że nie potrafi rozpoznać, która z tych ewentualności teraz wchodzi w grę.

– Nie. Mówię tylko, że każdy ma coś do ukrycia. Każdy zaczyna czuć się winny, kiedy zatrzymuje go i przesłuchuje policja, niezależnie od tego, czy coś zrobił, czy nie. Pod taką presją niemal wszyscy zareagowaliby podobnie jak Pierce. – Banks zapalił i wolno wydmuchał dym, uważając, by kłęb nie popłynął w stronę Susan, potem upił wielki łyk piwa.

– Ale nadal ma pan wątpliwości, prawda?

Banks cmoknął.

– A nie powinienem, prawda? Bo przecież to ja go aresztowałem. Mimo to jestem zdezorientowany. Sprawa z Pierce'em potoczyła się tak szybko. Nadal pozostało wiele niewyjaśnionych wątków. Wokół Debory tyle się działo. Pamiętasz? Alibi Jelaćicia jest bardzo wątpliwe. Mamy trójkąt złożony z Daniela i Rebekki Chartersów oraz Patricka Metcalfe'a. To bardzo niestabilna kombinacja, dawno takiej nie widziałem. Jest John Spinks, kolejny typ zdolny do przemocy. Dodaj do kompletu Michaela Clayтона, połowę czasu spędzającego z Sylvie Harrison, kiedy jej męża nie ma w domu, i otrzymasz mnóstwo pytań, na które nie znaleźliśmy odpowiedzi.

– Owszem, sir, ale czy któreś z nich są istotne, skoro mamy Pierce'a z włosami i krwią?

Banks wzruszył ramionami.

– Krew i włosy nie są niezbitymi dowodami, choć pewnie masz rację. Czasami żałuję, że nie potrafię zaakceptować oficjalnej wersji.

– Ale zgadza się pan, że Pierce mógł to zrobić?

– O tak. Przypuszczalnie to zrobił. Nie znaleźliśmy żadnych śladów na ubraniach Chartersa czy Jelaćicia. No i Pierce był w okolicy. Co więcej, jest w nim coś, co w dziwny sposób harmonizuje z tą zbrodnią. Nie wiem, jak lepiej to ująć.

– Trafnie pan to określił, sir. Muszę przyznać, że na myśl o nim przechodzą mnie dreszcze.

– Tak. Wiesz, on ma w sobie coś, co jakoś pasuje do morderstwa Debory Harrison. W pokoju przesłuchań próbowałem nawiązać kontakt z jego mroczną stroną. – Banks lekko zadrżał.

– Czyli z czym, sir?

– Każdy ma mroczną stronę, Susan. Owen Pierce nie zmusił cię do zastanowienia się nad swoją? Susan otworzyła szeroko oczy.

– Nie, sir. Nie sędzę. To znaczy, zrobiliśmy, co do nas należało. Zebraliśmy dowody,

aresztowaliśmy podejrzanego. Myślę, że powinniśmy to zostawić i iść dalej.

Po krótkiej chwili Banks się uśmiechnął.

– Oczywiście masz rację, chociaż nadal zostało kilka rzeczy do zrobienia. Co powiesz na podróż do Londynu w poniedziałek?

– Do Londynu? Ja, sir?

– Tak. Chciałbym złożyć wizytę tej Michelle, usłyszeć jej historię. Zrobił, co mógł, żeby ukryć przed nami ten związek, więc coś musi w tym być. Poza tym zależy mi na twoich wrażeniach, wiesz, kobiety o kobiecie, o ile nie brzmi to strasznie seksistowsko.

– Nie, sir. Oczywiście. Chętnie pojedę.

– To dobrze. – Banks spojrział na zegarek i dokończył piwo. – Pójdę już do domu. Jutro dłużej sobie poleż. Spodoba ci się.

Susan się uśmiechnęła.

– Tak zrobię, sir. Dobranoc.

Banks włożył płaszcz, pożegnał się i ruszył przez tłum do drzwi, zaliczając po drodze kilka klepięć w plecy. Na chwilę przystanął na Market Street przy brukowanym rynku i obserwował, jak jego oddech tworzy obłoczki pary w czystym zimnym powietrzu.

Tyle się dzisiaj zdarzyło, że ledwo miał czas zauważyć bezchmurne niebo, jesienny wiatr strącający liście z drzew. Teraz było ciemno i po raz pierwszy od wielu dni świeciły gwiazdy. Do głowy mu wpadła kwestia z zeszłomiesięcznego przedstawienia Amatorskiego Towarzystwa Dramatycznego w Eastvale: „Drogi Brutusie, to nasza tylko, nie gwiazd naszych wina”.³ Znowu pomyślał o tamtym mglistym wieczorze na cmentarzu, zastanawiając się, co tam naprawdę się stało. Może nigdy się tego nie dowie.

Było zimno, a do domu musiał wracać pieszo, bo wypił trzy piwa, za dużo, żeby usiąść za kierownicą, poza tym uznał, że musi oczyścić umysł. Zgrabiętymi dłońmi jakoś włożył słuchawki do uszu i włączył walkmana w kieszeni. Po sekundzie lub dwóch syczenia zaszokował go atak głośnego zniekształconego dźwięku gitary elektrycznej. Zapomniał o kasecie Jimiego Hendrixa, którą na początku tygodnia włożył do odtwarzacza, żeby go obudziła w drodze do pracy. Od tamtego czasu go nie używał. Teraz się uśmiechnął i ruszył do domu. Dlaczego nie? *Hear My Train a' Coming* doskonale się nada, *Requiem wojenne* Brittena posłucha później.

Rozdział 9

I

W poniedziałek trzynastego listopada pociąg InterCity startujący o dziewiętej trzydzieści sześć z Yorku wjechał na londyński dworzec King's Cross o dwunastej pięć, z dwudziestominutowym opóźnieniem. Problemy na rozjeździe za Peterborough, wyjaśnił konduktor przez głośniki w wagonach. Nie po raz pierwszy Banks przyglądał się ponuremu, postindustrialnemu krajobrazowi swojego rodzinnego miasta z mieszaniną nostalgii i przerażenia. Peterborough. Że też musiał stamtąd pochodzić, nawet jeśli drużyna piłkarska, której kibicował jako nastolatek, awansowała do środka tabeli drugiej ligi.

Zgodnie z prognozą zaczęło padać. To nie była ulewa ani burza, ale stała listopadowa mżawka sprawiająca wrażenie, że będzie wiecznie się sączyć z szarego nieba. Padało w Eastvale, kiedy rano Banks i Susan wyjeżdżali do Yorku, padało w Yorku, kiedy wsiadali do pociągu, i padało w Londynie, kiedy wyszli z metra na Oxford Circus. Przynajmniej było cieplej niż w weekend, pogoda na płaszcz przeciwdeszczowy, nie grubą kurtkę.

Aby sprawę wszystkim ułatwić, Michelle Chappel zaproponowała, że porozmawia z nimi w przerwie na lunch, która zaczynała się o wpół do pierwszej. Umówili się w małej włoskiej restauracji niedaleko Regent Street. Na tej ulicy mieściła się firma produkująca eleganckie materiały piśmiennicze, w której pracowała jako administratorka.

Ponieważ rozmowa była nieoficjalna, gdyż nie podejrzewali Michelle o żadne przestępstwo, Banks zgodził się na spotkanie w restauracji. To oznaczało, że jeśli dopisze im szczęście, wrócą do Eastvale późnym popołudniem.

Jak zwykle Regent Street była zatłoczona, nawet mimo deszczu, i Banks musiał uchylać się przed wieloma groźnymi dla oczu prętami parasolów, gdy oboje z Susan szli do restauracji w bocznej uliczce w pobliżu domu towarowego Dickins & Jones.

Dotarli tam jakieś pięć minut później. Banks zauważył Michelle Chappel przy stoliku pod oknem. Ze zręcznością, która mogła się przydać Peterborough United w zeszłą sobotę, zdołał wyminąć kelnera, który blokował przejście, trzymając wielkie karty dań i mamrocząc coś o konieczności czekania piętnaście, dwadzieścia minut.

Restauracja nie miała wyszukanego wyglądu – rozchwiane stoły i krzesła, mnóstwo porysowanego drewna, oprawne w pozłacane ramki akwarele przedstawiające Wenecję i Florencję, poplamione

białe obrusy – ale kiedy Banks spojrział na listę dań wypisaną kredą na tablicy, zrozumiał, że to ten rodzaj londyńskiej bezpretensjonalności, za który zedrą z ciebie skórę.

Mała sala była zatłoczona, Michelle jednak zajęła dla nich dwa miejsca. Wokół biegali spoceni kelnerzy, na stolikach pojawiały się karafki wina, w powietrzu unosił się zapach czosnku, pomidorów i oregano. Mimo że nie było wolnych miejsc, nie panował tu nadmierny hałas; kiedy się przedstawili i usiedli, nie musieli krzyczeć, żeby się usłyszeć.

– Mówiłam panu Littlewoodowi, że mogę kilka minut się spóźnić – powiedziała Michelle. – Odparł, że nie szkodzi.

– To świetnie – stwierdził Banks. – Postaramy się nie zabrać pani za dużo czasu.

– W porządku.

Fizycznie Michelle bardzo przypominała siebie z fotografii, wyjątkiem były włosy, teraz obcięte na krótko, dokładnie wystrzyżone wokół delikatnych uszu i spadające wystrzępioną grzywką na czoło. Miała wystające kości policzkowe, mocno zarysowaną szczękę i niemal przezroczystą, pozbawioną skaz cerę, a chociaż kobieta siedziała, nie ulegało wątpliwości, że zachowała szczupłą, wysportowaną figurę. Była ubrana w czerwony żakiet i czarną jedwabną bluzkę zapiętą do wgłębienia w jej długiej, łabędziej szyi. Z małych uszu zwisały dwa srebrne aniołki tańczące przy każdym ruchu jej głowy.

– Powiedział pan przez telefon, że mnie rozpozna dzięki zdjęciu Owena – zwróciła się do Banksa, wyraźnie świadoma jego uważnego wzroku. – To było dwa lata temu. Bardzo się zmieniłam?

Banks pokręcił głową.

– Przypuszczam, że to był jeden z aktów.

– Tak.

– Więc się obawiam, że co do reszty musi mi pan uwierzyć na słowo. – Uśmiechnęła się i w jej oczach błysnęła wesołość, którą Owen Pierce uchwycił na kliszy. Dotknęła swoich włosów. – Obcięłam je pół roku temu. Dla odmiany. Macie ochotę coś zjeść?

Banks i Michelle zrezygnowali z dań oferowanych w pociągu i teraz umierali z głodu. Po wnikliwych studiach i konsultacjach Banks zdecydował się na pizzę z kozim serem, oliwkami, suszonymi na słońcu pomidorami i włoskimi kiełbaskami. W końcu to Londyn, pomyślał, londyńskie ceny, więc czemu nie? Susan wybrała cannelloni. Zamówili też pół litra czerwonego wina. Michelle już piła białe do linguine z sosem z małży.

Kiedy uporali się z zamówieniem, usiedli wygodnie. Klienci przychodzili i wychodzili, przy czym tych drugich było więcej, jako że zbliżała się pierwsza. Mżawka nadal zostawiała smugi wody na

oknie z przybrudzoną białą firanką.

– Nie wiem właściwie, czego ode mnie oczekujecie – zaczęła Michelle. – Przez telefon niewiele mi pan powiedział.

– Sam do końca tego nie wiem, panno Chappel – odparł Banks. – Mam nadzieję, że się dowiem, kiedy to usłyszę.

– Proszę mi mówić „Michelle”.

Banks kiwnął głową.

– Mówił pan, że Owena aresztowano?

– Tak jest.

– Pod jakim zarzutem?

– Więc pani tego nie wie?

– Nie natrafiłam na jego nazwisko w gazetach, a pan przez telefon mi nie powiedział. Skąd miałabym wiedzieć?

– Oczywiście. – Banks spojrzał na Susan i kiwnął głową.

– Obawiam się, że to bardzo poważna sprawa, Michelle – powiedziała Susan. – Owena aresztowano za morderstwo. Przykro mi.

– Morderstwo? Ale kogo... Zaraz, zaraz... Chyba nie tej uczennicy?

– Tak. Nazywała się Debora Harrison.

– Czytałam o tym. – Michelle wolno pokręciła głową. – Jasna cholera. Więc on... – Spojrzała na Banksa. – Jak według was mogę pomóc?

– Co może nam pani o nim powiedzieć? Nie miał ochoty przyznać, że panią zna, ani powiedzieć, kim pani jest.

– Wcale mnie to nie dziwi.

– Pokłóciliście się?

Michelle zmarszczyła czoło.

– Co już wiecie?

– Niewiele. Wziąwszy pod uwagę charakter zbrodni, musimy choć w części zrozumieć, jakim on jest człowiekiem. Rozumiemy, że to samotnik, dziwak, tak mówią ludzie.

– Naprawdę? Nie zawsze taki był. Nie na początku. Owen potrafił być zabawny. W każdym razie przez pewien czas, potem... – Jej oczy pociemniały.

– Potem co?

– Och, po prostu... ludzie się zmieniają. To wszystko.

– No cóż, rozumie pani nasz problem, prawda? – powiedział Banks. – On nie ma bliskiej rodziny i wygląda na to, że nikt w Eastvale nie zna go zbyt dobrze. Liczyliśmy, że pani będzie mogła rzucić trochę światła na jego charakter.

– Zamierza powoływać się na niepoczytalność?

– Nic w tym rodzaju. Dlaczego pani pyta?

– To dlaczego chcecie to wiedzieć?

– Niech się pani nie przejmuję, nie zamierzamy wlec pani do sądu ani nic takiego.

– Och, nie miałabym nic przeciwko temu.

– Więc skąd te wątpliwości?

Michelle pochyliła się i oparła łokcie o stół.

– Prawdę mówiąc – zniżyła głos – z wielką radością poszłabym do sądu.

Banks spojrział na nią zdziwiony.

– Nie rozumiem, Michelle. Co między wami zaszło? Wiemy tylko, że latem się rozstaliście i że Owen próbował ukryć, że panią zna. Twierdził, że na fotografiach jest jakaś anonimowa modelka.

Michelle prychnęła.

– Jasne.

– Dlaczego miałyby to robić?

– Dlaczego? Powiem wam. Ponieważ mnie też próbował zabić, oto dlaczego.

II

Posterunek od ratusza dzieliło niecałe półtora kilometra i Owen chętnie by się przeszedł po weekendzie spędzonym w celi, ale dwaj funkcjonariusze zaprowadzili go prosto do furgonetki. Zanim przekroczyli próg, jeden zarzucił mu na głowę zatęchły stary płaszcz przeciwdeszczowy.

Mimo że od drzwi do furgonetki było kilka kroków, Owena ogarnęło straszne uczucie, że połyka go ogromny tłum, i musiał bardzo się starać, żeby zapanować nad jelitami.

Słyszał wykrzykiwane pytania, obelgi i przekleństwa pod swoim adresem. Jedna grupka złożona z samych kobiet skandowała:

– Powiesić go! Powiesić go!

Owen zawsze bał się tłumu, nigdy nie mógł spokojnie brać udziału w meczu piłkarskim albo koncercie muzycznym. Dla niego tłum to w gruncie rzeczy nie byli ludzie, ale bezrozumna bestia obdarzona pierwotną siłą. Płaszcz na jego głowie cuchnął strachem innych ludzi.

Na szczęście nie trwało to długo. Zanim Owen faktycznie stracił kontrolę nad jelitami i zrobił

z siebie głupca, poczuł, jak wpychają go do furgonetki i usłyszał trzask zamykanych drzwi. Krzyki i skandowanie były teraz stłumione, zaraz też całkiem zagłuszył je warkot silnika.

U celu nie było tak źle: eskorta przepchnęła się z nim przez mniej liczny tłum, potem zaprowadzili go do małej salki. Kiedy Owen w końcu mógł zdjąć płaszcz z głowy, pierwszą osobą, którą zobaczył, był Gordon Wharton. Nie najpiękniejszy widok na świecie, choć w tych okolicznościach pożądany.

Wharton odchylił się na krzesło, poprawił kant spodni w paski i założył nogę na nogę. To dość napuszony gest, pomyślał Owen, w dodatku pasujący do wyniosłego wyrazu twarzy, różowych, lśniących czystością policzków i sposobu, w jaki cesał na bok kilka pozostałych pasemek przetłuszczonych włosów. Chociaż przypuszczalnie był rówieśnikiem Owena, wyglądał na o wiele starszego. Winę po części ponosił tłuszcz, myślał Owen, po części łysina i pewnie stres wywołany pracowaniem. Dlaczego jedynym prawnikiem, którego zna, musi być akurat Wharton?

Na uniwersytecie był kujonem, nigdy nie miał czasu na drinka w kampusie albo kino w mieście, i Owen nigdy za nim nie przepadał. Odnosił wrażenie, że z wzajemnością. Jedynym powodem, dla którego w ogóle ze sobą rozmawiali, był wspólny przedmiot na pierwszym roku, później obaj wylądowali w Eastvale i któregoś dnia przypadkiem się spotkali.

Wharton w końcu odwiedził Owena w niedzielę rano, ponieważ w sobotę nie było go w mieście. Nie udało mu się uzyskać zgody na zwolnienie z policyjnego aresztu za kaucją.

– W porządku? – zapytał Wharton.

Owen wziął kilka głębokich wdechów.

– Chyba tak. Co oni mają zamiar zrobić, rozerwać mnie na strzępy?

Wharton wzruszył ramionami.

– Dlaczego nikt nie potrafi zrozumieć, że jestem niewinny?

Wharton zrobił z palców piramidkę i spuścił wzrok.

– Owenie, nie jesteś pierwszym niewinnym człowiekiem, którego aresztowano pod takim albo innym zarzutem, i nie będziesz ostatnim. Ale od czego jest prawo. Każdy jest niewinny, dopóki nie udowodni się mu winy. Policję interesuje tylko, czy mają sprawę, którą mogą przedstawić w sądzie. Teraz decyzja zależy od sądu. Zaufaj systemowi sprawiedliwości.

Owen prychnął.

– Brytyjski system sprawiedliwości? Na razie niewiele dobrego dla mnie zrobił.

– Chociaż pewnie jesteś wkurzony, to jednak możesz mi wierzyć, że nasz system jest najlepszy na świecie. W wielu innych krajach już byś był w drodze na egzekucję albo siedział w cuchnącej celi bez możliwości wyjścia. Posłuchaj, sugeruję, żebyś zaakceptował tę sytuację. W obecnych

okolicznościach narzekania nic ci nie dadzą, będziesz tylko użalał się nad sobą. A teraz sprawdźmy, co jeszcze powinniśmy rozważyć.

Pompatyczny drań, pomyślał Owen.

– Dobrze ci radzić, żebym się nie skarżył – powiedział. – Ale to ja siedzę w więzieniu. Zwolnią mnie w sądzie za kaucją?

Wharton pokręcił głową.

– Wątpię. Nie przy tego rodzaju zarzutach.

– Jestem pewien, że gdyby ci się udało przekonać policję, żeby głębiej pogrzebali, to znaleźliby prawdziwego sprawcę.

Wharton pochylił się i oparł dłonie o biurko. Owen dostrzegł, jak przy tym ruchu połyskują w świetle złote spinki do mankietów.

– Owenie – powiedział, robiąc krótką przerwę dla lepszego efektu – wydaje mi się, że nadal nie zdajesz sobie sprawy z powagi sytuacji. Aresztowano cię pod zarzutem dokonania najpoważniejszego z przestępstw – morderstwa. Nikt nie pozwoli ci ot tak odejść.

– Po czyjej jesteś stronie?

Wharton uniósł rękę.

– Pozwól mi skończyć. Jeśli chodzi o policję, już mają swojego człowieka. Dlaczego mieliby marnować czas na szukanie kogoś innego? Musisz stawić czoło faktom, Owenie, aresztowano cię pod zarzutem morderstwa, siedzisz w więzieniu, za tydzień albo dwa prokuratura zacznie przygotowywać sprawę przeciwko tobie i staniesz przed sądem. Zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby ci pomóc, zaangażuję najlepszego obrońcę, jakiego uda mi się znaleźć, ale musisz się pogodzić z sytuacją. Rozumiesz?

Owen nie był pewien, czy rozumie, ale i tak kiwnął głową.

– To dobrze – powiedział Wharton.

– Więc co się wydarzy w sądzie? Jaki sens przychodzić tutaj, skoro odeślą mnie z powrotem do więzienia?

– Do aresztu śledczego. Albo cię tam wyślą, albo zwolnią. Jak mówiłem wcześniej, na to drugie bym nie liczył. Następnie ustalą termin rozprawy wstępnej.

– Jak długo będę musiał na to czekać?

– Hm, trudno powiedzieć. Teoretycznie powinna się odbyć w ciągu pięćdziesięciu sześciu dni. –

Wharton krzywo się uśmiechnął. – Niestety, nie jesteś jedynym oskarżonym przestępcą w systemie. Zdarzają się opóźnienia.

Owen poczuł ucisk w klatce piersiowej.

– Mówisz, że mogę siedzieć w więzieniu do lutego, zanim dojdzie do rozprawy wstępnej?

– Och, co najwyżej. Ale nie w areszcie w Eastvale. Przypuszczalnie w Armley. I nie martw się, oni mają doświadczenie, odseparują cię od innych więźniów. Wszyscy wiedzą, jacy moralni stają się kryminaliści, kiedy chodzi o przestępstwa z pobudek seksualnych. Będą cię trzymać w izolacji. Ale tym teraz się nie martw. Żyj dzień po dniu. To moja rada. Będę dla ciebie pracował, o to możesz się nie obawiać.

Ciekawe, dlaczego ta obietnica nie uspokoiła Owena tak, jak powinna?

Do pokoju zajrzał strażnik.

– Czas, panowie.

Wharton się uśmiechnął i wziął czarną aktówkę.

– Do dzieła – powiedział. – Przygotuj się do walki.

III

Jedzenie podano tuż po uwadze Michelle, że Owen Pierce próbował ją zabić. Wszyscy troje milczeli, kiedy kelner stawiał przed nimi gorące talerze i uzupełniał koszyki z chlebem. Minęła już pierwsza. Michelle spóźni się do pracy, Banks o tym wiedział, ale ona najwyraźniej tym się nie przejmowała. Chciała im opowiedzieć o najgorszym postępku Owena Pierce'a.

Banks poczekał, aż wszyscy spróbowali swoich dań i skomentowali ich jakość, po czym powiedział:

– Wcześniej mówiła pani, że na początku Owen był zabawny, potem się zmienił. Na czym ta zmiana polegała? Ma coś wspólnego z tym, co się stało? Zaczął używać przemocy?

– Nie, właściwie nie. To znaczy dopiero na samym końcu.

– Na końcu?

– W dzień, kiedy od niego odeszłam. Czy raczej w poprzednią noc.

– Jeśli wcześniej nie używał przemocy, to co było nie tak? Jak się zmienił?

– Po prostu trudno było z nim wytrzymać. Łatwo wybuchał. Narzekał. Był zazdrosny. Nieracjonalny. – Umilkła, żeby włożyć do ust porcję makaronu i popić ją winem.

– Miał gwałtowne usposobienie?

Michelle potaknęła. Jej kolczyki w kształcie aniołów zatańczyły.

– Zaczynał mieć. Pod koniec było coraz gorzej. Stał się okropnie zaborczy i zazdrosny. Wpadał we wściekłość bez powodu.

– I dlatego go pani opuściła? Ze strachu przed przemocą? – wtrąciła Susan. – Bała się pani, że zrobi pani krzywdę?

Michelle spojrzała na nią.

– Nie. Właściwie nie. To było przerażające, zwłaszcza w tę ostatnią noc, ale... co mam zrobić, żebyście zrozumieli?

– Słuchamy uważnie. – Susan kącikiem oka obserwowała Banksa, który skubał swoją pizzę. – Co się stało? Powie nam pani?

Michelle znowu napiła się wina, spojrzała na Susan i kiwnęła głową. Mówiąc, wodziła wzrokiem po twarzach obojga.

– W porządku. Wróciłam późno ze spotkania z przyjaciółką. Owen na mnie czekał. I pił.

– Zwykle dużo pił? – zapytał Banks.

Michelle okręciła makaron na widelcu.

– Zwykle nie, choć pod koniec coraz częściej mu się to zdarzało. Kiedy coś go wprawiało w zły humor, a w tych ostatnich tygodniach ciągle był zły. Tak czy owak tamtego wieczoru czułam w jego oddechu whisky.

Banks napił się czerwonego wina. Miało wodnisty smak.

– Pani też dużo wypija? – zapytał.

– Tylko dwa kieliszki białego wina.

Banks kiwnął głową.

– I co było dalej?

– Zaczął obrzucać mnie okropnymi wyzwiskami, oskarżać o najróżniejsze ohydne rzeczy, a potem... potem...

– Co potem, Michelle?

– Och, pieprzyć to. Wyrzuc to z siebie, Michelle. – Wzięła głęboki wdech i potarła dłonią oczy. – Próbował mi na siłę wepchnąć.

– Próbował panią zgwałcić?

– Tak. Próbował mnie zgwałcić. – Nie płakała, tylko jej oczy połyskiwały od gniewu.

– Wtedy po raz pierwszy próbował to zrobić?

– Oczywiście. Myśli pan, że z własnej chęci zostałamby choć sekundę dłużej z facetem, który tak by mnie potraktował? – Nie zjadła wszystkiego; odsunęła talerz i napiła się wina.

– Nie wiem, w jakiej była pani sytuacji – odparł Banks. – Czasami ludzie, zwłaszcza kobiety, tkwią w złych związkach. Nie wiedzą, co zrobić.

– Tak, ale nie ja. Nie jestem taka. Och, zrobiłam, co w mojej mocy, starałam się go zadowolić, dostosować się do jego... ale to się stawało niemożliwe. Nie wiedziałam, co jeszcze mogłabym wymyślić. Żądał ode mnie za wiele, a to była ostatnia kropla. Szczególnie zdenerwowały mnie wyzwiska i te ohydne rzeczy, o które mnie oskarżał.

– Więc mu się pani sprzeciwiła?

– Tak. To było straszne, że tak wstrętne do mnie mówił, a potem chciał to ze mną zrobić... wie pan... jak zwierzęta.

– Walczyła pani?

Michelle kiwnęła głową.

– A potem co się stało?

– Nie wiem na pewno. Co najmniej raz mnie uderzył i straciłam przytomność.

– Uderzył panią, kiedy nie zgodziła się pani na seks?

– Tak. Pamiętam, jak upadałam, jak bolała mnie głowa i przed oczami robiło mi się czarno... sama nie wiem... może to trwało tylko kilka sekund.

– Co było potem?

– Poczułam jego ręce na szyi.

– Próbował panią udusić?

– Tak. Położył ręce na moim gardle i zaciskał.

– Jak go pani powstrzymała?

– Nie powstrzymałam go. Nie miałam sił. Musiałam znowu zemdleć.

– I co dalej?

– Obudziłam się. Był wczesny ranek, jasno, a ja dalej leżałam na podłodze, gdzie upadłam. Byłam cała sztywna i bardzo bolała mnie głowa. Ubranie miałam podarte.

– Gdzie był Owen?

– W łóżku, spał albo film mu się urwał. Słyszałam, że chrapie, więc zajrzałam do sypialni.

– Czy w jakikolwiek sposób wykorzystał panią seksualnie?

– Tak. Myślę, że uprawiał ze mną seks.

– Nie ma pani pewności?

– Nie, byłam nieprzytomna, ale jestem o tym przekonana.

– Skąd pani wie?

Spojrzała prosto na Banksa. Pomimo charakteru wydarzeń, które relacjonowała, nie dostrzegł w jej oczach silnych emocji. Nie odnosiła się do sprawy z klinicznym chłodem, ale też nie była

rozgorączkowana. Kilkoro pozostałych w restauracji gości nigdy by się nie domyśliło, o jakich koszmarach rozmawia ta trójka pod oknem.

– Kobieta wie takie rzeczy – powiedziała, po czym zwróciła się do Susan. – Czułam się obolała... wie pani... na dole.

Susan kiwnęła głową i położyła dłoń na jej ramieniu.

Banks skończył pizzę i rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy ktoś pali. Jakimś cudem jedna czy dwie osoby paliły. W restauracji zapanował spokój i kiedy Banks przywołał kelnera i poprosił o popielniczkę, ten spełnił prośbę.

– Co pani zrobiła później? – zapytał Banks.

– Spakowałam swoje rzeczy, a nie było tego wiele, i wyszłam z domu.

– Dokąd?

– Krążyłam po mieście. Nie miałam gdzie się podziać. Na szczęście było lato i nie padało. Pamiętam, jak spałam w słońcu w parku.

– A w nocy?

– Próbowałam przenocować na dworcu kolejowym, ale policja ciągle mnie przeganiała. Chowałam się w wejściach do sklepów, wszędzie, gdzie mogłam się schronić. Byłam przerażona.

– I co zrobiła pani następnego dnia?

– Przełknęłam dumę, wróciłam do rodziców i stawiałam czoło konsekwencjom. Miesiąc później dostałam tę pracę.

– Co im pani powiedziała? – zapytała Susan.

– Nie mogłam powiedzieć prawdy, no nie? Za bardzo się wstydziłam. Nikomu o tym nie mogłam powiedzieć. Wymyśliłam historyjkę, że nie byłam z nim szczęśliwa, a oni uwierzyli. Zresztą to chcieli usłyszeć. Spotkali go tylko raz i nie spodobał się im. Uważali, że jest dla mnie za stary. Wystarczyło, że powiedziałam, co chcieli usłyszeć, i przyznałam się do błędu. Zawsze mi wierzyli.

– Dlaczego nie zgłosiła pani tego na policję? – zapytał Banks.

– Już mówiłam. Było mi wstyd. Jestem pewna, że detektyw Gay to rozumie.

– Owszem – zgodziła się Susan.

– Och, wiem, jak powinnam postąpić – ciągnęła Michelle. – Zwłaszcza teraz, po tym, co się przydarzyło tej biednej dziewczynie. Pod pewnym względem czuję się okropnie winna, niemal odpowiedzialna. Ale nie można przewidzieć, do czego jest zdolny inny człowiek, jak daleko się posunie. Wiedziałam, że Owen jest trochę niezrównoważony, że potrafi być niebezpieczny. Powinnam była ocenić do jakiego stopnia i zgłosić to na policję. Ale się bałam. – Znowu spojrzała

na Susan. – A poza tym słyszałam, jak okropnie potrafią traktować w sądzie dziewczyny, które takie oskarżenia wysuwają. Jak mówią, że to ty jesteś winna, że jesteś dziwką, sprowadzają wszelkiego rodzaju lekarzy i... Ja... ja myślałam, że nie dałabym rady. No bo mieszkałam z Owenem, prawda? I wcześniej z własnej woli mu się oddawałam. Co by powiedzieli? Że go sprowokowałam, i tyle.

– W dzisiejszych czasach sądy nie są takie łagodne dla gwałcicieli, Michelle – powiedziała Susan.
– To wcale tak by nie wyglądało.

– Ale skąd miałam wiedzieć?

– I to był jedyny powód, dla którego pani nie zgłosiła tego incydentu? – zapytał Banks. – Ze strachu przed policją i sądami?

– No, w głównej mierze. Ale był jeszcze Owen, no nie? Kiedy ktoś coś takiego nam zrobił, użył przemocy, zaczynamy się zastanawiać, do czego jeszcze jest zdolny. Słyszysz się o facetach prześladowających kobiety, dręczących je na wszelkie możliwe sposoby. Wstydziałam się, ale też byłam przerażona. Bałam się, co może zrobić. – Spojrzała na zegarek. – Boże, już po drugiej. Posłuchajcie, naprawdę muszę już iść. Pan Littlewood jest wyrozumiały tylko do pewnego stopnia.

– W świetle tego, co nam pani powiedziała, chcielibyśmy spisać pani zeznanie. Możemy to zrobić, kiedy skończy pani pracę, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu – rzekł Banks.

Michelle przygryzła wargę i chwilę się namyślała.

– Dobrze, zgadzam się. Zrobimy to, będę to miała z głowy. Kończę o wpół do szóstej.

– Poczekamy.

Patrzyli, jak Michelle odchodzi. Banks zapalił kolejnego papierosa, potem oboje zamówili cappuccino.

– No tak – powiedział Banks – wygląda na to, że musimy spędzić całe popołudnie w wielkim mieście. Chcesz obejrzeć klejnoty koronne? Zwiedzić Muzeum Zbrodni w Scotland Yardzie? Albo możemy zrobić wczesne świąteczne zakupy.

Susan się roześmiała.

– Nie, dziękuję, sir. Proponuję, żebyśmy odwiedzili Phila Richmonda w Yardzie, co pan na to? Może uda mu się wyrwać na godzinę.

– Dobrze. Zadzwoń do niego.

– Tak jest, sir. Ma pan dziesięciopensówkę?

IV

Więzienie Armley wyglądało jak średniowieczna forteca. Owen widział tylko fragment przez

zakratowane okno furgonetki, ale doskonale znał ten budynek, widywał go wiele razy, kiedy studiował na uniwersytecie w Leeds.

Usytuowane na wzgórzu na zachód od centrum miasta, składało się z potężnej wiktoriańskiej budowli z czarnego granitu z blankami i wieżami oraz nowszej części, która sprawiała wrażenie, że ciągle jest w budowie. Stanowiło atrakcję turystyczną, bo w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku tutaj w areszcie śledczym osadzono Petera Sutcliffe'a, „Rozpruwacza z Yorkshire”.

Przynajmniej kierowca miał poczucie humoru. Elvis Presley śpiewał *Jailhouse Rock*, kiedy furgonetka ze swoim ładunkiem więźniów w ciężkich kajdanach przejeżdżała przez wielką bramę. Ciekawe, pomyślał Owen, czy kierowca włącza piosenkę za każdym razem, tak jak przewodnicy wycieczek opowiadają te same dowcipy.

W niskim pokoju przyjęć zdjęto im kajdanki i Owen za pokwitowaniem przeszedł z rąk policji w ręce służby więziennej. Równie dobrze mógł być krową albo świnia sprzedaną na targu. Skatalogowano jego rzeczy, umieszczono je w pudle, przy czym procedura przypominała tę w areszcie na posterunku, następnie nadano mu numer, którego nawet nie próbował zapamiętać, i zaprowadzono go do boksu, gdzie został zrewidowany.

Później dyrektor wyjaśnił, że Owen został sklasyfikowany jako więzień kategorii A, co oznacza, że będzie spędzał samotnie w celi dwadzieścia trzy i pół godziny na dobę, a pozostałe trzydzieści minut przeznaczone są na ćwiczenia fizyczne pod nadzorem. Wolno mu kupić tyle papierosów, ile chce – to akurat Owena wcale nie pociągało – i będzie miał dostęp do książek i materiałów piśmienniczych.

Cała ta sprawa przypominała Owenowi scenę z *Mechanicznej pomarańczy* Kubricka, w której Alex wprowadzany jest do więzienia. To pomieszczenie miało tę samą szarą niehumanitarną atmosferę, idealne tło dla upokorzenia. Teraz przestał być człowiekiem, był tylko numerem.

Po pobieżnym badaniu („Cierpiał na palpitanie, zadyszki?”), bez wątplenia wymaganym dla ochrony władz, gdyby dzisiaj wieczorem padł trupem w swojej celi, kazano mu wziąć kąpiel w mniej więcej dwudziestu centymetrach letniej wody. Wanna była stara, model wiktoriański, poplamiona, z nóżkami w kształcie łap. Kiedy wysechł, wręczono mu kombinezon więzienny: brązowe spodnie i niebieską koszulę w paski, szorstką i drapiącą.

Później dostał również szorstką pościel i odprowadzili go do celi. Znajdowała się w specjalnym skrzydle, z czarnymi metalowymi schodami i pomostami wyglądała jak fragment rysunku M.C. Eschera. Ściany pokrywała łuszcząca się regulaminowa zielona farba, od wysokich sufitów każdy krok odbijał się głośnym echem.

Tutejsza cela była nieznacznie większa od celi w areszcie w Eastvale, ale o wiele bardziej

ponura. Białe ściany zszarzały od upływu czasu i działania kurzu, podłoga była z zimnego kamienia. Jedyne okno umieszczono wysoko pod sufitem; chociaż wielkością niewiele różniło się od chusteczki do nosa, zrobiono je ze zbrojonego szkła. Źródłem światła była osłonięta drucianą siatką żarówka małej mocy. W kącie obok drzwi stała umywalka z mydłem i ręcznikiem, ale nie było toalety. Rozejrzawszy się, Owen zlokalizował wiadro i papier toaletowy przy łóżku.

Dodatkowym wyposażeniem były stół i krzesło tak małe, że z trudem wpychał kolana pod blat. Stół trochę się chwiał, ale kilka warstw papieru toaletowego wsuniętych pod jedną z nóg szybko rozwiązało problem.

Poprosił o prasę i książki z więziennej biblioteki – science fiction, jeśli to możliwe, co pozwoliłoby jego umysłowi uciec od posępnego otoczenia. Fantastyką pasjonował się przelotnie jako nastolatek, od tamtego czasu jej nie czytał. Dziwne, ale teraz poczuł potrzebę sięgnięcia po nią ponownie. Wharton obiecał, że przyniesie mu walkmana i kilka kaset.

Przez pewien czas krążył, później próbował wymierzyć celę. Doszedł do wniosku, że ma dwa i pół metra na trzy. Skulił się na twardym wąskim materacu i wpatrywał w pęknięcia na suficie. Oczekiwał, że na ścianach będą skreślane przez jego poprzedników dni, jak widywał w filmach, ale nic takiego nie zobaczył. Nie było nawet śladu graffiti, nazwiska wydrapanego paznokciem.

Niewykluczone, że przed nim celę zajmował Rozpruwacz we własnej osobie. Owen zadrzał. To idiotyczne, powiedział sobie. Minęło wiele lat, odkąd Sutcliffe tu był. Od tego czasu przez celę musiały przewinąć się dziesiątki osób. A mimo to... nawiedzona cela, niezłe podsumowanie dnia.

Czas najwyższy wziąć wyobraźnię w ryzy i stawić czoło sytuacji. Zdawał sobie sprawę z tego, co może mu się przytrafić, z „najgorszego scenariusza”, jak rano ujął to Wharton, i nie był w stanie o tym myśleć.

Wharton już miał rację w kwestii sądu pokoju; posiedzenie skończyło się w kilka minut i Owen znalazł się w areszcie śledczym, gdzie oczekiwał na proces za morderstwo. To tyle, jeśli chodzi o prawdę i sprawiedliwość.

Teraz najbardziej martwił się rzeczami praktycznymi: pracą, domem, rybkami, samochodem. Wharton zabrał jego klucze i obiecał, że wszystkim się zajmie, ale... Czy ktoś powiadomił władze wydziału? A jeśli tak, to co zrobił dziekan? Rozdzielenie jego zajęć pomiędzy kolegów do czasu zatrudnienia zastępcy nie będzie trudne, ale co, jeśli sprawa będzie się wlokła miesiącami? Nie miał etatu, więc w każdej chwili mogą go zwolnić. Ciekawe, czy jeśli straci pracę z powodu tej farsy, tej absurdalnej pomyłki, to będzie mógł wystąpić o odszkodowanie?

Dom pozostanie jego własnością, dopóki stan konta bankowego pozwoli na realizację zlecenia

stałego spłaty hipoteki, tym więc nie powinien się martwić. W końcu od jakiegoś czasu nieźle zarabiał, a bardzo mało wydawał. Miał nadzieję, że jego sąsiad Ivor, który też miał klucz, zaopiekuje się rybkami.

Z zamyślenia wyrwał go odgłos kroków, chwilę później usłyszał szcęk przekręcanego w zamku klucza. Była pora posiłku. Strażnik przyniósł mu też mazak, notatnik i koperty, *Poezje zebrane* Wordswortha, ku jego zdziwieniu noszące ślady częstego kartkowania, i trylogię *Fundacja Asimova*.

Kiedy skończył jeść i drzwi znowu zamknęły się za strażnikiem, Owen ujął w dłoń mazak i usiadł przy stole. Nie miał do kogo napisać, ale przecież może zabić czas notowaniem swoich wrażeń i doświadczeń. Może pewnego dnia ktoś zechce to opublikować.

Pięćdziesiąt sześć dni albo dłużej, powiedział Wharton. Ha, nic nie mógł na to poradzić, więc równie dobrze może się do tego przyzwyczaić.

Rozdział 10

I

Biura prokuratury znajdowały się na ostatnim piętrze starego, pełnego przeciągów trzypiętrowego budynku przy North Market Street, nad dwoma sklepami pomiędzy domem kultury a ratuszem. Parter zajmowały butik z odzieżą dla puszystych i sklep z importowaną belgijską czekoladą. Gdzieś w budynku dentysta zdołał wcisnąć gabinet. Czasami podczas omawiania sprawy słychać było wiertło.

Szef prokuratury przydzielił sprawę Pierce’a Staffordowi Oakesowi, niechlujnemu facecikowi z łatami na łokciach, tłustymi włosami, spiczastym nosem i jastrzębimi oczami. Banks wcześniej wielokrotnie pracował z Oaksem i bardzo go szanował.

Obok Banksa siedział inspektor Stott, a koło Oakesa – Denise Campbell, której drogie i stylowe markowe stroje silnie kontrastowały z taną odzieżą kolegi. Denise była atrakcyjną i ambitną młodą prawniczką z krótkimi czarnymi włosami i jasną cerą. Banks nigdy nie widział, żeby się uśmiechała; ogólnie rzecz biorąc, sprawiała wrażenie, że jest za sztywna, za porządna i nazbyt zasadnicza.

W zasadzie policja ostrożnie traktowała prokuraturę ze względu na jej niechęć do kierowania sprawy do sądu; rzeczywiście, Banks nieraz kłócił się z Oaksem na ten temat. Oakes jednak był sprawiedliwy, w przeciwieństwie do innych prokuratorów zwykle nie robił sprawie większych szkód niż obrona. Banks nawet kilka razy wybrał się z nim na piwo i wymieniał opowieściami z pierwszej linii walki z przestępczością w Londynie, w którym obaj swego czasu mieszkali.

Gabinet Oakesa był równie niechlujny jak jego właściciel, wszędzie leżały segregatory i teczki. Wiele z nich nosiło znak firmowy prokuratora, połączone kółka po kubkach z kawą, wyglądające jak symbol igrzysk olimpijskich, był bowiem uzależniony od kofeiny i zupełnie nie zwracał uwagi na to, gdzie stawia kubek – dzisiaj spoczywał na raporcie z sekcji zwłok Debory Harrison.

Do Bożego Narodzenia zostało kilka tygodni, minęły ponad dwa odkąd po raz pierwszy rozmawiali przez telefon. Badania DNA potwierdziły, że istotnie krew Debory była na anoraku Owena, a jego tkanka pod jej paznokciami. Banks przesłał także wszystkie zeznania świadków oraz wyniki badań kryminalistycznych. Obecnie ich kopie na pewno są już u obrońców Owena Pierce’a.

– To mi się podoba – mówił Oakes, klepiąc gruby na trzydzieści centymetrów stos na biurku. – Zwłaszcza przypadła mi do gustu analiza DNA. To coś, w co mogę się wgryźć. Nie przyznał się, powiadasz?

– Nie – odparł Banks.

– Dobra. – Oakes siorbnał kawy. – Te przyznania do winy to tylko kłopot, gdyby mnie ktoś pytał.

Lepiej bez nich. A ty co myślisz, Denise?

– Kilka razy nam się powiodło, choć muszę przyznać, że w ograniczonym stopniu. Najczęściej oskarżeni się wycofują, mówią, że policja je sfałszowała albo zmusiła ich biciem. – Posłała Banksowi surowe spojrzenie. – Ale nawet dowody naukowe nie zapewniają pełnego sukcesu. Zależy od tego, jak wiele ich zgromadzono i kto je przedstawia.

– Och, wiem o tym. – Oakes machnął ręką. – Pamiętasz tego nerwowego głupka ze sprawy Innes w Richmond? – Spojrzał na Banksa i Stotta, po czym przewrócił oczami. – Czysta sprawa. Czy raczej powinna być. Prosta kwestia plam krwi. Kiedy obrona skończyła z tym gościem, był kłębkim nerwów, nie potrafił nawet dodać dwóch do dwóch. Chodzi mi jednak o to, że porządna, solidna sprawa opiera się na faktach. Takich jak DNA. To sędziowie i przysięgli lubią najbardziej. Fakty. Niezbite. Piękne. Fakty. Mam rację, Denise?

Denise Campbell potaknęła.

– Więc tak – Oakes znowu się napił – ufam, że pan Pierce dał zgodę na pobranie krwi i włosów?

– Tak – odparł Banks. – Próbkę zostały pobrane przez policyjnego lekarza. Powinieneś mieć kopie podpisanych przez Pierce’a formularzy.

Oakes zmarszczył czoło, grzebiąc głębiej w stosie.

– A tak – mruknął, wyciągając kilka arkuszy z kólkami po kawie. – Tutaj są. Dobrze. Dobrze. I kurtkę też uzyskaliście zgodnie z prawem?

Banks spojrzał na Stotta, a ten powiedział:

– Tak. Zgodził się, żebyśmy ją wzięli w celu przeprowadzenia badań, i daliśmy mu pokwitowanie.

– Ale nie poszliście do jego domu z nakazem rewizji?

– Nie – odrzekł Stott. – Na tamym etapie dochodzenia chcieliśmy tylko porozmawiać z panem Pierce’em. Kiedy zobaczyłem pomarańczowy anorak, a mieliśmy rysopis mężczyzny w podobnej kurtce, którego widziano w okolicy miejsca zbrodni, przejąłem inicjatywę i...

Oakes znowu machnął ręką.

– Tak, tak, tak, inspektorze, w porządku. Nie składa pan zeznań przed sądem. Niech mi pan oszczędzi tych szczegółów. Są trochę podejrzone, ale będą musiały wystarczyć.

Stott siedział sztywny, zaczerwieniony, z zaciśniętymi ustami. Banks nie potrafił powstrzymać się od uśmiechu. Nowy chłopak pierwszy raz ma do czynienia ze Staffordem Oakesem.

Prokurator mówił dalej, przeszukując stos na biurku.

– W większości to solidny materiał. DNA, włosy, analiza krwi. Solidny materiał. Oczywiście sam nie rozumiem z tego ani słowa, ale z właściwym człowiekiem na miejscu dla świadków bylibyśmy w stanie sprzedać to nawet przeciętnemu czytelnikowi „Sun”. Wiecie, to jest klucz: prosty język, bez popisywania się. – Odłożył na bok gruby plik, po czym machnął kilkoma arkuszami. – No i to. Też niezłe. Wasz pastor, jakże się on nazywa... Daniel Charters... umieszcza naszego człowieka na moście we właściwym czasie. – Palcem wskazującym dotknął nosa. – Choć muszę powiedzieć, Banks, ten gość jest moralnie nieco podejrzany.

– Daniela Chartersa oskarżono o składanie homoseksualnych propozycji pracownikowi kościoła – wyjaśnił Banks. – Uchodźcy z Chorwacji nazwiskiem Jelačić, który także był podejrzany, dopóki nie pojawił się Pierce. Jeśli to cię interesuje, nie wierzę, że Charters to zrobił.

– To bez znaczenia, w co wierzysz. Zgadzasz się, Denise?

– Tak – odparła Denise.

– Widzisz, moja uczona koleżanka się zgadza. Liczy się tylko to, Banks, w co wierzą przysięgli. Pastor ze smrodkiem skandalu przywierającym do koloratki jest jak szczególnie cuchnący pierd. – Oakes pokręcił głową, cmokając. – Powiedzą sobie, oto prawdziwy hipokryta, człowiek, który głosi cnotę czystości, który należy do Kościoła niewyświęcającego na księży homoseksualistów, przyłapany z ręką pod komzą chórzysty, by tak to ująć. Rozumiecie, o co mi chodzi? To materiał na tabloidowy skandal, i tyle.

– To i tak kwestia akademicka – powiedział Banks – skoro Owen Pierce przyznaje, że o tej porze był na moście.

– Aha. – Oakes podniósł palec. – Nie przywiązywałbym do tego zbyt wielkiej wagi. Taki z tego pożytek jak z przyznania się do winy. I pamiętajcie, on to powiedział, zanim porozmawiał ze swoim prawnikiem. Wiele może się zmienić do procesu. Uwierzcie mi, potrzebujemy tyle dowodów, ile jesteście w stanie zebrać.

– Charters nie jest jedynym, który w krytycznym czasie widział Pierce’a na moście. Megan Preece, przyjaciółka Debory, też go widziała.

Oakes pokręcił głową.

– Czytałem jej zeznanie. Nie jest całkowicie przekonana, że to był on. Cholernie dobra rzecz, nie ma co. Nic gorszego niż dziecko w charakterze świadka. Wykorzystamy waszego pastora. Nie przejmujcie się, odgrywam rolę adwokata diabła. Trzeba przewidzieć wszystkie możliwości. – Spojrzał na zeznania. – Właściciel Nag’s Head widział Pierce’a w pubie krótko wcześniej, jak rozumiem. Jest wiarygodny, tak?

Banks znowu spojrział na Stotta.

– No cóż – powiedział ten sztywno. – Wydał mi się mało bystry, ale ponieważ tamtego wieczoru

Pierce był chyba jego jedynym gościem, przypuszczam, że możemy na nim polegać.

– Świetnie. A ta druga knajpa... Peking Moon. Chińska. – Oakes zmarszczył nos. – Właścicielem jest Chińczyk?

– Urodzony i wychowany w Whitechapel – powiedział Stott.

– Czyli Chińczyk z akcentem cockneyowskim?

– Tak.

Oakes pokręcił głową.

– Przysięgli nie lubią Chińczyków. Nie ufają im. Nadal myślą o starym Fu Manchu, rozumiecie, tajemniczym żółtym niebezpieczeństwie i tak dalej. Sam tak nie uważam, ale nie da się usunąć tego rodzaju rasistowskich poglądów z ludzkich umysłów tak szybko, jak byśmy chcieli, a już na pewno nie można zakazać ich prawem. Ale zrobimy, co w naszej mocy. To bystry gość?

– Bardzo – powiedział Stott.

– Dobrze, to pomoże. Chyba że oczywiście wyda się za inteligentny. Przysięgli nie lubią ludzi, którzy jawią im się jako zbyt mądrzy. Zwłaszcza jeśli to cudzoziemcy. Oczekują tego od jajogłowych, jasne, ale nie od zwykłego restauratora. Cóż, nic na to nie poradzimy. – Wstał i dolał sobie kawy z ekspresu stojącego na szafce z dokumentami. – Ale naprawdę martwi mnie to. – Wyciągnął ze stosu kolejne karty. – Przyjęliście zeznanie od Michelle Chappel, byłej dziewczyny Pierce'a. Oczywiście wszystko zgodnie z prawem, ale cała ta sprawa jest podejrzana. – Mlasnął i oparł dłoń na dokumentach, jakby gotowy do złożenia przysięgi na Biblię. – Niezwykle podejrzana.

– Pod jakim względem? – zapytał Banks.

Oakes usiadł w fotelu, splótł ręce nad głową i do popękanego sufitu zacytował:

– „Sędzia w procesie kryminalnym ma prawo odrzucić dowód, jeśli jego zdaniem stopień, w jakim może uprzedzić przysięgłych do oskarżonego, przerasta wartość samego dowodu”. Lord Diplock, Regina vs. Sang, tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty dziewiąty rok.

– Myślisz, że to dotyczy zeznania Michelle Chappel? – zapytał Banks.

– Mówię tylko, że to może być problem. „Nie należy przekazywać przysięgłym takich informacji o oskarżonym, które z wielkim prawdopodobieństwem mogą uprzedzić ich do niego w stopniu daleko wykraczającym poza wartość dowodu zawierającego te informacje”. To samo źródło. I zwykle dotyczy to dowodów odnoszących się do podobnego faktu. Włączając zeznanie tej kobiety do dowodów, chcecie zasugerować, że Pierce był typem człowieka zdolnym do popełnienia takiej

zbrodni. Freudowskie paplanie, a przysięgli tego nie lubią, chyba że w telewizji. A co ważniejsze, wielu sędziów także tego nie lubi.

Banks wzruszył ramionami.

– Znam regułę podobnego faktu – powiedział – ale my próbujemy pokazać, że w jego przypadku istnieje historia przemocy wobec kobiet. Oraz że jest znaczące fizyczne podobieństwo między tymi dwiema ofiarami. Próbujemy odkryć motyw.

Oakes podniósł brwi.

– A tak, to wszystko pięknie, ładnie, Banks, ale jesteś gościem z wyobraźnią, takim, co czyta dużo literatury pięknej, prawda? Jeśli rozumiesz problem dowodów dotyczących podobnych faktów, to musisz też rozumieć, że próbujesz przedstawić Pierce'a jako człowieka zdolnego do popełnienia takiej zbrodni, ponieważ już raz zachował się w podobny sposób. A co więcej, kobieta nie zgłosiła policji tego przestępstwa i bez wątpienia żywi do Pierce'a urazę, bo ją porzucił. – Znowu mlasnęła i napił się kawy. – Choć z drugiej strony – dodał z namysłem – zdarzały się dziwniejsze rzeczy.

– Więc do jakiego wniosku doszedłeś? – zapytał Banks.

– Do jakiego wniosku? – Oakes uderzył w stos poplamionych kawą papierów. – Spróbujemy. Dlaczego nie? W najgorszym razie sąd uzna jej zeznanie za niedopuszczalne. – Zaśmiał się. – Kiedyś tylko definicja dowodu niedopuszczalnego mogła pomóc obronie. To było w starych, dobrych czasach. W zależności od sędziego można dostać trochę luzu w tego rodzaju sprawach, zwłaszcza w przypadku tak poważnej zbrodni jak ta. Nieraz widywałem, jak przyjmowano taki dowód. Zasada głosi jedynie, że sam fakt, iż oskarżony w przeszłości zachował się podobnie jak w przypadku przestępstwa, za które jest sądzony, nie ma znaczenia. Gdy jednak wydarzenia są bardzo podobne i zaczyna wyłaniać się wzór postępowania, który sprawia, że nie wygląda to na zwykły zbieg okoliczności, wówczas taki dowód może zostać przyjęty. Nadążasz za mną?

– Tak mi się wydaje – odparł Banks.

– Jeśli spróbujemy pokazać, że te dwie napaści tworzą taki wzór – ciągnął Oakes – to może się nam udać. Oczywiście wszystko zależy od sędziego. Masz psychologa, z którym możesz się skonsultować? A ta młoda kobieta, z którą cię widziałem w Queen's Arms? Śliczne młode stworzenie. Ruda. Jest psychologiem, prawda?

– Jenny Fuller?

– Właśnie.

– Tak, ale Jenny nadal wykłada w Ameryce. Wróci dopiero po Bożym Narodzeniu.

– Wystarczy. Nie ma pośpiechu, drogi chłopcze, nie ma pośpiechu. Na razie mamy dość na

wniosek o areszt. Teraz potrzeba nam czegoś, co wzmocni dopuszczalność zebranych dowodów.

– Więc zamierzasz go oskarżyć?

Oakes napił się kawy, spojrzął na papiery i kilka razy pociągnął nosem.

– Tak myślę – powiedział po chwili, która wydawała się trwać wieczność. Kiwnął głową. – Tak, uważam, że mamy dobry materiał na proces. A ty jak sądzisz, Denise?

– Przygwoźdźmy drania – odparła Denise Campbell, po czym się zarumieniła i zakryła usta dłonią, jakby przed chwilą niechcący beknęła.

II

Rozprawa wstępna Owena odbyła się na początku lutego. Była mniej więcej tak ekscytująca jak wilgotna petarda, bardziej przypominała zebranie rady wydziału w college'u niż rozstrzygnięcie poważnej kwestii. Sędziowie nie mieli nawet peruk ani tóg.

Owen stanął się przed trzema sędziami pokoju pewnego przenikliwie zimnego poranka. Sędziowie odczytali zarzuty przygotowane przez prokuratorów, a obrona nie zgłosiła sprzeciwu, czyli oskarżony wyraził zgodę na areszt. Jak przepowiadał Wharton, sędziowie uznali, że oskarżenie oparte jest na domniemaniu faktycznym i Owen musi stanąć przed sądem koronnym. Datę rozprawy ustalono na koniec marca. Na sali było kilku widzów, opinia publiczna poznała nazwisko Owena, chociaż prasie przekazano tylko zarzuty i najbardziej podstawowe informacje, a nie zgromadzone przez policję dowody.

Na szczęście Owen szybko się przyzwyczyił do więziennej monotonii: zapalenie świateł, opróżnienie wiadra, zgaszenie świateł, sen. Po kilku pierwszych tygodniach stracił poczucie czasu. Codziennie wypuszczano go z celi tylko na półgodzinne ćwiczenia na ponurym podwórzu. Prawie nie widywał innych ludzi poza swoimi strażnikami, a samotne chodzenie w kółko nie sprawiało mu przyjemności.

Jedzenie przypominało mu szkolne obiady: pudding z chleba i masła, szara łykowata wołowina, zbrylony sos, smażona mielonka. Zwykle zostawiał więcej niż połowę, a mimo to ciągle dręczyły go zaparcia.

Wszystkie sąsiednie cele były zajęte. Nocami słyszał głosy, czasami płacz, a pewnego wieczoru sąsiad usiłował nawiązać z nim rozmowę, pytając, co Owen zrobił. Owen jednak nie odpowiedział. O czym właściwie ten człowiek chciał rozmawiać? Porównywać wrażenia z gwałtów i okaleczania ofiar?

Głównie słuchał kaset, które przyniósł mu Wharton, oraz czytał poezję i książki SF. Po pierwszym

miesiącu znał Wordswortha niemal na pamięć.

Co kilka dni z niewiadomego powodu władze więzienia bawiły się z nim w „gorące cele”. Zmieniały się tylko zapachy. W jednej materac był szorstki od spermy, w drugiej umywalka zdawała się wydzielać smród wymiocin, choć to może był tylko wytwór wyobraźni Owena. W powietrzu dominowały odory środków dezynfekcyjnych i wiader z odchodami. W jednej celi w środku nocy przekonał się, że nie ma nocnika ani wiadra. Wezwał strażnika, który poradził, żeby się odlał na podłogę. Owen wysikał się do zlewu.

Wraz z upływem czasu zaczęły przygnębiać go drobiazgi: szorstkie więzienne ubranie, niemożność gotowania czy zaparzenia herbaty, ohydne jedzenie... Im więcej o nich myślał, tym bardziej istotne mu się wydawały.

Wszystko oczywiście jest względne. Na przykład dla głodującego dziecka w etiopskiej wiosce więzienne jedzenie byłoby luksusem, a wolność można by prosto zdefiniować jako godzinę bez głodu. Ludzie głodujący nie są prawdziwie wolni. Ale dla kogoś takiego jak Owen – członka klasy średniej, zamożnego w granicach rozsądku, dobrze wykształconego, mieszkającego w Anglii – wolność składała się z miliardów rzeczy, jednych bardziej abstrakcyjnych od innych, choć dzięki nim wszystkim mógł powiedzieć: „mam wybór”.

Kiedy Owena ponownie zamknięto w małej celi, poczuł w gruncie rzeczy ulgę, że w końcu jest sam, odizolowany od biurokratów, reporterów i kobiet, które wpatrywały się w niego z czystą nienawiścią w oczach. Tu był chroniony przed tłumami żądnymi jego krwi i policjantami, którzy aż się rwali, żeby intymne szczegóły jego życia wyciągnąć na powierzchnię.

Teraz cela była jedynym miejscem, gdzie czuł się bezpieczny; ustalony rozkład dnia i izolacja osłaniały go przed złowrogim światem.

III

Jenny Fuller wpadła do Queen’s Arms dziesięć minut spóźniona; zdjęła czarny płaszcz i starannie powiesiła na oparciu krzesła. Potrząsnęła głową, odrzucając do tyłu masę włosów barwy płomienia, po czym usiadła i poklepała się po klatce piersiowej.

– Brak mi tchu. Przepraszam za spóźnienie. Płacimy sami czy wpisujemy w koszty?

Doktor Jennifer Fuller wykładała psychologię na uniwersytecie w Yorku; przez dziesięć lat jej zainteresowania przesunęły się w kierunku psychologii kryminalnej i psychologii zaburzeń. Zaczęła nawet publikować prace z tej dziedziny i szybko wyrabiała sobie nazwisko, stąd to lato spędzone w Ameryce. Banks pracował z nią przy kilku śledztwach, początkowa sympatia przekształciła się

w trwałą przyjaźń, która oboje zaskoczyła i ucieszyła.

Banks się roześmiał.

– Obawiam się, że to pierwsze.

– Szkoda. W Ameryce właściwie się do tego przyzwyczaiłam. Tam wszyscy wszystko wpisują w koszty.

– W takim razie pozwól, że pierwszą kolejkę ja stawiam.

– Jak miło. Poproszę o małą brandy, żeby się rozgrzać.

– A do jedzenia?

– Kurczak z frytkami.

W drodze do baru Banks rozpoznał kilku właścicieli sklepów i menadżera NatWestBank, który był tu na lunchu. Cyril rozpalił w kominku i teraz węgle ładnie się żarzyły. Najbliższy stół zajęli turyści w solidnych butach i kurtkach przeciwdeszczowych, dlatego Banks i Jenny usiedli trochę z boku, blisko okna. Deszcz bryzgał czerwonymi i pomarańczowymi brylantami, zasnuwał mgłą czyste szyby. Razem z drinkami Banks zamówił kurczaka dla Jenny i krewetki z frytkami dla siebie.

Kiedy wrócił z drinkami do stołu, Jenny roztarła dłonie i udała, że się trzęsie z zimna. Wzięła brandy i powiedziała:

– Zdrowie. – Stuknęli się szklankami. – Miałeś udane Boże Narodzenie?

– Jak zwykle. Moi rodzice w Wigilię, rodzice Sandry w pierwszy i drugi dzień świąt.

– Co u Sandry?

– W porządku.

Jenny znowu napiła się brandy.

– Więc tak – powiedziała – rozumiem, że masz swojego człowieka pod kluczem. Kolejne nacięcie na twojej pałce.

Banks kiwnął głową.

– Na to wygląda.

– Chcesz w związku z tą sprawą zadać mi kilka pytań i nie jest to tylko pretekst, żeby przyjemnie spędzić czas w moim towarzystwie?

Banks się uśmiechnął.

– Tak co do pierwszej części. Co do drugiej, zawsze miło spędzam czas w twoim towarzystwie.

– Przestań, słodziaku. Przy tobie dama się rumieni. Jak mogę pomóc?

Banks zapalił papierosa.

– Nie wiem, czy możesz. A raczej czy to coś da. Najpierw mnie posłuchaj, a potem mi powiedz,

czy mierzą w złym kierunku.

– Okej – zgodziła się Jenny.

Banks zrelacjonował, czego się dowiedzieli o Owenie Pierście i Michelle Chappel, podkreślając niechęć Owena do przyznania się do znajomości z Michelle i jej podobieństwo do Debory Harrison, po czym powtórzył historię Michelle o tym, co zrobił jej Owen.

Kiedy skończył, Jenny chwilę siedziała w milczeniu, w zamyśleniu ssąc wargę. Banks napił się piwa i powiedział:

– Próbuję ułożyć rodzaj psychologicznego scenariusza dla tego morderstwa. Owen Pierce miał środki i możliwości, dowód z DNA jest obciążający. Można powiedzieć, że szukam motywu.

– Teraz już powinieneś wiedzieć, że w przypadku tego typu zbrodni nie zawsze istnieje motyw, Alanie. To pozbawione motywu zabójstwo dokonane przez nieznanego. W każdym razie nie będziesz miał przyczyny, którą ty czy ja uznalibyśmy za logiczną czy nawet mieszczącą się w granicach rozsądku, jak gniew czy zemsta.

– To prawda. Ale posłuchaj mnie cierpliwie, Jenny. Powiedzmy, że ta dziewczyna, Michelle, zdenerwowała go, rozgniewała. Idzie na spacer i nagle z mgły wyłania się postać. Michelle. No, może nie dokładnie ona, ale całkiem do niej podobna. Młodszy model, bardziej niewinny, pewnie bardziej bezbronny i mniej groźny. Idzie za nią na cmentarz, zaczepia ją, ona coś odpowiada, co wprawia go w złość. Użył przemocy wcześniej wobec Michelle, więc mamy precedens. Czy to ma sens?

Jenny zmarszczyła czoło.

– To niewykluczone. Czasami wybuchamy, zachowujemy się wobec ludzi, jakby byli kimś innym. Nazywamy to przeniesieniem, podświadomym mechanizmem obronnym, polegającym na tym, że emocje lub idee są przenoszone z jednego obiektu lub osoby na inny, który wydaje się mniej groźny. Freud definiował to chyba jako jedną z neuroz, ale moja wiedza o Freudzie jest trochę zardzewiała. Ty pytasz, czy moim zdaniem Owen Pierce mógł przenieść swoje uczucia do Michelle na Deborę z powodu mglistego powierzchownego podobieństwa obu dziewcząt...

– I z powodu stanu jego umysłu w tamtym momencie.

– W porządku, to też. Co doprowadziło do zabójstwa. W rzeczywistości mordował Michelle.

– Tak. Co o tym sądzisz?

– Że masz punkt wyjścia, w każdym razie jakiś początek.

– Więc nie uważasz, że błędę po omacku?

– Wcale nie. – Podano im jedzenie. – A może jeszcze jednego drinka na popicie?

– Proszę. Nigdy się nie sprzeczam, kiedy kobieta chce mi zafundować kolejkę.

Banks patrzył, jak Jenny idzie do baru. Poruszała się zręcznie i miała rewelacyjną figurę: długie nogi, wąska talia i tyłeczek jak dwie śliwki w mokrej papierowej torbie. Emanowała nową energią i pewnością siebie, w sumie wyglądało więc na to, że lato w Kalifornii dobrze jej zrobiło.

Miała na sobie obcisłe czarne dżinsy, białą koszulę i zielony żakiet z surowego jedwabiu. Sądząc po kroju i materiale, po tym, jak zwężał się w talii i nieznacznie rozszerzał na jej krągłych biodrach, pewnie kosztował ją fortunę na Rodeo Drive albo w innym podobnym miejscu. Ale Jenny zawsze lubiła ładne stroje.

Banks zauważył, że czekając, aż Cyril naleje piwo, zamieniła kilka słów z młodym mężczyzną, który wyglądał jak stażysta w banku. Biedak, pomyślał Banks, nie ma szans. Jenny jednak się uśmiechała. Dlaczego nawet teraz czuje ukłucie zazdrości, widząc ją flirtującą z innym?

Wróciła z piwem dla Banksa i campari z wodą dla siebie. Podziękował jej.

– Umówiłaś się na randkę? – zapytał, głową wskazując mężczyznę.

Jenny wybuchnęła śmiechem.

– Za kogo ty mnie bierzesz, za podrywaczkę niemowląt? Poza tym on nie jest w moim typie. –

Jenny w grudniu skończyła trzydzieści pięć lat, młody mężczyzna pewnie miał dwadzieścia cztery.

Banks wiedział, że na razie Jenny nie do końca była pewna, jaki jest jej „typ”.

Kiedy się uśmiechnęła, jej zielone oczy zapłonęły i zmarszczki wokół nich ułożyły się w mapę jej poczucia humoru. Opalenizna wydobyła piegi na nosie i policzkach.

– Jak Kalifornia? – zapytał.

– Słońce i surfing. Dokładnie jak w *Słonecznym patrolu*.

– Naprawdę?

Zmarszczyła nos.

– Nie, w gruncie rzeczy nie. Nie spodobałoby ci się. Nigdzie nie można palić.

– A oni nazywają to rajskim ogrodem. To tam nabrałaś upodobania do smażonych kurczaków?

– Wcale nie. Zawsze miałam słabość do chudego, stosunkowo wolnego od tłuszczu mięsa, które się panieruje i smaży w głębokim oleju. Sam cholesterol. To satysfakcjonuje dwie sprzeczne strony mojej natury. – Odcięła kawałek piersi i wrzuciła do ust.

Banks się roześmiał. Skończyli jeść w milczeniu, później Banks zapalił i powiedział:

– Wracajmy do Pierce’a. Wiem, zaskoczyłem cię, Jenny, ale chciałbym, żebyś przygotowała coś dla prokuratury.

– Co mianowicie?

– Kwestie, o których rozmawialiśmy. Na przykład przeniesienie. Opowiedz mi o tym.

Jenny upiła campari. Banks nadal miał połowę piwa i w czasie tego lunchu nie zamierzał zamawiać kolejnego.

– Okej – odparła Jenny – powiedzmy, że nie potrafi panować nad swoim gniewem. Często się zdarza, że ludzie reagują na frustrację gniewem; jeśli to uczucie jest naprawdę silne, a ich mechanizmy kontrolne są dodatkowo osłabione na przykład alkoholem albo zmęczeniem, to skutkiem może być napaść fizyczna, nawet morderstwo. Wszystko wskazuje na to, że tak było w przypadku Michelle, ale co z Deborą? On wcześniej też pił?

– Wypił dwa piwa i whisky.

– Okej. W takim razie powiedzmy, że mamy do czynienia z przeniesieniem, które jest sposobem radzenia sobie z problemem. Mechanizmem obronnym, jeśli wolisz.

– Mechanizmem obronnym przed czym?

– Ogólnie rzecz biorąc, przed stresem. Jeśli sytuacja rzeczywiście podkopuje twoje poczucie kompetencji, ego, szacunek do siebie, to twoje reakcje stają się zorientowane na obronę – bronisz siebie przed deprecjacją.

– Jak?

– Na wiele sposobów. Wyparcie. Racjonalizacja. Fantazja. Represja. Wszyscy tak robimy. Chodzi w tym o to, żeby się pozbyć niepokoju i napięć, które są przyczyną cierpienia.

– Napięcia seksualnego?

– Także. Choć to tylko jeden z rodzajów.

– A przeniesienie jest jednym z tych mechanizmów obronnych?

– Tak. Przenosisz silne uczucia z osoby lub obiektu, które pierwotnie nimi obdarzałeś, na inne. Często są to wrogość czy strach. To proces podświadomy.

– Sugerujesz, że nie odpowiadał za swoje czyny?

– Interesujące pytanie, choć ja tak nie uważam. Nie wiem dokładnie, jak stanowi prawo, ale wcale nie twierdzę, że osoba cierpiąca na syndrom przeniesienia nie jest odpowiedzialna za swoje czyny, zwłaszcza gdy w grę wchodzi użycie przemocy, tylko że może nie zdawać sobie sprawy z procesów wewnętrznych, które ją do tych czynów popchnęły.

– Co prawdopodobnie można powiedzieć o postępowaniu większości z nas przez większość czasu?

– Tak. W mniej drastyczny sposób.

– Dobrze. Mów dalej.

– Przeniesienie często łączy się z projekcją, kiedy winę za własne problemy zrzucamy na inną osobę albo grupę osób.

– Kobiety?

– Możliwe. W ekstremalnych przypadkach prowadzi to do formy paranoi. Ludzie są przekonani, że siły albo grupy sprzysięgły się przeciwko nim. On mógł dokonać takiej projekcji swoich niepokojów i wrogości na kobiety jako takie. Wielu mężczyzn tak robi. Na przykład ten francuskojęzyczny Kanadyjczyk, który zastrzelił wszystkie te kobiety w Montrealu.

– Mógł także przenieść wrogość do Michelle na Deborę, wzięwszy pod uwagę stres związany z rocznicą, skutki wypitego alkoholu i podobieństwo między tymi dwiema kobietami?

– Niewykluczone. Tak. Niejaki Masserman w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roku przeprowadził badania psychologiczne, w których udało mu się dowieść, że pod wpływem frustracji ludzie chętniej akceptują cele zastępcze.

– Debora za Michelle?

– Tak. Posłuchaj, dawno się tym nie zajmowałam. Potrzebuję kilku dni, żeby wyciągnąć właściwe wnioski.

– Co powiesz na przyszły tydzień?

Jenny się uśmiechnęła.

– Zobaczę, co da się zrobić.

– Jeśli będziesz miała jakieś pytania, dzwoń do mnie.

– Możesz mi dać kopie zeznań?

– Jasne.

– Dobra. Teraz naprawdę muszę już iść. – Wstała i sięgnęła po płaszcz, potem się pochyliła i cmoknęła Banksa w policzek.

Po jej odejściu znowu zapalił, przysięgając w duchu, że to ostatni papieros tego dnia, i z namysłem przyjrzał się resztkę piwa. Jeszcze jedno małe nie zaszkodzi, uznał, poszedł więc do baru i poprosił o nalanie go do dużej szklanki, bo nie lubił pić piwa z małych.

IV

Pewnego popołudnia w trzecim albo czwartym tygodniu w więzieniu – Owen stracił rachubę czasu – zaprowadzono go z celi do rozmównicy, gdzie po raz pierwszy spotkał obrońcę, którego Gordon Wharton dla niego zaangażował.

Shirley Castle, tuż po czterdziestce, jak ocenił Owen, była wedle wszelkich kryteriów kobietą

atrakcyjną. Była też pierwszą kobietą, którą widział od czasu wizyty w sądzie pokoju. Połyskliwe ciemne włosy spadały jej na ramiona i okalały bladą owalną twarz, migdałowe oczy miały dziwny odcień fioletu, tak niezwykły, że Owen się zastanawiał, czy to nie są barwione soczewki kontaktowe. Była ubrana w szarą plisowaną spódnicę i jasnoróżową bluzkę zapiętą pod samą szyję. Otaczał ją subtelny zapach drogich perfum.

Wharton siedział obok niej, zadowolony z siebie jakby chciał powiedzieć: „Tylko popatrz, kogo przyprowadziłem, stary. Co za zdobycz!”.

Shirley Castle odkręciła pióro Montblanc, przerzuciła papiery leżące na stole i powiedziała:

– To nie wygląda za dobrze, Owenie. Nie chcę panu dawać fałszywej nadziei ani pana zwodzić.

Czeka nas ciężka praca.

– Ale oni mają tylko poszlaki.

Spojrzała na niego.

– Problem w tym, że mogą na nich zbudować solidne oskarżenie. Proszę popatrzeć na to w taki sposób. – Zaczęła odliczać na długich palcach. – Raz, miał pan sposobność. Dwa, motywy w tego rodzaju zbrodniach w najlepszym razie są do tego stopnia niejednoznaczne, że w gruncie rzeczy nie trzeba ich ustalać. I trzy, jest DNA, krew i włosy.

– Ale ja to wszystko mogę wyjaśnić. Wyjaśniłem. Od początku nie przeczyłem, że byłem w tamtej okolicy, i powiedziałem im, że wpadła na mnie dziewczyna. Może wtedy doszło do przeniesienia krwi i włosów.

– Może, ale policja panu nie wierzy – odparła Shirley. – A mówiąc szczerze, nie mogę mieć do nich pretensji, zwłaszcza że przedstawił pan to wyjaśnienie za pięć dwunasta. Nie, Owenie, obawiam się, że będziemy musieli walczyć zębami i pazurami.

– Nadal szukają prawdziwego mordercy?

– A po co? Ich zdaniem już go mają.

– Więc nikt nie próbuje dowieść, że jestem niewinny?

– Obawiam się, że nie.

– Nie mogłaby pani zatrudnić prywatnego detektywa albo kogoś w tym rodzaju?

Shirley Castle się roześmiała. Śmiech był lżejszy, bardziej perlisty i pełny życia niż Owen mógł się spodziewać, wzięwszy pod uwagę jej śmiertelną powagę. Ale też był nerwowy, to nie ulegało wątpliwości.

– Po co? – zapytała.

– Żeby znalazł prawdziwego mordercę. Udowodnił, że jestem niewinny.

– To tak nie działa.

– A jak?

Usiadła prosto i zmarszczyła czoło.

– Idziemy do sądu i walczymy z nimi w miarę swoich możliwości. Nie ma innego wyjścia. Tylko w serialu z Perrym Masonem obrońca i prywatny detektyw wypuszczają się do złej dzielnicy i odnajdują prawdziwego zabójcę.

– W takim razie opowiem im swoją historię. Jestem pewien, że mi uwierzą.

– Jeszcze nie wiem, czy powołam pana na świadka.

– Dlaczego?

Shirley Castle zmarszczyła czoło.

– Pytania oskarżenia mogą być naprawdę trudne.

– Coś panią niepokoi?

– Owszem. Z dokumentów prokuratury wynika, że zamierzają powołać się na podobny fakt i podjąć próbę przedstawienia motywu morderstwa.

– Ale mówiła pani, że nie potrzebują motywu.

– Oskarżenie będzie solidniejsze, jeśli zdołają to zrobić.

– I co mówią?

Shirley Castle oparła brodę na dłoni.

– Niech mi pan opowie o Michelle Chappel.

Owen przełknął ślinę. Nagle wyszło mu w ustach.

– Czyli co?

– O waszym związku. Dlaczego okłamał pan policję w kwestii tych fotografii, dlaczego wypierał się pan znajomości z nią. Nie chciał pan, żeby ją odnaleźli i przesłuchali, tak?

– Nie, wcale nie. Michelle... powiedzmy, że rozstaliśmy się w złości. Ona nie powiedziała by o mnie nic dobrego.

– Jak rozumiem, doszło do użycia przemocy, może próby morderstwa?

– To absurd! Rozmawiała pani z nią?

– Ja nie, ale policja owszem. Przejrzałam jej zeznanie, jest bardzo interesujące. Niech pan sam przeczyta. – Podsunęła mu plik kartek.

Owen z rosnącą paniką czytał zapis nagrany na magnetofon przesłuchania Michelle:

P: Panno Chappel, może nam pani powiedzieć, kiedy poznała pani pana Pierce'a?

O: Tak. W szkole. Był moim nauczycielem.

P: Ile miała pani wtedy lat?

O: Siedemnaście.

P: To było w Eastvale College?

O: Tak.

P: Ile lat miał Owen Pierce?

O: Trzydzieści dwa albo trzy, nie wiem na pewno.

P: Czyli mógłby być pani ojcem?

O: Formalnie rzecz biorąc, szesnastolatek pewnie może być ojcem.

P: Mieszkała pani z rodzicami?

O: Tak, dopóki nie skończyłam osiemnastu lat.

P: Dokąd się pani przeprowadziła?

O: Zamieszkałam u Owena.

P: Jak długo pani z nim mieszkała?

O: Pięć lat.

P: Jak pan Pierce nawiązał z panią znajomość?

O: Kiedyś po zajęciach zaproponował mi kawę, a potem zaprosił mnie na kolację.

P: Miała pani dobre oceny?

O: Tak.

P: Zaczęli się państwo widywać regularnie?

O: Tak. Kilka razy poszliśmy na kolację, do kina albo na drinka. Czasami zabierał mnie swoim samochodem na wycieczki na wieś i szliśmy gdzieś do pubu.

P: Jak szybko zostaliście kochankami?

O: Niedługo po pierwszej randce.

P: Kilka tygodni po? Kilka dni?

O: Dni.

P: I dobrze się między wami układało, kiedy pani z nim zamieszkała?

O: Na początku tak. Niech pan posłucha, musi pan sobie uświadomić, że byłam bardzo młoda. Pewnie też trochę niedostosowana. W domu nie czułam się dobrze i właściwie nie miałam bliskich przyjaciół. Moi rówieśnicy wydawali mi się niedojrzali. Byłam bardzo nieśmiała, a Owen miło mnie traktował. Jego uwaga mi pochlebiała. Kiedy wspomniałam, że chcę się wyprowadzić z domu, zapytał, czy chciałabym z nim zamieszkać. Uznałam, że to świetny pomysł. Czułam się przy nim bezpieczna.

P: Nadal była pani jego studentką, kiedy z nim pani zamieszkała?

O: Tak. Miałam z nim zajęcia z komunikacji biznesowej.

P: I nadal dobrze sobie pani radziła na tych zajęciach?

O: Bardzo dobrze.

P: Zasłużenie?

O: Tak mi się wydaje. Proszę posłuchać, nie jestem głupia, choć muszę przyznać, że sypianie z nauczycielem mogło okazać się pomocne.

P: Myśli pani, że za sukces trzeba było zapłacić?

O: To znaczy?

P: Czy Owen proponował albo podejmował próby nienaturalnych aktów seksualnych?

O: Pyta pan, czy był zbokiem?

P: W sumie tak.

O: Nie, nie powiedziałałabym tego. To znaczy lubił, kiedy nosiłam określone rzeczy. Wie pan, czarny jedwab, pończochy, kuse koszulki. Chciał, żebym je miała na sobie, kiedy... no wie pan.

P: W trakcie stosunku?

O: Tak.

P: I to wszystko?

O: Wszystko? Czyli co?

P: Skąpe ubrania. Czy kiedykolwiek zmusił panią do zrobienia czegoś wbrew pani woli?

O: Chciał robić to od tyłu, jak psy. Mnie się to nie podobało.

P: Ale zgadzała się pani na jego prośby?

O: Cóż... tak, na początku. Chciałam go zadowolić.

P: Ponieważ martwiła się pani o oceny?

O: Chyba trochę tak.

P: Czy Owen interesował się pornografią?

O: Raz oglądał nieprzyzwoity film. Wie pan, o czym mówię. Mnie się nie podobał. Uważałam, że jest obrzydliwy, ale jego najwyraźniej podniecił.

P: Jak się zachowywał podczas oglądania filmu?

O: No, był bardziej napalony niż zwykle. Chciał wypróbować rzeczy, które robili na tym filmie.

P: Wbrew pani woli?

O: Nie, ale pomyślałam, że to trochę dziwne.

P: Czy kiedykolwiek używał przemocy w celu stymulacji seksualnej?

O: Czasami lubił mnie wiązać.

P: Jak pani na to reagowała?

O: A co mogłam zrobić? Był ode mnie silniejszy. Chciałam go zadowolić. Było mi niewygodnie, trochę się bałam, ale właściwie nie robił mi krzywdy. Tak naprawdę to była zabawa. Zobaczył to na tym głupim filmie i to go podnieciło.

P: Bił panią? Chłostał?

O: Nie.

P: Czyli poza wiązaniem nie używał przemocy?

O: Nie... dopiero na sam koniec. Mieszkanie z nim stało się czymś w rodzaju więzienia. Za każdym razem, kiedy wychodziłam, musiałam się spowiadać z każdego kroku. A czasami nie pozwalał mi wyjść.

P: W jaki sposób panią zatrzymywał?

O: Robił taką aferę, że cała sprawa nie była tego warta. Czułam się jak w więzieniu, pod ciągłą obserwacją. Nie mogłam oddychać. Bałam się jego nastrojów. Zaczęłam się buntować, chodziłam na spotkania ze znajomymi i tak dalej, co sprawiło, że stawał się coraz bardziej zaborczy.

P: I dlatego pani od niego odeszła? Ze strachu przed przemocą?

O: Po części... to było przerażające, zwłaszcza w ten ostatni wieczór, ale...

P: Może nam pani opowiedzieć o ostatnim wieczorze, Michelle?

Michelle twierdziła, że Owen zgwałcił ją i próbował udusić. Owen, blady jak ściana, odepchnął kartki i spojrzał na Shirley Castle.

– No i? – zapytała. – Co pan o tym myśli?

Owen pokręcił wolno głową.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Więc to nieprawda?

– W części. Ale ona nawet prawdę przedstawia inaczej, stawia mnie w złym świetle, przekręca.

– W jaki sposób?

– W każdy. Na przykład jeśli chodzi o seks. Mówi o mnie jak o zbrodniu, choć większość była jej pomysłem. Uwielbiała wiązanie, świntuszenie. To naprawdę ją kręciło. I podobał się jej ten film.

– Uderzył ją pan w ten ostatni wieczór?

– Odepchnąłem ją. Chroniłem siebie. Kompletnie oszalała, straciła nad sobą panowanie. Zabiłaby mnie, gdybym jej nie odepchnął.

– I upadając, uderzyła się w głowę?

– Tak.

– Straciła przytomność?

– Tak, ale... O Boże. – Owen chwycił się za głowę. – Wiem, jak to brzmi, ale ja nigdy rozmyślnie nikogo nie skrzywdziłem.

– Uprawiał pan z nią seks, kiedy była nieprzytomna?

– Nie, nie uprawiałem. To kłamstwo. Za kogo mnie pani uważa?

– Ja tylko próbuję dotrzeć do prawdy, Owenie. Czy tamtego wieczoru w którymkolwiek momencie próbował pan zmusić ją do seksu?

– Nie, to znaczy tak. Nie zmuszałem jej, ale proponowałem. Chciałem się przekonać, jak zareaguje. To była próba. Nie zmuszałem jej.

Shirley się skrzywiła.

– Proponował jej pan seks? Obawiam się, że nie rozumiem, Owenie. Musi mi pan to wyjaśnić.

Jak mógłby opowiedzieć jej o tamtym wieczorze? Wciąż wyraźnie miał go w pamięci, jakby oglądał kreskówkę: jaskrawe kolory, przesadna gwałtowność, poczucie, że jest widzem, który nie potrafi zatrzymać filmu, nie potrafi nawet wyjść z kina.

– Jak to się zaczęło, Owenie?

Usiłował wytłumaczyć. Przez ostatni rok zaczął podejrzewać Michelle, że umawia się z innym mężczyzną, może nawet z kilkoma. Tamtego wieczoru, kiedy powiedziała, że idzie do kina z koleżanką, poszedł za nią do centrum Eastvale i patrzył, jak spotyka się z kimś w pubie. Potem rozmawiali i pili, mocno do siebie przytuleni, a Owen siedział ukryty za ścianką z mrożonego szkła i obserwował cienie. Po zamknięciu pubu poszedł za nimi do domu niezbyt oddalonego od jego domu. Stał na ulicy i widział, jak światło w sypialni się zapala, ktoś zaciąga zasłony, a potem gasi lampę.

Wrócił do domu, krążył po pokoju i pił whisky do powrotu Michelle o wpół do trzeciej nad ranem. Zamiast od razu rzucić jej w twarz to, co zobaczył, zaczął składać propozycje seksualne, żeby się przekonać, jak zareaguje.

Odepchnęła go i powiedziała, że jest wykończona, bo aż do teraz wysłuchiwała żalów przyjaciółki. Wyczuwał zapach innego mężczyzny, zapach seksu zmieszany ze stęchłym odorem piwa i dymu na jej ubraniu, we włosach. Zabrakło jej przyzwoitości, żeby po wszystkim wziąć prysznic.

Powiedział jej, co widział. Wpadła we wściekłość, wrzeszczała, że nie jest jego własnością i skoro w łóżku nie ma z niego pożytku, to ona ma prawo poszukać kogoś, kto jej dogodzi. Zupełnie nie przypominała dziewczyny, którą znał.

Nazwał ją dziwką, kurwą, powiedział, że wiedział o tym, odkąd są razem, że po prostu go wykorzystwała, nigdy naprawdę go nie kochała. Na moment znieruchomiała i w jej oczach pojawił się inny wyraz: twardej, zimnej nienawiści. Złapała leżące na stole nożyce i rzuciła się na niego. Chwycił ją za rękę i tak długo wykręcał, aż je upuściła.

Znowu go zaatakowała, bijąc, kopiąc i drapiąc. Trzymał ręce przed twarzą, zasłaniając się przed ciosami, i próbował ją uspokoić. Ale ona nie chciała przestać. W końcu zdesperowany odepchnął ją, żeby zyskać miejsce do manewru, a ona upadła i uderzyła głową o krzesło.

Usiłował opowiedzieć o tym Shirley Castle z całym spokojem, na jaki potrafił się zdobyć. Wiedział, że ta relacja brzmi mało wiarygodnie dla kogoś, kto nie zna historii ich związku od początkowej niewinności do gorzkiej świadomości, że wszystko było kłamstwem.

O jednym jednak nie wspomniał, bo ledwo ośmielał się przyznać do tego sam przed sobą: kiedy Michelle upadła na podłogę z rozłożonymi rękami, jedną nogą zarzuconą na drugą, on jej pragnął. Chociaż nienawidził Michelle, rozerwał jej ubranie, a potem na wpół szalony z zazdrości i nienawiści położył dłonie na jej gardle i chciał ją udusić za to, co mu zrobiła, za zrujnowanie, zbrukanie uczucia, które uważał za miłość swojego życia. Nienawidził siebie za to, że jej pożąda, i nienawidził jej, bo budziła w nim pożądanie.

W tamtej chwili cała potęga jego miłości zmieniła się w nienawiść i przytłoczyła go; wiedział, że wszystko – jej słowa, gesty, akty miłosne, obietnice – było kłamstwem. Puścił ją jednak, nie potrafiłby jej zabić. Wstał, odzyskał równowagę i poszedł do sypialni, gdzie padł na łóżko. Nadal oddychała, nie krwawiła, nie zgwałcił jej.

Rano znalazł ją nadąsaną w gościnnym pokoju, z wielkim guzem na głowie. Próbowala go przebłagać, mówiła, że robi wszystko, czego on zechce... wszystko... i zaczęła się wic pod cienką kołdrą. Wcześniej to zawsze działało, ale tym razem Owen miał tego dość.

Wiedział, że gdyby na powrót ją przyjął, gdyby przeżył z nią chociaż jeden dzień więcej, na zawsze straciłby do siebie szacunek. Kiedy kazał jej się wyprowadzić, zaczęła krzyczeć i prosić, ale on wyrzucił ją na ulicę tylko z walizkami. A potem dostał list z prośbą, żeby odesłał resztę jej rzeczy na adres Swiss Cottage. Tak też zrobił.

Kiedy skończył, Shirley Castle długo się nie odzywała. Nie potrafił odczytać wyrazu jej oczu. Nie wiedział, czy mu uwierzyła, czy nie.

– Owenie – powiedziała wreszcie – niezależnie od tego, jaka jest prawda, zeznanie Michelle jest cholernie obciążające. Może pan sobie wyobrazić, na czym prokuratura próbuje zbudować oskarżenie. Człowiek z obsesją na punkcie pornografii, zwłaszcza jeśli występują w niej młode

dziewczyny, zdolny do przemocy seksualnej wobec kobiet... Rozumie pan, o co mi chodzi?

– Ale to nieprawda! – sprzeciwił się Owen. – Ani jedna z tych rzeczy nie jest prawdą. Nie mam obsesji na punkcie pornografii.

Uniosła dłoń.

– Nie atakuję pana, Owenie, pokazuję tylko, jak prokuratura spróbuje zinterpretować fakty, jeśli będzie miała okazję.

Owen położył dłonie na biurku i wpatrywał się w żyły na nadgarstkach.

– Nie wiem, co pani o mnie myśli – powiedział prawie szeptem – ale chcę, żeby pani wiedziała, że nie jestem potworem, za jakiego mnie uważają. To wszystko przeinaczenia. Gdybym znał tylko określone fakty z pani życia czy kogokolwiek innego, gdyby pani fantazje zostały wystawione na widok publiczny... cóż, mógłbym stworzyć obraz, który pewnie byłby błędny. Rozumie pani, co mam na myśli?

Mógłby przysiąc, że w jej oczach błysnęło rozbawienie, a na policzkach pojawił się słaby rumieniec.

– Nie musi mi się pan podobać – powiedziała. – Jestem tu zawodowo. Nie do mnie należy ocena pańskiego życia prywatnego, moim zadaniem jest dowiedzenie w sądzie, że istnieje uzasadniona wątpliwość. Niepotrzebna panu moja aprobata.

– Potrzebna – odparł Owen. – Cholera, właśnie że potrzebna! Przecież nie jest pani maszyną. Musi pani mieć poglądy i uczucia.

Shirley Castle nie odpowiedziała, przesunęła tylko papiery w stronę aktówki.

– Zanim pójdę, muszę panu zadać jeszcze jedno ważne pytanie, Owenie. Dlaczego Michelle tak postąpiła? Dlaczego mówiła policji wszystkie te rzeczy o panu, skoro to nieprawda? Z jakiego powodu chce, żeby pan poszedł do więzienia?

– Nie rozumie pani? Michelle żeruje na ludziach. Mnie wykorzystywała od samego początku, żeby zdobyć wykształcenie, uciec od surowych rodziców, mieć dach nad głową, prowadzić wygodne życie. Byłem jej paszportem do ukończenia college’u. Rzuciła mi kilka okruchów, które wzięłem za miłość. Nawet teraz trudno mi uwierzyć, że można z kimś tak długo mieszkać i nie zorientować się, jaka ta osoba naprawdę jest, zupełnie jej nie znać. Ale to prawda. Może nie chciałem wiedzieć. Przez cały ten czas, kiedy była ze mną, umawiała się z innymi. Przyznaję, byłem zazdrosny i zaborczy. Ale jej to nie obchodziło. Myślała, że wszystko ujdzie jej na sucho, wystarczy, że w odpowiedniej chwili się rozbierze i wszystko będzie dobrze. Ona jest zimnym, wyrachowanym potworem. Nie ma sumienia. Rozumie pani? Bywa, że dopiero kiedy ostatni element trafia na miejsce, widać wzór. Tak

się stało tamtego wieczoru. To był ostatni element. Ona przez cały czas to robiła, okłamywała mnie, spotykała się z innymi, robiła, co jej się żywnie podobało, a mój dom – nasz dom – był dla niej tylko miejscem do spania. Na początku zupełnie jej nie ograniczałem, dopiero potem zacząłem coś podejrzewać. W końcu była młoda. Czy można zachować miłość młodej kobiety, trzymając ją w klatce? Ale kiedy przyjrzałem się uważniej, zobaczyłem pęknięcia na tym idealnym obrazie.

Shirley Castle pokręciła głową.

– Mogę się z tym wszystkim zgodzić, Owenie, ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie. Dlaczego chce panu zrobić taką krzywdę?

– Dlaczego? Ponieważ ją przejrzałem – odparł Owen, wspominając tamtą jedną spokojną chwilę w trakcie ostatecznej bitwy, kiedy sobie uświadomił, jaka Michelle naprawdę jest. – Zdemaskowałem ją. Ujrzałem jej prawdziwą twarz. I zerwałem z nią. Wyrzuciłem ją z domu. Chociaż w nocy, zaraz po randce z kochankiem, odmówiła mi seksu, to rano chciała mi się oddać. Ale ja jej nie przyjąłem. Błagała, żebym jej wybaczył i pozwolił zostać. Wyrzuciłem ją. Była jak złośliwe dziecko, kiedy nie mogła postawić na swoim. Wciąż mi pamięta, że dostrzegłem prawdę i miałem odwagę ją wyrzucić, zanim sama ze mną zerwała.

Shirley Castle wolno pokiwała głową.

– Cóż, Owenie, to wszystko brzmi przekonująco, ale lepiej się módlmy, żeby ze względu na pana Michelle nie znalazła się w pobliżu miejsca dla świadków.

Rozdział 11

I

Drewno zaskrzypiało, kiedy pewnego kwietniowego deszczowego dnia obecni na sali sądowej wstali. Wszedł sędzia Simmonds, olśniewający w todzie ze szkarłatnej mory i białego lnu. Był to stary mężczyzna z gadzimi oczami osadzonymi głęboko wśród zmarszczek i fałd twarzy. Obojętnie rozejrzał się po sali, zanim zajął miejsce za stołem.

Ławki jęknęły, kiedy zebrani licznie widzowie usiedli. Owen zauważył, że w sali unosi się zapach tej samej cytrynowej pasty, której używała jego matka; to go zasmuciło.

– Więzień, proszę wstać.

Zaczął się. Owen wstał.

– Nazywa się pan Owen Pierce? – zapytał sekretarz sądu.

– Tak.

Sekretarz odczytał zarzuty i zapytał Owena, czy przyznaje się do winy.

– Jestem niewinny – odparł Owen z całą stanowczością i pewnością siebie, na jaką mógł się zdobyć, czując na sobie oczy wszystkich obecnych.

Przyglądał się przy tym uważnie ławie przysięgłych: siedmiu mężczyznom i pięć kobiet, wszyscy ubrani jak do pracy w biurze. Pulchny mężczyzna z obwisłymi policzkami patrzył na niego z wyrazem zbliżonym do podziwu. Młoda kobieta, zaciskając wargi, unikała jego wzroku, oczy miała utkwione w dłoniach splecionych na podołku. Większość z nich w najgorszym razie obrzuciła go przelotnym spojrzeniem, jedni byli zdenerwowani, inni sprawiali wrażenie, jakby już podjęli decyzję.

To irracjonalne, Owen o tym wiedział, postanowił jednak wybrać spośród przysięgłych jednego i traktować go jak barometr przebiegu rozprawy, na podstawie jego wyrazu twarzy tworzyć wykres, który mu powie, czy sprawy toczą się pomyślnie dla niego, czy wręcz przeciwnie. Ale to nie może być ta ponura kobieta w jasnoniebieskim kostiumie ani łysiejący facet, który przypominał mu jego agenta ubezpieczeniowego, nie konwencjonalnie ładna dziewczyna obcięta na pazia czy potężny gość z szerokim karkiem ściśniętym przez ciasny kołnierzyk. Trudno było kogoś wytypować.

W końcu jego wybór padł na kobietę; z jakiegoś powodu to musiała być kobieta. Ta dobiegała czterdziestki, tak przynajmniej przypuszczał, miała okrągłą jak księżyc w pełni twarz i krótkie mysie włosy, pomalowane na czerwono szerokie usta i wielkie oczy.

Powodem jednak była nie tyle jej powierzchowność, ile otaczająca ją aura. Nie wiadomo

dlaczego uznał, że jest dobra i uczciwa, a co więcej, potrafi odróżnić prawdę od kłamstwa. Na razie wyglądała na zdziwioną i zdezorientowaną swoją nową przerażającą rolą, ale wiedział, że wraz z kolejnymi dniami będzie pilnie słuchała, ważyła, osądzała i wyciągała wnioski. Podejmie słuszną decyzję, a on z jej twarzy domyśli się, jaki werdykt wydała. Tak, będzie ją obserwował i nazwie ją „Minerwą”.

Zanim Owen się zorientował, Jerome Lawrence, oskarżyciel, rozpoczął mowę wstępną. Był drobnym mężczyzną z rozbieranymi, czarnymi oczami jak paciorki i wiecznym cieniem zarostu lśniącym na jego policzkach i brodzie jak pasta do butów. Jakimś sposobem toga doskonale do niego pasowała, bardziej niż ktokolwiek inny w sali przypominał nietoperza gotowego rozłożyć skrzydła i odlecieć w noc. Podobnie jak Shirley Castle, często podkreślał swoje słowa zamaszystymi gestami, a jego toga kołysała się ze świstem, rozpraszając uwagę słuchaczy.

– Prokuratura w trakcie tego procesu dowiedzie – powiedział swoim najgładszym głosem absolwenta prywatnej szkoły – że oskarżony jest winny popełnienia najbardziej ohydnej, nikczemnej, brutalnej, nieludzkiej zbrodni ze wszystkich: zamordowania dziecka, niewinnej, ledwo szesnastoletniej dziewczyny, która miała przed sobą całe życie.

Do końca dnia Owen mógł tylko słuchać z otwartymi ustami, jak przedstawiają go jako potwora niemal pozbawionego ludzkich cech.

Chociaż parada świadków rozpoczęła się dość dramatycznie z Rebeccą Charters we łzach relacjonującą odkrycie ciała Debory Harrison, już w pierwszych dniach Owen jasno uświadomił sobie kilka rzeczy. Przypuszczalnie najważniejszą z nich było odkrycie, że człowiek może się nudzić na własnej rozprawie o morderstwo.

Świadkowie przychodzili i odchodzili, ludzie, których nigdy nie spotkał, którzy go nie znali: pastory, sklepikarze, nauczyciele, uczennice, policjanci, właściciele pubów. Niektórzy spędzali na miejscu dla świadków wiele czasu z powodów pozostających dla Owena kompletną zagadką. Głównie przesłuchiwali ich Jerome Lawrence albo Shirley Castle, choć czasami ustępowali miejsca młodszemu prawnikowi.

Ze stałą regularnością któryś z prawników poruszał jakąś kwestię prawną, przy której przysięgli musieli opuścić salę, i wyglądało na to, że obie strony niczego bardziej nie lubią niż wcześniejszego zakończenia posiedzenia. Było też kilka dni wolnych, dwa z powodu choroby przysięgłego, jeden z powodu śmierci w rodzinie innego. Co wieczór Owena nieodmiennie odwożono do jego małej celi w więzieniu Armley. Tak się do niej przyzwyczaił, że niemal traktował ją jak dom. Zapomniał, jak wygląda jego prawdziwy dom.

O ile potrafił stwierdzić, przez pierwsze tygodnie sprawy toczyły się dobrze. Shirley Castle zmiażdżyła policjanta z odstającymi uszami, bo nie wyjaśnił, z jakiej przyczyny odwiedził Owena. Inspektor Stott wyszedł w starciu z nią na gestapowca.

Kiedy na miejsce dla świadków powołano głównego inspektora Banksa, Owen stracił rachubę dni.

II

– Panie inspektorze, czy sądzi pan, że gdyby znalazł się pan w takiej samej sytuacji, zadałby pan sobie trud wymienienia każdego, kogo w określonym przedziale czasu widział pan na ulicach?

Banks wzruszył ramionami. Składał zeznania drugi dzień z rzędu, teraz przepytowała go Shirley Castle.

– Mam nadzieję, że wypełniłbym swój obowiązek i postarał się przypomnieć sobie wszystko, co zdarzyło się w kluczowym czasie – odparł wreszcie.

– Ale jest pan policjantem. Odbył pan specjalistyczne szkolenia. Tego rodzaju fakty i drobne szczegóły są częścią pańskiej pracy. Jestem przekonana, że ja nie pamiętałabym nawet ludzi mijanych na ulicy. Wyobrażam sobie, że przysięgli także by nie pamiętali. – Shirley Castle umilkła na tyle długo, by im się przyjrzeć. Banks pomyślał, że większość z nich się z nią zgadza. – A jednak oczekuje pan, żeby pan Pierce pamiętał każdą twarz, każdy szczegół – ciągnęła. – Pytam pana ponownie, inspektorze, naprawdę uważa pan, że to rozsądne wymaganie?

– Może nie na zatłoczonej ulicy w godzinie szczytu, ale to była mglista noc na cichym przedmieściu. Tak, myślę, że pamiętałbym, gdybym widział konkretną osobę. A pan Pierce przypomniał sobie, kiedy...

– Wystarczy, panie inspektorze. Odpowiedział pan na moje pytanie.

Banks nic nie mógł poradzić na to, że poczuł lekką satysfakcję na widok niepewności Shirley Castle. Popełniła mały błąd, nie znała z góry odpowiedzi na pytanie, które zadała.

Pośpiesznie przeszła do następnej kwestii.

– Jak zeznał pan Sung, właściciel restauracji Peking Moon, a co mój uczonego kolega podkreślił, gdy go przesłuchiwał, pan Pierce zapłacił za posiłek kartą kredytową. Jeśli chronologię wydarzeń ustalono prawidłowo – podkreślam „jeśli” – zdarzyłoby się to niedługo po śmierci Debory Harrison, czy tak?

– Tak.

– Panie inspektorze, czy na podstawie swojego doświadczenia zawodowego nie zakładałby pan, że przestępca, który dopiero co dopuścił się zbrodni niezwykle nikczemnej i brutalnej, będzie

bardziej się pilnował, żeby nie zostawić śladów?

– Większość przestępców nie jest taka sprytna – odparł Banks. – Dlatego wpadają.

Na sali rozległ się śmiech.

– Ale mój klient nie jest głupi – mówiła dalej Shirley Castle, ignorując chwilę przerwy. – Bardzo mało prawdopodobne, żeby tuż po popełnieniu morderstwa poszedł do chińskiej restauracji i zapłacił za posiłek kartą kredytową. Nie wspominając już o włożeniu jaskrawopomarańczowej kurtki. Dlaczego miałyby być taki głupi i zwracać na siebie uwagę w tak oczywisty sposób?

– Może był rozkojarzony. Nie myślał jasno. Pan Sung zeznał przecież, że mówił do...

– „Nie myślał jasno” – powtórzyła doskonale wyważonym tonem pogardy. – Czy nie jest faktem, panie inspektorze, że sprawcy takich zbrodni zwykle myślą bardzo jasno? Rzadko zostają złapani, zwykle przypadkiem? Dokładają wielkich starań, by się nie zdradzić?

Banks bawił się krawatem. Nie cierpiał zaciśniętego wężła i znosił to jedynie wtedy, gdy górny guzik koszuli był odpięty.

– Niektórzy eksperci tak twierdzą, owszem. Ale nie jest łatwo przewidzieć, jak zachowają się przestępcy. Gdyby tak było, nasza praca byłaby o wiele prostsza. – Uśmiechnął się do przysięgłych. Kilkoro odwzajemniło uśmiech.

– Niech pan da spokój, panie inspektorze, musi się pan zdecydować. Albo są głupi i łatwo ich złapać, jak powiedział pan wcześniej, albo nieprzewidywalni i przez to nieuchwytni. Jak właściwie to jest?

– Jedni są głupi, inni nie. Jak mówiłem wcześniej, mordercy nie zawsze zachowują się racjonalnie. To nie jest racjonalne przestępstwo. Nie istnieje sposób na przewidzenie, co zabójca zrobi albo dlaczego tak a nie inaczej postąpi.

– Pańska praca polega jednak na rekonstruowaniu zbrodni, panie inspektorze, prawda?

– W dzisiejszych czasach zostawiamy to autorom programu *Crimewatch*.

Z sali dobiegł śmiech. Sędzia Simmonds upomniał Banksa za nonszalancję.

– Chodzi mi o to – kontynuowała Shirley Castle bez uśmiechu – że najwyraźniej bardzo mało pan wie o tym, co się stało na cmentarzu Marii Panny, a co więcej, z jakiego rodzaju przestępcą mamy do czynienia. Czy tak?

– Wiemy, że Debora Harrison została uduszona paskiem swojego tornistra i że ktoś gmerał przy jej ubraniu.

– Czy nie jest jednak prawdą, że wybraliście pierwszą osobę widzianą w okolicy, która waszym zdaniem pasowała do profilu, że Owen Pierce po prostu miał pecha, bo był w złym miejscu o złej

porze?

- Powiedziałbym, że to Debora Harrison znalazła się w złym miejscu o złej porze.
- Czy pewne elementy miejsca zbrodni nie wydały się panu dziwne?
- Jakie elementy?

Shirley Castle spojrzała do notatek.

- Jak rozumiem, tornister ofiary był otwarty. To nie wydało się panu dziwne?
- Mógł się otworzyć podczas szamotaniny.
- Mało prawdopodobne. – Shirley Castle prychnęła. – Był zapięty na dwie dobrej jakości klamry.

Sprawdziliśmy to, proszę mi wierzyć, i tornister sam się nie otworzył.

- Może morderca chciał coś wziąć.
- Na przykład co, panie inspektorze? Chyba nie sugeruje pan kradzieży? Z tornistra uczennicy?
- To niewykluczone, ale ja...
- Czy uczennica mogła mieć sumę wartą kradzieży? Jak rozumiem, Debora Harrison miała sześć

funtów w portmonetce, kiedy ją znaleziono. Gdyby motywem była kradzież, dlaczego sprawca by je zostawił? I czy nie byłoby sensowniej zabrać całego tornistra? Po co zostawać na miejscu zbrodni dłużej niż to konieczne?

- Na które pytanie mam odpowiedzieć najpierw?

Shirley Castle spojrzała na niego gniewnie.

- Dlaczego morderca Debory Harrison miałby pozostać na miejscu zbrodni i przeszukiwać tornister, zamiast zabrać go ze sobą?

- Nie wiem. Może szukał trofeum. Rzeczy osobistej ofiary.
- Czy czegoś brakowało?
- Nie wiemy. Nikt dokładnie nie wie...

– Nie wiecie. Słyszeliśmy o wielu dowodach świadczących o obecności pana Pierce'a w okolicy Marii Panny w czasie zbrodni, ale pozwoli pan, że zadam panu pytanie, inspektorze: czy ktokolwiek rzeczywiście widział, jak pan Pierce wchodzi na cmentarz?

- Widziano go...
- Wystarczy tak albo nie.

Banks po chwili milczenia odparł:

- Nie.
- Czy więc nie jest także możliwe, panie inspektorze, że Debora najpierw była gdzie indziej, a na cmentarz weszła później, po tym, jak pan Pierce poszedł do Peking Moon?

– To możliwe, ale...

– I że Deborę Harrison zamordował ktoś, kogo znała, być może z powodu przedmiotu, który miała w tornistrze?

Tak właśnie uważałem na początku, zgodził się w duchu Banks.

– Myślę, że to za daleko idące wyjaśnienie – powiedział.

– Dalej idące niż oskarżenie obecnego tu pana Pierce’a o morderstwo? – Teatralnym gestem wskazała Owena. – Czy kiedy był pan zajęty dręczeniem mojego klienta, prowadził pan śledztwo w innych kierunkach?

– Kontynuowaliśmy nasze dochodzenie. I nie prześ...

Shirley Castle prychnęła.

– Kontynuowaliście dochodzenie. Co to znaczy?

– Próbowaliśmy zebrać jak najwięcej informacji o ofierze i o tym, co robiła. Rozmawiając z jej przyjaciółmi i rodziną, staraliśmy się odkryć, czy miała wrogów, kogoś, kto pragnął jej śmierci. Zebraliśmy wszelkie ślady fizyczne i poddaliśmy analizie. Nie znaleźliśmy nic konkretnego, dopóki nie natrafiliśmy na pana Pierce’a.

– A kiedy pojawiło się nazwisko pana Pierce’a?

Banks wiedział, że z zasady śledztwa tracą rozpęd, kiedy policjanci są przekonani, że mają sprawcę. I chociaż bardzo chciałby sprawdzić inne możliwości, była inna praca do wykonania i był komendant Riddle.

– Kontynuowałem badanie innych wątków, dopóki nie stało się oczy...

– Kontynuował pan badanie innych wątków? Zaraz po pierwszym przesłuchaniu uznał pan, że pan Pierce jest winny, prawda?

– Sprzeciw!

– Podtrzymany. Pani Castle, proszę nie obrażać świadka.

Shirley Castle się ukloniła.

– Przepraszam, Wysoki Sądzie, panie inspektorze. Ujmę to inaczej: jakie od samego początku miał pan nastawienie do pana Pierce’a?

– Uznaliśmy, że jest niewątpliwie podejrzany, a z braku dowodów świadczących, że jest inaczej, przystąpiliśmy do formułowania oskarżenia w zwykły przyjęty sposób.

– Dziękuję, panie inspektorze – powiedziała Shirley Castle, siadając i usiłując wyglądać na znudzoną. – Nie mam więcej pytań.

– W takim razie proponuję, żebyśmy na dzisiaj skończyli – rzekł sędzia Simmonds. – Sąd wznowi

posiedzenie o wpół do jedenastej w poniedziałek.

III

W poniedziałek rano stało się dokładnie to, czego Owen się obawiał.

Kiedy później, po powrocie do celi, próbował odtworzyć sekwencję wydarzeń, nie miał nawet pewności, czy Jerome Lawrence rzeczywiście zdołał wypowiedzieć nazwisko Michelle, zanim Shirley Castle skoczyła na równe nogi. Tak czy owak, sędzia Simmonds cierpliwie wysłuchał sprzeciwu, po czym odesłał przysięgłych na kolejne *voir dire*.

Później nastąpiła prawna batalia, za którą Owen, chociaż człowiek wykształcony, mógł tylko w połowie nadążyć, do tego stopnia była prowadzona w zniekształconej angielszczyźnie i pełna cytatów z precedensów. O ile jednak mógł się zorientować, obie strony przedstawiały swój punkt widzenia sędziemu. Jerome Lawrence argumentował, że zeznanie Michelle jest istotne, ponieważ świadczy o wzorze użycia przemocy, który znalazł swoje naturalne ujście w zamordowaniu Debory Harrison. Shirley Castle się sprzeciwiała, mówiąc, że proponowany przez oskarżenie dowód to nic więcej, tylko mściwa fantazja niewiarygodnego świadka, niczego nie dowodzi i wpłynie uprzedzająco na przysięgłych w stopniu daleko przekraczającym jego ewentualną wartość.

Owen wstrzymywał oddech, kiedy sędzia Simmonds rozważał argumenty; wiedział, że od tego może zależeć cała jego przyszłość. W ustach mu zaschło, szczęki się zacisnęły, w żołądku się przewracało. Jeśli Simmonds odrzuci dowód, nie będzie można powoływać się na niego w obecności przysięgłych. Tylko niewiele osób będzie wiedziało, co zaszło między nim a Michelle. Jeśli jednak Simmonds wyrazi zgodę, cały świat się dowie. Przysięgli także. Zacisnął kciuki tak mocno, że knykcie mu pobielaly.

W końcu Simmonds wyduł usta, zmarszczył czoło i ogłosił, że dowód jest niedopuszczalny.

Owen odetchnął z ulgą. Krew zaszumiała mu w uszach i poczuł, jak cały się odpręży. Pomyślał, że zaraz zemdleje.

Shirley Castle dyskretnie pokazała mu uniesiony kciuk i posłała zwycięski uśmiech. Sprowadzono przysięgłych i Jerome Lawrence wezwał kolejnego świadka.

Doktor Charles Stewart Glendenning był imponującą postacią. Wysoki, z głową pełną białych włosów i wąsami pożółkłymi od nikotyny, lekarz sądowy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, nosił się prosto i mówił ze szkocką zadziornością, która czyniła z niego rzeczową osobę. Poważny wyraz twarzy wzmacniał wygląd wytrawnego eksperta sądowego.

Wszedł na miejsce dla świadków, jakby to był jego drugi dom, i złożył przysięgę. Owen zauważył,

że nie położył dłoni na Nowym Testamencie, a słowa przysięgi nieznacznie różniły się od tej, którą składali jego poprzednicy. Ateista? Nic dziwnego, pomyślał Owen, jeśli się weźmie pod uwagę, co ten człowiek przez lata musiał widzieć.

Resztę przedpołudnia poświęcono na przedstawienie całego wachlarza kwalifikacji i funkcji pełnionych przez doktora Glendenninga i dopiero po lunchu Jerome Lawrence w końcu zaczął przesłuchiwać swojego świadka.

– Rebecca Charters już opowiedziała nam o tym, jak znalazła ciało i zawiadomiła policję. Czy mógłby pan opisać, panie doktorze, stan ciała na miejscu zbrodni?

– Ofiara leżała na plecach. Bluzkę miała rozchyloną, stanik zerwany i odsłonięte piersi, spódnicę zadartą nad talię i eksponującą obszar łonowy w sposób typowy dla morderstwa z pobudek seksualnych. Bielizny nie było. Rozumiem, że później ją znaleziono. Przy bliższym badaniu twarzy zauważyłem czerwono-fioletowy kolor i ślady krwawienia z nosa, odpowiadające śmierci przez uduszenie. Koło lewego oka miała małe świeże zadrapanie.

– Może nam pan powiedzieć, co odkrył pan w trakcie sekcji zwłok?

– Dziewczyna była – za życia – w dobrym stanie zdrowia, czego należy się spodziewać u szesnastolatki. W narządach wewnętrznych nie znaleziono śladów toksyn. Po dalszych badaniach potwierdziłem swój wcześniejszy wniosek, a mianowicie, że przyczyną śmierci była asfiksja spowodowana uduszeniem.

– Panie doktorze, czy mógłby pan wyjaśnić członkom ławy przysięgłych, czym jest asfiksja?

Glendenning kiwnął głową.

– Niektóre ofiary uduszenia umierają z powodu podrażnienia nerwu błędnego, spowodowanego naciskiem na tętnice szyjne i prowadzącego do zatrzymania akcji serca. – Dotknął miejsca za szczęką.

– W tym przypadku jednak ofiara umarła z powodu zablokowania przepływu krwi w szyi i wepchnięcia języka do gardła, przez co nastąpiło odcięcie powietrza. Można to stwierdzić po jednoznacznych objawach. Ludzie umierający z powodu podrażnienia nerwu błędnego są bladzi, ofiary asfiksji mają skórę czerwono-fioletową. Powstają także wybroczyny, małe plamki krwi w białkach oczu, na powiekach, na twarzy skóry. W przeciwieństwie do tego, co twierdzą autorzy powieści, język nie wystaje.

Owen spojrzał na sir Geoffreya i lady Harrison, rodziców ofiary, którzy przychodzili do sądu niemal codziennie. Lady Harrison odwróciła się do męża i na moment oparła głowę o jego ramię. Oboje byli bladzi.

Owen poczuł, że przelotnie dostrzega zimną logikę strategii przyjętej przez oskarżenie, jakby to

była dramatyczna struktura sztuki albo powieści, i po kręgosłupie przeszedł mu lodowaty dreszcz.

Gdyby wszystko poszło według planu, to po wysłuchaniu emocjonalnej relacji Rebekki Charters o znalezieniu ciała i rzeczowego, profesjonalnego zeznania Banksa o policyjnym dochodzeniu, na miejscu dla świadka stanęłaby Michelle. Przysięgli widzieliby tylko słodką i niewinną młodą dziewczynę i słuchali, jak potwór na ławie oskarżonych próbował ją udusić. (Był przekonany, że swoimi długimi, wypielęgnowanymi palcami dotknęłaby gardła, opisując atak). Następnie lekarz sądowy przedstawiłby im ponure medyczne szczegóły skutków uduszenia. I co po tym wszystkim pomyśleliby sobie o Owenie?

– Dziękuję, panie doktorze – ciągnął Lawrence. – Może nam pan powiedzieć, w jaki sposób w tym przypadku uduszono ofiarę?

– Tak. Poprzez zadzierzgnięcie. Paskiem tornistra.

– Który znaleziono na miejscu zbrodni?

– Tak. Nadal był przymocowany do tornistra.

– Czy pan jako ekspert ma powody wątpić, że to było narzędzie zbrodni?

– Nie, żadnych. Przeprowadziliśmy wiele testów. Pasek tornistra idealnie pasował do wgłębień na gardle ofiary. Był nieznacznie przekrecony i przeciął skórę szyi dolną krawędzią, co świadczy, że ofiarę uduszono od tyłu i że napastnik był od niej wyższy. Na krawędzi paska znaleźliśmy krew.

– O ile wyższy był sprawca? – zapytał Jerome Lawrence.

– Ofiara miała sto sześćdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, więc napastnikowi dodałbym co najmniej piętnaście centymetrów.

– Oskarżony ma sto osiemdziesiąt osiem centymetrów, jak już ustalono?

– Tak mi się wydaje.

– Czy uduszenie wymagałoby wielkiej siły?

– Pewnej siły tak, ale nie nadludzkiej.

– Czy sposób ataku utrudniał ofierze walkę z napastnikiem?

– Niemal zupełnie. Niewiele mogła zrobić. Niewykluczone, że oczywiście próbowała na oślep drapać albo kopnąć napastnika w goleń.

– Powiedział pan „drapać na oślep”. Czy to możliwe, skoro duszono ją od tyłu?

– O tak. To całkiem prawdopodobne, że sięgnęła za siebie i podrapała napastnika.

– Czy istnieje możliwość rozstrzygnięcia, gdzie ją zamordowano, na cmentarzu czy w innym miejscu?

– Tak, pozwala na to umiejscowienie pośmiertnych plam opadowych. Oznacza to – tu bez ponagleń

Lawrence'a zwrócił się do przysięgłych, by im to wyjaśnić – że kiedy serce przestaje pracować, krew po prostu stosuje się do praw grawitacji i opada do najniższych części ciała. Gromadzi się i tworzy plamy w miejscach, w których ciało nie styka się z podłożem. Części ciała, które pozostają w kontakcie z podłożem, będą oczywiście białe, ponieważ nacisk nie pozwoli krwi zebrać się w naczyniach włosowatych. W tym wypadku plamy na karku, pośladkach i z tyłu nóg wskazywały, że zmarła leżała w tej samej pozycji od chwili śmierci. Ponieważ proces tworzenia się plam opadowych był na wczesnym etapie, nie mogła pozostawać tam przez długi czas. Proces ten rozpoczyna się trzydzieści minut do godziny od śmierci, rozwija w pełni pomiędzy trzecią a czwartą godziną i kończy pomiędzy ósmą a dziesiątą godziną. Plamy opadowe nadal były słabe i wciąż następowało zbielenie.

– Czy mógłby pan to wyjaśnić przysięgłym?

– Oczywiście. Zanim krew skrzepnie w żyłach, obszar plam opadowych po dotknięciu bieleje. Gdy ucisk znika, wraca do dawnego koloru. Po czterech, pięciu godzinach odbarwienie stwardnieje, utworzą się grudki i nacisk nie spowoduje zbielenia.

– I co nam to mówi?

– Między innymi pomaga ustalić czas zgonu. Jak powiedziałem, plamy opadowe dopiero zaczęły się tworzyć i nie było oznak stężenia pośmiertnego, które zwykle rozpoczyna się w powiekach dwie, trzy godziny po śmierci. Zmierzyłem także temperaturę i na podstawie obliczeń matematycznych ustaliłem, że śmierć nastąpiła w przybliżeniu między piątą a chwilą, gdy ofiarę znaleziono.

– Nie wcześniej?

– Moim zdaniem byłoby to wysoce nieprawdopodobne.

– A ponieważ przyjaciółka ofiary, Megan Preece, zeznała, że rozstała się z Deborą w pobliżu mostu o szóstej, Daniel Charters zaś widział Owena...

– Sprzeciw!

– Podtrzymany. – Sędzia Simmonds wyciągnął kościsty palec. – Panie Lawrence, proszę się zachowywać. Powinien pan wiedzieć lepiej.

Lawrence pochylił głowę.

– Wysoki Sądzie. Dziękuję, doktorze Glendenning. Nie mam więcej pytań.

Wstała Shirley Castle.

– Ja mam tylko kilka pytań, panie doktorze – oznajmiła energicznie. – W gruncie rzeczy dotyczących mniej istotnych kwestii. Nie zatrzymam pana długo.

Doktor Glendenning przekrzywił głowę i uśmiechnął się do niej jak dżentelmen.

– Zakładam, że nadzorował pan pobranie próbek z ust, odbytu i pochwy na miejscu zbrodni? –

zaczęła Shirley Castle.

– Tak jest.

– Znalazł pan ślady nasienia?

– Żadnych.

– Zupełnie żadnych?

– Zupełnie.

– Czy podczas sekcji zwłok odkrył pan ślady wymuszonego stosunku płciowego?

– Nie znalazłem żadnych śladów stosunku płciowego, ani wymuszonego, ani za przyzwoleniem.

Shirley Castle zmarszczyła czoło.

– A mimo to we wcześniejszych zeznaniach nazwał pan to morderstwo „zbrodnią z pobudek seksualnych”. Czy brak takich śladów nie wydał się panu dziwny?

– Właściwie nie. Istnieje mnóstwo rodzajów przestępstw seksualnych. Sposób, w jaki naruszone zostało ubranie ofiary, moim zdaniem przypomina przestępstwa seksualne.

– Słyszeliśmy już, że w tej dziedzinie ma pan godne pozazdrosczenia osiągnięcia, panie doktorze. Do jakiego stopnia dokładne jest pańskie ustalenie czasu śmierci?

– Zawsze można mówić tylko o przybliżeniu – przyznał Glendenning. – W grę wchodzi mnóstwo zmiennych.

– Mógłby pan podać sądowi przykład ustalenia przez pana czasu śmierci?

– Oczywiście. Jak wcześniej mówiłem, istnieje wiele czynników takich jak stężenie pośmiertne, plamy opadowe i zawartość żołądka, często jednak najlepszy wynik daje pomiar temperatury ciała. Jeśli w chwili śmierci temperatura jest normalna, czyli wynosi trzydzieści siedem stopni Celsjusza, a wiadomo, że po śmierci temperatura ciała spada do temperatury otoczenia w czasie od dwudziestu czterech do trzydziestu sześciu godzin, można dokonać stosownych obliczeń.

– Dwadzieścia cztery do trzydziestu sześciu godzin – powtórzyła Shirley Castle, patrząc na przysięgłych. – To od jednej do półtorej doby. Dość szeroki margines błędu, prawda?

Glendenning się uśmiechnął.

– Podkreśliłem, że można mówić tylko o przybliżeniu.

– Owszem, ale nie powiedział pan, do jakiego stopnia jest to mało precyzyjne.

– Sprzeciw.

– Podtrzymany, panie Lawrence.

Shirley Castle skłoniła głowę.

– Przepraszam. Panie doktorze, ile czasu zajęłoby ciału Debory Harrison osiągnięcie temperatury otoczenia?

– Cóż, tu także trudno o precyzję. Była zdrowa, normalna, szczupła, częściowo rozebrana, a w tamten mglisty wieczór temperatura wynosiła dziesięć stopni Celsjusza. Powiedziałbym, że raczej szybciej niż wolniej.

– Dwadzieścia osiem godzin? Dwadzieścia sześć?

– Mniej więcej.

– Mniej więcej. Bardzo dobrze. Czy ciało stygnie w regularnym, stałym tempie?

– Nie. Zgodnie z przebiegiem krzywej esowatej.

– W jaki sposób ustalił pan czas śmierci na podstawie ciepłoty ciała?

– Przy użyciu wzoru Glaistera. Temperatura ofiary wynosiła trzydzieści pięć i pół stopnia. Należy to odjąć od normalnej temperatury, czyli trzydziestu siedmiu stopni, i pomnożyć przez jeden przecinek jeden. W tym wypadku jest to jeden przecinek sześćdziesiąt pięć setnych godziny. Biorąc pod uwagę temperaturę otoczenia, oznacza to jedną do dwóch godzin przed moim przybyciem na miejsce zbrodni.

– Co może wpływać na tempo oziębienia się ciała?

– Trudno powiedzieć. Wiele czynników.

Shirley nabrała powietrza i pochyliła się.

– Ale nie jest trudno powiedzieć, prawda, panie doktorze, że szczupłe osoby stygną szybciej niż grube, a Debora Harrison była szczupła. Z drugiej strony zdrowe osoby oziębają się wolniej niż osłabione, a Debora Harrison była zdrowa. Nagie ciała stygną szybciej niż ubrane, ale Debora Harrison była tylko częściowo ubrana. Ciała stygną szybciej w wodzie niż w powietrzu, w gęstej mgłę jednak Debora Harrison była wystawiona na oba te czynniki. Mam rację?

– To wszystko są istotne aspekty – przyznał Glendenning.

– Według złożonych już zeznań – ciągnęła Shirley Castle – Deborę ostatnio widziano żywą o szóstej, co wyklucza, że zamordowano ją wcześniej, zgadza się pan?

Glendenning uniósł brwi.

– Owszem, zgadzam się.

– Ale Rebecca Charters znalazła ciało o szóstej czterdzieści pięć, czy tak?

– Tak.

– A pierwsi policjanci przyjechali na miejsce o szóstej pięćdziesiąt dziewięć?

– Sprzeciw.

– Tak, panie Lawrence? – zapytał sędzia Simmonds.

– Chciałbym wiedzieć, dokąd pani Castle zmierza, prowadząc to przesłuchanie, Wysoki Sądzie.

– Obrona zaspokoi ciekawość Wysokiego Sądu. Już niedługo to będzie jasne.

– Proszę się pośpieszyć, pani Castle.

– Tak, Wysoki Sądzie. Deborę Harrison po raz ostatni widziano o szóstej, jej ciało odkryto na cmentarzu przy kościele Marii Panny o szóstej czterdzieści pięć. Pozostają trzy kwadransy, w trakcie których mogła zostać zamordowana. Jak wynika z pańskiego zeznania, panie doktorze, mogła zostać zamordowana po szóstej trzydzieści, prawda?

Glendenning kiwnął głową.

– Owszem, to możliwe.

– W rzeczywistości śmierć mogła nastąpić dopiero o szóstej czterdzieści, czyż nie?

– Tak. Ale Rebecca Charters słyszała...

– Proszę, doktorze, powinien pan lepiej się orientować. Rebecca Charters już przyznała, że odgłos, który słyszała, równie dobrze mogło wydać zwierzę. Tak więc wzięwszy pod uwagę, że nikt nie widział, jak Owen Pierce wchodzi na cmentarz Marii Panny oraz że śmierć mogła nastąpić dopiero o szóstej czterdzieści, kiedy pan Pierce już był w Peking Moon, należy stwierdzić, że nie istnieje żaden bezpośredni dowód wskazujący, że oskarżony był w miejscu zbrodni w krytycznym czasie, czy nie tak, panie doktorze?

– To nie jest...

– A ponieważ nikt nie widział, jak Debora Harrison albo Owen Pierce wchodzi na cmentarz – ciągnęła Shirley Castle, zanim ktoś zdążył ją powstrzymać – wynika z tego wniosek, że Debora Harrison najpierw mogła pójść gdzie indziej, prawda?

– Nie do mnie należą spekulacje na temat tego rodzaju kwestii – odparł Glendenning. – Jestem tutaj, żeby przedstawić fakty medyczne.

– A tak – powiedziała Shirley Castle. – Fakty takie jak czas śmierci. Fakty mają to do siebie, że pozwalają na spory margines swobody, prawda?

– Sprzeciw.

– Podtrzymany. Zamierza pani to kontynuować, pani Castle?

– Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie – odparła Shirley i usiadła.

Bardzo sprytnie, pomyślał Owen, następnie zwrócił wzrok na wyglądającego jak zapaśnik przysięgłego, który usiłował zeszkrobać plamę po jajku z klubowego krawata.

Tydzień później, po kolejnych sporach prawniczych i procesji nudnych techników, od specjalisty od daktyloskopii po funkcjonariusza odpowiedzialnego za dowody, Owen obserwował, jak Shirley Castle terroryzuje eksperta od włosów, który w końcu uciekł się do naukowego żargonu i przyznał, że nie można ponad wszelką wątpliwość dowieść, iż włosy znalezione na ubraniu ofiary lub podejrzanego ze stuprocentową pewnością pochodzą z tego samego źródła.

Ostatnim świadkiem oskarżenia był doktor Tasker, biolog i ekspert od DNA. Miał szczupłą twarz, łysiejące włosy i zdaniem Owena dobiegał czterdziestki. Sprawiał wrażenie, że zna się na swojej pracy, ale jego ostrożność w przedstawianiu danych od czasu do czasu wyprowadzała Jerome'a Lawrence'a z równowagi.

Owen zastanawiał się, czy przysięgli są równie znudzeni jak on niekończącymi się omówieniami metody autoradiograficznej i nożyc molekularnych, zeznaniami określającymi naukową wagę reakcji łańcuchowej polimerazy oraz znaczenie powtórzeń tandemowych, drobiazgowym przedstawianiem niezwyklej ostrożności podejmowanych w laboratorium w celu zapobieżenia zanieczyszczeniu próbek.

Kiedy Shirley Castle wstała, by przesłuchać świadka oskarżenia, Tasker sprawiał wrażenie, że patrzy na nią z podziwem, a jeśli Owen się nie mylił, to chyba także był nieco w niej zadurzony. Może zdawała sobie z tego sprawę. Zaczęła tonem rozluźnionym, przyjacielskim, wręcz kokieteryjnym.

– Doktorze Tasker – zaczęła z uśmiechem – jestem pewna, że zaimponował pan wczoraj sądowi swoją analizą DNA. Udowodnił pan w sposób zrozumiały chyba dla każdego, że DNA uzyskane z plamy krwi na anoraku pana Pierce'a istotnie należało do Debory Harrison. Czy to prawda?

Tasker kiwnął głową.

– Prawdopodobieństwo, że DNA uzyskane z zaschniętej plamy krwi na anoraku pana Pierce'a należy do niej, jest pięćdziesiąt milionów razy większe od prawdopodobieństwa, że należy do kogoś innego, a prawdopodobieństwo, że DNA uzyskane z próbki tkanki spod paznokcia ofiary należy do Owena Pierce'a, jest pięćdziesiąt milionów razy większe od prawdopodobieństwa, że należy do kogoś innego. Możemy tylko powiedzieć, że taki rezultat jest niezwykle rzadki, jeśli porównamy go z resztą populacji.

– Mimo to – uśmiechnęła się Shirley Castle – prawdopodobieństwo jest imponujące, prawda?

– O tak – wyjaśniał Tasker. – Z całą pewnością nie obstawiałbym przeciwko niemu.

– Niemal bez cienia wątpliwości – powiedziała Shirley Castle. – I o to w sumie w tym chodzi, prawda? Ale, doktorze Tasker, jest kilka szczegółów, które zapewne będzie pan mógł mi wyjaśnić.

Owen przysięgłby, że Tasker niemal się zarumienił z radości.

– Oczywiście, z wielką przyjemnością.

Shirley Castle przyjęła jego słowa lekkim skinieniem głowy.

– Ile krwi Debory Harrison znaleziono na anoraku mojego klienta?

– Niewiele.

– Mógłby powiedzieć pan dokładniej, ile tego było?

Tasker się uśmiechnął.

– No cóż, bardzo mało, ale dość na przeprowadzenie PCR, reakcji łańcuchowej polimerazy, którą wcześniej opisałem.

– Tak, ale ile? Pełny napałek?

– Wielkie nieba, nie.

– Tyle, ile powstanie z drobnego przecięcia albo zadrapania?

– Mhm. Tak, mniej więcej tyle.

– Ukłucie szpilką?

– To możliwe.

– Innymi słowy plamka wielkości główki od szpilki. Mam rację?

– Może nieco większa...

– W przybliżeniu główka od szpilki?

– Pewnie tak. Mniej więcej. Ale jak powiedziałem...

– Sąd już wysłuchał doktora Glendenninga, który zeznał, że Debora Harrison miała nieznaczne zadrapanie koło lewego oka. Czy tego rodzaju rana mogła dać podobną ilość krwi, gdyby przetarto po niej jakimś materiałem?

Tasker poprawił się na krześle.

– No cóż, nie widziałem tego zadrapania, więc nie mogę stwierdzić tego z całą pewnością, ale to była niewielka ilość, bez wątpienia odpowiadająca drobnemu obrażeniu, które pani opisała.

– Gdzie znalazł pan krew?

– Na anoraku oskarżonego.

– A dokładnie?

– Na lewym rękawie. Blisko ramienia.

– Już słyszeliśmy, że Debora Harrison miała sto sześćdziesiąt osiem centymetrów, a Owen Pierce sto osiemdziesiąt osiem. Czy to umiejscowiłoby jej lewe oko w okolicy jego ramienia?

Tasker wzruszył ramionami.

– Przypuszczalnie. Nie potrafię ocenić tego dokładnie.

– Jeśli Wysoki Sąd pozwoli – tu Shirley Castle zwróciła się do sędziego Simmondsa – chciałabym skorzystać z okazji do zademonstrowania sądowi, że istotnie tak jest.

Owen widział, jak wstrzymała oddech. Mówiła mu, że większość sędziów nie znosi działań, które są nadmiernie teatralne. Musiała go jednak przekonać, że to bardzo istotne dla linii przesłuchania, ponieważ zgodził się bez większego namysłu.

Sprawa była bardzo prosta. Wprowadzono mężczyznę i sporo od niego niższą młodą dziewczynę – gdzie ich Shirley znalazła, Owen nie miał pojęcia. Zmierzono ich i ustalono, że on ma sto osiemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, a ona sto sześćdziesiąt osiem, po czym stanęli koło siebie. Oko dziewczyny wypadło na poziomie górnej części ramienia mężczyzny. Shirley Castle im podziękowała, po czym wróciła do zadawania pytań.

– Czy to była jedyna plama krwi na ubraniu mojego klienta?

– Tak.

Shirley Castle poprosiła o anorak Owena, żeby pokazać go przysięgłym. Wskazała, że na górnej części ramienia była zapinana na zamek błyskawiczny kieszeń.

– Doktorze Tasker, czy znalazł pan krew dziewczyny koło tego zamka?

– Tak. W tej okolicy.

– Mógłby pan to rozwinąć?

– Ściśle rzecz biorąc, na prawym końcu zamka.

– Czy mógłby pan pokazać to miejsce?

Tasker spełnił jej prośbę.

– Metalowe zębki są tu dość ostre – ciągnęła Shirley Castle. – Czy to nie nasuwa panu przypuszczenia, że dziewczyna mogła się zranić w policzek zamkiem, kiedy zderzyła się z panem Pierce'em, odwróciwszy się po biegu tyłem?

– Krew mogła się tam znaleźć na wiele sposobów.

– Między innymi w taki, jaki przedstawiłam?

– Tak, ale...

– Czy to była cała krew, którą pan znalazł?

– Już to mówiłem. Ja...

– Nie za wiele, prawda?

– Jak powiedziałem, wystarczyło do przeprowadzenia PCR.

– A tak: PCR, STR, DNA, „genetyczne odciski palców”. W dzisiejszych czasach to magiczne

słowa. I czego to dowodzi, doktorze Tasker?

– Że krew na anoraku pozwanego jest pięćdziesiąt milionów razy...

– Tak, tak. Już to omówiliśmy, prawda? Tylko że obrona nigdy nie przeczyła, że to jest krew Debory Harrison. Wpadła na mojego klienta i zadrapała się o zamek na jego anoraku. Czy przyzna pan, że ilość oraz lokalizacja krwi, którą pan znalazł, pasuje do tego wyjaśnienia?

– Tak przypuszczam.

– Tak pan przypuszcza. Znalazł pan ślady krwi na mankietach kurtki?

– Nie.

– A nie spodziewałby się pan, że ofiara będzie krwawiła z nosa, kiedy oskarżony ją dusił?

– Mogłaby.

– Należałoby więc oczekiwać, że krew znajdzie się na jego mankietach, jeśli rzeczywiście dusił ją od tyłu paskiem od tornistra?

– Cóż, to prawdopodobne, ale...

– Znalazł pan krew na dolnej części rękawa?

– Nie. Ale ofiara mogła się wykręcić...

– Dziękuję panu, doktorze Tasker. Odpowiedział pan na moje pytanie. Wziąwszy pod uwagę, że musiało dojść do walki na śmierć i życie, trudno byłoby uniknąć bliższego kontaktu, jak pan sądzi?

– Prawdopodobnie.

– Czy zbadał pan całą kurtkę pod kątem plam krwi?

– Tak. Przeprowadziliśmy bardzo dokładne badanie.

– Nie znalazł pan jednak żadnej krwi poza niewielką ilością wysoko na rękawie, na końcu zamka błyskawicznego?

– Nie.

Po zadurzeniu nie pozostał ślad, zauważył Owen. Tasker unikał wzroku Shirley Castle. Owen spojrział na „Minerwę”, która surowo spoglądała na doktora. Już nie będzie wierzyła reklamom z gatunku „badania naukowe potwierdziły”, o ile dotychczas brała je za pewnik.

– Doktorze Tasker, czy wie pan, w jaki sposób włosy Debory Harrison – a jak się dowiedzieliśmy, w rzeczywistości te włosy *mogły* do niej należeć, stuprocentowej pewności nie mamy – znalazły się na anoraku pana Pierce’a?

– Nie, to nie jest...

– W takim razie ja panu powiem. Znalaziono je wyłącznie na lewym przedramieniu, nigdzie indziej. Ściśle rzecz biorąc, wszystkie trzy jej włosy znajdowały się w zamku błyskawicznym, koło

plamki krwi. Co pan na to?

– Nie wiem. To nie moja dziedzina.

– Nie pańska dziedzina? Ale czy nie zgodziłby się pan, że jest to zgodne ze scenariuszem, który przed momentem panu przedstawiłam? Z sytuacją, kiedy dwie osoby po prostu się zderzają?

– Już się zgodziłem, że to jest możliwe wyjaśnienie.

– Ile krwi i naskórka znalazł pan pod paznokciem ofiary?

– Niewiele, ale wystarczająco na...

– Odpowiednio do ilości, która mogła powstać po lekkim zadraśnięciu?

– Tak.

– Jeśli Debora Harrison walczyła o życie, to czy opierając się na swoim doświadczeniu zawodowym, nie spodziewałby się pan znaleźć więcej krwi?

– Przypuszczalnie, ale powtarzam, to nie moja...

– Rozumiem, doktorze Tasker. Ale nie możemy mieć wszystkiego, prawda? Albo ofiara miała szansę się bronić, drapiąc napastnika, a wtedy ta ilość skóry jest żałośnie mała, albo takiej szansy nie miała. Pańskim zdaniem, która z możliwości odpowiada prawdzie?

Owen widział, że Lawrence już chciał zgłosić sprzeciw, ale przemyślał to i opadł na krzesło.

– Mogła raz go zadrapać – odparł Tasker. – Nie wiem.

– Nie wie pan. Bardzo dobrze. Czy przynajmniej zgodzi się pan, że niewielka ilość skóry pana Pierce'a pod jednym z paznokci ofiary mogła się tam dostać podczas zderzenia, gdyby Debora uniosła rękę, żeby zachować równowagę?

– Tak.

– W takim razie zgodzi się pan także, że istnieje możliwość, iż zabójcą Debory Harrison nie był mój klient, ale ktoś inny?

– Sprzeciw!

– Odrzucony, panie Lawrence. Proszę odpowiedzieć na pytanie.

Tasker bawił się krawatem.

– No cóż, teoretycznie tak. – Zachichotał nerwowo. – To znaczy, teoretycznie wszystko jest możliwe. Nie było mnie tam, nie potrafię powiedzieć dokładnie, co się stało. DNA pasuje do DNA oskarżonego, więc nie można go wykluczyć.

– Zgłaszam wniosek o uznanie wyników badania DNA za nieistotne. Czy odpowiedział pan na moje pytanie twierdząco?

– Chyba tak.

– Tak czy nie?

– Tak.

Shirley Castle odwróciła się do sędziego i rozłożyła ręce.

– Wysoki Sądzie – powiedziała – jestem wstrząśnięta, że prokuratura oparła oskarżenie na tak nieistotnych i wątpliwych dowodach. Nie mam więcej pytań.

Po raz pierwszy Jerome Lawrence wstał, żeby ponownie przesłuchać świadka. Pewnie innych nie ma, pomyślał Owen. Chce zostawić pozytywne wrażenie.

– Tylko dwa pytania, doktorze Tasker. Doskonale zdaje pan sobie sprawę z natury tej zbrodni, z charakteru obrażeń zadanych ofierze. Czy na podstawie swojego doświadczenia zawodowego powiedziałby pan, że ilość krwi ofiary pozostawiona na ubraniu oskarżonego była do tego stopnia mała, że nie mógł tej zbrodni popełnić?

– Nie, nie powiedziałbym tak.

– Czy wymiana krwi i tkanek mogła nastąpić, kiedy ofiara walczyła o życie?

– Istotnie, mogła.

Jerome Lawrence gładko mu się uklonił.

– Bardzo dziękuję, doktorze Tasker.

Rozdział 12

I

Nic nie mogłoby przygotować Owena na szok, który przeżył, kiedy po wejściu na salę rozejrzał się nerwowo i zobaczył siedzącą na galerii Michelle.

Serce waliło mu o żebra. Czuł, jakby ogromny ptak jakimś sposobem dostał się do jego wnętrza i teraz drapał, i szarpał jego klatkę piersiową i gardło, bił skrzydłami, próbując się uwolnić. Nadal była piękna, nadal sprawiała, że serce go bolało, gdy na nią patrzył, i tęsknił.

Jeśli już, pomyślał, Michelle wygląda młodziej niż wtedy, kiedy byli razem: na piętnaście, szesnaście lat. Makijaż nie psuł jej delikatnej alabastrowej cery, rdzawoczerwony blezer i prosta biała bluzka przypominały mundurek szkoły Marii Panny.

Blond włosy spadały jej na ramiona tak samo jak Deborze Harrison na fotografiach zamieszczonych w prasie i miały identyczną długość. Usta barwy dojrzałej truskawki były wydęte jak u nadąsanej małej dziewczynki. Z całej jej postawy emanowały niewinność i niedojrzałość. Ciekawe, czy ludzie wiedzą, kim jest, myślał Owen. Siedziała obok człowieka, którego często widywał w sądzie; przypuszczał, że to dziennikarz.

Starał się unikać patrzenia na nią. Dlaczego tu jest? Prokuratura ją zwabiła, żeby go zdenerwowała? Już wcześniej do niego dotarło, że bierze udział w spektaklu, że rozprawa bardziej przypomina imprezę teatralną niż cokolwiek innego, a nagrody zostaną rozdane za kilka dni. Czy Michelle też dostała rolę do odegrania? Nie będzie przecież zeznawać, Shirley Castle tego dopilnowała. Co w takim razie robiła w sądzie?

Tak był wytrącony z równowagi jej obecnością, że na początku nawet nie usłyszał, jak Shirley Castle wzywa go na miejsce dla świadków.

Poświęciła ponad dzień na omówienie z nim wypadków owego fatalnego listopadowego poniedziałku, tak gładko jak zrobiła to wcześniej w więziennej rozmównicy obok jego celi. Czuł spokój, odpowiadając na jej pytania, i miał nadzieję, że przysięgli nie wezmą tego za brak uczuć.

O ile potrafił stwierdzić, „Minerwa” słuchała go obiektywnie, lekko marszcząc czoło w skupieniu. Zauważył, że pozostali także uważają, chociaż paru wyginało usta w niedowierzającym grymasie – tę minę „dajże spokój, powiedz coś innego” ostatnio nauczył się rozpoznawać od pierwszego spojrzenia. Od czasu do czasu ukradkiem zerkał na Michelle i widział, że niekiedy odwraca się do dziennikarza i coś mu mówi.

Następnego dnia, kiedy Owen, prowadzony pytaniami Shirley Castle, zakończył składanie rzeczowej i wiarygodnej relacji o faktach (przynajmniej jemu się taka wydała), Jerome Lawrence podniósł się z wysiłkiem. Jego znużone, świadczące o długim cierpieniu ruchy zdawały się mówić: „Po prawdzie nie ma sensu zanudzać nas tym wszystkim, panie i panowie przysięgli, skoro i wy, i ja wiemy, że on jest winny, ale obowiązek wymaga, żebyśmy przez tę formalność przeszli”. Owen spojrzał na galerię i przekonał się, że Michelle znowu jest w sądzie.

Przez całe przedpołudnie Lawrence zadał mu mnóstwo z pozoru nudnych pytań, po lunchu wreszcie zaczął skupiać się na morderstwie.

– Panie Pierce, powiedział pan przysięgłym, że pomiędzy szóstą a szóstą trzydzieści szóstego listopada ubiegłego roku po prostu chodził pan we mgle w pobliżu Marii Panny w Eastvale i przez pewien czas stał pan na moście. Czy to prawda?

– Tak.

– Był pan pijany, panie Pierce?

– Absolutnie nie.

– W Nag’s Head wypił pan, niech sobie przypomnę, dwa piwa i podwójną szkocką, czy tak?

Owen wzruszył ramionami.

– I nie był pan pijany?

– Nie twierdzę, że nie czułem żadnych skutków alkoholu, tylko że w pełni nad sobą panowałem.

Poza tym chodziłem, nie jeździłem samochodem.

– Później, w Peking Moon, znowu pan pił. Mam rację?

– Tak. Do solidnego posiłku.

– Istotnie. Czy może pan powiedzieć sądowi, dlaczego spędził pan tyle czasu na moście, skoro z powodu gęstej mgły nie był pan w stanie podziwiać pięknego widoku?

– Właściwie nie wiem. Po prostu miałem na to ochotę. Zastanawiałem się nad kilkoma problemami, a mgła pomaga mi w kontemplacji.

– Co to były za problemy?

Owen dostrzegł, jak Shirley Castle posyła mu dyskretne ostrzegawcze sygnały. Spojrzał Michelle w oczy.

– Osobiste. Bez związku ze sprawą.

– Rozumiem. I z powodu tych samych problemów osobistych tyle pan pił?

– Nie piłem dużo, już panu mówiłem, że nie byłem pijany.

– I to one kazały panu ukryć się w kącie restauracji i mamrotać do siebie?

Owen poczuł, że rumieni się z zakłopotania.

– To taki mój zwyczaj, jak przy dodawaniu. Zawsze to robiłem. Czasami się zdarza, że mimowolnie głośno myślę, to wszystko. Zapomniałem, że dokoła są ludzie. To nie czyni ze mnie szaleńca. Ani mordercy.

– Jest pan pewien, że w Peking Moon nie mamrotał pan o tym, co przed chwilą zrobił? O zamordowaniu Debory Harrison?

– Oczywiście, że nie. To kompletna bzdura. Ja tylko dyskutowałem ze sobą w duchu, chciałem się uspokoić.

– Uspokoić? – Nie można było nie usłyszeć nacisku w głosie prokuratora. – Dlaczego odczuwał pan potrzebę uspokojenia się, panie Pierce? A przede wszystkim co pana tak zdenerwowało?

– Nie byłem zdenerwowany. Jest różnica pomiędzy lekką melancholią a zdenerwowaniem, prawda? To znaczy...

– Proszę odpowiedzieć na moje pytanie – wtrącił Lawrence. – Jeśli będę potrzebował lekcji angielskiego, sam o nie poproszę.

– To ja siedzę na ławie oskarżonych, prawda? Dlaczego moje zdanie nie miałoby się liczyć? Przecież przesłuchał pan pozostałych. Dlaczego miałbym pozwolić panu na zniekształcenie znaczenia...

– Panie Pierce – burknął sędzia Simmonds. – Proszę odpowiedzieć na pytanie pana Lawrence’a tak jednoznacznie i ściśle, jak to możliwe.

– Przepraszam, Wysoki Sądzie – powiedział Owen, po czym zwrócił się do Lawrence’a: – Odpowiedź brzmi: nie. Nie byłem zdenerwowany, tylko melancholijny.

– Czy nie jest prawdą, że był pan przybity i wzburzony zerwaniem z młodą damą, które...

– Sprzeciw!

– Podtrzymany, panie Lawrence!

– Przepraszam, Wysoki Sądzie.

Do diabła, co jest celem tej przepychanki? – zastanawiał się Owen z walącym sercem. Znowu spojrzał na Michelle. Lawrence próbował, choć dobrze wiedział, że jej zeznanie zostało odrzucone przez sędziego. Mimo to drań usiłował je przemycić. Owen podziękował swojej szczęśliwej gwiazdzie, że Shirley Castle jest taka szybka. Niezależnie od tego Lawrence’owi udało się zasiać ziarno wątplenia w umysłach przysięgłych i nie pomogły zalecenia sędziego, by ten fragment pominąć. Spojrzał na „Minerwę”: sprawiała wrażenie zdziwionej. Owenowi przyspieszył oddech.

– Przejdźmy w takim razie do dowodów naukowych – ciągnął Lawrence. – Nie zaprzecza pan, że

włosy i krew Debory Harrison znaleziono na pańskim ubraniu?

– Nie moją rzeczą jest potwierdzać albo zaprzeczać – odparł Owen. – Nie jestem naukowcem.

Skoro wasi eksperci je zidentyfikowali, to ich sprawa.

– A kiedy inspektor Banks przedstawił panu wyniki analizy, pan opowiedział mu historię o tym, jak wpadł pan na dziewczynę. Czy to prawda?

Było jasne, że Lawrence zamierzał słowo „historia” poprzedzić określeniem „niestworzona”.

– Nie wpadłem na nią – odparł Owen. – Ona wpadła na mnie, kiedy odwracałem się od balustrady.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie.

– Odpowiedziałbym, gdyby zostało prawidłowo zadane.

Lawrence westchnął i ze znużeniem kiwnął głową do przysięgłych.

– Bardzo dobrze, panie Pierce. Powiedział pan policji, że dziewczyna wpadła na pana, czy tak?

– Opowiedziałem szczegółowo, co się stało.

– Dlaczego nie wspomniał pan o tym wcześniej?

– To nie wydawało się ważne.

– Niechże pan da spokój, panie Pierce, podczas drugiego przesłuchania policjanci uprzedzili pana, jak ważne jest wszystko, co tamtego dnia się zdarzyło. Zdawał pan sobie sprawę, że pańska sytuacja jest poważna. Dlaczego wcześniej pan o tym nie powiedział?

– Już mówiłem. Nie powiedziałem też o tym, jak musiałem się schylić i zawiązać lewy but ani o wejściu do kiosku po gazetę, której nawiasem mówiąc, nie mieli. To po prostu nie wydawało się istotne.

– Ale później pan dobrze to pamiętał. W rzeczywistości w chwili, gdy przedstawiono panu dowód na kontakt fizyczny z ofiarą, nagle zaprezentował pan wyjaśnienie. – Lawrence się roześmiał i machnął togą jak nietoperz. – Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. No nie, panie Pierce. Naprawdę oczekuje pan, że sąd w to uwierzy?

– Sprzeciw.

– Podtrzymany. Od świadka nie wymaga się opinii w kwestiach takich jak to, czy sąd powinien w coś uwierzyć czy nie, o czym pan doskonale wie, panie Lawrence.

– Przepraszam, Wysoki Sądzie. Twierdzę, panie Pierce, że widział pan, jak Debora Harrison rozstaje się z koleżanką, że poszedł pan za nią na cmentarz i że...

– Nie! Nic takiego nie zrobiłem! – wtrącił Owen.

– I udusił pan Deborę Harrison paskiem od jej tornistra!

Owen zacisnął dłonie w pięści, tak żeby inni nie widzieli.

– Nie zrobiłem tego – powiedział z całą godnością, na jaką mógł się zdobyć.

Lawrence przez chwilę wpatrywał się w niego swoimi czarnymi paciorkowatymi oczami, potem westchnął.

– Nie mam więcej pytań – oznajmił, wyraźnie z siebie zadowolony.

Było piątkowe popołudnie, sędzia Simmonds zakończył więc postępowanie i na weekend Owena odprowadzono do celi.

II

Wróciwszy w poniedziałek na ławę oskarżonych, Owen dokładał starań, żeby nie patrzeć na Michelle i ze skupieniem słuchać mowy końcowej Jerome'a Lawrence'a. Niewiele się różniła od mowy wstępnej: Owen to potwór, wręcz trudno uznać go za człowieka, brutalnie zamordował czystą i niewinną młodą dziewczynę. Przez większość czasu łapał się na tym, że jednak zerka na Michelle. Wyczuwał, że ona o tym wie, ale unikała jego wzroku.

Lawrence przemawiał przez większą część dnia, piętrząc okrucieństwa i występki, i dopiero we wtorek rano Shirley Castle mogła wygłosić swoją mowę. Owen znowu głównie obserwował Michelle i zanim się zorientował, jego obrońcy kończyła.

– A przede wszystkim miejcie w pamięci zwrot „bez cienia wątpliwości”. To fundament, na którym zbudowano nasz system sprawiedliwości. Ciężar przedstawienia dowodów spoczywa na prokuraturze. Zapytajcie siebie, czy „bez cienia wątpliwości” dowiedli, że oskarżony popełnił tę zbrodnię? Czy wy sami jesteście przekonani bez cienia wątpliwości, że stojący przed wami człowiek nie jest niewinną ofiarą? Czy sami nie żywcie wątpliwości? Myślę, że po rozważeniu tego pytania dojdziecie do wniosku, że pozostały niewyjaśnione kwestie i nie możecie zrobić nic innego, jak zgodzić się ze mną i odpowiedzieć „nie, prokuratura nie udowodniła oskarżenia”. Widzicie bowiem przed sobą człowieka, który znalazł się w złym miejscu o złym czasie, człowieka zdezorientowanego, zmartwionego i zaniepokojonego dochodzeniem policyjnym, którego nie rozumiał, a które nie zostało mu wyjaśnione. Przede wszystkim jednak widzicie człowieka niewinnego, człowieka już ponad miarę ukaranego za zbrodnię, której nie popełnił. Zajrzyjcie w swoje serca, panie i panowie, a jestem przekonana, że znajdziecie tam pewność, iż mój klient jest niewinny przedstawionych mu zarzutów. Dziękuję.

Po tej starannie nasyconej emocjami mowie podsumowanie sędziego Simmondsa wydało się Owenowi niedbałe. Ale przynajmniej był sprawiedliwy, to Owen musiał przyznać. W swoim

obojętnym monologu sędzieja powtórzył główne punkty, dokładając starań, by nie opowiedzieć się po żadnej stronie. Słuchając go, Owen wodził spojrzeniem między Michelle a „Minerwą”.

Była skupiona, ale Owen nie mógł się pozbyć wrażenia, że jej zdaniem mowa końcowa była zbędna, że już podjęła decyzję. Raz przyłapała go na wpatrywaniu się w nią i zarumieniona szybko odwróciła wzrok. Mógłby jednak przyznać, że w jej oczach nie było cienia oskarżenia ani potępienia. Kiedy Michelle w końcu spojrzała na Owena, uśmiechnęła się i nie mógł nie dostrzec zimnego, złośliwego błysku w jej oczach, na którego widok przeszedł go dreszcz.

III

Podczas narady przysięgłych Owen siedział w smutnym pokoju pod salą sądową z Shirley Castle i swoimi strażnikami, pijąc gorzką kawę, od której w końcu rozboleł go żołądek.

Już wcześniej przeżywał niespokojne wyczekiwanie – po rozmowie o pracę albo w te długie wieczory, kiedy stał w oknie i czekał na powrót Michelle do domu – ale nigdy nie było tak dotkliwe jak teraz. W ściśniętym żołądku mu burczało, obgryzał paznokcie, podskakiwał przy każdym odgłosie. Próbował sobie wyobrazić, jak to musiało wyglądać, kiedy istniała kara śmierci, ale nie potrafił. Shirley Castle usiłowała nawiązać rozmowę, szybko jednak zrezygnowała, słysząc jego spięte, chaotyczne odpowiedzi.

Wydawało się, że trwa to godzinami. W końcu ktoś przyszedł i powiedział, że przysięgli nie uzgodnili werdyktu, a ponieważ jest późno, Owen spędzi noc w swojej celi. Zapytał Shirley Castle, dlaczego narada tak się przedłuża, a ona odpowiedziała, że to dobry znak.

Tamtej nocy prawie nie zmrzył oka. Dręczył go strach, ściany celi napierały. W tym świecie pomiędzy snem a jawą, gdzie wspomnienia przybierają kształt rojeń, oglądał siebie, jak na zasnutym mgłą cmentarzu dusi Deborę Harrison. A może to była Michelle? Tak często mu to powtarzano, że jego podświadomość uległa sztuczkom i uwierzyła w to. Myślał, że krzyczał głośno, ale nikt nie przybiegł sprawdzić, co się dzieje. Kiedy się obudził, stwierdził, że ma erekcję, i ogarnął go wstyd.

Nadszedł ranek: opróżnianie wiadra, odór moczu i odchodów, który zdawał się trwale unosić w powietrzu, golenie pod nadzorem, śniadanie. Później ubrany w garnitur Owen czekał, aż zawiozą go do sądu, gdzie usłyszy wyrok. Nic się nie działo. Przed południem w środę nie wiedział, jak długo jeszcze to wytrzyma, nie tracąc zdrowych zmysłów. Tuż przed lunchem drzwi jego celi się otworzyły i strażnik powiedział:

– Chodź, chłopcze. Wygląda na to, że wrócili.

W sali sądowej Owen ścisnął blat ławy oskarżonych z taką siłą, że knykcie mu pobieleły. Galeria

była pełna: pochylona Michelle z kciukiem w zębach, co często robiła, kiedy oglądała dreszczowce albo mocno się na czymś koncentrowała, Harrisonowie, dwaj policjanci, Stott i Banks, pastor Daniel Charters i jego atrakcyjna żona Rebecca, dziennikarze, żądni krwi zwykli mieszkańcy. Wszyscy tu byli.

Wrócili przysięgli. Owen spojrzał na „Minerwę”. Nie patrzyła w jego stronę. Nie wiedział, jak to interpretować.

Powtórzono akt oskarżenia i po krótkiej ciszy padło wyczekiwane przez wszystkich pytanie:

– Czy uznają państwo Owena Pierce’a za winnego czy za niewinnego czynu, o który został oskarżony?

Trwająca ułamek sekundy przerwa między pytaniem a odpowiedzią Owenowi wydała się wiecznością. W uszach dudniła mu krew, w głowie się kręciło. Potem przewodniczący, ponury mężczyzna, który jak przypuszczał Owen był bankowcem, powiedział:

– Oskarżony jest niewinny, Wysoki Sądzie.

Dalszą wymianę zdań zagłuszył niemal zupełnie gwar przypominający huk eksplozji. Dziennikarze popędzili do telefonów. Owen się zachwiał i z całej siły zacisnął dłonie na blacie. Nie potrafił powstrzymać dzwonienia w uszach. Usłyszał kobiecy okrzyk: „To parodia!”, potem oczy zasnuła mu biel i zemdlął.

Odzyskał przytomność w pokoju pod salą sądową; do czoła miał przyciśniętą zimną wilgotną ścierkę, nad nim stali Shirley Castle i Gordon Wharton. Dopiero teraz poczuł, jak pierwsze oznaki radości niczym nowe ostrożne pędy na wiosnę zaczynają przejmować władzę nad niepokojem zżerającym go wcześniej. Był wolny! Niedługo to do niego dotrze. Shirley Castle z kimś rozmawiała, ale kiedy przerwała i ruszyła ku niemu, poczuł, jak mięśnie jego twarzy układają się w uśmiech po raz pierwszy od lat, takie odnosił wrażenie.

Odpowiedziała uśmiechem, zwinęła dłoń w pięść i triumfalnie ją uniosła.

– Udało się!

– Pani się udało – odparł Owen. – Nie wiem, jak pani dziękować.

– Wygrana to wystarczające podziękowanie. – Wyciągnęła do niego rękę. – Gratulacje, Owenie.

I powodzenia.

Uściskał jej dłoń; po raz pierwszy od miesiący dotykał kobiety i był świadom miękkiego ciepła pod silnym uściskiem. Uwolniła się lekkim szarpnięciem, wtedy z zakłopotaniem uświadomił sobie, że trzymał za długo. Miał ochotę ją pocałować, nie tylko dlatego, że wygrała jego sprawę. Zamiast tego jednak zwrócił się do Whartona.

– Co teraz? – zapytał.

– Co? Och. – Adwokat oderwał wzrok od znikającej postaci. – Cudowna kobieta, prawda?

Mówiłem ci, że jeśli ktoś da radę, to tylko Shirley Castle. Wiesz, to był werdykt większościowy.

Dziesięć do dwóch. Dlatego tak długo to trwało. Co teraz? Cóż, jesteś wolny.

– Ale... co mam zrobić? To znaczy chodzi o moje rzeczy i...

– Wiesz co? – Wharton spojrział na zegarek. – Jeśli chcesz, odwiozę cię do więzienia. Zabierzesz swoje rzeczy, a potem wrócimy do Eastvale.

Owen kiwnął głową.

– Dziękuję. Jak my... no, czy my tak po prostu wyjdziemy z więzienia?

Wharton wybuchnął śmiechem.

– Tak – odparł. – Właśnie tak zrobimy. Trudno się do tego przyzwyczaić, co? Myślę jednak, że będzie tłum, więc skorzystamy z tylnego wyjścia.

– Tłum?

Wharton zmarszczył czoło.

– Owszem. Widziałeś gazety, wszystkie te nieprzyjemne aluzje do „zecznych, których nie mogli wykorzystać w sądzie”. Wyrok uniewinniający jeszcze do nich nie dotarł. Ludzie tracą poczucie proporcji, kiedy dają się ponieść skandowaniu i tak dalej. Chodźmy.

Oszołomiony Owen podążył za Whartonem korytarzami do tylnego wyjścia. Na wąskiej bocznej uliczce świeciło słońce, naprzeciwko był odnowiony wiktoriański pub z czarnymi wykończeniami i trawionymi szybami z ciemnego szkła, pod stopami Owena kamienie wyglądały jak złoto w świetle dnia. Wolność.

Owen nabrał powietrza głęboko w płuca: ciepły, bezwietrzny dzień. Kiedy się nad tym zastanowił, uświadomił sobie, że rozprawa trwała niemal dwa miesiące i teraz był maj, najcudowniejszy okres w Dales. Koło Eastvale lasy, łąki i zbocza gór będą płonąć od dzikich kwiatów: dzwonków, czosnku niedźwiedziego, jaskrów, pierwiosnków, fiołków i prymulek, a tu i tam żółcić się będą pola rzepaku.

Kiedy szli do samochodu Whartona, Owen słyszał odległy tłum zebrany przed sądem: wydawało mu się, że głównie kobiece głosy skandowały:

– Winny! Winny! Winny!

IV

– Pierdolić to – powiedział głośno Barry Stott. Potem powtórzył, dla podkreślenia waląc pięścią w oparcie ławki. – Pierdolić to. – Para stojąca koło drzwi pubu spojrziała na niego z niechęcią. –

Przepraszam – powiedział do Banksa, rumieniąc się aż po czubki odstających uszu. – Musiałem to z siebie wyrzucić.

Banks ze współczuciem kiwnął głową. Po raz pierwszy słyszał, jak Barry Stott przeklina, i musiał przyznać, że nie ma o to do niego pretensji.

Siedzieli na długiej ławie przed pubem Whitelock w wąskim zaułku nazywanym Turk's Head Yard, jedzenie i picie postawili na odwróconej do góry dnem beczce służącej za stół. Do piwa Younger's bitter Banks zamówił pieróg kornwalijski z frytkami i sosem, a Stott – szkocki klops z jajkiem i sosem HP oraz małe shandy. Do pubu przyszli z sądu w Leeds, gdzie zapadł wyrok w sprawie Owena Pierce'a.

Był piękny majowy dzień; pub odciągał studentów od nauki i zachęcał pracowników biurowych do przedłużenia przerwy na lunch. W Turk's Head Yard nie było za dużo światła, bo z obu stron otaczały go wysokie ściany budynków, ale w ciepłym powietrzu unosiła się zapowiedź lata. Mężczyźni zdjęli marynarki i podwinęli rękawy koszul, kobiety z gołymi nogami odpięły jeden czy dwa guziki bluzek.

Banks napił się piwa, dopiero potem zajął się pierogiem. Obserwował, jak Stott nabiera małe kawałki klopsa, macza je w sosie, przeżuwa i przełyka, zbyt zajęty myślami, żeby czuć smak jedzenia. Widać było wyraźnie, że nie ma apetytu. Zjadł tylko połowę i odsunął talerz. Banks szybko skończył swój lunch i zapalił.

– Nie mogę uwierzyć, że się wywinął – powiedział Stott. – To mi się w głowie nie mieści.

– Jestem tak samo wkurzony jak ty, Barry, ale to się zdarza – odparł Banks. – Przyzwyczaj się i nie odbieraj tego osobiście.

– Ale odbieram. To ja go z tym połączyłem, jak go wyśledziłem. Zbudowaliśmy solidne oskarżenie, a on po prostu sobie wychodzi.

Banks nie zaprzętał sobie głowy przypominaniem mu, że to praca zespołowa i proceduralna harówka doprowadziły ich do Owena Pierce'a.

– Najwyraźniej oskarżenie nie było dostatecznie solidne – powiedział. – Zacznijmy od tego, że doktor Tasker się nie popisał. Nawet Glendenningowi było daleko do jego zwykłej formy. Kto wie? Może mieli rację?

– Kto?

– Przysięgli.

Stott pokręcił głową. Przy tym ruchu jego uszy zdawały się łopotać.

– Nie, nie mogę się z tym zgodzić. On to zrobił. Wiem, że tak. Czuję to w kościach. Zamordował tę

biedną dziewczynę i uszło mu to na sucho. Gdyby udało nam się włączyć zeznanie Michelle Chappel, wyrok skazujący byłby pewny. Sędzia popełnił cholerny błąd.

– Może. A przy okazji, widziałeś ją?

– Gdzie? Kogo?

– Michelle Chappel w sądzie. Nie wiem, czy była na całym procesie, ale siedziała na galerii, kiedy ogłaszano wyrok. Od listopada zapuściła włosy. Bardziej przypominała Deborę Harrison niż kiedykolwiek wcześniej. Miała nawet na sobie rudawy sweter. Rozmawiała z tym dziennikarzem z *News of the World*.

– Widzi pan, o co mi chodzi – odparł Stott. – Gdybyśmy mogli przedstawić ten związek, gdyby zeznała w sądzie, co jej zrobił, nie byłoby ławy przysięgłych w całym kraju, która nie skazałaby Pierce'a.

– Może i tak, ale nie w tym rzecz, Barry.

Stott się zaczerwienił.

– Proszę mi wybaczyć, ale uważam wręcz przeciwnie. Człowiek winny wyszedł wolny z sali sądowej, choć popełnił jedną z najbardziej przerażających zbrodni, z jakimi miałem do czynienia, a pan mi mówi, że nie w tym rzecz. Przepraszam, ale...

– Nie o to mi chodziło.

Stott zmarszczył czoło.

– Nie nadążam.

– Dlaczego Michelle Chappel tak bardzo zależy na wbiciu noża w Pierce'a?

– A, rozumiem. Cóż, może dlatego, że ją pobił. A może dlatego, że próbował ją udusić? Albo trochę ją zdenerwowała myśl, że mógł ją zgwałcić, kiedy pozbawił ją przytomności?

Banks napił się piwa.

– W porządku, Barry, dajmy temu spokój. Rozumiem, dokąd zmierzasz. Może masz rację. Po co jednak kręcić się po sądzie, skoro jej zeznanie nie zostało przyjęte? Żeby patrzeć, jak on cierpi? Dlaczego brać wolne z pracy?

Stott się zamyślił.

– Dlaczego pan uważa, że jest tu jakiś związek?

– To po prostu dziwne, i tyle. – Banks zgasił papierosa i napił się piwa. – Miała krótkie włosy, kiedy z nią rozmawialiśmy.

– Kobięce włosy. – Stott wzruszył ramionami. – Czy ktoś w ogóle się na tym zna?

Banks się uśmiechnął.

– Słusznie. Jeszcze jedno piwo? Małe?

– A powinniśmy?

– Oczywiście, jasny gwint. Jimmy Riddle będzie łaknął naszej krwi. Równie dobrze możemy odsuwać nieuniknione jak najdłużej.

– No dobrze. Poproszę małe shandy, a potem się zbieram.

Banks przepchnął się przez tłum do baru; czekając w kolejce, patrzył na swoje odbicie w zabytkowym lustrze za kontuarem. Nieźle jak na faceta, który przekroczył czterdziestkę, pomyślał, nadal szczupły i wysportowany pomimo piwa i marnej diety, może kilka zmarszczek wokół oczu i srebrne nitki na skroniach, ale to wszystko. Poza tym te cechy dodają charakteru, powiedziała Sandra.

Po tej kolejce zamierzał rozstać się ze Stottem i odwiedzić starą przyjaciółkę, skoro jest w Leeds: Pamelę Jeffreys, skrzypaczkę w orkiestrze English Northern Philharmonic. Mniej więcej rok temu doznała poważnych obrażeń podczas napaści, o którą Banks się obwiniał. Nie wróciła jeszcze do orkiestry, ale pracowała ciężko, szybko odzyskiwała sprawność i dzisiaj po południu grała koncert kameralny na wydziale muzycznym uniwersytetu. Niewykluczone, że to choć w drobnej mierze wynagrodzi mu to poranne rozczarowanie w sądzie.

A skoro jest blisko, może też wpadnie do sklepu z płytami klasycznymi i sprawdzi, czy jest zbiór pieśni skomponowanych przez Samuela Barbera, na który od pewnego czasu czekał. Jadąc do Leeds, w samochodzie słuchał Dawn Upshaw śpiewającej jego *Knoxville: Summer 1915* i przypomniał sobie o tej płycie.

Wyrok uniewinniający wszystko zmienił, dlatego Banks zamierzał zadzwonić do inspektora Kena Blackstone'a i zapytać, czy nie mógłby pogadać z jednym z kumpli od kart Jelačicia, a nawet ponownie zamienić kilku słów z nim samym.

Chociaż prokuratura z pewnością odwoła się od wyroku, dla Banksa oznaczało to powrót do tablicy; zaczynał odnosić wrażenie, że nigdy z tej tablicy nie powinien był rezygnować. A Ive Jelačić z pewnością był wysoko na liście spraw niewyjaśnionych.

– Przekłety sędzia – powiedział Stott, dziękując Banksowi za piwo. – Na samą myśl o tym krew mi się burzy.

– Nie jestem przekonany, że zeznanie Michelle Chappel pomogłoby tak bardzo, jak ci się wydaje – rzekł Banks.

– Dlaczego nie? To byłby w najgorszym razie dowód, że wykazywał mordercze skłonności wobec młodych kobiet fizycznie podobnych do Debory Harrison.

– Ależ nie – odparł Banks. – Dobra, przyznaję, tak samo jak ty byłem podekscytowany możliwościami psychologicznymi, które to zeznanie otwiera. I owszem, cholernie się wkurzyłem, kiedy Simmonds je odrzucił. Ale kiedy o tym myślałem, widząc ją w sądzie, nie byłem taki przekonany.

Stott poskrobał się po lewym uchu.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ uważam, że obrończyni, Shirley Castle, starłaby ją na proch. W mowie końcowej przekonałaby przysięgłych, że Michelle Chappel kłamała, że zrobiła to z czystej żądzy odwetu, z zemsty, bo żywiła urazę z powodu tego, jak Pierce ją traktował.

– I słusznie, po tym, co jej zrobił.

– Ale czy nie widzisz, jak to zdyskredytowałoby jej zeznanie, gdyby pokazano ją jako kłamliwą sukę? Zwłaszcza że tak by ją oceniła inna kobieta. To mogłoby bardzo źle wyglądać. Ta Castle jest dobra. Już wcześniej miałem z nią do czynienia. Dopilnowałaby, żeby Pierce przekonał przysięgłych do swojej wersji wypadków tamtej nocy. A gdyby uwierzyli, że po prostu odpierał atak rozhisteryzowanej kobiety, mógłby nawet zdobyć ich sympatię.

Stott zdjął okulary i wyczyścił je nieskazitelnie czystą chusteczką.

– Nadal uważam, że to mogłoby nam pomóc w uzyskaniu wyroku skazującego.

– Cóż, teraz już tego nie sprawdzimy, prawda?

– Pewnie nie – odparł Stott ponuro. – Co teraz robimy?

– Niewiele możemy zrobić.

– Otworzymy śledztwo na nowo?

Banks napił się piwa.

– Tak myślę, a ty nie? W końcu ktoś zabił Deborę Harrison, Barry, i wedle wszelkich znaków jest to człowiek, który znowu kogoś zamorduje.

Rozdział 13

I

Kiedy po południu Banks odwiedził Vjeka Batoraca, nie zastał go; sąsiad powiedział, że zwykle wraca z pracy o wpół do szóstej. Ken Blackstone, który uważał Batoraca za przypuszczalnie najbardziej wiarygodnego z trzech kolegów Jelačicia od kart, dał mu adres.

Wdzięczny za wolny czas, Banks poszedł na wagary; na uniwersytecie spędził przyjemnie godzinę, słuchając *Kwartetu smyczkowego numer 2* Vaughana Williamsa.

Był zadowolony, że tak zrobił. Kiedy patrzył i słuchał, stres i rozczarowanie wyrokiem, wszystkie obawy, że oskarżyli niewłaściwego człowieka, zdawały się równie bezcielesne jak powietrze, przynajmniej na jakiś czas.

Obserwując Pamelę Jeffreys w jasnym pomieszczeniu, otoczoną pryzmami światła, jej rozkołysane błyszczące, kruczoczarne włosy, skórę niczym wypolerowane złoto, brylantowy kolczyk w prawym nozdrzu połyskujący w słońcu, nie po raz pierwszy pomyślał, że jest coś głęboko duchowego i erotycznego w pięknej kobiecie grającej na instrumencie.

Wydawało mu się, że Pamela najpierw przeniosła swoją duszę i emocje w instrument, smyczek był przedłużeniem jej ręki, palce i struny stały się nierozłączne, później sama stała się muzyką, z zamkniętymi oczyma unosząc się wysoko i opadając wraz z rytmem i melodią, nieświadoma otaczającego świata.

Albo tak przynajmniej to wyglądało. Banks kilka razy próbował nauczyć się gry na fortepianie, jednak na próżno, nie potrafił grać na żadnym instrumencie. Gotów był przyznać, że może widzi postać Pameli w zbyt romantycznym świetle. Niewykluczone, że kobieta myślała właśnie o czeku z honorarium.

Po koncercie porozmawiali przy kawie, później Banks ponownie ruszył do domu Batoraca.

Vjeko Batorac mieszkał w małym przedwojennym tarasowcu w Sheepscair w pobliżu skrzyżowania Roseville Road i Roundhay Road, niecałe półtora kilometra od mieszkania Jelačicia w Burmantofts. Nie było tu ogródka, frontowe drzwi, które wyglądały na świeżo pomalowane, wychodziły prosto na chodnik. Tym razem, kilka minut przed szóstą, na pukanie Banksa odpowiedział drobny młody mężczyzna z zapadniętymi policzkami i jasnymi włosami, ubrany w poplamione olejem dzinsy i czystą białą koszulę.

– *Molim?* – zapytał Batorac, marszcząc czoło.

– Pan Batorac? – Banks pokazał mu swoją odznakę. – Czy moglibyśmy zamienić kilka słów? Zna pan angielski?

Batorac potaknął. Wyglądał na zdziwionego.

– O co chodzi?

– O Ivego Jelačicia.

Batorac przewrócił oczami i otworzył drzwi na oścież.

– Proszę wejść.

Salon był słoneczny i czysty, bardzo słabe niemowlęce zapachy mieszały się z zapachami kapusty i czosnku płynącymi z kuchni. Banksa najbardziej zaskoczyła biblioteczka zajmująca większą część jednej ściany; tłoczyły się w niej angielska klasyka z książkami, których tytułów nie potrafił odczytać. Domyślał się, że to serbsko-chorwacki. Radio grało cicho w tle.

– Ma pan niezłą bibliotekę.

Batorac się rozpromienił.

– *Hvala lipo*. Bardzo panu dziękuję. Tak, kocham książki. W moim kraju byłem nauczycielem. Uczyłem angielskiego, więc studiuję wasz język od wielu lat. Piszę też wiersze.

– Co pan robi tutaj?

Batorac uśmiechnął się ironicznie.

– Jestem mechanikiem samochodowym. Na szczęście dla mnie w Chorwacji każdy musi umieć naprawić swój samochód. – Wzruszył ramionami. – Praca nie jest zła. Zarobki są niezbyt wysokie, ale szef dobrze mnie traktuje.

Niemowlę zaczęło płakać. Batorac przeprosił i poszedł na piętro. Banks przyglądał się uważnie książkom: Dickens, Hardy, Keats, Austen, Balzac, Flaubert, Coleridge, Tołstoj, Dostojewski, Milton, Kafka... Wiele z nich czytał, ale było też sporo takich, które dopiero zamierzał przeczytać. Dziecko umilkło i Batorac wrócił.

– Przepraszam – powiedział. – Znajoma opiekuje się Jeleną, kiedy jesteśmy w pracy. A kiedy wracamy z nią do domu... jak to mówicie... tęskni za mamą i tatą?

Banks się uśmiechnął.

– Właśnie tak. Tęskniła za wami.

– Tęskniła. Czasami mieszam czasy. Ale w jakiej sprawie pan przyszedł? Proszę usiąść.

Banks usiadł. Sądząc z wyglądu i zapachu domu, nikt tu nie palił, zwłaszcza że na piętrze było niemowlę, z rezygnacją więc się powstrzymał. To bez wątplenia wyjdzie mu na dobre.

– Pamięta pan, jak kilka miesięcy temu miejscowa policja pytała pana o pewien wieczór, a pan

odpowiedział, że grał pan w karty z Jelačićem?

Batorac potaknął.

– Tak. I tak było. W każdy poniedziałek gramy w karty. Dragica, moja żona, jest bardzo wyrozumiała. Ale tylko w poniedziałki. – Uśmiechnął się. – We wtorki nie muszę iść do pracy, więc czasami gramy i rozmawiamy do późna.

– I pijecie?

– Tak. Ja nie piję wiele, bo wracam do domu samochodem. Nocami ulice nie są bezpieczne. Ale piję. Trochę.

– I jest pan całkowicie pewien, że w tamten poniedziałek, szóstego listopada, grał pan w karty ze Stipem Paviciem i Ivem Jelačićem w domu Milego Pavelicia?

– Tak. Przysięgam na Biblię. Nie kłamię, panie inspektorze.

– Niech się pan nie obraża. Proszę zrozumieć, że musimy być bardzo dokładni w tego rodzaju sprawach. Jelačić był z wami przez cały czas?

– Tak.

– Powiedział, że w obie strony szedł pieszo. Zwykle tak robił?

– Tak. Do Pavelicia ma tylko pół kilometra przez nieużytki.

– Jestem ciekawy, panie Batorac...

– Proszę mówić mi po imieniu.

– Dobrze, Vjeko. Jestem ciekawy, jak to się stało, że wasza czwórka się zaprzyjaźniła. Wybacz pan, że to mówię, ale pan i Ive Jelačić bardzo się różnicie.

Vjeko się uśmiechnął.

– W Leeds jest niewielu moich rodaków. Mamy kluby i stowarzyszenia, w których się spotykamy, dzielimy wiadomościami z ojczyzny i rozmawiamy o polityce. Wy, Anglicy, nazywacie to bardzo dobrą siatką informacyjną. Ive znał Milego z kraju, obaj pochodzą ze Splitu. Ja poznałem Stipego tutaj, w Leeds. On jest z Zagrzebia, a ja z Dubrownika, daleko od siebie. Był pan kiedyś w Dubrowniku, panie inspektorze?

Banks pokręcił głową.

– To bardzo piękne miasto. Dużo historii, zabytkowej architektury. Wielu angielskich turystów odwiedzało nas przed wojną. Wiele pan stracił. Może na zawsze.

– Kiedy pan tu przyjechał?

– W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym, po oblężeniu. Nie byłem w stanie patrzeć, jak niszczą moje miasto. – Poklepał się po piersi. – Jestem poetą, nie żołnierzem, inspektorze. I mam

słabe zdrowie. Zostało mi tylko jedno płuco. – Vjeko wzruszył ramionami. – Kiedy Ive przeprowadził się z Eastvale, skontaktował się z nami. Powiedział, że jego rodzice zginęli w walkach. Wielu z nas straciło krewnych i przyjaciół na wojnie. Moją siostrę dwa lata temu zgwałcili i zarżnęli serbscy żołnierze. To nas łączy. Ta więc wykracza – tak się mówi? prawda? – wykracza poza osobowość. Później zaczęliśmy się spotykać, żeby rozmawiać i grać w karty. – Uśmiechnął się. – Nie na pieniądze, rozumie pan. Moja Dragica aż tak wyrozumiała by nie była.

Niemal jak na zawołanie otworzyły się frontowe drzwi i weszła młoda kobieta z ciemnymi włosami i błyszczącymi oczami.

– W jakiej sprawie twoja Dragica nie byłaby aż tak wyrozumiała? – zapytała z uśmiechem. Najpierw z uczuciem pocałowała Vjeka, potem się odwróciła i ciekawie spojrzała na Banksa.

Vjeko wyjaśnił jej, kim jest Banks i dlaczego ich odwiedził.

– Powiedziałem, że nie byłabyś tak wyrozumiała, gdybym grał w karty na pieniądze.

Dragica żartobliwie uderzyła go w ramię i przysiadła na oparciu sofy.

– Czasami – powiedziała – pytam siebie, dlaczego musisz przez pół nocy grać w karty z tymi ludźmi, zamiast grzać żonę w łóżku i wstawać, kiedy mała Jelena płacze. Zwłaszcza Ive Jelačić to beżyteczny *pijanac*.

– *Pijanac*? – powtórzył Banks. – Co to znaczy?

– Pijak – odparł Vjeko. – Tak, Ive jest... rzeczywiście za dużo pije. Pod wieloma względami nie jest miłym człowiekiem. Nie może pan oceniać moich rodaków na podstawie Ivego. I nie będę wykorzystywał jego tragedii jako usprawiedliwienia dla takiego zachowania. On kłamie. Przechwala się. A przede wszystkim jest chciwy. Często proponuje, żebyśmy grali na pieniądze, a ja wiem, że oszukuje. No i źle traktuje kobiety. Dragica nie może znieść jego obecności.

– To prawda – potwierdziła Dragica, drżąc na samą myśl i obejmując swoją szczupłą postać. – On rozbiera kobiety oczami.

Banks przypomniał sobie reakcję Susan Gay na pożądlivy wzrok Jelačića i kiwnął głową.

– Proszę mi wybaczyć, muszę się zająć Jeleną – powiedziała Dragica i poszła na piętro.

– No i jest arogancki – ciągnął Vjeko. – Źle wychowany. Widziałem, jak po pijaku wszczyna burdy i bójki w pubach. – Roześmiał się. – Kiedy tak to przedstawiam, to się dziwię, dlaczego w ogóle spędzam z nim czas. To dla mnie tajemnica. Ale jedno mogę panu powiedzieć: Ive nie zabiłby młodej dziewczyny w taki sposób. Może w czasie bójki, w pubie, mógłby zabić, ale nie tak, nie kogoś, kto jest słabszy od niego. Żartujemy, że Ive zawsze wybiera większych od siebie i źle na tym wychodzi.

– Wie pan, dlaczego pan Jelačić wyjechał z Eastvale? – zapytał Banks.

– Powiedział nam, że *svecenik*, duchowny, składał mu homoseksualne propozycje.

– Nazwał go pan kłamcą. Wierzy pan w tę historię?

Vjeko pokręcił głową.

– Nie, myślę, że to nieprawda. Słyszałem, jak o tym opowiada, i myślę, że zrobił to, żeby się zemścić za utratę pracy.

– Jeśli tak, to przysporzył Danielowi Chartersowi mnóstwo zgrzyoty.

Vjeko rozłożył ręce.

– Ale co można poradzić? Nie znałem Ivego, kiedy mieszkał w Eastvale i to wszystko się stało, i nie znam ojca Chartersa. Może jest dobrym człowiekiem, może nie. Ale myślę, że Ive jest zmęczony swoją zemstą. Ma dość. Problem w tym, że jest związany z naszymi prawnikami i ludźmi walczącymi o prawa człowieka. Nie jest mu łatwo powiedzieć im, że to żart, pomyłka albo kłamstwo. Straciłby twarz.

– A twarz jest dla niego ważna?

– Tak.

Dragica wróciła, niosąc na rękach śpiącą Jelenę. Powiedziała coś po chorwacku, Vjeko kiwnął głową, a ona weszła do kuchni.

– Dragica pytała, czy kolacja jest gotowa – wyjaśnił. – Powiedziałem, że tak.

Banks wstał.

– W takim razie nie będę zabierał panu czasu. Bardzo mi pan pomógł. – Wyciągnął rękę.

– Może zostanie pan na kolacji? – zaproponował Vjeko. – Nic wyszukanego, to tylko *sarma*. Gołąbki. Ale bardzo nam będzie miło, jeśli pan zostanie.

Banks zatrzymał się w progu. Dochodziło wpół do siódmej, a on od lunchu w Whitelock nie miał nic w ustach. Gdzieś będzie musiał zjeść.

– Dobrze – odparł. – Dziękuję panu bardzo. Tak, z przyjemnością zostanę.

II

Zamiast jechać dalej Roundhay Road w kierunku Wetherby i A1, Banks skręcił na Roseville Road i Regent Street, po czym ruszył do Burmantofts. Kolacja u Batoraków była smaczna, rozmowa dotyczyła najróżniejszych tematów, od książek i nauczania do wojny bałkańskiej i przestępstw. Pożegnał ich za piętnaście ósma w pogodny majowy wieczór i kiedy parkował przed blokiem Jelačicia, zmierzch powoli zapadał. W słabnym miodowym świetle betonowe wieżowce wyglądały niesamowicie, jak krajobraz na Marsie.

Pomiędzy budynkami na skwerach kręciło się sporo osób, głównie młodzież tu i tam gromadziła się w grupki, a niektórzy huścili się na huścawkach i kręcili na karuzelach.

Banksowi udało się pokonać sześć pięter pomazanych graffiti schodów bez żadnej przygody, wyjąwszy lekką zadyszkę. Zastukał w drzwi Jelačicia.

Przez cienkie jak papier ściany słyszał z nastawionego na cały regulator telewizora ścieżkę dźwiękową *Coronation Street*, kiedy więc nikt nie otworzył, zastukał głośnie. W końcu drzwi otworzył Jelačić w brudnym podkoszulku wystającym z džinsów. Na widok Banksa skrzywił się nieprzyjemnie.

– To pan – powiedział. – *Supak*. Po co pan przychodzi? Już macie mordercę.

– Sporo się zmieniło, Ive – odparł Banks, łagodnie przepychając się do środka. Mieszkanie wyglądało, jak zapamiętał, wysprzątane, ale z unoszącym się w powietrzu zatechłym odorem papierosów i alkoholu. Tutaj może zapalić bez skrpułów. Ściszył jedną z hałaśliwych kłótni Jacka i Very Duckworthów w miejscu publicznym.

Jelačić się nie sprzeciwił. Ze stolika wziął szklanekę z przezroczystym płynem – Banks przypuszczał, że to wódka – i opadł na fotel, który zatrzeszczał pod jego ciężarem. Przytył sporo od ich ostatniego spotkania, tłuszcz zebrał się głównie na brzuchu. Wyglądał jak w ósmym miesiącu ciąży.

– Pewnie cię ucieszy, że twoje alibi nadal trzyma się kupy.

Jelačić się zdziwił.

– Kupy? Trzyma się kupy? Co to znaczy?

– To znaczy, że wierzymy, że grałeś w karty w domu Milego Pavelicia w czasie, kiedy Debora Harrison została zamordowana.

– Już to mówiłem, więc po co pan tu przychodzi?

– Żeby zadać ci kilka pytań.

Jelačić burknął.

– Po pierwsze, kiedy dokładnie przeprowadziłeś się tutaj z Eastvale?

– W zeszły rok. Wrzesień.

– Czyli dziewczyny z Marii Panny były z powrotem w szkole, zanim wyjechałeś?

– Tak. Dwa tygodnie.

Banks pochylił się i strzepnął popiół do przepelnionej popielniczki, która wyglądała, jakby ukradziono ją z pubu.

– Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, zarzekałeś się, że nigdy nie widziałeś Debory Harrison,

ewentualnie raz czy dwa ci mignęła.

– To prawda.

– Proszę cię teraz, żebyś się zastanowił. Daję ci kolejną szansę na powiedzenie prawdy, Ive. Nic ci nie grozi. Nie jesteś podejrzany, ale możesz być świadkiem.

– Nic nie widziałem.

Banks wskazał głową telewizor.

– Przypuszczam, że nie oglądasz dzienników, więc nie wiesz, że dzisiaj przed południem Owen Pierce został uznany za niewinnego i zwolniony.

– Jest wolny? – Jelačić gapił się na Banksa z otwartymi ustami. Po chwili zaczął się śmiać. – No to wam się nie udało. Puściliście wolno winnego. Tu zawsze tak jest. – Pokręcił głową. – Zwariowany kraj.

– Tak, ale przynajmniej najpierw do nich nie strzelamy, żeby potem zadać pytania. Jednak nie o to chodzi. Pierce popełnił to przestępstwo albo nie, oficjalnie jednak tego nie zrobił i na nowo otwieramy śledztwo. Dlatego tu jestem. Czemu próby skłonienia cię do udzielenia choćby najmniejszej pomocy przypominają wyciskanie wody z kamienia, Ive? Możesz mi odpowiedzieć na to pytanie?

Jelačić wzruszył ramionami.

– Nic nie wiem.

– Nie obchodzi cię, co się stało z Deborą Harrison?

– Debora Harrison, Debora Harrison. Głupia bogata angielska dziewczyna. Co mnie to obchodzi? Więcej dziewczyn zabitych w mojej ojczyźnie. Kogo one obchodzą? Mój ojciec i matka umierają. Moja dziewczyna jest zabita. Ale dla pana to nic nie znaczy. Nikogo to nie obchodzi.

– „Śmierć każdego człowieka umniejsza mnie”. Napisał to John Donne. Nigdy tego nie słyszałeś, Ive? Nigdy nie słyszałeś o koncepcji, że wszyscy bierzemy w tym udział, wszyscy jesteśmy częścią ludzkości?

Jelačić patrzył na Banksa bez słowa, na jego twarzy malowało się kompletne niezrozumienie.

– Dlaczego nie odpowiadasz na moje pytania? – ciągnął Banks. – Widziałeś tę dziewczynę, sam to przyznałeś. Musiałeś widywać ją całkiem często, kiedy pracowałeś na dworze.

– Pracowałem w środku i na dworze. Sprzątam kościół. Koszę trawę...

– Właśnie. Lubieś obserwować dziewczyny ze szkoły – wiemy, że tak – i musiałeś zauważyć Deborę. Była bardzo atrakcyjna i skarżyła się, że robiłeś na jej widok nieprzystojne gesty.

– Ja nigdy...

– Ive, proszę, oszczędź mi tych bredni, słyszałem ich tyle, że wystarczy mi do końca życia. Nikt cię nie zaaresztuje ani nie deportuje z tego powodu. Cholera jasna, może nawet dadzą ci medal, jeśli powiesz nam coś, co doprowadzi nas do mordercy.

Oczy Jelačicia zabłyły.

– Medal? To znaczy, że jest nagroda?

– To był żart, Ive – odparł Banks. – Nie, nie ma nagrody. Spodziewamy się tylko, że spełnisz swój obowiązek jak każdy przyzwoity, przestrzegający prawa obywatel.

– Nic nie widzę.

– Zauważyłeś kogoś, kto wyglądał podejrzanie i kręcił się po cmentarzu?

– Nie.

– Czy kiedykolwiek widziałeś, jak Debora Harrison spotyka się z kimś na dziedzińcu kościelnym?

Pokręcił głową.

– Czy kiedykolwiek zostawała tam dłużej, jakby się miała z kimś spotkać albo coś planowała?

Znowu pokręcił głową, ale Banks dostrzegł w jego oczach błysk, znak, że coś mu się skojarzyło.

– Co to było? – zapytał.

– Co? Nic.

– Coś sobie przypomniałeś?

Błysk zgasł.

– Nie – odparł Jelačić. – Jak mówię, widzę ją tylko, kiedy czasami idzie do domu. Nigdy nie zostaje, nigdy z nikim się nie spotyka. To wszystko.

Banks był pewien, że Jelačić w jakiejś sprawie kłamie, ale nie wątpił też, że jest zbyt uparty, żeby się podzielić tym, co przed chwilą sobie przypomniał. Trzeba będzie znaleźć skuteczniejszy sposób wywarcia na niego nacisku. Czasami Banks żałował, że nie dysponuje swobodą i władzą policji w pewnych krajach – by torturami i biciem wydusić prawdę z takich jak Jelačić – ale tylko czasami.

Dalsza rozmowa nie miała sensu. Banks się pożegnał i otworzył drzwi. Nie zdążył się oddalić na metr od mieszkania, kiedy usłyszał, jak telewizor Jelačicia znowu ryczy na cały regulator.

III

Dopiero późnym popołudniem w środę Owen w końcu dotarł do domu. Kiedy zabrał swoje rzeczy z więzienia, uznał, że nie chce spędzać godziny albo dwóch równie pięknego dnia – pierwszych chwil wolności po półrocznym pobycie w celi – zamknięty w samochodzie z Gordonem Whartonem. Wymówił się więc, poszedł do miasta i przez pewien czas włóczył się bez celu, smakując swobodę.

Po południu poszedł do pubu przy Boar Lane, gdzie wypił piwo i zjadł kanapkę z pieczoną wołowiną, której omal nie zwymiotował po miesiącach więziennego jedzenia. Później poszedł na dworzec autobusowy, skąd trasą okrężną i przy zaskakującej liczbie przesiadek zdołał wrócić do domu.

Kiedy wreszcie włożył klucz w zamek, drzwi same się otworzyły. Przez chwilę stał nieruchomo, ale nic nie słyszał. Coś było nie tak. Wiedział, że powinien rozlegać się znajomy odgłos, choć na razie nie potrafił go sobie przypomnieć. W jego domu nigdy nie panowała taka cisza. Nigdzie tak nie jest. I w powietrzu unosił się dziwny zapach. Kurz, którego się spodziewał po tak długiej nieobecności, może też pleśń. Nie mógł przecież oczekiwać, że jego sąsiedzi, Ivor i Siobhan, będą tu sprzątać. Tylko że tu było coś jeszcze. Stał w progu i nasłuchiwał, potem wszedł do salonu.

Wyglądało tu jak po wyprzedaży garażowej. Ktoś wyciągnął książki z regałów, powyrywał strony i rzucił na podłogę. Niektóre się pozwijają, jakby były mokre i wyschły. Po drugiej stronie pokoju leżały połamane i popękane płyty kompaktowe, ślady na ścianie świadczyły, że prawdopodobnie rzucano nimi jak frisbee. Ekran telewizora był stłuczony. Na ścianie koło drzwi wielkimi czerwonymi literami wypisano: WIĘZIENIA SĄ ZA DOBRE DLA TAKICH BRUDNYCH PIERDOLONYCH ZBOKÓW JAK TY!

Owen osunął się po ścianie, upuszczając torbę na podłogę. Przez chwilę tęsknił za ponurą prostotą celi, niezmiennym porządkiem więziennego życia. Tego było za wiele. Nie czuł się na siłach, żeby sobie z tym radzić.

Wziął głęboki oddech i omijając śmieci, poszedł do gabinetu. Fotografie i negatywy leżały podarte i pocięte na kawałeczki. Nie wyglądało na to, że któreś da się uratować, taki sam los spotkał nawet niewinne krajobrazy. Obok leżały aparaty z popękanymi obiektywami, jakby pokryły je pajęczyny. Albumy o sztuce także zdjęto z półek, garściami powyrywano reprodukcje: Gauguin, Cézanne, Renoir, Tycjan, van Gogh, Vermeer, Monet, Caravaggio, Rubens, wszyscy. Już to było okropne – wszystko i każda z tych rzeczy z osobna były okropne – ale to, co odważył się sprawdzić na końcu, co wyczuł od progu, ale nie potrafił nazwać, było najgorsze ze wszystkiego.

Akwarium stało mroczne i ciche, światła, pompy i filtry były wyłączone. Ryby unosiły się na powierzchni wody – danio, gupiki, cherubinki, akary – ich jaskrawe niegdyś kolory po śmierci zbladły. Wyglądało na to, jakby intruz po prostu wyłączył urządzenia zapewniające im życie i zostawił rybki na pewną śmierć. Dla Owena to była ostatnia kropla. Potrafił zrozumieć źle ukierunkowaną mściwość wobec siebie, ale takie okrucieństwo wobec nieszkodliwych, bezbronnych zwierząt nie mieściło mu się w głowie.

Oparł się o akwarium i szlochał, aż zabrakło mu tchu, później pobiegł do łazienki i opłukał twarz zimną wodą. Stał potem, trzymając się chłodnej umywalki i czekając, aż przestanie się trząść. W sypialni większość ubrań została podarta albo pocięta nożyczkami i rozrzucona na łóżku.

Zawartość lodówki i szafek w kuchni rozsmarowano po linoleum na wzór obrazu Jacksona Pollocka. Maż złożona ze starej marmolady, jajek, pieczonej fasoli, kawy instant, skwaśniałego mleka, plastrów sera, cukru, herbaty ekspresowej, masła, ryżu, syropu z melasy, płatków kukurydzianych i całej półeczki ziół i przypraw wyglądała jak efekt specjalny z horroru, a cuchnęła gorzej niż fabryka drożdży, w której pracował jako student. Na samym środku leżało coś, co chyba było wyschniętą kupą.

Wiedział, że powinien zadzwonić na policję, choćby ze względu na ubezpieczenie, ale ostatnimi ludźmi na ziemi, z którymi miał w tej chwili ochotę rozmawiać, byli przekłęci gliniarze.

I nie potrafił zmusić się do posprzątania.

Postanowił, że zakończy na tym swój pierwszy dzień wolności. Dochodziła dopiero dziewiąta wieczorem, ale Owen zgarnął zniszczone ubrania z łóżka, wsunął się pod pościel i naciągnął kołdrę na głowę.

Rozdział 14

I

Niczym Kanut powstrzymujący przypływ albo Grecy walczący z Trojanami Banks mógł tylko odwlec nieuniknione, lecz nie całkowicie je ominąć. Prawdę mówiąc, nieuniknione czekało na niego o ósmej rano w czwartek – kiedy przyszedł do pracy z kawą w dłoni, słuchając na walkmanie *Dover Beach* Barbera – w postaci krążącego, zdenerwowanego komendanta Jeremiaha Riddle’a.

– Banks, wyjmij te cholerstwa z uszu. I gdzie się wczoraj podziewałeś, do diabła?

Banks zrelacjonował rozmowy z Batorcem i Jelaćciem, dla siebie zachowując koncert kameralny Pameli i szybką wizytę w sklepie muzycznym.

Obecność Riddle’a domaga się papierosa, pomyślał. Próbował ograniczyć liczbę porannych dymków, ale w tych okolicznościach zapalenie może posłużyć dwóm celom: uspokojeniu swoich nerwów i doprowadzeniu Riddle’a do zawału. Zapalił, komendant zakaszlał i pomachał dłonią, ale nie zamierzał pozwolić, by oderwano jego uwagę ani umrzeć.

– Co masz do powiedzenia o wczorajszej kłęsce w sądzie? – zapytał.

Banks wzruszył ramionami.

– Niewiele tu jest do mówienia, sir. Przysięgli uznali Pierce’a za niewinnego.

– Wiem. Przekłęci idioci.

– Może i tak, sir, ale nic na to nie poradzimy. Myślałem, że oskarżenie ma mocne podstawy. Jestem przekonany, że prokuratura będzie apelować. Porozmawiam o tym ze Staffordem Oakesem, kiedy kurz opadnie.

– Hm. Przez tę sprawę będziemy wyglądać jak kretyni, jakbyśmy nie mieli dość problemów. – Riddle przesunął dłonią po czerwonej, lśniącej głowie. – Tak czy owak, poprosiłem nadinspektora Gristhorpe’a, żeby przejrzał akta. Może zdoła przedstawić nowy punkt widzenia. Zdobądźcie więcej dowodów przeciwko Pierce’owi albo jeśli rzeczywiście tego nie zrobił, znajdźcie sprawcę. Postanowiłem, że dam wam tydzień na naprawienie błędów, później prześlemy dochodzenie zespołowi niezależnych śledczych. Nie chcę tego robić, wiem, jak źle wygląda przyznanie się do porażki, ale nie mamy żadnego wyboru, cholera, jeśli szybko nie osiągniemy rezultatów. Nie muszę ci przypominać, jaki negatywny wpływ może to mieć na twoją karierę, prawda?

– Nie, sir.

– I nie naciskaj na Harrisonów. Dość już przeszli i zwolnienie Pierce’a na pewno ich przygnębiło.

Traktuj ich delikatnie. Zrozumiano?

– Będę delikatny, sir.

Bęcwał, pomyślał Banks, kiedy Riddle wyszedł z jego gabinetu. Co za piekielny tydzień. Ciekawe, jak mam wykonywać swoją pracę przy narzuconych ograniczeniach? Znowu ogarnęło go wrażenie, że jeśli ma dotrzeć do sedna sprawy, już niedługo będzie stąpał po kruchym lodzie.

Podszedł do okna, podciągnął żaluzje i lekko uchylił okno. Było za wcześnie na turystów, ale rynek w Eastvale roił się od mieszkańców rozpoczynających dzień. Przy akompaniamencie obcasów stukających po bruku kasjerzy, dentyści i agenci nieruchomości szli do pracy w biurach i przychodniach otaczających centrum miasta. Sklepy otwierano, w promieniach słońca unosił się zapach świeżo pieczonego chleba.

Patrząc na prawo, Banks widział wiodącą na południe Market Street z herbaciarniami, butikami i delikatesami, przed sobą miał sam rynek i mieszczące się po jego drugiej stronie bank NatWest, agencję handlu nieruchomościami, kawiarnię El Toro i kiosk Joplina. Na piętrach były kancelarie adwokackie oraz przychodnie lekarskie i dentystyczne.

Wzdychając, Banks podszedł do szafki z dokumentami, w której przechowywał własne notatki dotyczące najważniejszych punktów sprawy Harrison. Tony dokumentów gromadzonych w trakcie dochodzenia w sprawie o morderstwo w żadnym razie nie mogą być przechowywane w pokoju jednego policjanta, ale większość detektywów miała własny sposób na podsumowanie i zapis istotnych elementów śledztwa, który pozwalał im orientować się w całości. Banks nie był wyjątkiem.

Szafka zawierała jego zapiski dotyczące wszystkich ważniejszych spraw, w które był zaangażowany od przyjazdu do Eastvale, oraz kilku prowadzonych w policji londyńskiej. Notatki może nic nie znaczyłyby dla osób postronnych, ale dzięki doskonałej pamięci Banks potrafił wypełnić luki pozostawione przez skrótowy zapis. Zawierały także przypuszczenia i relacje rozmów poza protokołem, które nie trafiły do oficjalnych akt.

Czas najwyższy, pomyślał, na chwilę zapomnieć o Owenie Piersie i wrócić do kwestii podstawowych. Pozostały dwie ewentualności: albo Deborę Harrison zamordował ktoś, kogo znała, albo obcy, ale nie Owen Pierce. Odkładając drugą możliwość na bok, Banks zajął się nazwiskami i wątkami obecnymi w pierwszej. Zanim pojawił się Pierce, był przekonany, że Debora mogła się z kimś umówić gdzieś między domem a klubem szachowym. Postanowił, że spędzi poranek na czytaniu notatek i rozmyślaniu, a po lunchu wróci tam, gdzie wszystko się zaczęło: na cmentarz Marii Panny.

– Kurde, Siobhan by mnie zabiła, gdyby wiedziała, że jestem teraz z tobą – powiedział Ivor. – Nie masz pojęcia, jak to było, stary. Ona nadal jest przekonana, że to zrobiłaś.

Był czwartek, pora lunchu. Owen całe przedpołudnie spędził na sprzątanii domu. Stali przy barze w Queen's Arms.

– To idiotyzm – odparł Owen. – Wiem, nigdy mnie nie lubiła, ale myślałem, że ma więcej rozsądku. To dlatego nie zgłosiłaś włamania?

– Mówiłem ci, to się stało dwa dni temu. Nie wiesz, co przeżywaliśmy.

– Powiedz mi.

Ivor westchnął i napił się piwa.

– Powinieneś widzieć, jakie rzeczy wpadały przez otwór na listy, to tak na początek.

– Jakie rzeczy?

– Gówno, listy z wyzwiskami, zużyte kondomy, groźby śmierci, coś, co wyglądało jak kawałek nerki albo wątroby. Musiałem wchodzić i to wszystko sprzątać, no nie?

– Przykro mi. Zgłosiłaś to na policję?

– Jasne. Przysłali człowieka, ale nic nie zrobił. A czego się spodziewałaś?

– Policja myślała, że jestem winny. Nadal tak uważają. – Razem z resztą świata, dodał w duchu

Owen.

– Ale nie mieszkałaś w domu obok. Nie musiałaś tego znosić – powiedział Ivor.

– Oczywiście. Siedziałem bezpiecznie zamknięty w miłej i wygodnej więziennej celi. Pierdolony luksus.

– Nie musisz być taki sarkastyczny. Próbuję ci wytłumaczyć, jak było tutaj, żebyś mógł zrozumieć nastawienie ludzi.

– Takich jak Siobhan?

– Tak.

– A twoje?

Ivor wzruszył ramionami.

– Jak dokładnie jest twoje nastawienie? – zapytał Owen.

– Czy to ważne? Wypuścili cię.

– Nie tylko mnie wypuścili, ale uznali za niewinnego, pamiętasz?

– No cóż – mruknął Ivor – wiesz, co ludzie mówią.

– Nie, nie wiem. Powiedz mi.

– No wiesz, że winni ciągle są wypuszczani, bo system działa na ich korzyść. Pochylamy się nad

kryminalistami i pomagamy im, a ofiary guzik nas obchodzą.

– Ja tu jestem ofiarą, Ivor. – Owen wskazał kciukiem na siebie. – Ja. Znalazłem list z college'u.

Ten drań Kemp wylał mnie i zrobił to, zanim przysięgli udali się na naradę.

Ivor odwrócił wzrok.

– No tak. Mówię, co ludzie myślą, to wszystko.

– A co ty myślisz, Ivor?

– Posłuchaj, naprawdę nie chcę o tym gadać. Mówię tylko, Owen, że gówno się przykleja.

– To znaczy?

– Daj spokój! Na litość boską, podobno jesteś nauczycielem angielskiego. Znaczy dokładnie to, co powiedziałem. Wszystkie te plotki, które krążyły podczas rozprawy o odrzuconych dowodach. Myślisz, że nikt o tym nie wie? Kurde, ja się dowiedziałem od jednego ze studentów w bibliotece.

Owen poczuł, jak po kręgosłupie przebiega mu dreszcz.

– O czym się dowiedziałeś?

– O wszystkim. Twoim życiu seksualnym, zainteresowaniu pornografią, upodobaniu do sprośnych książek i czasopism, o filmie porno, o tym, jak pieprzyłeś studentki.

Owen bawił się wilgotną podkładką pod piwo.

– Przecież wiedziałeś, że Michelle była moją studentką, nie wydaje mi się, żeby w dzisiejszych czasach ktoś nazwał *Kochanka lady Chatterley* sprośną książką, i nie zapominaj, że jeden z tych filmów oglądałeś ze mną. Nie jestem gorszy od innych.

– Och, dorodnij. Może nie jesteś, ale cały kraj o nikim innym nie wie, prawda? Wiesz, jak plotki są rozdmuchiwane. Według nich to ty bijesz kobiety, kiedy nie chcą się zgodzić, żebyś je bzykał. To ty spędzasz dni na ślinieniu się na widok niewinnych uczennic, a noce na snuciu marzeń o deflorowaniu i duszeniu dziewic podczas oglądania filmów porno.

Owen poczuł, że się rumieni.

– Wszyscy są przeklętymi hipokrytami.

– Może i tak, ale to ci nie pomaga, prawda?

– A co mi pomaga?

– Nie wiem. Tak sobie myślałem, że może powinieneś stąd wyjechać...

– Mam uciec? Wspaniała rada. Wielkie dzięki, stary.

Owen zamówił następne piwa. Przynajmniej barmanka go nie rozpoznała. Naprawdę się uśmiechnęła, stawiając kufle na blacie. Uśmiechnięta kobieta, coś, czego nie widział od wieków, nie licząc Shirley Castle w chwili, gdy zwyciężyła. Albo nie oglądała telewizji i nie czytała gazet, albo

więzienie na tyle zmieniło jego powierzchowność, by niektórych zmylić. Oczywiście nie wszystkich.

– Posłuchaj – ciągnął. – Wbij to sobie w ten tępy łeb. Niczego nie zrobiłem. Nigdy nikogo nie pobiłem, na pewno nikogo nie zgwałciłem ani nie zamordowałem. Jestem ofiarą systemu. Są mi coś winni. Wątpliwe, że zapłacą, ale są mi winni. A na razie straciłem kilka miesięcy życia i moja reputacja dostała tęgie baty. Muszę na nowo wszystko uporządkować i prędzej szlag mnie trafi niż zacznę od ucieczki. Jak według ciebie będzie to wyglądało?

Ivor poskrobał się po brodzie, dopiero potem odpowiedział:

– Tylko że to nie jest zły pomysł. I wcale nie oznacza ucieczki, jedynie nowe życie w innym miejscu. Nowy początek. Mógłbyś nawet wyjechać na kontynent i tam uczyć angielskiego. Na przykład do Francji. Nieźle znasz francuski, o ile pamiętam. Albo do Japonii.

Owen prychnął.

– Własnym uszom nie wierzę. Myślisz, że to rozwiąże moje problemy, jeśli zamieszkać w obcym kraju, gdzie nikt mnie nie zna? Zdecyduję się na coś w rodzaju dobrowolnego wygnania? Po raz ostatni ci powtarzam, Ivor, ja nic nie zrobiłem.

Ivor znowu odpowiedział dopiero po krótkiej chwili.

– Możesz się przekonać, że uporządkowanie spraw jest trudniejsze niż myślisz.

– To znaczy?

– Nic konkretnego. Ale wiesz, postawa Siobhan wcale nie jest wyjątkowa. Znajdzie się kilku innych, którzy myślą tak samo. W naszej okolicy. Bywa, że emocje wybuchają.

– Ostrzegasz mnie przed niebezpieczeństwem? Grozi mi lincz albo coś w tym rodzaju?

– Ja tylko mówię, że kiedy ludzie się boją, atakują.

– A ty jak uważasz, Ivor? Nie odpowiedziałeś mi na pierwsze pytanie. Jesteś moim sąsiadem, podobno też przyjacielem. Myślisz, że jestem zboczeńcem?

– Skąd mam wiedzieć? Przecież oglądałem ten film porno z tobą. Nie sądzę, że przez to stałem się zboczeńcem. Zwykła rozrywka. Oglądałem bardziej dla zabawy niż z innych powodów...

– Odpierdol się, Ivor.

– Co? Posłuchaj...

– Po prostu spierdalaj i zostaw mnie w spokoju.

Ivor z trzaskiem odstawił kufel, barmanka spojrzała na niego z niepokojem.

– Dobra, skoro tak chcesz, stary. Tylko się nie spodziewaj, że dalej będę ci pomagał.

Owen prychnął.

– Uwierz mi, Ivor, zasłużyłeś na moją dozgonną wdzięczność tym, co już dla mnie zrobiłeś. A teraz

się odpierdol.

Ivor szybkim krokiem wyszedł, czerwony jak burak, barmanka rzuciła Owenowi dziwne spojrzenie, może dezaprobaty. Z zaplecza wyłonił się Cyril, właściciel z ramionami jak Popeye.

– Co to za hałas? – zapytał. Najwyraźniej rozpoznał Owena i ruszył w jego stronę.

– Ty też możesz się odpierdolić! – Owen odstawił kufel z taką siłą, że szkło pękło i piwo rozlało się po kontuarze.

– Zaraz! – krzyknął Cyril, chwytając za klapę kontuaru, ale Owen już wybiegł na ulicę. Podstawa kciuka, gdzie odłamek szkła przeciął skórę, pulsowała i krwawiła.

Szedł szybko North Market Street ze spuszczoną głową i zaciśniętymi pięściami wepchniętymi głęboko w kieszenie. Ivor. Ten oślizły, tchórzliwy gnojek. A Michelle? Co ona właściwie próbuje mu zrobić?

Może jednak Ivor miał rację, mówiąc o wyjeździe. Myśl nie była aż tak przygnębiająca, jak mogłaby być rok wcześniej; ten straszny bałagan, który znalazł po wyjściu z więzienia, i tak zniszczył jego uczucia do domu. Poza tym uświadomił sobie, że łączyło się z nim zbyt wiele wspomnień o Michelle. Przeprowadzka byłaby przedsięwzięciem, robotą do wykonania. Zacznie szukać nowego miejsca, może trochę tańszego, w innej części kraju. Nie za granicą, ale w Devon lub w Kornwalii. Zawsze lubił południowy zachód.

Idąc ulicą ze spuszczoną głową, Owen czuł się jak outsider, jakby reszta świata pływała radośnie w ogromnym akwarium, a on pukał w szkło, nie mogąc dostać się do środka. Kilka osób posłało mu dziwne spojrzenia i uświadomił sobie, że pewnie mamrocze pod nosem. A może go rozpoznali. Gównu się przykleja, powiedział Ivor. Ludzie będą go postrzegać w sposób, w jaki opisują go plotki, będą się odsuwać na bok i szeptać do siebie: „Oto idzie Dusiciel z Eastvale, ten, który się wywinął”.

Kiedy w końcu podniósł głowę, żeby zobaczyć, dokąd zawędrował, przekonał się, że stoi przed kościołem Marii Panny. Pomimo wszelkich postanowień przyszedł tu, jakby wiedziony instynktem.

Stał przed bramą, nie wiedząc, co dalej robić. Po chwili pod wpływem impulsu postanowił wejść. Był piękny dzień, na kilku głogach pomiędzy cisami kwitły białe, żółte albo różowe kwiatki, gdzie indziej dzikie kwiaty przepychały się przez trawę. Rozwijają się na gnijących szczątkach, pomyślał smętnie Owen, dopiero potem zauważył, że większość grobów pochodzi z osiemnastego i dziewiętnastego wieku. Były też nowsze, ale niewiele.

Na cmentarzu panował spokój, stłumione odgłosy ruchu drogowego z North Market Street i Kendal Road tworzyły tylko odległe tło dla śpiewu ptaków.

Ruszył asfaltową ścieżką, która łukiem okrążyła kościół i prowadziła do furtki przy Kendal Road. Stamtąd poszedł na most i patrzył na wirującą wodę, którą na kolor gorzkiego piwa barwił zabierany w drodze przez dolinę torf. Patrząc na południe, widział w oddali parki, nadrzeczne wierzby i dominujący nad miastem zamek, usadowiony wysoko na wzgórzu. Wydawało się, że minęło wiele czasu od tamtego mglistego listopadowego wieczoru. Nie, nie będzie znowu o tym myślał.

Ścieżką nad rzeką poszedł do domu. Mijając probostwo, zobaczył kobietę wieszającą pranie i zatrzymał się, by na nią popatrzeć.

Prosty biały T-shirt napiął się na jej ciężkich okrągłych piersiach, kiedy wyciągnęła ręce, żeby przypiąć klamerkami prześcieradło. Owen wyobrażał sobie, że dostrzega, jak jej ciemne sutki twardnieją pod pieśczołą wiatru.

Spojrzała w jego stronę. Poznał ją, widział ją w sądzie. To ona znalazła ciało, to jej męża oskarżono o molestowanie pracownika kościelnego.

Przez chwilę wydawało się, że zaraz się uśmiechnie i przywita, później jednak zmarszczyła czoło, otworzyła usta zdumiona i wycofała się do domu, zamykając za sobą drzwi. Owen usłyszał szcęk zakładanego łańcucha. Nie powiesiła prześcieradła jak trzeba, pierwszy lekki powiew wiatru wypełnił je niczym żagiel, a potem zerwał i rzucił je na rabatę niczym całun.

III

Banks widział, jak zasłona w oknie wykuszowym probostwa lekko się porusza, kiedy nacisnął dzwonek. Po chwili zdenerwowana i rozdygotana Rebecca Charters otworzyła drzwi. Na jego widok najwyraźniej jej ulżyło; poprowadziła go przez hol do salonu.

Było tu o wiele przytulniej niż podczas jego poprzednich wizyt, zauważył to od razu, i atmosfera bardziej przypominała dom niż tymczasowe obozowisko. Pokój odnowiono: nowa tapeta w róże na kremowym tle, nowy trzyczęściowy komplet wypoczynkowy w podobnym wzorze. Ezekiel, kopiec brązowo-białego futra, był na swoim miejscu obok pustego kominka.

– Może napije się pan herbaty? – zapytała Rebecca. – Świeżo parzona. No, dziesięć minut temu.

– Chętnie, dziękuję – odparł Banks. – Bez mleka i bez cukru.

Rebecca poszła do kuchni, skąd po kilku sekundach wróciła z dwoma kubkami. Dzisiaj włosy miała zebrane do tyłu, w miejscu przytrzymywały je skórzana klamra i szeroka drewniana szpilka. Fryzura nadała jej oliwkowej twarzy wygląd lekko nabrzmiącej i podkreśliła jej przydługą nos, małą brodę i okrągłe czoło, jak fotografia robiona obiektywem „rybie oko”, chociaż nadal była atrakcyjna, uwagę zwracały zwłaszcza ciemne oczy i pełne usta.

– Zauważyłem, że była pani w sądzie na odczytaniu wyroku – zaczął Banks.

Rebecca oburącz objęła kubek.

– Tak – powiedziała. – Nie mogę w to uwierzyć. On tu wcześniej był. Dlatego się denerwowałam, kiedy pan zadzwonił.

– Owen Pierce tu był? Dlaczego?

– Nie dokładnie tutaj, ale szedł ścieżką nad rzeką. Byłam w ogrodzie i widziałam go.

– To wolny kraj, jak sędzę – powiedział Banks. – A on jest wolnym człowiekiem.

– Ale czy nie jest niebezpieczny? Bo ludzie nadal uważają, że to zrobił, nawet jeśli go uniewinniono.

– Mają prawo wierzyć, w co chcą. Jednak nie sędzę, żeby miała pani powody do obaw.

– Łatwo panu mówić.

– Może. Proszę zamykać drzwi i okna, jeśli dzięki temu poczuje się pani lepiej.

– Przepraszam – powiedziała Rebecca. – Nie chciałam być taka ostra. Ja...

– Wszystko w porządku – przerwał jej Banks. – Martwi się pani. Myśli pani, że uwolniono mordercę, który teraz zwrócił uwagę na panią. Im szybciej się dowiemy, czy to zrobił, czy nie, tym szybciej poczuje się pani bezpieczna.

– Myśli pan, że to on?

Banks podrapał się po małej bliźnie koło prawego oka.

– W tej chwili nie wiem – przyznał. – Były okresy, kiedy wiedziałem, ale im dokładniej przyglądam się sprawom, które wydały mi się dziwne, zanim skupiliśmy się na Piersie, tym bardziej zaczynam się zastanawiać. Sądy uniewinniają niewinnych równie często jak winnych, a jeśli ktoś zna prawdę, to szczęściarz z niego.

– Co pana z powrotem do nas sprowadza?

– Nie jestem pewien, poza tym, że tutaj to się zaczęło.

– Tak – powiedziała Rebecca. – Pamiętam. – Zadrżała lekko i przesunęła palcami po dekolcie sukienki. – Chciałabym pana przeprosić.

– Za co?

– Za nasze ostatnie spotkanie. W Queen's Arms. Pamiętam, że byłam wobec pana bardzo nieuprzejma. Najwyraźniej wchodzi mi to w nawyk.

– Proszę się nie przejmować – odparł Banks. – W mojej pracy człowiek się do tego przyzwyczaja.

– A nie powinno tak być. To znaczy, nie powinnam była tak się zachowywać. – Odstawiła kubek na stół. – Nie jestem taką osobą. Nieuprzejmą... Ja... Proszę posłuchać, nie wiem, dlaczego to panu

mówię, ale pańska ponowna wizyta sprawiła, że wszystko wróciło.

– Co wróciło? Przypomniała sobie pani, jak znalazła ciało?

– Tak, oczywiście. Ale to był dla mnie okropny okres nie tylko z tego powodu. Zarzuty przeciwko Danielowi, zamęt, który wywołały. – Wzięła głęboki wdech. – Widzi pan, inspektorze, o połowie rzeczy pan nie wie. Jasne, że nie, to nie wiązało się z dochodzeniem, ale trzy miesiące przed tą sprawą z Jelačiciem straciłam dziecko i lekarz powiedział, że kolejna próba będzie dla mnie niebezpieczna. Nie rozmawialiśmy o tym z Danielem tyle, ile powinniśmy, i zaczęliśmy się od siebie oddalać. Ostrożnie dowiadywaliśmy się o adopcję i akurat wtedy Jelačić oskarżył Daniela. To oczywiście oznaczało koniec starań. Było gorzej niż przedtem. Obawiam się, że zamknęłam się w sobie. Obwinałam Daniela. W pewnym okresie nawet myślałam, że jest winny. Odkąd straciłam dziecko, my nie... wie pan... i myślałam, że przestałam go pociągać. Łatwiej mi było to wyjaśnić, kiedy przyjełam, że tak naprawdę interesują go mężczyźni. Co mogę powiedzieć? Zaczęłam za dużo pić. No i był Patrick. – Roześmiała się nerwowo. – Nie wiem, dlaczego panu to wszystko mówię. Poza tym, że był pan świadkiem finalnej sceny.

Banks się uśmiechnął.

– Zdziwiłaby się pani, jakie rzeczy ludzie nam mówią, pani Charters. Mam jednak nadzieję, że sytuacja się poprawiła.

Rozpogodziła się.

– Tak. Owszem. Oboje z Danielem jesteśmy silniejsi niż kiedykolwiek przedtem. Wciąż jest... jest kilka problemów... ale przynajmniej pracujemy nad nimi razem.

– A picie?

– Od pół roku ani kropli.

– Patrick Metcalfe?

– Nie widziałam go od tamtego dnia, kiedy pan tu był, a on narobił tego zamieszania.

– Nachodził panią później?

Uśmiechnęła się.

– Nie. Myślę, że dość szybko dotarło do niego, że za bardzo go poniosło. No i pańskie zainteresowanie też pomogło trzymać go na dystans. Powinnam panu za to podziękować. Chyba go pan nadal nie podejrzewa?

– Jeszcze nie został oczyszczony z podejrzeń – odparł Banks. – Tak czy owak, nie dlatego tu przyjechałem. Miałem nadzieję, że jeszcze raz się przyjrzę miejscu, gdzie znaleziono ciało.

– Przecież nie musi pan prosić o pozwolenie?

– Nie, po części chciałem być uprzejmy. A także dlatego, że zna pani tę okolicę lepiej niż ja.

Pójdzie pani ze mną?

– Oczywiście.

Odtwarzając kroki Debory, z plebanii poszli ścieżką nad rzeką w kierunku mostu na Kendal Road, gdzie stare stopnie prowadziły w górę na chodnik. Był kolejny piękny dzień, nad drogą w parku Marii Panny leżeli spleceni w uścisku kochankowie, studenci siedzieli w cieniu drzew i czytali, dzieci bawiły się piłkami i frisbee.

– Tutaj weszła – powiedziała Rebecca, otwierając drewnianą furtkę z daszkiem, pod którym w dawno minionych dniach trumna czekała na przybycie duchownego. – Siedemnasty wiek.

Wspaniałe, prawda?

Banks się z nią zgodził.

– Teraz jesteśmy na głównej alei – wyjaśniła Rebecca.

Aleja była szeroka na jakieś półtora metra i miała wyboistą asfaltową nawierzchnię. Zakręcała łagodnie przed kościołem i od drzwi dzielił ją jedynie pas trawy przecięty wąską brukowaną ścieżką.

– Prowadzi do North Market Street – powiedziała Rebecca – w pobliże pasów, przez które Debora przechodziła w drodze do domu. A ta alejka – ujęła Banksa za łokieć i odwróciła w prawo, gdzie wejście niemal całkowicie zarosły krzewy – ta alejka prowadzi do mauzoleum Inchcliffe'ów.

Tę zwirowaną ścieżkę Banks pamiętał z listopada. Po kilku metrach zarośla ustąpiły miejsca cisom i grobom pokrytym plamami porostów. Przez zieleń liści przesączały się promienie słoneczne, owady brzęczały nad mleciami i niezapominajkami.

Niektóre z grobów były grobowcami z ciężkimi wiekami i kwiecistymi religijnymi epitafiami. Najbardziej imponujące i ozdobne było mauzoleum Inchcliffe'ów.

– Zakładaliśmy, że kiedy Debora dotarła do skrzyżowania tej ścieżki z główną aleją, ktoś albo ją złapał i zaciągnął tu, albo namówił, żeby poszła z nim z własnej woli.

– Dlaczego nie miałyby dojść tu sama? – zapytała Rebecca.

– Po co? Zboczyłaby z drogi.

– Wcześniej to robiła. Widziałam ją raz czy dwa.

Banks uniósł brwi.

– Nie wspomniała pani o tym.

Rebecca wzruszyła ramionami.

– Nigdy pan nie pytał. Poza tym to nie wydawało mi się ważne.

– Nie uderzyło pani, że to dziwne postępowanie?

– Nie. Przykro mi. Nie zwracałam na nią uwagi. Chyba założyłam, że tak jak ja lubi cmentarze, a najbardziej interesujące stare groby są tutaj. No i oczywiście jest mauzoleum Inchcliffe'ów. – Zarumieniła się. – Może przychodziła rozmawiać z aniołem jak ja.

– Kiedy zaczęła korzystać z tej alejki?

– Nie mam pojęcia. Nie pamiętam, żebym widziała ją idącą tędy przed wrześniem zeszłego roku, kiedy zaczęła się szkoła, ale to nie znaczy, że tego nie robiła.

– Czy kiedykolwiek pani kogoś z nią widziała? Albo kogoś, kto szedł alejką za nią lub przed nią?

– Nie. Pytał mnie pan o to wcześniej i powiedziałabym panu, gdybym widziała, jak się z kimś spotyka. Coś takiego na pewno bym zauważyła. Myśli pan, że to ważne, że chodziła tą alejką?

– Od początku – powiedział po krótkiej chwili – pracowałem nad teorią, że jeśli to nie Owen Pierce albo ktoś inny poszedł za Deborą na cmentarz, zaciągnął ją tutaj i zabił, to może umówiła się tutaj ze sprawcą. Teraz mówi mi pani, że wcześniej widziała ją pani na tej ścieżce, i zastanawiam się, czy nie wyznaczyła tego miejsca na spotkanie. Obok mauzoleum. Jej przyjaciółka Megan Preece powiedziała, że Debora miała upodobanie do tego rodzaju upiornych rzeczy. Randka w środku zasnutego mgłą cmentarza obok starego mauzoleum mogła wydać się jej pociągająca.

– Spotkała się z kimś, kogo znała?

– Tak. Niewykluczone, że z kochankiem. Albo kimś innym. Wiemy, że Debora miała tajemnicę. Przeszło mi przez myśl, że mogła się umówić z osobą wpłataną w tę sekretną historię, żeby sprawę omówić, ustalić, co dalej robić.

– Ale co takiego mogła wiedzieć, co było aż tak ważne?

– Gdybyśmy to wiedzieli, przypuszczalnie mielibyśmy sprawcę.

– I nadal pan wierzy, że z kimś się spotkała?

– Myślę, że to bardzo prawdopodobne. Nie powiedziała Megan, może naprawdę chciała być tajemnicza. Ive Jelačić mówił, że nigdy nie widział, żeby z kimś się spotykała, ale to patologiczny kłamca. A z drugiej strony przed chwilą pani też powiedziała, że nigdy nikogo tu nie widziała.

– Co nie znaczy, że kogoś tu nie było – odparła Rebecca. – Zarośla są tu całkiem gęste, a tamta noc była bardzo mglista. Żałuję, że nie mogłam bardziej panu pomóc.

Banks stanął i się rozejrzył. Rebecca miała rację. Na południu pomiędzy drzewami widać było kościół, za to w kierunku północnym, pomiędzy mauzoleum a Kendal Road, sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Cisy były większe, poszycie gęstsze. Idealne miejsce na sekretne spotkanie. Jeśli czegoś się dowiedział, wracając na miejsce zbrodni, to tego, że Debora mogła pójść zwirowaną alejką z własnej woli i że wcześniej już to robiła.

Spojrzał na mauzoleum Inchcliffe'ów. Powodem mógł być kąt, pod jakim patrzył, albo gra światła, ale mógłby przysiąc, że marmurowy anioł z wyszczerbionymi skrzydłami się uśmiecha.

Rozdział 15

I

– Załóżmy na razie, że Pierce tego nie zrobił – powiedział Banks. – To nam sprawę ułatwi.

Był pierwszy czerwcowy piątek, promienie przedpołudniowego słońca zalewały rynek. Banks siedział w gabinecie Gristhorpe’a i próbował spojrzeć na morderstwo Debory Harrison świeżym okiem.

Gristhorpe, zwalisty mężczyzna z pokrytą dziobami po ospie twarzą i krzaczastymi brwiami, siedział ukosem przy wielkim tekowym biurku, jedną nogę miał wyciągniętą i opartą na stołeczku. Upierał się, że złamanie zrosło się idealnie, ale nadal od czasu do czasu czuł ból. Banks pomyślał, że jeśli wziąć pod uwagę, iż w tę samą nogę niedawno go postrzelono, to wcale nie jest dziwne.

Napił się kawy.

– Lekko licząc, powiedziałbym, że mamy pięcioro, sześcioro podejrzanych. Jeśli Debora nie miała kochanka, o którym nie wiemy – a nie sądzę, żeby miała – to kluczem może być ten sekret. A jeśli Debora wiedziała coś o kimś, łatwo mogła mylnie osądzić znaczenie informacji i nie docenić desperacji tej osoby. Dorośli miewają bardzo nieprzyjemne tajemnice. Proces Pierce’a skierował cały nasz czas i energię na udowodnienie, że zabójca jej nie znał, że była przypadkową ofiarą albo że została ofiarą, ponieważ miała pecha i przypominała byłą dziewczynę Pierce’a, Michelle Chappel.

– Jak teraz to wygląda?

– Godzinę temu rozmawiałem ze Staffordem Oakesem – odparł Banks. – Jest na dziewięćdziesiąt dziewięć procent przekonany, że prokuratura odwoła się od wyroku, zaskarżając odrzucenie zeznania o podobnym fakcie. Jeśli trafią na sędziego, który to zeznanie dopuści, nowy proces może się okazać dla Pierce’a katastrofą niezależnie od tego, czy to zrobił, czy nie.

Gristhorpe podrapał się po brodzie.

– Jak wiesz, Alan, byłem w stanie zachować otwarty umysł w tej sprawie, ponieważ nie brałem udziału w dochodzeniu. Przede wszystkim chciałbym powiedzieć, że moim zdaniem wykonaliście dobrą pracę. Nie powinieneś się biczować z powodu wyroku. Nadal może się okazać, że Pierce nie jest sprawcą. Ale się zgadzam, że tę kwestię powinniśmy na chwilę odłożyć na bok. Z tego, co do tej pory przeczytałem, Barry Stott wydaje się szczególnie przywiązany do myśli o winie Pierce’a. Wiesz dlaczego?

– To był jego trop – powiedział Banks. – Albo tak myślał. Prawdę mówiąc, gdyby Jim Hatchley

nie wstąpił do Nag's Head na piwo, nazwisko Pierce'a mogłoby się nie pojawić. Ale Barry jest ambitny. I wytrwały. Nie zapominajmy poza tym, że Jimmy Riddle też był o tym przekonany.

– Jest przyjacielem rodziny – odparł Gristhorpe. – Wyobrażam sobie, że zależało mu na szybkim zakończeniu śledztwa niezależnie od tego, kto był podejrzany.

Banks kiwnął głową.

– Musimy zadać sobie dwa pytania – ciągnął Gristhorpe. – Jaki Debora Harrison mogła poznać sekret, który był na tyle ważny, że ktoś z jego powodu ją zabił, i kto to zrobił.

Banks opowiedział mu o wizycie u Rebekki Charters, w czasie której się dowiedział, że Debora czasami zbaczała z głównej alei.

– Myślisz, że umówiła się tam na spotkanie ze swoim zabójcą?

– Rebecca nigdy nie widziała, żeby się z kimś spotykała, ale to jedna z możliwości.

– Szantaż?

– Niewykluczone. Chociaż z tego, co wiem o Deborze, nie jestem pewien, czy wiedziałyby, jak to zrobić. Przypuszczam, że to możliwe. W końcu tornister był otwarty, kiedy ją znaleźliśmy, a to zawsze mnie dręczyło. Może miała jakiś twardy dowód i zabójca go zabrał. A z drugiej strony może chciała tylko dać do zrozumienia tej osobie, że zna tajemnicę, albo powiedzieć, jak ją odkryła. Może chciała pochwalić się swoją wiedzą. Jej przyjaciółki mówią, że czasami się popisywała. Tak czy owak założmy, że nie znała potęgi bądź wartości tego, czym się zabawiała.

– A to prowadzi do mojego pytania: dlaczego i kto?

– Tak. – Banks zaczął odliczać na palcach. – Po pierwsze, John Spinks. Latem przez pewien czas był chłopakiem Debory, a jest wyjątkowo wstrętnym typem. Rozstali się w gniewie, a myślę, że jest z tych, co żywią urazę. Jego alibi nie jest zbyt przekonujące. Z kolei Ive Jelačić ma solidne alibi dzięki Batoracowi, ale jestem przekonany, że jest w to wplątany, coś wie.

– Podejrzewasz, że co to jest?

– Niewykluczone, że widział, jak Debora z kimś się spotyka.

– Więc dlaczego nam o tym nie powie?

– To nie w stylu Jelačića. Gdybyś mnie zapytał, powiedziałbym, że próbuje ustalić, co z tego może mieć. Na litość boską, zapytał mnie, czy jest nagroda.

– Co zrobimy, zmusimy go biciem?

– Wierz mi, ta myśl przeszła mi przez głowę. Ale nie. Dorwiemy go tak albo inaczej, nie martw się. Jeszcze nie skończyłem z panem Jelačićem.

– Kto następny? Co z tym nauczycielem?

– Z Patrickiem Metcalfe’em? Kolejna możliwość. Chociaż bardzo wątpię, że byłby do tego zdolny, ale musimy brać go pod uwagę. Uczył Deborę historii i miał romans z Rebeccą Charters, żoną pastora. Można całkiem rozsądnie założyć, że to fatalna rzecz dla nauczyciela w anglikańskiej szkole dla dziewcząt. Jeśli Debora wiedziała o romansie – niewykluczone, że widziała, jak Metcalfe wchodzi do plebanii albo z niej wychodzi – to mogło go kosztować nie tylko pracę, ale całą karierę nauczycielską.

– A jak sobie przypominam z jego zeznania – dodał Gristhorpe – powiedział, że po wyjściu Daniela Chartersa był sam w swoim mieszkaniu.

Banks pokiwał głową.

– I w żaden sposób nie możemy tego potwierdzić ani temu zaprzeczyć, chyba że ktoś go widział, do czego jednak na razie nikt się nie przyznał.

– Co z pastorem?

– Nad nim się też zastanawiałem – przyznał Banks. – Ogólnie rzecz biorąc, właściwie mu współczułem, choć patrząc na sprawy obiektywnie, on może być naszym człowiekiem. Nie ma alibi i jest dostatecznie wysoki i silny.

– Motyw?

– Jak wiemy, Ive Jelačić oskarżył go, że nadużył swojej pozycji, składając mu homoseksualne propozycje. Wziąwszy pod uwagę charakter Jelačića, prawdopodobnie wszystko to zmyślił, Vjeko Batorac z całą pewnością tak uważa, ale powiedzmy, że to prawda, a Debora była świadkiem jakiegoś zdarzenia z udziałem Chartersa i Jelačića albo Chartersa i kogoś innego, które potwierdzało te zarzuty. Gdyby sprawa się wydała, on także straciłby wszystko. To mogłoby być dostatecznie silnym motywem.

– Albo jego żona? – zasugerował Gristhorpe.

– Tak. To mogła być kobieta – zgodził się Banks. – W końcu nie ma śladów gwałtu, a ciało mogło zostać ułożone tak, żeby morderstwo wyglądało na popełnione z pobudek seksualnych. Rebecca Charters jest dość wysoka i silna.

– I mogła mieć jeden z dwóch motywów – uzupełnił Gristhorpe. – Chroniła albo informację o romansie z Metcalfe’em, albo męża przed zwolnieniem. – Pokręcił głową. – Wiesz, dogrzebaliśmy się do prawdziwego *Peyton Place*, Alanie. Kto by pomyślał, że takie rzeczy dzieją się w tak miłym miasteczku jak Eastvale?

Banks się uśmiechnął.

– Wyznaję oparty na doświadczeniu pogląd, Watsonie, że najgorsze i najnikczemniejsze zaufki

w Londynie wcale nie mają bardziej przerażającej historii grzechu niż uśmiechnięta i piękna wieś.

Gristhorpe odwzajemnił uśmiech.

– A co z kumplami Jimmy’ego Riddle’a?

– Z całą pewnością trzeba ich brać pod uwagę. Zaczynałem myśleć, że Michael Clayton może mieć romans z Sylvie Harrison, choć brzmi to nieprawdopodobnie. Sir Geoffrey i Michael Clayton są bliskimi przyjaciółmi od studiów. Jeśli Clayton istotnie miał romans z Sylvie i jeśli Debora o tym wiedziała, skutki mogły być rujnujące. Pomyśl, ile pieniędzy i prestiżu wchodzi tu w grę.

– Jak rozumiem, nikt z nich nie ma alibi.

– Właśnie. Wszyscy wiedzieli, że w poniedziałki Debora chodzi do klubu szachowego, znali porę, w której zwykle wraca do domu. Oraz trasę. Ale nawet jeśli zaakceptujemy przerażającą możliwość, że Sylvie Harrison byłaby zdolna do takiej zbrodni, to nie jest dość wysoka ani silna, żeby zabić córkę. Rebecca Charters jest jedyną kobietą w tej sprawie, która ewentualnie dałaby sobie radę.

– W takim razie Clayton?

– Możliwe. Z całą pewnością on jest bardziej prawdopodobnym kandydatem z tej dwójki. Choć z drugiej strony był ojcem chrzestnym dziewczyny.

– Nie zapominajmy też – dodał Gristhorpe – że HarClay Industries zawarło wiele kontraktów z Ministerstwem Obrony. Wykonują dużo tajnych zleceń. Jeśli Debora odkryła, że dochodzi do jakichś przekrętów, że pracują dla obcych rządów i tak dalej...

– Albo tylko dowiedziała się o czymś, co nasz rząd chciał utrzymać w tajemnicy?

– Nie dałbym za nich głowy – zgodził się Gristhorpe. – Według twoich notatek w czasie, gdy zamordowano jego córkę, sir Geoffrey Harrison był na prywatnym spotkaniu z człowiekiem z rządu, niejakim Oliverem Jacksonem. Tak się składa, że znam Olivera Jacksona, i on właściwie nie jest z rządu, tylko z Wydziału Specjalnego.

– Nie posuwamy się za daleko? – zapytał Banks. – Może to tylko zbieżność nazwisk?

Gristhorpe pokręcił głową.

– Sprawdziłem w komendzie głównej Yorku. To ten sam Oliver Jackson. Wiedzieli, że był w mieście, ale nie chcieli powiedzieć dlaczego. To kolejny wątek do rozważenia. Masz jeszcze jakieś?

Banks westchnął.

– Nic mi nie przychodzi do głowy. Chyba że Debora natknęła się na jakieś nielegalne działania w szkole, związane na przykład z seksem albo narkotykami, ale tam nie damy rady pogrzebać.

– I tak będziemy mieli sporo do roboty.

Banks wstał i ruszył do drzwi, po drodze wyciągając z kieszeni paczkę silk cutów.

– A przy okazji, co u inspektora Stotta? – zapytał Gristhorpe.

Banks przystanął w progu.

– Od uniewinnienia Pierce’a wygląda jak śmierć. Zaczynam się o niego martwić.

– Może po weekendzie będzie w lepszym stanie?

– Może.

Wracając do swojego pokoju, Banks usłyszał na korytarzu podniesione głosy i poszedł sprawdzić, co się dzieje. U stóp schodów zobaczył Johna Spinksa i posterunkową Susan Gay.

II

– Problemem nie są twoje umiejętności pedagogiczne, Owenie. Przez lata dowiodłeś, że jesteś dobrym nauczycielem.

– W takim razie nie rozumiem – odparł Owen. – Dlaczego nie mogę odzyskać posady? – Siedział w pełnym książek gabinecie dziekana. Peter Kemp, z podwiniętymi rękawami koszuli, z rudymi włosami sterczącymi jak kępi na kokosie, zajmował miejsce przy swoim nieuporządkowanym biurku. „Kemp-kępa”, tak nazywali go podwładni. Z boku mruczał komputer, biały kursor migał wyczekująco na pustym niebieskim ekranie.

Kemp odchylił się na krześle i splótł ręce za głową. Owen widział ciemne plamy potu pod jego pachami.

– Formalnie rzecz biorąc, Owenie – odparł Kemp – nie możesz domagać się posady, której nigdy nie miałeś. Pamiętaj, byłeś zatrudniony na semestralnych kontraktach, bez żadnych gwarancji. W następnym semestrze po prostu nie mamy dla ciebie miejsca.

Mówiąc, Kemp patrzył na Owena z góry, pod szylkretowymi oprawkami okularów; tak entomolog mógłby przyglądać się szczególnie interesującemu, ale brzydkiemu owadowi. W gabinecie unosił się zapach miętowych drażetek i niedawno położonej farby. Owen marzył o świeżym powietrzu, ale z doświadczenia wiedział, że okna są zamknięte na głucho.

– To zależało od ciebie – powiedział. – Wcześniej zawsze przedłużałeś mi kontrakt.

Kemp usiadł prosto, opierając owłosione ręce na biurku.

– A tak, ale tym razem postawiłeś nas w dość trudnej sytuacji, zgadzasz się? Musieliśmy zatrudnić kogoś, kto poprowadzi twoje zajęcia. Wykonała dobrą robotę, bardzo dobrą, wzięwszy pod uwagę okoliczności. Nie możemy teraz się jej pozbyć, nie pytając jej o zdanie, nie uważasz?

– Nie rozumiem dlaczego. Mnie tak traktujesz, a mam dłuższy staż. Poza tym to nie moja wina, że

mnie aresztowano.

Kemp się zaśmiał.

– No, moja na pewno nie, ale to bez znaczenia. W przypadku kontraktów staż pracy jest nieistotny, Owenie, wiesz o tym. Przykro mi, ale mam związane ręce. – Wyciągnął je, splatając palce, jakby chciał zilustrować swoje słowa.

– A przyszły styczeń? Do tego czasu jakoś dam radę.

Kemp zacisnął usta i pokręcił głową.

– Nie widzę szans na wakaty. W dzisiejszych czasach budżet mamy ograniczony. Bardzo.

– Posłuchaj – Owen pochylił się ku niemu – mam tego dość. Odkąd wszedłem do twojego gabinetu, a musiałem długo czekać, zanim mnie przyjąłeś, słyszę wyłącznie wymówki. Cholernie dobrze wiesz, że znalazłbyś dla mnie zajęcia, gdybyś chciał, ale tego nie zrobisz. Jeśli to nie ma nic wspólnego z moimi umiejętnościami pedagogicznymi, to może byłoby lepiej, gdybyś mi powiedział, na czym polega problem. – Orientował się, co usłyszy, w końcu czytał list, ale chciał, żeby Kemp przeżył przykrą chwilę, zmuszony powiedzieć to na głos.

– Mówiłem ci...

– Guzik mi mówiłeś. Chodzi o proces? Tak?

– No cóż, chyba sobie nie wyobrażasz, że coś takiego wzbudzi w zarządzie przychylne uczucia do ciebie? Wszyscy jednak rozumiemy, że zostałeś oskarżony przez pomyłkę, i głęboko ci współczujemy.

Owen się roześmiał.

– Oskarżony przez pomyłkę? To mi się podoba. Ładnie to ująłeś.

Kemp zacisnął usta.

– Owenie, wiemy, co przecierpiałeś, uwierz mi.

– Naprawdę? – Owen poczuł, jak czerwienieje z gniewu. Zacisnął dłonie na poręczach fotela. –

I wierzycie w moją niewinność?

– Należy ufać systemowi sprawiedliwości, Owenie, przyjmować wyroki przysięgłych.

– Więc jesteś przekonany, że mieli rację?

– Sąd cię uniewinnił.

– To nie to samo.

– Ale na czym innym mamy opierać nasze oceny?

– Na czym innym? Na naszej znajomości tej osoby, na charakterze. Na zaufaniu, cholera. W końcu pracowałem tutaj przez osiem lat.

Kemp wzruszył ramionami.

– Ale przecież nie mogę powiedzieć, że cię znam, prawda? Nasze relacje zawsze miały charakter zawodowy, pracowniczy, jeśli wolisz.

– A moja praca zawsze była najwyższej jakości. Więc co z moją posadą? Jeśli wierzysz, że nie zrobiłem nic złego, i ufasz w moje umiejętności zawodowe, dlaczego nie chcesz mnie przyjąć?

– Owenie, bardzo mi to utrudniasz.

Owen uderzył pięścią w biurko.

– Och, czyżby? Bardzo mi przykro z tego powodu. Może po prostu nie przyszło ci do głowy, jak kurewsko trudne jest to dla mnie.

Kemp wolno się wycofał na swoim fotelu na kółkach.

– Owenie, nie pomagasz sobie, zachowując się w taki sposób.

– Nie częstuj mnie frazesami. Już dałeś mi wyraźnie do zrozumienia, jaka jest moja pozycja. Chcę, żebyś powiedział mi dlaczego. I proszę, nie opowiadaj, jakie to dla ciebie trudne.

Kemp zatrzymał fotel i oparł się o biurko, stykając palce dłoni.

– Bardzo dobrze, skoro tego chcesz. Władze college'u wyraziły niechęć do zatrudniania wykładowcy, o którym wiadomo, że sypia ze studentkami i fotografuje je nago. To źle wpływa na nasz wizerunek. Sprawia, że rodzice nie poślą do nas córek. A skoro od studentów zależy nasze utrzymanie, przy czym spory procent z nich to dziewczęta w wieku, w którym łatwo ulegają wpływom, uznano, że twoja obecność by nam zagrażała. Poza tym władze college'u nieprzychylnym okiem patrzą na wykładowców stawiających oceny raczej za przysługi seksualne niż osiągnięcia w nauce. – Nabrał powietrza. – Proszę, Owenie, to bardziej ci odpowiada?

Owen uśmiechnął się do niego.

– Oczywiście. Z całą pewnością bije na głowę tę kupę bredni, którą mi wcześniej zaserwowałeś. Ale nic z tego, co mówiłeś, nie zostało dowiedzione. To wszystko plotki.

Kemp patrzył na migający kursor.

– Wiesz, jak plotki się rozchodzą, jakie szkody potrafią wyrządzić. A wszyscy tutaj zdawali sobie sprawę z twojego... eee... związku z Michelle Chappel. Już wtedy.

– Wtedy nic nie zrobiłeś. Dlaczego teraz to stanowi problem?

– Okoliczności uległy zmianie.

– Więc straciłem pracę, bo okoliczności uległy zmianie?

– Nie ma dymu bez ognia.

– Ty nadęty draniu.

– Do widzenia, Owenie. – Kemp wstał. Nie wyciągnął ręki.

Znowu Michelle. Owen miał ochotę złapać monitor i wyrzucić go przez okno, a potem walnąć Kempa w nos. Powstrzymał się jednak. Jego kariera nauczycielska dobiegła końca, przypuszczalnie nie tylko tu. Będą go znali, gdziekolwiek złoży podanie o pracę. Społeczność akademicka jest niewielka, wieści szybko się w niej rozchodzą.

Zamiast uderzyć Kempa, Owen zadowolili się trzaśnięciem drzwiami. Idąc korytarzem, o mało nie wpadł na Chrisa Lorimera.

– Owen. – Chris z trudem utrzymywał pod pachą stos studenckich prac. – Ja... to...

– Kemp nie chce mnie z powrotem.

– Hm... tak. Pewnie potrafisz go zrozumieć. – Lorimer przestąpił z nogi na nogę, jakby rozpaczliwie musiał skorzystać z toalety.

– Naprawdę? Posłuchaj, Chris, jest południe, słońce stoi wysoko, jak to mówią, a ja jestem wykończony. Jak na razie dzień układa się fatalnie. Co powiesz na piwo i lunch naprzeciwko? Ja stawiam.

Lorimer wyciągnął szyję, żeby spojrzeć na zegarek.

– Chciałbym, Owenie, naprawdę, ale muszę lecieć. – Naprawdę popędził, oddalając się korytarzem, jakby Owen miał jakąś chorobę zakaźną. – Może kiedy indziej?! – zawołał przez ramię, zanim zniknął za rogiem.

Jasne, pomyślał Owen, kiedy indziej. Ty też się pierdol, Chrisie Lorimer. Ty głupi osle.

III

– No, no, no – powiedział Banks, stojąc na szczycie schodów, z których rozciągał się widok na otwarty parter. – O wilku mowa. Oto człowiek, z którym chciałem porozmawiać. Przeglądałem twoje akta. I zgadnij, kto skończył osiemnaście lat od naszego ostatniego spotkania?

Spinks zerknął na niego.

– Hę?

– Już nie podlegasz pod sąd dla nieletnich. – Banks spojrział na Susan i uniósł brew.

– Kradzież samochodu i ucieczka – wyjaśniła. – Pod wpływem.

– Ciekawe czego? – zapytał Banks. – W dodatku tak wcześnie rano.

Spinks się wyrywał, ale Susan udało się go utrzymać.

– Nie wspominając o wjechaniu przez okno do smażalni ryb Henry’ego na Elmet Street – dodała przez zaciśnięte zęby.

Banks się uśmiechnął i otworzył drzwi najbliższego pokoju przesłuchań.

– Rozgość się – powiedział do Spinksa, wyciągając zapraszająco rękę. – Usiądź.

– Potrzebuję lekarza – jęknął Spinks. – Ta kurewska kierownica była spierdolona. Uderzyłem się w głowę. Jebnął mnie pas. Mogłem zginąć.

– Zamknij się i siadaj – powiedział Banks na tyle władczo, że Spinks umilkł i posłuchał. – Pewnie podasz właściciela do sądu?

Spinks oblizał usta.

– Może i tak.

Miał niewielkie przecięcie tuż nad prawym okiem. Nic poważnego, ale Banks wiedział, że jeśli nie zapewni mu opieki medycznej, złamią przepisy i sprawa Spinksa przypuszczalnie zostanie oddalona.

– Susan, sprawdź, czy doktor Burns może tu przyjść, dobrze? – Banks dyskretnym gestem dał znak, że nie musi się śpieszyć.

Susan kiwnęła głową, poprawiła sukienkę i wyszła.

– Co brałeś? – zapytał Banks.

Spinks odwrócił wzrok.

– Nie wiem, o co panu chodzi.

Banks złapał go za brodę i zadarł mu głowę, wpatrując się w jego źrenice wielkości główek od szpilek.

– To był crack, co, John? Rozpuszczalnik? Może heroina?

– Nie ćpam.

– Akurat, cholera. Wiesz, że prowadzenie pod wpływem narkotyków jest wykroczeniem, za które grozi areszt, John?

Spinks milczał.

– Wiesz, co to znaczy?

Spinks krzywo się uśmiechnął. W kąciку jego ust uformowała się strużka śliny.

– To znaczy, że może mnie pan za to aresztować.

– Dobrze. – Banks łagodnie poklepał go po ramieniu. – Bardzo dobrze, John. Może tego nie wiesz, ale ujmując rzecz prosto i ładnie, to oznacza także, że możemy zatrzymać cię w areszcie przez dwadzieścia cztery godziny, a nawet dłużej, jeśli zgodę wyrazi komendant. A wyrazi. Ale poczekaj moment. Wiesz, jaki dzień dzisiaj mamy?

– Co to ma znaczyć? Jasne, że wiem. Piątek.

– Właśnie. – Banks spojrzał na zegarek. – Fatalnie dla ciebie, John. Widzisz, w dniu takim jak ten sędziowie pokoju o tej porze już są na polu golfowym. Nie odbywają posiedzeń w soboty i w niedziele, więc będziesz musiał zostać z nami do poniedziałku rano.

– I co z tego?

– To, że cię aresztowaliśmy, upoważnia nas do przeprowadzenia rewizji, John. Nie potrzebujemy nakazu. Czyli że niedługo gliniarze będą się kręcić po mieszkaniu twojej mamy, o ile już tego nie robią. Na pewno coś znajdą. Mama cię za to pokocha, co?

– Gównu ją to obchodzi.

Banks odwrócił krzesło i usiadł okrakiem.

– Wiesz – powiedział – mnie nie interesują drobiazgi w rodzaju kradzieży samochodu albo brania narkotyków. Nie myślisz chyba, że główny inspektor zajmuje się takimi rutynowymi sprawami, co?

Spinks parsknął.

– Ani mnie to ziębi, ani grzeje.

– Nie, jasne że nie. Tak myślałem. Cóż, nie stosuję się teraz do zasad, John, chcę, żebyś to wiedział. Jak mówiłem, naprawdę nie interesuje mnie jakiś tępy, łykający tabletki głupek, który kradnie samochód i nawet nie potrafi prosto go poprowadzić.

Spinks się najeżył.

– Kurwa, umiem prowadzić! Mówiłem, kierownica była spierdolona. Tego jebanego właściciela trzeba by zamknąć.

– Wiesz, co mówią o marnej baletnicy, John? Zawsze zwała winę na rąbek spódnicy.

– Odpierdol się.

– Zaczyna mnie męczyć twoje niezwykle ograniczone słownictwo. Wiesz, co moim zdaniem powinniśmy robić z ludźmi takimi jak ty, zamiast skazywać ich na prace społeczne albo więzienie? Myślę, że powinniśmy przymusowo kształcić debili twojego pokroju, którzy tyle czasu spędzili odurzeni klejem do modeli, że do szkoły chodzili dwa tygodnie w roku. Wiesz, co bym zrobił? Najpierw kazałbym ci czytać słownik. Co najmniej dziesięć nowych słów na dzień. I dyktanda. Codziennie rano, po opróżnieniu wiadra. Dwanaście batów za każdy źle napisany wyraz. No i literatura. Mnóstwo literatury. Austen, Hardy, Dickens, Trollope, George Elliot. Grube książki. Oraz poezja: Wordsworth, Shelley, Dryden, Milton. I Shakespeare, Johnie. Tony Shakespeare'a. Uczenie się na pamięć wierszy i długich, cudownych mów. Analizowanie symboliki w *Makbecie* i *Otellu*. Brzmi pociągająco?

– Wolałbym być w pierdłu.

Banks westchnął.

– Będiesz, John, będziesz. To tylko taka moja fantazja. A teraz chciałbym, żebyś się przeniósł w czasie w tym twoim przyćmionym, zżartym przez robaki mózgu. Chciałbym, o ile uda ci się przedrzeć przez ten kawałek szwajcarskiego sera, który nazywasz umysłem, żebyś wrócił do zeszłego lata. A ściśle rzecz biorąc, do sierpnia. Dasz radę?

Spinks zmarszczył czoło.

– Chodzi o tę laskę, co ją zabito?

– Tak – odparł Banks. – Jak to ująłeś z wielką elokwencją, chodzi o tę laskę, co ją zabito.

Pamiętasz, jak się nazywała, John? Debora Harrison.

– Jasne, racja. Debbie.

– Dobrze. Coś się wydarzyło, prawda? Coś nieprzyjemnego?

– Nie wiem, o co panu chodzi.

– Jej matka i ojciec chrzestny cię wypędzili, tak?

– A, tak. Nadęte skurwysyny. Ale co to ma wspólnego...

– Mówiłem ci, John, nie postępuję według zasad. Ta rozmowa jest poza protokołem, nieoficjalna.

W porządku?

Spinks kiwnął głową, choć jego szkliste oczy zaczęły spoglądać podejrzliwie.

– Raz poszedłeś do lady Sylvie Harrison i powiedziałeś, że jeśli da ci pieniądze, to zostawisz jej córkę w spokoju. Tak było?

– I co z tego? To nie jest niezgodne z prawem. Mają kupę szmalu. Czemu miałbym się nie upomnieć o rekompensatę? Laska marnie się pierdoliła. Była jak worek z ziemniakami. Ale...

Banks tak mocno zacisnął ręce na oparciu krzesła, że knykcie mu pobieleały.

– Oszczędź mi swoich erotycznych wspomnień – powiedział. – Mogą mnie skłonić do zrobienia czegoś, czego będę żałował. Pewnie nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale już teraz z całych sił się powstrzymuję.

Spinks się roześmiał. Z kącika ust na brodę znowu popłynęła mu strużka śliny. Banks tak bardzo chciał mu przyłożyć, że musiał odwrócić wzrok.

– Kto wtedy był w domu?

– Co?

– Słyszałeś. Kto poza tobą był wtedy w domu?

– Och. Nie mówiłem? Wydaje mi się...

– Zrób mi przyjemność. Powiedz jeszcze raz.

– Dobra. Była matka Debbie, ta suka blondynka. I ten nadęty fiut Clayton. Pierdolone snoby.

– Debory nie było?

– Już mówiłem. Nie. – Głowa Spinksa zaczęła bezwładnie się kołysać z boku na bok. Narkotyki, czymkolwiek były, przestawały działać – albo w czasie wypadku doznał poważniejszych obrażeń niż powierzchowna rana. Dobrze, że posłali po doktora Burnsa.

– Kiedy przyszedłeś i zastałeś tam Michaela Clayтона, odniosłeś wrażenie, że coś się tam dzieje?

Spinks zamknął oczy. Głowa mu znieruchomiała.

– Nie wiem, o co panu chodzi.

– Przerwałeś coś?

– Przerwałem?

– Nie zachowuj się jak papuga. Odniosłeś wrażenie, że coś między nimi jest?

Spinks zmarszczył czoło, wycierając ślinę wierzchem dłoni. Kiedy otworzył oczy, miał problemy ze skupieniem wzroku.

– Coś jest? – powtórzył. – Czyli że on ją pieprzył? Czy ja myślę, że Clayton pieprzył tę wredną wiedźmę? – Wybuchnął głośnym śmiechem.

Banks cierpliwie poczekał, aż chłopak się uspokoi.

– No i co? Tak myślisz?

– Tylko świństwa panu w głowie, wie pan o tym?

– Tak myślisz?

Spinks wzruszył ramionami.

– Jak dla mnie, mogło tak być.

– Ale nie zauważyłeś nic odbiegającego od normy w sposobie, w jaki się do siebie odnosili?

– Nie.

– Oboje byli kompletnie ubrani?

– Jasne.

– Nie wyglądali na rozmamłanych?

– Niech pan powtórzy. Rozma co?

– To mam na myśli, mówiąc o obowiązkowej edukacji, rozumiesz? To znaczy w nieładzie, nieporządni, porozpinani.

– Aha. Nie. Ale tak dokładnie to nie pamiętam.

– Czy Debora kiedykolwiek coś o nich mówiła?

Pokręcił głową, gwałtownie znieruchomiał i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, po czym

znowu pokręcił głową.

– Nie.

Banks pochylił się do przodu. Przednie nogi krzesła uniosły się nad podłogą.

– Johnie, co chciałeś mi powiedzieć?

– Nic. Nigdy nic nie mówiła. – Zakaszłał i z ust na koszulkę popłynęły mu żółte wymiociny. Smród był straszny: alkohol, czipsy serowo-cebulowe i tacos. Banks wstał i się cofnął.

W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi i do środka weszła Susan Gay, a za nią doktor Burns, lekarz policyjny, który miał gabinet po drugiej stronie rynku.

– Przepraszam, sir – powiedziała Susan – ale jest doktor.

– Jasne. – Banks uściśnął rękę Burnswi. – Jest twój. Ja mam dość. Dobrze się nim zaopiekuj, Nick. Może jeszcze będę chciał z nim porozmawiać.

Rozdział 16

I

W sobotę rano Banks zaparkował przed domem Michaela Claytona, wziął głęboki wdech i wysiadł, po czym ruszył ścieżką przez ogród. Jeśli komendant Riddle się o tym dowie, życie Banksa nie będzie warte złamanego grosza.

Dom Claytona nie dorównywał wielkością siedzibie Harrisonów, chociaż był imponującą budowlą z czerwonej cegły i piaskowca, otoczoną dzikim ogrodem. Trawnik wyglądał, jakby w tym roku jeszcze go nie strzyżono, a chwasty zarosły rabatki.

Banks zadzwonił do drzwi; kiedy odpowiedziała mu cisza, zaczął podejrzewać, że Claytona nie ma. Spróbował ponownie. Po trzydziestu sekundach już miał zrezygnować, ale wtedy drzwi się uchyliły i Clayton wystawił głowę.

– Tak, słucham? – zapytał zirytowany. – Ach, to pan, inspektorze. – Cofnął się i otworzył drzwi na oścież. – Proszę wejść. Przepraszam za bałagan.

Banks poszedł za nim przez hol do pokoju wypełnionego sprzętem elektronicznym. Co najmniej trzy komputery, najnowsze osiągnięcia techniki, sądząc z wyglądu, stały na biurkach; na dwóch monitorach wyświetlały się podobne graficzne obrazy. Banksowi nic nie mówiły, wyglądały jak skrzyżowanie schematów elektrycznych ze schematami budowy cząsteczek, które pamiętał z lekcji chemii. Wszystkie były wielobarwne, niektóre węzły i połączenia migotały, inne na każdym ekranie. Na trzecim Banks rozpoznał talię kart rozłożoną do pasjansa piramida.

– Zawsze gram przy pracy – powiedział z uśmiechem Clayton. – To mi pomaga się skoncentrować. Proszę nie pytać dlaczego.

Na podłodze wiło się kłębowisko kabli, Banks ostrożnie stawiał stopy, żeby żadnego nie nadepnąć.

Niemal wyczuwał, jak powietrze wibruje od elektrycznego pomruku, który wydają.

Clayton zdjął stos czasopism komputerowych z krzesła. Banks już chciał zapytać, co przedstawiają diagramy na monitorach, wiedział jednak, że albo Clayton mu nie powie, albo on i tak nie zrozumie. Lepiej nie zaczynać od popisywania się ignorancją.

Arkusze papieru z sykiem wysunęły się z drukarki laserowej. Jeden z komputerów zaczął emitować głośne, pulsujące pikanie. Clayton przeprosił, po czym podszedł i nacisnął kilka klawiszy.

– Programy diagnostyczne – powiedział, wracając na poprzednie miejsce.

Ha, jasne, pomyślał Banks. Nawet on wiedział, czym są programy diagnostyczne. Chociaż zupełnie inną parą kaloszy było to, co mają diagnozować.

– Komputery – ciągnął Clayton. – One zmieniły świat, inspektorze. Nic nie jest takie samo jak wtedy, kiedy byliśmy dziećmi. I nadal go zmieniają. Proszę mi wierzyć, w całkiem nieodległej przyszłości nic nie będzie takie samo jak teraz. Przypuszczam jednak, że nie przyszedł pan dyskutować ze mną o technologii, prawda? Chciał pan przeprosić?

– Za co?

– Za pozwolenie, żeby ten drań, który zabił Deborę, prześliznął się przez sito. Wie pan, byłem w sądzie z Geoffreyem i Sylvie. To ich zdruzgotało, a ja od tamtego czasu z trudem potrafię się skupić na pracy. Jak mogliście do tego dopuścić?

Banks wzruszył ramionami.

– Widywałem takie rzeczy częściej niż pan. Nie żyjemy w doskonałym świecie.

– To prawda. Nie wiem, na czym teraz będzie polegać procedura, ale jeśli jakoś mogę pomóc... – Clayton podrapał się po gładko wygolonej brodzie. – Proszę posłuchać, słyszałem niepokojące plotki, że ten Pierce bije i gwałci młode dziewczyny. Czy to prawda?

– Nie mogę tego komentować.

– Ale jest jakiś dowód, uznany przez sąd za niedopuszczalny, tak? Coś, przez co mógłby zostać skazany, gdyby przysięgli o nim wiedzieli?

– Sędzia rozstrzyga kwestie prawne – odparł Banks – więc to mogłoby być mocną podstawą do apelacji. To naprawdę wszystko, co na razie mogę panu powiedzieć.

Clayton powiódł wzrokiem po monitorach.

– Dziękuję, inspektorze, że poinformował mnie pan o aktualnym stanie sprawy. Mogę jakoś pomóc?

Banks się pochylił.

– Prawdę mówiąc, mógłby pan. Jednym ze skutków decyzji sądu jest to, że ponownie otworzyliśmy dochodzenie i badamy od nowa inne wątki.

Clayton zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem. Złapaliście sprawcę czy nie?

– Ława przysięgłych uważa, że nie.

– Ale ja pytam pana. Wie pan o nim więcej niż mógł pan powiedzieć przysięgłym. Co pan myśli?

Banks miał już po dziurki w nosie tego pytania. Teraz rozumiał, co czują obrońcy, kiedy ludzie ciągle ich pytają, jak mogą bronić ludzi, o których wiedzą, że są winni.

– Nie widziałem, jak to zrobił, więc zawsze jest miejsce na wątpliwości – odparł.

Clayton parsknął.

– Więc tylko dlatego, że system sprawiedliwości po raz kolejny zawiódł, pan będzie biegał i otwierał stare rany.

– Miałem nadzieję, że będzie pan to postrzegał jako współpracę – powiedział Banks.

– W jakiej sprawie?

– Zaczniemy od Johna Spinksa.

– Tego kretyna, który latem narobił tyle kłopotów?

– Tego samego.

– Sylvie panu o nim powiedziała?

– Tak. Wczoraj znowu z nim rozmawiałem.

– Ale chyba pan nie myśli, że on mógł to zrobić?

– To niewykluczone – oznajmił Banks.

– Brakuje mu ikry i rozumu.

– A od kiedy to trzeba mieć rozum, żeby kogoś zabić? Pomijając bohaterów powieści kryminalnych.

– Trzeba mieć rozum, żeby to zrobić i się wywinąć.

– Rozum albo szczęście.

Clayton wzruszył ramionami.

– Ta sprzeczka nie ma sensu. Wszystko jest możliwe, jeśli się spojrzy na to z takiej strony. Na pewno był na nią zły z powodu tego, co się stało. Wyobrażam sobie, że gniew jest znajomym elementem jego ograniczonej skali emocjonalnej. Przypuszczam, że mógł się na nią zacząć i stracić panowanie nad sobą.

– Wiedział, że uczęszczała do klubu szachowego?

– Pojęcia nie mam.

– Jakoś wątpię, żeby wiedział – powiedział Banks. – Nie, jeśli nie spotykał się z nią po rozpoczęciu roku szkolnego. Tak czy owak to bez związku. Jak pan powiedział, znał trasę, którą chodziła, i mógł po prostu od końca lekcji czekać na nią na zasnutym mgłą cmentarzu. Jak rozumiem, Spinks przyszedł do domu sir Geoffreya, żeby wyłudzić pieniądze od lady Sylvie. Czy tak?

– Tak.

– A pan go uderzył.

– To był lekki klaps. Chyba nie zamierza mnie pan aresztować za napaść i pobicie, co?

Banks się uśmiechnął.

– Nie. Proszę mi wierzyć, nieraz miałem ochotę zrobić to samo.

– W takim razie rozumie pan, jakie uczucia we mnie budził.

– Całkowicie. Uderzył go pan, a później dał mu pieniądze?

– Tak. To się wydawało najłatwiejszym wyjściem.

– Ile mu pan dał?

– Sto funtów.

– To wszystko?

– Tak.

– Nie wrócił po więcej?

– Nie.

– Dlaczego?

Clayton się pochylił i oparł dłonie na kolanach.

– Ponieważ mu powiedziałem, że jeśli to robi, poinformuję o wszystkim sir Geoffreya, który w najlepszym razie każe go wychłostać, nieważne, jakimi strasznymi rzeczami będzie groził. – Clayton zmarszczył czoło i usiadł prosto. – Mówi pan, że znowu rozmawiał pan ze Spinksem?

Dlaczego? Czy to miało związek z otwarciem na nowo dochodzenia?

– Właściwie nie. To był zbieg okoliczności. Spinks ukradł samochód i rozbił go.

– Szkoda, że nie złamał sobie karku. Ten mały śmieć sobie na to zasłużył.

– Pewnie tak – odparł Banks i poczuł, jak serce zaczyna mu bić szybciej. – Co pan tam robił, kiedy przyszedł Spinks?

– O co pan pyta?

– Odniosłem wrażenie, że bardzo często pan tam bywa. Zwłaszcza kiedy sir Geoffreya nie ma, za to jest jego żona.

Clayton otworzył usta; zaczął wolno kręcić głową.

– Mój Boże, pana umysł to rysztoł – powiedział. – Nie wierzę własnym uszom. To, co pan sugeruje... – Przycisnął palce do skroni. – Pozwoli pan, że to sobie uporządkuję... Według pańskiej teorii Sylvie i ja mieliśmy gorący romans, Debora to odkryła i zagroziła, że powie o wszystkim ojcu. Nie chciałem do tego dopuścić, więc pewnego dnia, kiedy miała zajęcia w klubie szachowym, poczekałem na nią, swoją córkę chrestną, na cmentarzu i udusiłem ją. Tak brzmi pańska teoria?

– Tak daleko się nie posunąłem – odparł Banks. – Próbowałem tylko wybadać grunt, to wszystko. Muszę jednak przyznać, że potrafi pan zredukować sprawy do elementów istotnych. Dziękuję, że ujął

to pan tak treściwie.

Clayton wstał. Twarz miał purpurową.

– To jest chore, Banks. Chwyta się pan brzytwy. Myślę, że lepiej będzie, jak pan już pójdzie.

– Już wychodziłem, ale mam jeszcze jedno pytanie.

Clayton zacisnął zęby.

– Bardzo dobrze.

– Dotyczy rodzaju prac, które wykonuje HarClay Industries. Niektóre są supertajne, czy tak?

Zlecenia Ministerstwa Obrony?

– Owszem. I co z tego?

– Istnieje możliwość, że Debora mogła w dokumentach ojca natknąć się na coś, na co nie powinna?

Clayton pokręcił głową.

– Najpierw praktycznie oskarża mnie pan o morderstwo, potem wyciąga jakieś brednie żywcem z Jamesa Bonda. Nie, inspektorze, Debora nie mogła się natknąć na żadne tajemnice rządowe, z których powodu ją zamordowano. Myślę, że miał pan zabójcę i pozwolił mu się wywinąć. Teraz rozgląda się pan na oślep, szukając kozła ofiarnego.

Banks wstał.

– Może – przyznał.

– I do pańskiej wiadomości – ciągnął Clayton – znam Sylvie i Geoffreya od lat. Byłem przy tym, jak się poznali. Studiowałem z Geoffem. Sylvie Harrison jest moją bliską przyjaciółką. To wszystko. Nigdy nie łączyło nas nic więcej. Czy jasno się wyrażam?

Banks się odwrócił i spojrzał mu w oczy.

– Bardzo jasno.

– I ten jeden raz gotów jestem zapomnieć, że to spotkanie się odbyło. Jeśli jednak ośmieli się pan znowu przyjść ze swoimi...

Banks podniósł rękę.

– Zrozumiałem. Jeśli zadam więcej pytań, opowie pan o wszystkim komendantowi. Proszę bardzo.

Banks wyszedł i wszedł do samochodu. Kiedy zapalał pierwszego papierosa tego dnia, ręce mu się trzęsły.

II

Rebecca Charters początkowo nie miała pojęcia, co zrobić, kiedy w czwartek Owen Pierce

zaskoczył ją w ogrodzie. Była przerażona, jak powiedziała inspektorowi Banksowi, intuicja kazała jej pójść do domu, zaryglować drzwi i założyć łańcuch. Później już niczego nie próbował, chociaż musiał wiedzieć, że jest sama w domu, ale przez okno widziała, jak chwilę stał przy furtce do ogrodu, dopiero potem odszedł. Serce mocno jej waliło.

Po wyjściu Banksa zracjonalizowała swój strach. Pierce nic przecież nie zrobił, nawet się nie odezwał, nie groził jej. Może przesadnie zareagowała. Niewykluczone, że Pierce jest niewinny. Z całą pewnością inspektor Banks miał wątpliwości, a jego koncepcja, że Debora umówiła się na spotkanie z kimś, kto w ostatecznym rozrachunku okazał się jej mordercą, miała sens.

Kiedy jednak w sobotnie popołudnie Owen Pierce zapukał do jej drzwi, a Daniel w tym czasie odwiedzał śmiertelnie chorych pacjentów w szpitalu ogólnym w Eastvale, znowu ogarnął ją strach.

Dzień był ciepły, podobał się jej aromat kwiatów wpadających do salonu, dlatego wcześniej otworzyła okno wykuszowe. Zanim teraz podeszła, by je zamknąć na skobel, krzyknęła:

– Niech pan odejdzie, bo zadzwonię na policję!

– Proszę – odpowiedział. – Proszę mnie wysłuchać. Nie zrobię pani krzywdy. Nigdy nikogo nie skrzywdziłem. Chcę tylko z panią porozmawiać.

Zostawiła okno otwarte, ale położyła dłonie na framudze, gotowa w każdej chwili je zasunąć, gdyby wykonał jakiś podejrzany ruch.

– O czym?

– Po prostu porozmawiać. Proszę. Muszę z kimś porozmawiać.

Coś w jego tonie wzruszyło Rebecę, choć nie na tyle, by otworzyła przed nim drzwi.

– Dlaczego ze mną? – zapytała. – Przecież nawet mnie pan nie zna.

– Ale wiem o pani. Wiem, przez co pani przeszła. Poczuję... nie próbuję powiedzieć, że jestem wyjątkowo religijny ani nic takiego. Nie chcę kłamać w tej sprawie. Proszę, wpuści mnie pani i porozmawia ze mną? Niech ktoś potraktuje mnie jak istotę ludzką. Bardzo proszę.

Rebecca widziała łzy w jego oczach. Nadal nie wiedziała, dlaczego przyszedł. Nie mogła go wpuścić, ale też nie mogła odprawić. W końcu była chrześcijanką i żoną duchownego.

– Niech pan tam zostanie – powiedziała. – Wyjdę do pana. – Będzie się czuła bezpiecznie w ogrodzie, z ludźmi nieustannie przechodzącymi ścieżką nad rzeką.

Dlaczego to robię? – zapytała się w duchu, wychodząc z domu. Po części znała odpowiedź. Nie tak dawno temu pozwoliła sobie na zwątpienie wobec Daniela, własnego męża. Zamiast okazać mu bezwarunkowe poparcie i oddanie, uciekła przed swoimi zobowiązaniami w alkohol i rozpustę. Więcej nawet. Uciekała nie tylko przed zobowiązaniami, ale okropną świadomością, że zwątpiła

w Daniela, uwierzyła w jego winę. A teraz pojawił się ten żaloszny człowiek, uniewinniony przez ławę przysięgłych i przypuszczalnie uznany za winnego przez resztę świata. Niech to będzie litość, współczucie, chrześcijańska dobroć albo zwykłe szaleństwo, ale nie mogła mu odmówić.

Daniel wystawił do ogrodu dwa składane krzesła. Kiedy pogoda była ładna, lubił popatrywać na rzekę, układając kazanie. Z ogrodu rozciągał się też piękny widok na St. Mary's Hill, zadbane stare domy nad łagodnym zboczem porośniętym trawą i drzewami. Oto ja, pomyślała Rebecca, w ciepłe czerwcowe popołudnie siedzę z człowiekiem, który być może jest mordercą.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego pan przyszedł – powiedziała.

– Mówiłem. Chcę – potrzebuję – przyjaciela. Albo przyjaciół. Gdziekolwiek idę, ludzie odwracają się plecami. Jestem samotny i przerażony. Słyszałem o problemach pani męża. Ale pani stała przy jego boku, niezależnie od tego, jak było ciężko. Ja nie mam nikogo.

Ironia tkwiąca w jego słowach omal nie sprowokowała Rebekki do głośnego śmiechu. Powstrzymała się jednak i powiedziała:

– Tak, było ciężko. Ale sąd pana uniewinnił. Jest pan wolny.

Owen prychnął.

– Nie uniewinnił, tylko uznał, że nie udowodniono mi postawionych zarzutów. To coś innego. Tak czy owak nie o to chodzi. Tak naprawdę wcale nie jestem wolny. Wszyscy wierzą w moją winę.

– A jest pan winny?

– Uwierzy mi pani, jeśli przysięgnę, że odpowiem zgodnie z prawdą?

Rebecca poczuła, jak serce zaczyna szybciej jej bić. To było takie proste pytanie, wydawało się jej jednak, że wiele od niego zależy. Nie chodziło tylko o samego Owena Pierce'a, o tu i teraz, ale o jej moralność, jej zdolność do okazania ufności, a nawet samą wiarę. Uświadomiła sobie, że Pierce na nią patrzy, i pojęła, że wstrzymała oddech. W końcu wypuściła powietrze i skoczyła na głęboką wodę.

– Tak – powiedziała. – Uwierzę.

Pierce patrzył jej prosto w oczy.

– Nie zrobiłem tego.

Jakimś sposobem Rebecce ogarnęła wielka ulga.

– Jak możemy panu pomóc? – zapytała.

Niemal jakby nie wierząc we własne szczęście, Pierce przez chwilę milczał. Oczy wypełniły mu się łzami i przez moment Rebecca miała ochotę wziąć go za rękę. Ale tego nie zrobiła.

Wreszcie łamiącym się głosem Owen powiedział:

– Potrzebuję pomocy. Muszę na nowo poukładać sobie życie, a nie jestem w stanie zrobić tego sam. – Mówiąc, odzyskał panowanie nad sobą i pośpiesznie wytarł łzy. – To może się wydawać zimne, wyrachowane, ale takie nie jest. Kiedy się zorientowałem, kim pani jest, przypomniałem sobie panią z sądu. Przyciągnęło mnie do pani, ponieważ pomyślałem, że zrozumie pani, jak to jest być uważanym za winnego, chociaż jest się niewinnym, dostrzeże całą tę hipokryzję, z którą mówią o prawdzie i sprawiedliwości. Jestem pewien, że pani mąż nie zrobił tego, o co go oskarżono. Tak samo jak ja.

– Ale ja myślałam, że będzie pan na nas zły. Mój mąż zeznawał przeciwko panu.

Owen pokręcił głową.

– On tylko powiedział prawdę. To w całej sprawie nic nie zmieniło. Byłem na tym moście. Nigdy się tego nie wypierałem. A dla pani znalezienie ciała musiało być straszne. Nie, nie mam do was pretensji. Proszę posłuchać, nie mam przyjaciół, pani Charters. Wszyscy mnie opuścili. Nie mam bliskiej rodziny. Nawet nieznajomi traktują mnie jak potwora, kiedy mnie rozpoznają. Potrzebuję wsparcia, publicznego wsparcia. Ludzie muszą zobaczyć, że uczciwe, inteligentne osoby nie uważają mnie za monstrum. Potrzebuję pani po swojej stronie. Pani i pani męża.

– Niewykluczone, że przyszedł pan w niewłaściwe miejsce – odparła Rebecca. – Przecież nie chce pan się przyłączyć do przegrywających. Proszę pamiętać, mąż nadal jest podejrzany.

– Tak, ale mimo to dał sobie radę. I wiem, że pani w niego wierzy. Stała pani przy nim. Podobnie jak wielu innych członków kongregacji, jestem o tym przekonany. Nie widzi pani, pani Charters, że obaj jesteśmy ofiarami, pani mąż i ja?

Rebecca myślała o tym przez chwilę, wspominając hipokryzję niektórych parafian.

– W porządku – powiedziała. – Niczego nie mogę zagwarantować, ale porozmawiam z mężem.

– Dziękuję pani – szepnął Owen.

– Ale robi pan coś dla mnie?

– Oczywiście.

– Przyjdzie pan jutro rano do kościoła? Nie próbuję pana nawrócić ani nic takiego, ale byłoby dobrze, gdyby zobaczono pana w kościele. Ludzie, którzy nadal przychodzą do Marii Panny, ogólnie rzecz biorąc, stanęli po stronie Daniela i wierzą w jego niewinność, jak pan to ujął. Jeśli wprowadzimy pana do grona parafian, być może tak samo odniosą się do pana. Wiem, że to pewnie wyda się hipokryzją, ale ludzie osądzają po pozorach, tak to jest, sam pan wie, więc gdyby... Dlaczego pan się śmieje?

– Przepraszam, pani Charters, bardzo przepraszam. Nie potrafiłem się powstrzymać. Oczywiście,

że przyjdę do kościoła. Niech mi pani wierzy, to wydaje się bardzo małą ceną.

III

Tuż po drugiej w nocy Banks znowu obudził się z niepokojącego snu. Wieczorem wybrali się z Sandrą i starymi przyjaciółmi, Harriet i Davidem Slade'ami, na folkowy wieczór w Dog and Gun w Helmthorpe. Gwiazdą wieczoru była Penny Cartwright, piosenkarka, która kilka lat temu zrezygnowała ze sławy i bogactwa i osiedliła się w Helmthorpe. Banks ją poznał, prowadząc dochodzenie w sprawie śmierci Harolda Steadmana, miejscowego historyka, i potem kilka razy się spotkali. Rozmawiali przyjacielsko, choć zawsze panowało między nimi napięcie i teraz też Banks się ucieszył, kiedy pogawędka dobiegała końca.

Za to jej śpiewem można się było rozkoszować. Alt, schrypnięty na niskich tonach, na wysokich czysty i wyraźny, zawierał też kontrolowane emocje ocalonej. Śpiewała utwory tradycyjne i współczesne, od dzieł anonimowych twórców do Zimmermana, a jej wykonanie *I Dreamed I Saw St. Augustine* tego ostatniego sprawiło, że Banksowi po kręgosłupie przeszedł dreszcz i pod powiekami zaszczypały go łzy.

Teraz jednak, przesadziwszy trochę z porto i stiltonem u Harriet i Davida, Banks cierpiał. Często myślał, że niebieskie żyłki w serze, będąc pleśnią, odznaczają się słabymi właściwościami halucynogennymi i powodują niespokojne sny. Nie miało znaczenia, że jeszcze nie znalazł naukowca, który by się z nim zgodził – był o tym przekonany. Ponieważ za każdym razem, kiedy jadł stiltona, to się powtarzało.

To nie były przyjemne sny z rodzaju tych, które wywołują w człowieku poczucie, że dobrze się wyspał, ale nagłe i niepokojące transformacje zachodzące tuż pod progiem świadomości: gry komputerowe zmieniające się w rzeczywistość, samochody przebijające się przez ekrany monitorów, duch młodej kobiety idący przez zasnutą mgłą cmentarz. W jednym umierał na raka i nie potrafił sobie przypomnieć, jak wyglądają jego dzieci. Przez cały czas głosy szeptały o kochankach-demonach i kruki oczyszczały zwłoki do kości.

Z tego też powodu Banks wcale się nie zdenerwował, kiedy zadzwonił telefon. Był zdziwiony, ale w pewnym sensie ulżyło mu, że uratowano go z otchłani tych sennych rojeń. Choć równocześnie niepokój ścisnął mu serce, kiedy się odwrócił i podniósł słuchawkę. U jego boku Sandra się poruszyła, postarał się więc mówić cicho.

– Sir?

– Tak – mruknął Banks. To był kobiecy głos.

– Mówi posterunkowa Gay. Dzwonię z posterunku.

– Co ty tam robisz? Stało się coś?

– Przepraszam, że pana niepokoję, ale wygląda na to, że było następne.

– Co?

– Zniknęła następna dziewczyna, sir. Ellen Gilchrist. Dzisiaj wieczorem poszła na dyskotekę do liceum i nie wróciła do domu. Jej rodzice z niepokojem chodzą po ścianach.

Banks usiadł, wysuwając nogi spod kołdry. Sandra przewróciła się na drugi bok.

– Gdzie teraz są? – zapytał.

– Tutaj, sir, na posterunku. Nie byłam w stanie ich powstrzymać. Mówiłam, że robimy, co w naszej mocy, ale...

– Dzwoniliście do jej przyjaciół, chłopaków?

– Tak jest. Dzwoniliśmy do każdego, kto przyszedł na myśl jej rodzicom. Pół miasta postawiliśmy na nogi. O ile rozumiem, wyszła z dyskoteki tuż po jedenastej. Bolała ją głowa. Mieszkają na osiedlu Leaview, więc miała do przejścia jakieś czterysta metrów King Street. Rodzice zaczęli się niepokoić, kiedy nie pojawiła się o północy, jak było ustalone. Zadzwonili do nas o wpół do pierwszej. Sir?

– Tak?

– Powiedzieli, że normalnie poczekaliby do pierwszej, potem nagadali jej do słuchu i odesłali do łóżka. Ale słyszeli o mordercy, który wyszedł na wolność. O Owenie Piersie. Dlatego tak szybko się do nas zwrócili.

Banks potarł oczy, próbując raz na zawsze pozbyć się wywołanych stiltonem rojeń. Westchnął. Od jednego koszmaru do drugiego.

– W porządku – powiedział. – Niech ktoś zaparzy mocnej kawy, dobrze, Susan? Zaraz tam będę.

Więcej ciekawych ebooków na: <http://ebookgigs.pl>

Rozdział 17

I

Turysta z Middlesborough, ranny ptaszek, który bladym świtem wyruszył z pensjonatu w Skield, o ósmej rano znalazł ciało dziewczyny schowane w sfałdowaniu Witch Fell, wzgórza górującego nad wioską. Godzinę później detektywi z Eastvale i kryminaliści zaczęli powoli się zjeżdzać, wkrótce zjawił się doktor Glendenning. Kiedy dotarł na miejsce, gdzie leżało ciało, nie mógł złapać tchu.

Banks stał na krawędzi tarasu, jak podejrzewał na starożytnym angielskim polu uprawnym, wyrównanym na zboczu wzgórza. Tego rodzaju pola tworzyły serię stopni, z których ten był pierwszy. Pas miał około dziesięciu metrów szerokości i niewielkie zagłębienie w środku.

Dziewczyna leżała z rozpostartymi rękoma właśnie w tym zagłębieniu, jakby w kielichu kwiatu. Mała łąka była pełna stokrotek i jaskrów, muchy i delikatniejsze owady bzyczały, niektóre na moment lądowały na bladej, napiętej skórze dziewczyny.

W jej długie blond włosy, które leżały na jasnozielonej trawie wokół głowy niczym aureola na rosyjskiej ikonie, wpleciono kilka jaskrów i stokrotek. Krótka spódniczka była podkasana wysoko na biodra, bluzka rozdarta, podniesiony stanik odsłaniał małe blade piersi, obok leżały figi. Podchodząc bliżej, Banks dostrzegł odbarwienia na jej szyi i otwartą torebkę na ramię, z której część zawartości wysypano na trawę: szminkę, portmonetkę, puder, pilnik do paznokci, gumę do żucia, perfumy, klucze, notes, kolczyki, szczotkę do włosów.

Podobieństwa do morderstwa Debory Harrison były zbyt wielkie, żeby je ignorować. A Banks właśnie zdążył siebie przekonać, że Deborę z jakiegoś logicznego powodu zabił ktoś, kogo znała. Teraz wyglądało na to, że mają do czynienia z psychopatą seksualnym, który zamordował dwie młode dziewczyny w okolicy.

Banks się wycofał, kiedy Peter Darby robił zdjęcia, potem obserwował doktora Glendenninga przeprowadzającego badania na miejscu zbrodni. Do tego czasu przyjechał nadinspektor Gristhorpe i rozeszły się plotki, że u stóp wzgórza nerwowo krąży Jimmy Riddle, próbując podjąć decyzję, czy wybrać się na krótką wspinaczkę, czy poczekać, aż inni zejną do niego.

Banks powąchał powietrze. Był kolejny pogodny poranek. Kilka owiec stało przed kamiennym murkiem, jakby marząc, żeby zniknął. Ale murek nie zniknie, Banks o tym wiedział. Podobnie jak do jutra nie zniknie węzeł w jego wnętrznościach, który był jak zaciśnięta pięść.

– No i? – zapytał, kiedy lekarz skończył badanie.

– Jako że nie jesteśmy w sądzie, mój chłopcze— odparł Glendenning z krzywym uśmiechem – mogę ci powiedzieć, że prawdopodobnie umarła między dziesiątą wczoraj wieczorem a pierwszą, drugą w nocy.

– Myślisz, że zabito ją tutaj?

– Wskazują na to plamy opadowe na plecach i udach.

– Czyli przywiózł ją tu żywą aż z Eastvale?

Banks dokonał obliczeń w myślach. Dziewczyna, Ellen Gilchrist, zaginęła tuż po jedenastej wieczorem, gdy wracała do domu. Z Eastvale do Skiold było około czterdziestu pięciu kilometrów, ale część trasy prowadziła złymi drogami przez trzęsawiska, gdzie nie można jechać szybko, zwłaszcza nocą, choćby dlatego, że owce mają skłonność do wędrowek, a każdy, komu się to przytrafiło, powie wam, że zderzenie z owcą w ciemności jest bardzo nieprzyjemnym doświadczeniem. Zwłaszcza dla owcy.

Banks ocenił, że zabójcy zajęło to pewnie około godziny, jeśli pojechał okrężną drogą, żeby nikt go nie widział. Dlaczego zadał sobie tyle trudu? Czemu nie porzucił jej gdzieś w Eastvale? Czy to miejsce było dla niego ważne, stanowiło część jego profilu? Miał nadzieję, że tutaj ciała dłużej nikt nie znajdzie? Ale na to za bardzo nie mógł liczyć, pomyślał Banks. Skiold i Witch Fell były popularnymi miejscami wśród turystów, zwłaszcza przy dobrej pogodzie.

– Za lewym uchem ma brzydką ranę – powiedział Glendenning – co oznacza, że przypuszczalnie była nieprzytomna, kiedy ją tutaj przyniósł i udusił. Wygląda na to, że ranę mógł spowodować młotek albo inny ciężki przedmiot. Przyczyną śmierci, oczywiście nieoficjalnie, jest zadzierzgnięcie, tak jak poprzednio. Tym razem jest to pasek torebki na ramię, nie tornistra.

– Tu też torebka była otwarta – zauważył Banks.

– Tak – przyznał Glendenning. – Cóż, można już odesłać ciało do kostnicy – powiedział i odszedł.

Banks próbował w myślach odtworzyć przebieg wydarzeń, jakby to był film: dziewczyna żegna się z przyjaciółmi na końcu School Lane, wchodzi na King Street, zatłoczoną, gdy pełno na niej turystów, ale spokojną w nocy, bo otwarte są tylko nieliczne puby. Są tu latarnie uliczne, choć nie jest to szczególnie mocno oświetlony rejon. Większość młodzieży nadal jest na dyskotecę, Ellen jednak wraca do domu przed porą wyznaczoną przez rodziców, bo boli ją głowa, a przynajmniej tak powiedziała im jej przyjaciółka. Schodzi samotnie wzgórzem w stronę osiedla Leaview, co powinno jej zająć najwyżej dziesięć minut. Zatrzymuje się samochód. Albo kierowca już czeka przy drodze z wygaszonymi światłami, wiedząc o zabawie w liceum i licząc, że ktoś beztriosko będzie samotnie wracał do domu.

Stoi obok samochodu i wygląda nieszkodliwie. Nie potrafi uwierzyć w swoje szczęście. Znowu blondynka, tak samo jak Debora Harrison, i mniej więcej w tym samym wieku. A może ją wybrał? Obserwował wcześniej? Znał ją?

Łapie przechodzącą obok niego dziewczynę i wciąga na tylne siedzenie samochodu, zanim ta zdąży się obejrzeć. Pewnie próbuje krzyczeć, ale on zatyka jej usta dłonią. Uderza ją i dziewczyna traci przytomność. Siedzi w samochodzie nieprzytomna, zza ucha płynie jej krew. Sprawca przypina ją pasami i odjeżdża. Może ktoś widział samochód, ktoś, kto też wyszedł z dyskoteki? Śpieszy się, musi ją wywieźć w jakieś odosobnione miejsce, zanim ktoś go zobaczy.

Przez całą drogę do Skiold rozmyśla o tym, co zamierza z nią zrobić. Oczekiwanie jest niemal tak samo podniecające jak sam czyn, może nawet bardziej. Wyczekuje, a później na nowo przeżywa, raz po raz odgrywając zdarzenie w myślach.

Parkuje gdzieś z dala od drogi, ukrywa samochód za kępą drzew, i wlecze dziewczynę w górę zbocza. Pierwsze poletko nie jest daleko i podejście tam nie jest strome, ale on się poci z wysiłku i niewykluczone, że dziewczyna przytomnieje, próbuje walczyć, uświadamiając sobie, że zaraz stanie się coś strasznego. Docierają do poletka, on ją kładzie na trawie i robi... cokolwiek robi.

– Alan?

– Co? Och, przepraszam. Zamyśliłem się.

Podeszli do niego nadinspektor Gristhorpe i posterunkowa Gay; mundurowi przeszukiwali teren.

– Lepiej wracajmy na posterunek i zabierzmy się do pracy – powiedział Gristhorpe. – Możemy zacząć od przesłuchania wszystkich znajomych, którzy byli z nią na dyskoteci, przejść się od domu do domu po King Street, sprawdzić puby. Załatwię ludzi do zrobienia tego samego w Skiold. Nigdy nie wiadomo, może ktoś cierpiał na bezsenność.

– Sir?

Banks i Gristhorpe odwrócili się. Posterunkowy Weaver, jeden z przeszukujących, podszedł do nich, trzymając coś na końcu ołówka. Z bliska Banks zobaczył, że to przezroczysty pojemnik, w którym sprzedawano filmy szerokości trzydziestu pięciu milimetrów. Mieszkając z Sandrą, widywał je często.

– Znalazłem w trawie blisko ciała – powiedział Weaver.

– Obok torebki? – zapytał Gristhorpe.

– Nie, sir, dlatego wydało mi się to dziwne. Pojemnik leżał po drugiej stronie, kilka metrów dalej. Myśli pan, że mógł należeć do zabójcy?

– Może należeć do kogokolwiek, chłopcze – odparł Gristhorpe. – Na przykład do jakiegoś turysty.

Ale trzeba jak najszybciej zdjąć z niego odciski. – Zwrócił się do Banksa. – Może to taki, co lubi fotografować swoje ofiary?

– Niewykluczone – przyznał Banks. – A my już znamy jednego zapalonego fotografa amatora, prawda? Powiem Vicowi Mansonowi, żeby od razu się tym zajął. Powinien zdążyć porównać odciski do południa.

W tej samej chwili czerwona łysa głowa, lśniąca od potu, pojawiła się nad brzegiem łąki.

– Co tu się dzieje? – wykrztusił komendant Riddle.

– Już tu skończyliśmy, sir – odparł Banks, uśmiechając się zuchwale. Wyminął Riddle'a i ruszył w dół zbocza.

II

W kościele było gorąco i unosił się zapach kurzu palącego się na grzejniku elektrycznym. Owen gdzieś usłyszał, że kurz to w większości martwy naskórek. Co oznaczało, że kościół pachniał jak palące się martwe fragmenty ludzkie. Piekło? Ciało to trawa. Stosy martwej suchej trawy płonące na działkach, jesienne rżyska palące się na polach, rozległe dywany ognia w oddali, słupy dymu wznoszące się i wirujące w nieruchomym mroczniejącym ze zmierzchem powietrzu.

Zdjął marynarkę i rozluźnił krawat. Nigdy nie czuł się swobodnie w kościołach. Jego rodzice byli nieugiętymi ateistami, a on w kościele bywał wyłącznie na ślubach i pogrzebach, dlatego zawsze miał na sobie garnitur i krawat.

Jasne, wszystko w porządku, jeśli byłeś turystą podziwiającym saskie chrzcielnice i gotyckie łuki, ale zupełnie czym innym było słuchanie pastora paplającego przy ołtarzu o miłości do bliźniego swego. Owen nigdy nie ufał typom przesadnie podkreślającym związki z Kościołem, bo miał wrażenie, że instytucja ta nadaje w oczach ogółu aurę szacowności wielu ludziom, którzy swoje perwersje uprawiają w zaciszu domu. Teraz jednak pastorem był David Charters, jeden z garstki sojuszników, jakich Owen miał na całym świecie.

Tematem dzisiejszego kazania była wyświechtana kwestia, że w gazetach są jedynie złe wiadomości, które mogą nastawić nas cynicznie do świata, chociaż w rzeczywistości wokół nas wciąż dzieją się cuda.

Tamtego ranka Owen niewątpliwie mógł się zgodzić z pierwszą częścią kazania, ale nie z optymistycznym zakończeniem. Zanim wyszedł do kościoła, zwinął w kulkę „News of the World” i rzucił na drugi koniec pokoju.

Sądząc po spojrzeniach, które na sobie skupił, kiedy wszedł do kościoła, i po sposobie, w jaki

wielu wiernych nachyliło się ku sobie i coś szeptało, przysłaniając usta dłońmi, nawet należąca do wyższych klas społecznych klientela Marii Panny zerknęła na „News of the World” przy cappuccino i croissantach.

A tam na pierwszej stronie widniał tytuł wydrukowany wytłuszczonymi czarnymi literami: **HISTORIA, KTÓREJ NIE MOGLI OPOWIEDZIEĆ W SĄDZIE**. Znajomy dziennikarz dokładnie wypytał Michelle. W tekście znalazła się wzmianka o „upodobaniu Owena do fotografowania”, ujęta w taki sposób, że zabrzmiało to jak coś do szczeru podejrzanego, oraz o jego skłonności do „dziwnych pozycji”. Wyglądało też na to, że lubił ostry seks, a jeśli chodzi o partnerki, to im młodsze, tym lepiej. Ogólnie rzecz biorąc, Michelle została przedstawiona bardziej jako ofiara niż chętna kochanka. Owen przypuszczał, że to było jej intencją.

Artykuł uzupełniały stare, lekko zamazane zdjęcie ich dwojga oraz urywek listu, który Owen napisał do niej, kiedy wyjechał na konferencję. Był to całkowicie nieszkodliwy przekaz z rodzaju „nie mogę się doczekać, kiedy cię znowu zobaczę”, ale w tym kontekście oczywiście nabrał o wiele bardziej niepokojącego charakteru.

Owen pamiętał, kiedy zrobiono tę fotografię. Niedługo po tym, jak Michelle się do niego wprowadziła, wyjechali na wakacje do Dorset i odwiedzali różne miejsca związane z powieściami Thomasa Hardy’ego. Na małym cmentarzu w Stinsford, gdzie pochowano serce pisarza, poprosili amerykańskiego turystę o zrobienie im zdjęcia aparatem Owena. Wyszło zamazane, ponieważ Amerykanin nie opanował w stopniu zadowalającym sztuki ręcznego nastawiania ostrości.

Jakimś sposobem widok tego zdjęcia i własnego pisma w niedzielnym tabloidzie rozgniewał Owena bardziej niż zawarte w artykule insynuacje. Michelle dała te rzeczy dziennikarzowi. To było pogwałceniem ich relacji, zdradą większą nawet od tego, co o nim mówiła. Szybko zaczynał żałować, że nie zabił Michelle.

Cały artykuł krzyczał o jego winie, protestował przeciwko pomyłce wymiaru sprawiedliwości, chociaż autor nie napisał tego wprost, nie użył tylu słów. Głównie stawiał pytania. Owen się zastanawiał, czy powinien pozwać gazetę do sądu o zniesławienie. Ale ci prasowi redaktorzy byli cwani, weryfikowali wszystko przed oddaniem do druku, stać ich było na zatrudnienie zespołu prawników i mieli pieniądze odłożone na wielkie batalie prawne. Mimo to rzecz była warta rozważenia.

Ławka przed nim zaskrzypiała, co sprowadziło go z powrotem na ziemię. Uświadomił sobie, że się poci, naprawdę się poci, zaczynało też kręcić mu się w głowie i miał nudności. W kościołach nie powinno być tak gorąco. Miał nadzieję, że nabożeństwo długo nie potrwa, a przede wszystkim liczył,

że Daniel o nim nie wspomni.

Śpiewali hymn, pamiętał, że słyszał go raz na weselu, potem były kolejne czytania i modlitwy. Odnosił wrażenie, że ciągnie się to w nieskończoność. Teraz musiał też iść do toalety i niespokojnie wiercił się na siedzeniu.

Jeden z lektorów przeczytał frazę o widzeniu czegoś „jakby w lustrze, niejasno” i Owenowi zabrało chwilę, nim zrozumiał, że to zaakceptowana współczesna wersja „jak przez szkło, mrocznie”, i pomyślał, że to opis jego życia. Jak mogli, zastanawiał się tkwiący w nim anglista, całkowicie zniszczyć jedną z najbardziej wibrujących fraz w Biblii, nawet jeśli ludzie mieli kłopot ze zrozumieniem jej znaczenia. A zresztą od kiedy to religia dotyczy jasnego, dosłownego, logicznego znaczenia?

Wreszcie nabożeństwo się skończyło. Ludzie się odprężyli, rozmawiając, wolno kierowali się do drzwi. Wielu zerkało na niego. Jedna czy dwie osoby zdobyły się na przelotne uśmiechy. Niektórzy znacząco się odwracali, inni do siebie szeptali.

Owen poczekał, aż większość wyjdzie. W opustoszałym, otwartym kościele trochę się ochłodziło. Nadal musiał skorzystać z toalety, ale to nie było pilne, mógł poczekać, aż znajdzie się na plebanii. Taki był plan: podwieczorek na plebanii. Ledwo mógł w to uwierzyć.

Kiedy pozostało kilka osób, Owen wstał i ruszył do wyjścia. Przed drzwiami Chartersowie rozmawiali z parafianką. Rebecca położyła Owenowi dłoń na ramieniu, nie pozwalając mu odejść, i uśmiechnęła się. Daniel ucisnął mu dłoń i przedstawił go staruszce, która spojrzała na swoje praktyczne buty, wymruczała jakieś powitanie i natychmiast odeszła. Nie ulegało wątpliwości, że to musi potrwać.

– No cóż – Daniel wyjął chusteczkę i wytarł swoje wilgotne czoło – chyba powinniśmy być wdzięczni losowi, że nie ma sir Geoffreya i jego żony.

Owen nawet o tym nie pomyślał. Gdyby wpadło mu do głowy, że mógłby natknąć się na rodziców Debory Harrison, nie zbliżyłby się do kościoła na kilometr.

Daniel najwyraźniej zobaczył strach na twarzy Owena, bo wyciągnął rękę i musnął jego ramię.

– Przepraszam – powiedział. – Okazałem brak wrażliwości. Po prostu kiedyś uczęszczali do naszego kościoła. Nieważne, chodźmy.

Owen wyszedł z kościoła z Danielem i Rebeccą, zadowolony, że znowu może odetchnąć świeżym powietrzem, i ucieszony świadomością, że nie jest kompletnie sam przeciwko światu. A potem zobaczył czworo policjantów śpieszących asfaltową ścieżką od furtki przy North Market Street. Powiedział sobie, że powinien uciekać, ale tak samo jak Daniel i Rebecca po prostu skamieniał.

– Znowu się spotykamy, Owenie – powiedział Banks, kiedy później tej samej niedzieli siedzieli w pokoju przesłuchań komendy w Eastvale. – Miło z twojej strony, że pomagasz nam w dochodzeniu. Pierce wzruszył ramionami.

– Nie sądzę, żebym miał wybór. A tak dla formalności, tym razem też jestem niewinny. Choć nie przypuszczam, żeby to dla was miało znaczenie, prawda? Nie uwierzycie mi, jeśli to coś, czego nie chcecie słuchać. Ostatnim razem tak było.

Bardzo mało światła sączyło się przez zakratowane, brudne okno, a goła żarówka pod sufitem miała tylko trzydzieści watów. W pokoju znajdowały się trzy osoby: Banks, Susan Gay i Owen Pierce.

Jeden z obdarzonych wrażliwością społeczną parafian u Marii Panny usłyszał w wiadomościach o zamordowaniu Ellen Gilchrist, kiedy jechał do domu z porannego nabożeństwa, i nie marnując czasu, zadzwonił z telefonu w samochodzie na policję z informacją, że człowiek, którego szukają, był w kościele Marii Panny i jeśli się pośpieszą, może go tam zastać. Pośpieszyli się. I go zastali.

Banks słyszał tłum skandujący i wykrzykujący hasła przed komendą. Łaknęli krwi Pierce'a. Wyciekła informacja, że zabrano go na przesłuchanie w związku z zamordowaniem Ellen Gilchrist, a opinia publiczna działa szybko, kiedy chodzi o dodanie dwa do dwóch i uzyskanie wyniku, na jakim jej zależy.

Ludzie zaczęli się zbierać niedługo po przywiezieniu Pierce'a na komendę i od tego czasu ciągle ich przybywało. W dodatku nastroje się pogarszały. Banks się bał, że dojdzie do linczu, że jeśli Pierce wychyli nos za próg, zostanie rozerwany na strzępy. Będą musieli go zatrzymać, jeśli nie z innych powodów, to dla jego bezpieczeństwa.

Już kilka plam krwi widniało na jego białej koszuli, skutek „oporu podczas aresztowania”, jak twierdzili funkcjonariusze, a pod prawym okiem tworzył się siniak.

Banks włączył magnetofony, wygłosił formułę o prawach oraz podał godzinę rozpoczęcia przesłuchania i nazwiska obecnych.

– Oni mnie uderzyli – powiedział Pierce w momencie, gdy szpule zaczęły się kręcić. – Ci policjanci, którzy mnie tu przywieźli. Kiedy zostali ze mną sami w samochodzie, uderzyli mnie. Widzi pan krew na mojej koszuli.

– Chcesz im postawić zarzuty?

– Nie. Co by to dało? Chcę tylko, żeby pan wiedział, to wszystko. Żeby to się znalazło w protokole.

– Dobrze. Owenie, gdzie byłeś wczoraj wieczorem około jedenastej?

– W domu. Oglądałem telewizję.

– Co oglądałeś?

– Stary film na BBC.

– Jaki?

– *Edukacja Rity*.

– O której się zaczął?

– Około wpół do jedenastej.

– I trwał?

– Nie wiem. Byłem zmęczony. Zasnąłem, zanim się skończył.

– Zwykle tak robisz? Zaczynasz coś oglądać i w połowie dajesz sobie z tym spokój?

– Jeśli jestem zmęczony. Prawdę mówiąc, zasnąłem na sofie przed telewizorem. Kiedy się obudziłem, ekran śnieżył.

– Nie sprawdziłeś, która godzina?

– Nie. Dlaczego miałbym to robić? Donikąd się nie wybierałem. Ale musiało być po drugiej. BBC zwykle o tej porze kończy program.

Głos miał zduszony, zauważył Banks, odpowiadał automatycznie, jakby go nie obchodziło, co się stanie. Chociaż na dnie jego oczu nadal płonęło światło. Niewinność? Szaleństwo?

– Widzisz, Owenie – ciągnął – wczoraj w nocy zamordowano następną dziewczynę. Siedemnastoletnią uczennicę liceum w Eastvale. Z pewnością ten sam sprawca zamordował Deborę Harrison, identyczna metoda i elementy rytualne, a my myślimy, że tym sprawcą jesteś ty.

– Idiotyczne. Oglądałem telewizję.

– Sam?

– Ostatnio zawsze jestem sam. Zadbaliście o to.

– Więc rozumiesz nasz problem? Byłeś w domu sam, oglądałeś w telewizji stary film. Każdy może tak powiedzieć.

– Ale ja nie jestem każdy, prawda?

– Jak ci idzie z fotografowaniem, Owenie?

– Co?

– Jesteś zapalonym fotografem, nie myłę się? Pytałem, jak ci idzie.

– Nie idzie. Ktoś się włamał do mojego domu podczas trwania rozprawy. Ten drań zabił moje rybki i zniszczył aparaty.

– Przykro mi – odparł Banks po chwili.

– Założę się, że bardzo.

Banks wyjął plastikowy pojemnik i pokazał go Owenowi.

– Wiesz, co to jest?

– Oczywiście.

– Należy do ciebie?

– A skąd mam wiedzieć? Takich pojemników są miliony.

– Problem w tym, Owenie, że znaleźliśmy go blisko ciała i są na nim twoje odciski palców.

Owen zeszywniał, jakby wszystkie jego mięśnie równocześnie się napięły. Z twarzy odpłynęła mu krew.

– Co takiego?

– Zdjęliśmy z niego twoje odciski palców, Owenie. Może wyjaśnisz, skąd się tam wzięły.

– Ja... ja... – Zaczął wolno kołysać głową z boku na bok. – Więc musi być mój.

– Mów głośniej, Owenie. Co powiedziałeś?

– Musi być mój.

– Masz jakiś pomysł, jak się znalazł na wsi pod Skield?

– Skield?

– Tak jest.

Owen pokręcił głową.

– Byłem tam niedawno.

– Wiemy – po raz pierwszy odezwała się Susan Gay. – Popytaliśmy w pubie i w wiosce. Kilka osób mówiło, że widziało pana w okolicy w piątek. Poznali pana.

– Nic dziwnego. Nie wiecie, że cieszę się złą sławą?

– Co tam robiłeś, Owenie? – zapytał Banks. – Wybrałeś się na rekonesans? Sprawdzałeś miejsce?

Starannie się z góry przygotowujesz? To część przyjemności?

– Nie wiem, o czym pan mówi. Przyznaję, że tam byłem. Wędrowałem po okolicy. Ale tylko ten jeden raz.

– Naprawdę, Owenie? Usiłuję ci wierzyć, serio. Chcę ci wierzyć. Odkąd cię uniewinnili, powtarzam ludziom, że może tego nie zrobiłeś, że może przysięgli mieli rację. Ale to wygląda źle. Rozczarowałeś mnie.

– Proszę mi wybaczyć.

Banks poprawił się na siedzeniu. Na tych twardych krzesłach bolały go plecy.

– Na czym polega to twoje upodobanie do dziewczęcych torebek i tornistrów?

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Lubisz zabierać pamiątki?

– Jakie pamiątki?

– Coś, na czym się skupiasz, co pomaga ci przypominać sobie, co zrobiłeś?

– A co zrobiłem?

– Co zrobiłeś, Owenie? Powiedz mi, co cię podnieca.

Pierce milczał. Sprawiał wrażenie, jakby się skurczył, usta miał zaciśnięte.

– Możesz mi powiedzieć – ciągnął Banks. – Chcę wiedzieć. Chcę zrozumieć, ale musisz mi pomóc. Później się masturbujesz, na nowo przeżywając to, co zrobiłeś? Albo nie potrafisz się powstrzymać? Spuszczasz się w spodnie, kiedy je dusisz? Pomóż mi, Owenie. Chcę wiedzieć.

Pierce nadal się nie odzywał. Banks znowu zmienił pozycję. Krzesło zaskrzypiało.

– Dlaczego tu jestem?

– Dobrze wiesz dlaczego.

– Ponieważ pan uważa, że poprzednim razem to zrobiłem, tak?

– A zrobiłeś, Owenie?

– Uniewinnili mnie.

– Owszem.

– Więc byłbym głupcem, gdybym się przyznał, prawda? Nawet gdybym to zrobił.

– A zrobiłeś? Zabiłeś Deborę Harrison?

– Nie.

– Zabiłeś Ellen Gilchrist?

– Nie.

Banks westchnął.

– Nie ułatwiasz nam tego, Owenie.

– Mówię prawdę.

– Nie sądzę.

– Mówię prawdę.

– Owenie, okłamujesz nas. Wczoraj wieczorem poderwałeś Ellen Gilchrist na King Street.

Najpierw uderzeniem w głowę pozbawiłeś ją przytomności, później zawiozłeś do Skiell, gdzie wywlókłeś ją na zbocze Witch Fell i udusiłeś paskiem jej torebki. Dlaczego mi o tym nie opowiesz?

Banks dostrzegł, że opis zbrodni wyraźnie poruszył Pierce'a. Wyrzuty sumienia?

– Jak to było, Owenie? – naciskał. – Opierała się czy biernie przyjęła swój los? Wiesz, co myślę? Myślę, że jesteś tchórzem, Owenie. Udusiłeś ją od tyłu, żeby nie patrzeć jej w oczy. Potem położyłeś ją na trawie i podarłeś jej ubranie. Wyobrażałeś sobie, że to Michelle Chappel, i odgrywałeś się na niej, dawałeś to, na co zasłużyła. Nie miała szansy. Nie była w stanie się opierać. Ale nawet wtedy ci nie stanął, co? Jesteś tchórzem, Owenie. Tchórzem i zboczeńcem.

– Nie! – Gwałtowność, z jaką Pierce zerwał się na równe nogi i walnął pięścią w stół, przestraszyła Banksa. Zobaczył, że Susan Gay wstaje i rusza do drzwi, żeby sprowadzić pomoc, ale machnięciem ręki dał jej znak, żeby usiadła.

– Opowiedz mi, Owenie – powtórzył. – Opowiedz, jak to się stało.

Pierce opadł na krzesło, jakby wybuch pozbawił go całego zasobu energii.

– Chcę prawnika – powiedział znudzony. – Whartona. Nie powiem ani słowa więcej. Wy mnie wykończycie. Wezwijcie Whartona. I albo mnie aresztujcie, albo w tej chwili wychodzę.

Banks spojrzał na Susan, unosząc brwi, po czym westchnął.

– Bardzo dobrze, Owenie – powiedział. – Skoro tego chcesz.

Rozdział 18

I

Późnym wieczorem w niedzielę było jasne, że tłum nie zamierza zburzyć Bastylli w postaci komendy policji w Eastvale, a wczesnym rankiem w poniedziałek pozostała tylko garstka najtwardszych protestujących.

Banks podkreślił głośność na swoim walkmanie, mijając dziennikarzy koło frontowych drzwi, Maria Callas zagłuszyła ich pytania. Przywitał się z sierżantem Rowe'em, który miał dyżur, nalał sobie kawy i ruszył po schodach. Dochodząc do pomieszczeń wydziału śledczego, zdjął słuchawki i nasłuchiwał, czy nie rozlega się odgłos przypominający prychnięcie byka, który zwykle świadczył o obecności komendanta Riddle'a.

Cisza, jeśli nie liczyć stłumionego głosu Susan Gay, która za zamkniętymi drzwiami swojego pokoju rozmawiała przez telefon.

Raport z sekcji Ellen Gilchrist czekał na biurku Banksa razem z raportem wstępnym z laboratorium, które szybko wykonało potrzebne badania.

Banks zamknął drzwi i podciągnął żaluzje, odsłaniając widok na kolejny pogodny dzień. Pomyślał, że jeszcze trochę i życie zacznie być nudne. Na południu jednak gromadziły się chmury, zapowiadano deszcz, nawet burze.

Uchylił okno i przyglądał się sklepikarzom otwierającym drzwi i rozkładającym markizy w ochronie przed słońcem. Przeciągał się tak długo, aż poczuł przyjemny trzask w plecach, po czym usiadł, żeby przeczytać raporty. Włączył przenośne radio, które miał w gabinecie, i słuchając programu *Today*, zaczął czytać.

Glendenning zawężił czas śmierci do przedziału od jedenastej do pierwszej w nocy, potwierdził, że ofiara została zabita w miejscu, gdzie ją znaleziono, i dopasował pasek jej torebki do wgłębienia na szyi.

Rana za uchem była okrągła i gładka, miała średnicę około dwóch i pół centymetra i najprawdopodobniej zadano ją metalowym młotkiem.

Niestety, tym razem nie było tkanki pod paznokciami. Dziewczyna miała tak bardzo obgryzione paznokcie, że zostały potraktowane jakimś środkiem chemicznym o nieprzyjemnym smaku, żeby od tego brzydkiego nawyku ją powstrzymać.

Według techników na miejscu zbrodni znaleziono wyłącznie krew ofiary, ale kilka włosów na jej

ubraniu nie należało do niej. Rzecz absolutnie zrozumiała, skoro wyszła ze szkolnej dyskoteki. Obciążające było jednak to, że cztery pasowały do włosów ze szkolnego swetra Debory Harrison – które niemal osiem miesięcy temu porównano z próbką przekazaną przez Owena Pierce’a.

Włosy mogą być niepewnym dowodem, jak pokazał proces Pierce’a. Banks przedarł się przez spory fragment naukowego żargonu o melaninie i fragmentarycznych rdzeniach, następnie przejrzał wydruk neutronowej analizy aktywacyjnej, określającej stężenie różnych pierwiastków we włosach, takich jak antymon, brom, lantan, stront i cynk.

W raporcie stwierdzono, że potrzebna będzie nowa próbka włosów podejrzanego, ponieważ stężenie tych pierwiastków mogło ulec zmianie od czasu pobrania pierwszej próbki, ale nawet na tym etapie istniało dziewięćdziesięcioośmioprocentowe prawdopodobieństwo, że włosy należą do Pierce’a.

Niestety, żaden z włosów nie miał mieszka ani cebulki, tak więc nie można było określić grupy krwi czy przeprowadzić badania DNA.

Podobnie jak w przypadku morderstwa Debory Harrison, w wymazach z ust, pochwy i odbytu nie było śladu nasienia, brakowało też innych dowodów na aktywność seksualną.

Ale Banks przypuszczał, że włosy i odciski palców, które Vic Manson zidentyfikował na plastikowym pojemniku na film, wystarczą do skazania. Tym razem Pierce nie wymknie się dzięki lukom w systemie.

Pod pewnym względem Banks czuł smutek. Niemal przekonał samego siebie, że Pierce to niewinna ofiara systemu, a zabójcą Debory był ktoś jej bliski, teraz wszystko wskazywało na to, że znowu się pomylił.

W radiu w audycji *Kompozytor tygodnia* przedstawiano twórczość Geralda Finziego i Banks zaczął robić notatki na spotkanie ze Staffordem Oakesem.

Zrobiło się hałaśliwie około wpół do dwunastej, kiedy Pierce’a eskortowano na rozprawę wstępną; telefon dzwonił bez przerwy i dziennikarze przyciskali twarze do każdej szyby w budynku. Banks postanowił, że czas najwyższy wymknąć się na wczesny lunch.

Otworzył drzwi i wystawił głowę, rozglądając się po korytarzu. Ludzie się kręcili, ale na niego nikt nie zwracał większej uwagi. Zamiast zejść schodami do frontowych drzwi, ruszył na palcach do wyjścia ewakuacyjnego, które prowadziło na wąską uliczkę naprzeciwko Golden Grill, nazywaną Skinner’s Yard.

Zdążył dotrzeć do końca korytarza, kiedy ktoś go zawołał. Serce mu podskoczyło w piersiach.

– Inspektorze?

Dzięki Bogu, to nie był Jimmy Riddle. Banks się odwrócił i zobaczył komisarza Stotta, który wyglądał na przygnębionego.

– Barry, o co chodzi? Mogę ci jakoś pomóc?

– Możemy zamienić słowo? W cztery oczy.

Banks się rozejrzał, żeby sprawdzić, czy ktoś ich nie obserwuje. Nie. Teren był czysty.

– Oczywiście. – Położył dłoń na ramieniu Stotta i poprowadził go w kierunku wyjścia ewakuacyjnego. – Pójdziemy na drinka, dobrze? Uciekniemy od tego zamieszania.

II

Minęło wiele czasu, odkąd Rebecca rozmawiała z aniołem, ale w tamten poniedziałek znowu poczuła potrzebę. Tym razem nie była pijana.

Skracając ze ścieżki asfaltowej na żwirową, zastanawiała się, jak mogła tak się pomylić co do Owena Pierce'a. Pamiętała swój strach, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy po jego zwolnieniu z więzienia, i to, że wyglądał jak mały chłopiec, kiedy przyszedł z nią porozmawiać. Zadała mu wtedy to najważniejsze pytanie, on przyrzekł, że odpowie szczerze, i uwierzyła mu. Teraz wszystko wskazywało na to, że ją okłamał. Jak mogła czegokolwiek dłużej być pewna? Kogokolwiek? Nawet Daniela?

Powietrze wokół mauzoleum Inchcliffe'ów było ciepłe i nieruchome, ciszę przerywało tylko bzyczenie owadów i od czasu do czasu samochód przejeżdżający Kendal Road albo North Market Street. Anioł swoim zwyczajem wpatrywał się w niebo. Rebecca żałowała, że nie wie, co anioł tam widzi.

Trzeźwa i lekko zakłopotana nie potrafiła się zmusić do mówienia głośno, ale jej myśli płynęły i nabierały kształtu, choć czuła się głupio, kiedy tak stała. Zastanawiała się, co ten policjant, inspektor Banks, by o niej pomyślał.

Policja twierdziła, że Owen Pierce zabił drugą dziewczynę. Co oznaczało, że ich zdaniem zabił także Deborę Harrison. Teraz w żadnym razie go nie uniewinnią, myślała Rebecca, nie w sytuacji, kiedy opinia publiczna okazuje mu taką wrogość.

Ale on odwiedził ją na probostwie zaledwie w sobotnie popołudnie, opowiadał o swojej niewinności, o potrzebie wsparcia i zrozumienia. Nie potrafiła poradzić sobie z tym, że w zasadzie ją przekonał o swojej niewinności. Czy tak zachowywał się ktoś, kto wieczorem planował poderwać nastolatkę i ją zamordować? Raczej nie. Ale co ona tam wiedziała? Eksperci zajmowali się takimi ludźmi – nazywali ich seryjnymi zabójcami, chociaż nie była pewna, czy Owena, który zabił tylko

dwie osoby, można do nich zaliczyć.

Oglądała jednak dość programów telewizyjnych o psychopatach, żeby wiedzieć, że niektórzy bywają czarujący i prowadzą całkiem normalne życie, wyjąwszy ich potrzebę zabijania. Na przykład Ted Bundy był przystojnym i inteligentnym mężczyzną, który zamordował Bóg wie ile młodych kobiet w Stanach. Uważajcie na sympatycznego, przyjacielskiego, grzecznego chłopaka z sąsiedztwa, zdawało się brzmieć przesłanie, a nie na obszarpanego mężczyznę o okrutnych oczach, który w kącie mamrocze do siebie.

Na jej gołym przedramieniu usiadła mucha. Rebecca chwilę przyglądała się jej lśniącemu niebieskozielonemu odwłokowi, zanim ją zgoniła. Potem znowu uniosła wzrok na anioła. Gdyby tylko mógł jej to wszystko wyjaśnić.

Może aresztowali Owena, bo nadal byli przekonani, że to on jest mordercą Debory Harrison. Może nie mieli żadnych dowodów na to, że zabił tę drugą dziewczynę. Nie rozumiała, dlaczego tak bardzo ją to obchodzi. W końcu Owen wciąż był dla niej obcym człowiekiem i przez długi czas wierzyła, że jest mordercą. Dlaczego teraz tak ją przygnębiło odkrycie, że to prawda? Nie potrafiła pozbyć się uczucia, że jakimś sposobem ją zawiódł, choć sama ta myśl była niemądra.

– Dlaczego? – zapytała, zaskakując siebie, że jednak mówi głośno z twarzą uniesioną ku aniołowi.

– Możesz mi powiedzieć, dlaczego mnie to obchodzi?

Nie doczekała się odpowiedzi.

Chociaż po części ją znała. Rozmowa z Owenem, wzięcie go pod swoje skrzydła, były dla niej próbą. Pod pewnym względem jego obecność stanowiła wyzwanie dla jej wiary, dla jej chrześcijańskich uczuć. Jeśli bowiem chodziło o chrześcijaństwo, Rebecca była humanistką, a nie jednym z tych zimnych jak ryby teologów, jak niektórzy znani jej duchowni. Możliwe lepsze życie istotnie czeka na nas w niebie, ale zdaniem Rebekki chrześcijaństwo jest bezużyteczne, jeśli zapomina o ludziach tu i teraz. Wiara i przekonania na nic się nie dadzą bez dobroczynności, miłości i współczucia, religia nic nie znaczy, jeśli bez reszty skupia się na życiu po śmierci. Daniel się z nią zgadzał i dlatego tak dobrze między nimi się układało. Aż do zeszłego roku.

– Dlaczego ci o tym mówię? – zapytała anioła. – Co ty wiesz o życiu na ziemi? Czego ja od ciebie chcę? Możesz mi powiedzieć?

Anioł nie odrywał wzroku od nieba. Wyraz jego twarzy wydał się jej surowy, ale przypisała to grze światła.

– Czy teraz będę cyniczna? – pytała. – Skoro tak bardzo uwierzyłam Owenowi, a on jednak okazał się mordercą?

Tym razem także nie doczekała się odpowiedzi, usłyszała natomiast jakiś ruch między drzewami. Rejon od mauzoleum Inchcliffe'ów do muru przy Kendal Road był najbardziej zarośniętą częścią całego cmentarza. Tutaj rosły najstarsze cisy, a krzewy w niektórych miejscach tworzyły taki gąszcz, że człowiek z trudem się przez nie przedzierał. Jeśli były tam jakieś groby, od dawna nikt ich nie odwiedzał.

To musi być jakieś małe zwierzę, uznała Rebecca. Przypomniała sobie, że policji i w sądzie powiedziała, że odgłos, który słyszała w tamten listopadowy wieczór, mógł pochodzić od zwierzęcia. Kiedy się nad tym zastanowiła, wiedziała, że to wykluczone. Wtedy po prostu nie chciała przyjąć do wiadomości, że to, co słyszała, było ostatnim wołaniem o pomoc dziewczyny, która została zamordowana. Ten odgłos także był za głośny, żeby przypisać go psu, kotu albo ptakowi. A na cmentarz nie zapuszczały się konie ani owce.

Zrobiła krok w kierunku mauzoleum ze świadomością, że tam znalazła ciało Debory.

– Jest tam kto?! – zawołała.

Cisza.

Znowu usłyszała szelest, tym razem bliżej muru przy North Market Street.

Odwróciła się i zagłębiła w sięgające do uda splątane poszycie. Czowała, jak pokrzywy parzą ją w nogi.

– Jest tam kto?! – zawołała ponownie.

I znowu nie było odpowiedzi.

Przystanąła i przez chwilę nasłuchiwała. Słyszała wyłącznie bicie własnego serca.

Nagle po lewej między drzewami zobaczyła zrywającą się do biegu ciemną postać. Wyglądała jak mężczyzna w stroju brązowo-zielonym, choć Rebecca nie mogła być tego pewna, bo kolory zlewały się z tłem. Ktokolwiek to był, nie dałby rady pokonać wysokiego muru w czasie, który był potrzebny Rebecce, żeby się z nim zrównać. Miał tylko jedno wyjście – podążyć wzdłuż muru do furtki przy North Market Street. Jeśli Rebecca się pośpieszy, może zdoła go zobaczyć.

Odwróciła się w stronę tylnej ściany mauzoleum i żwirowej ścieżki. Tamten był teraz po jej prawej. Słyszała, jak biegnie do furtki.

Zanim zdołała się wydostać z zarośli, coś złapało ją za kostkę i potknęła się, raniąc dłonie i kolana na cierniach. To zatrzymało ją tylko na kilka sekund, ale kiedy wstała i wybiegła ze żwirowanej alejki na otwartą przestrzeń, zobaczyła jedynie zamykającą się drewnianą furtkę. Rebecca stała, przeklinając nieznajomego. Kiedy spuściła wzrok, zobaczyła krew na swoich dłoniach.

Banks zrezygnował z Queen's Arms, bo wszyscy wiedzieli, że to lokal uczęszczany przez policjantów z wydziału śledczego, i poprowadził Stotta przez Skinner's Yard do pubu Duck and Drake przy jednym z krętych zaułków odchodzących od King Street. Brukowane uliczki pełne były sklepów ze starociami, antykwariatów i delikatesów z dzielonymi oknami i skrzypiącymi podłogami.

Duck and Drake mieścił się w małym starym domku z czarnym frontem i szybami z ciemnego trawionego szkła. Nad drzwiami wisiały dwa podniszczone koszyki. Wejście do bocznej salki było tak niskie, że Banks miał wrażenie, jakby się wczołgiwał w szczególnie ciasną szczelinę w jaskini Ingleborough.

Sama salka też była maleńka, z ciemnymi krokwiemi i białymi ścianami, na których wisiały obrazy ze scenami myśliwskimi i ozdoby z mosiądzu. Przy jednym ze stolików siedziały tylko dwie osoby. Ławka zatrzeszczała, kiedy Banks zajął miejsce naprzeciwko Stotta ze swoim piwem i kanapką z szynką i serem. Stott nie chciał nic, nawet szklanki wody.

– Co jest, Barry? – zapytał Banks, wgrzając się w kanapkę. – Pościsz? Wyglądasz fatalnie.

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

Stott był blady, miał ciemne worki pod oczami i dwudniowy zarost. Oczy za okularami nie błyszczały, malowała się w nich udręka. Banks nigdy wcześniej nie widział go w takim stanie. Zwykle można było polegać, że Barry Stott będzie czujny i przygotowany. Nie wspominając już o schludnym wyglądzie. Ale teraz garnitur miał pomięty, jakby w nim spał, krawat źle zawiązany, włosy nieuczesane. Wyglądał tak żałośnie, że nawet uszy jakby mu opadły.

– Jesteś chory?

– Prawdę mówiąc, nie sypiam dobrze. Wcale dobrze nie sypiam.

– Coś cię gryzie?

– Tak.

Banks skończył jeść kanapkę, napił się piwa i zapalił papierosa.

– W takim razie wyrzuć to z siebie.

Stott zacisnął usta i ze skupieniem zmarszczył czoło.

– Barry, jesteś pewien, że chcesz ze mną o tym porozmawiać?

– Muszę – odparł Stott. – Według reguł powinienem pójść do przełożonego, może nawet do komendanta. Bóg wie, ta sprawa w końcu do niego dojdzie, ale najpierw chciałem panu o niej powiedzieć. Nie wiem dlaczego. Chyba z szacunku. Tylko że to takie trudne. Całą noc biłem się z myślami i nie widzę innego wyjścia.

Banks usiadł prosto. Nigdy wcześniej nie widział Barry'ego Stotta tak przygnębionego, tak zżeranego jakąś myślą, wyjątkiem był tylko dzień, kiedy uniewinniono Pierce'a. Stott był zamknięty w sobie i Banks nie bardzo wiedział, jak sobie z nim radzić na poziomie osobistym, poza pracą.

Czyżby chodziło o jakąś sprawę intymną? Stott zamierza się przyznać, że jest homoseksualistą? Nie żeby to miało znaczenie. Banks wiedział z całą pewnością, że dwaj mundurowi są gejami. Wszyscy o tym wiedzieli. Od czasu do czasu dostawało się im od bardziej męskich kolegów, którzy nie byli do końca pewni własnej seksualności, oraz musieli znosić określoną dawkę moralnej dezaprobaty od przekonanych o swoich racjach chrześcijańskich fundamentalistów. Ale Barry Stott? Banks uświadomił sobie, że nawet nie wie, czy Stott jest żonaty, rozwiedziony czy samotny.

– Rozmawiamy nieoficjalnie, Barry? – zapytał Banks. – To znaczy, czy chodzi o sprawę osobistą?

– Po części, choć nie do końca. – Stott pokręcił głową. – Sam tego nie rozumiem. Byłem taki pewien. Tak cholernie przekonany. – Uderzył pięścią w stół. Kufel z piwem Banksa podskoczył. – Przepraszam.

– Myślę, że najlepiej będzie, jak o wszystkim mi powiesz.

Stott milczał. Wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł okulary. Banks słyszał, jak ze stojącego gdzieś w głębi radia płynie *Welcome to My World* Jima Reevesa.

W końcu Stott włożył okulary, kiwnął głową i wziął głęboki wdech.

– Jak sądzę, najważniejsze jest to, że Owen Pierce jest niewinny, w każdym razie jeśli chodzi o Ellen Gilchrist. Musimy go wypuścić.

Banksowi opadła szczęka.

– O czym ty mówisz, Barry?

– Byłem tam – odparł Stott. – Wiem.

Chryste, co jest? Wyznanie mordercy? Banks podniósł rękę.

– Poczekaj, Barry. Spokojnie, nie śpiesz się. I ostrożnie dobieraj słowa. – Niemal miał wrażenie, że wygłasza Stottowi jego prawa. – Gdzie byłeś? Na King Street? W Skield?

Stott pokręcił głową, oblizując wargi.

– Nie, w żadnym z tych miejsc. Byłem przed domem Owena Pierce'a.

– I co tam robiłeś?

– Obserwowałem go. Obserwuję Pierce'a, odkąd go zwolniono.

– I dlatego tak marnie wyglądasz?

Stott potarł dłonią po zaroście.

– Od tygodnia nie spałem. Kończę pracę, przegryzam kanapkę i jadę pod jego dom. Jeśli

wychodzi, śledzę go.

– Przez całą noc?

– Najczęściej. Przynajmniej do chwili, kiedy wygląda na to, że kładzie się spać. Czasami do trzeciej, czwartej nad ranem. Nie wychodzi często. Przez większość wieczorów upija się i zasypia przed telewizorem.

– Nie zauważył cię?

– Nie wiem. Nie starałem się ukrywać, ale on nie zareagował.

– Powiedz mi jednak dlaczego, Barry?

Stott jedną ręką przygładził włosy, po czym wzruszył ramionami.

– Nie wiem. To chyba mnie opętało. Nie potrafiłem się powstrzymać. Byłem taki przekonany o jego winie, taki pewien, że udało mu się pokonać system... Wiedziałem też, że zrobi to ponownie. To tego rodzaju zbrodnia. Czułem to. Chciałem się upewnić, że nie zabije następnej dziewczyny. Pomyślałem, że jeśli będę go śledził, to albo go złapię i powstrzymam, albo – jeśli się zorientuje, że mam go na oku – nie zdoła zrobić tego ponownie i napięcie osiągnie punkt krytyczny. Wtedy może się przyzna, sam nie wiem. Nie myślałem jasno.

Banks zgasił papierosa.

– Ale dlaczego, Barry? Jesteś dobrym gliną. Inteligentnym, wnikliwym, logicznym. Zdałeś egzaminy. Na litość boską, masz dyplom uniwersytecki. Jesteś na drodze do szybkiego awansu. Powinieneś być wiedzieć lepiej.

Stott wzruszył ramionami.

– Wiem. Wiem. Nie potrafię tego wyjaśnić. Coś po prostu... we mnie pękło. Jak mówiłem, myślałem, że jeśli będę dostatecznie długo go śledził, to tak czy owak go złapię.

Banks pokręcił głową.

– Dobra. Uporządkujmy to wszystko. Parkowałeś przed domem Owena Pierce'a w sobotę w nocy?

– Tak.

– O której zacząłeś?

– Około piątej po południu.

– Do?

– Mniej więcej do wpół do trzeciej w nocy, kiedy zgasił światło. Wszedł tylko raz, około dziewiątej, żeby kupić alkohol.

– Jesteś tego całkowicie pewien?

– Całkowicie. Zastony nie były do końca zaciągnięte. Widziałem go wyraźnie, kiedy wstawał

z sofy. Oglądał telewizję w dużym pokoju, ale od czasu do czasu wstawał, żeby pójść do toalety, nalać drinka i tak dalej.

– I jesteś pewien, że był w domu przez cały ten czas? Nie wymknął się tylnymi drzwiami, a potem tamtędy nie wrócił?

Stott pokręcił głową.

– Był w domu, sir. W krytycznym okresie. Na sto procent. Pomiędzy jedenastą a dwunastą w nocy widziałem, jak dwa razy wstaje i wychodzi z pokoju.

– Jesteś pewien, że to nie mógł być ktoś inny?

– Absolutnie. Poza tym przez cały czas samochód stał zaparkowany przed jego domem.

To nie miało większego znaczenia. Pierce mógł ukraść samochód do popełnienia zbrodni, a potem go odstawić na miejsce, zamiast ryzykować, że jeśli skorzysta z własnego, ktoś zapisze jego numery rejestracyjne. Kiedy ta myśl przeszła mu przez głowę, Banks doświadczył kolejnego irytującego wrażenia *déjà vu*. To samo czuł kilka dni temu, gdy na nowo przeglądał akta. W gruncie rzeczy to nie mogło być *déjà vu*, ponieważ w rzeczywistości tego nie przeżył, ale doznaniu towarzyszył ten sam niepokój.

– Co się stało potem? – zapytał.

– Musiał zasnąć przed telewizorem, jak zwykle. Widziałem poświęcę z ekranu. O pierwszej pięćdziesiąt pięć, kiedy program się skończył, zaczęło śnieżyć, ale Pierce poruszył się dopiero o wpół do trzeciej. Zaciągnął zasłony do końca, zgasił światło i poszedł na piętro do sypialni. To wszystko.

– To wszystko. Jezu Chryste, Barry, masz pojęcie, coś narobił?

– Oczywiście że tak. Ale musiałem o tym powiedzieć. Całą noc walczyłem ze swoim sumieniem. Mogłem to zrobić wczoraj i oszczędzić Pierce'owi nocy w areszcie, tylko że zabrakło mi odwagi. To mój krzyż. Po części martwiłem się o swoją karierę, przyznaję, ale próbowałem się też przekonać, że mogłem się pomylić, że on jednak to zrobił. To jednak wykluczone. Jest niewinny, tak jak mówi.

Banks znowu pokręcił głową.

– Nie bardzo widzę, jak moglibyśmy to ukryć. Nie wiem, co się stanie.

Stott gwałtownie się wyprostował.

– Nie chcę, żeby pan to tuszował. Jak mówiłem, przez całą noc walczyłem z sumieniem. Modliłem się o odpowiedź, o proste rozwiązanie. Żadnego nie znalazłem. Powiem o wszystkim. Jestem alibi Pierce'a. Nadużyłem swojego stanowiska. – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął białą kopertę używaną do korespondencji służbowej, którą położył na stole przed Banksem. – To moja rezygnacja.

IV

Owen był zdezorientowany. Tak jak się spodziewał, sędzia pokoju odrzucił wniosek o zwolnienie za kaucją, ale on zamiast być w drodze do więzienia Armley, wrócił do celi w Eastvale. I nikt o niczym mu nie mówił. Wharton otrzymał wiadomość od jednego z mundurowych, kiedy po rozprawie szli z sądu do furgonetki, i od tamtej chwili biegał jak w ukropie, co z punktu widzenia Owena mogło tylko oznaczać, że jest źle.

Zjadł lunch złożony z polanej tłuszczem ryby i frytek, zawiniętych – o ironio! – w „News of the World”, popił go kubkiem mocnej słodkiej herbaty i zaczął krążyć po celi. Zatrzymał się dopiero tuż po pierwszej, kiedy w drzwiach pojawił się Wharton w kamizelce napinającej się na brzuchu i z czerwonym półksiężycem uśmiechu przecinającym sinawe policzki.

– Jesteś wolny – oznajmił. Kciuki miał zatknięte w kieszenie kamizelki.

Owen rzucił się na pryczę.

– Nie żartuj. O co ci chodzi?

– Mówiłem. – Wharton podszedł krokiem, który przypominał taniec Scrooge’a w bożonarodzeniowy poranek. – Jesteś wolny. Możesz wracać do domu.

Oszalał? – zastanawiał się Owen. Ten nowy areszt był kroplą, która przelała czarę? Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa to on powinien tracić zmysły, ale ostatnimi czasy świat stanął na głowie.

– Proszę – powiedział, przyciskając pięści do skroni, by powstrzymać dudnienie w głowie. – Przestań mnie dręczyć.

– On ma rację – odezwał się ktoś za plecami Whartona.

Owen uniósł załzawione oczy i zobaczył głównego inspektora Banksa opierającego się o framugę; krawat miał poluzowany, dłonie w kieszeniach. Więc to nie sen, to nie kłamstwo? Owen ledwo mógł w to uwierzyć. Nie potrafił powiedzieć, co teraz czuje. Gardło mu się zaciskało, to na pewno, w głowie kręciło, w uszach szumiało. Przed wszystkim jednak był zdezorientowany. I chciało mu się płakać. Bardzo płakać.

– Wierzy mi pan? – zapytał.

Banks pokiwał głową.

– Tak, wierzę ci.

– Dzięki Bogu. – Owen schował twarz w dłoniach i dłużej nie powstrzymywał łez. Płakał głośno i długo, bezwstydnie; dopiero kiedy skończył i zaczął wycierać nos i usta chusteczką, zauważył, że tamci zostawili go samego, ale drzwi celi były otwarte.

Ostrożnie do nich podszedł i wystawił głowę na zewnątrz, bojąc się, że dostanie drzwiami. Nic się nie stało. Poszedł wykładanym kafelkami korytarzem do zamkniętych na klucz drzwi, które prowadziły na górę i dalej, na ulicę, cały czas się martwiąc, że nie da rady ich otworzyć.

Banks i Wharton stali po drugiej stronie, w pomieszczeniu z biurkami, i Owena ogarnęło przerażenie, że zaraz na nowo go aresztują; wciąż podejrzewał, że to wszystko jest jakimś żartem.

Kiedy Banks ruszył mu naprzeciw, cofnął się niespokojnie.

– Nie – powiedział Banks, wyciągając obie dłonie. – Mówiłem poważnie, Owene. Żadnych sztuczek. Skończyło się. Jesteś wolnym człowiekiem, całkowicie oczyszczonym z zarzutów. Ale byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś poszedł ze mną do mojego gabinetu na rozmowę. Niewykluczone, że możesz nam pomóc w odkryciu, kto naprawdę popełnił te morderstwa.

– Morderstwa? Wierzy pan, że w obu przypadkach jestem niewinny?

– Za bardzo są podobne, Owene. To musiała być ta sama osoba. Proszę, pójdziesz ze mną? Wszystko wyjaśnię.

Idąc przed Banksem po schodach, Owen czuł się jak we śnie i po części oczekiwał, że jego stopy przenikną stopnie. W otwartej sali na parterze wszyscy milkli, kiedy ich mijali, obserwowali go i miał wrażenie, że nic nie waży i unosi się w powietrzu. Oczy przesłoniła mu mgła, w głowie zaczęło wirować, jakby za dużo wypił, ale zanim się potknął i upadł, Banks mocno chwycił go za łokieć i skierował ku schodom.

– Wszystko w porządku, Owene – powiedział. – Napijemy się mocnej kawy i porozmawiamy. Już nie masz powodu do zmartwień.

Zamiast zabrać go do mrocznego i cuchnącego pokoju przesłuchań, czego Owen w połowie się spodziewał, Banks zaprowadził go do pomieszczenia, które musiało być jego biurem. Nie było wytworne, ale znajdowały się tu metalowe biurko, kilka szafek na dokumenty i dwa wygodne fotele.

Na ścianie wisiał kalendarz „Dalesmana”, czerwcową fotografią przedstawiała parę turystów z ciężkimi plecakami zbliżających się do Gordale Scar niedaleko Malham. Dziwne, ale Owen złapał się na myśli, że sam zrobiłby lepsze zdjęcie. Żaluzje były podniesione i zanim usiadł, dostrzegł brukowany rynek zapełniony zaparkowanymi samochodami. Wolność. Usiadł. Boże, jaki był zmęczony.

– Co się stało? – zapytał.

– Byłeś pod obserwacją – odparł Banks.

– Co? Więc był... to znaczy, to był pan?

– Nie ja osobiście, ale ktoś. Wiedziałeś, że ktoś cię śledzi?

– Raz czy dwa miałem dziwne uczucie, że tak. Ale nie, nie mogę szczerze powiedzieć, że wiedziałem. – Owen wybuchnął śmiechem.

– O co chodzi? – zapytał Banks.

Owen wytarł oczy przedramieniem.

– Och, o nic. O tkwiącą w tym ironię, to wszystko. Byłem pod obserwacją, ponieważ myśleliście, że znowu popełnię morderstwo, ale okazuje się, że dzięki temu mam alibi. Nie uważa pan, że to zabawne?

Banks się uśmiechnął.

– Owszem, jest w tym ironia. Ale zamordowano młodą dziewczynę, Owenie. Okrutnie. Tak jak Deborę Harrison.

– Wiem. Nie z tego się śmiałem. I nie miałem z tym nic wspólnego. Nie wiem, jak mógłbym pomóc.

– Myślę, że możesz. Nie wierzę, że nie zastanawiałeś się nad tym problemem przez ostatnie dni.

– Nad jakim problemem?

Banks się pochylił, kładąc dłonie na biurku.

– Chcesz, żebym mówił wprost? Okej. Powodem, dla którego cię aresztowaliśmy, Owenie, po części było to, że wcześniej zostałeś oskarżony o podobne przestępstwo, a po części, że na miejscu zbrodni znaleźliśmy niepodważalne dowody fizyczne przeciwko tobie. Wszystko wskazuje na to, że ta sama osoba zamordowała obie dziewczyny, a na obu miejscach znaleźliśmy dowody świadczące o twojej winie.

– Odciski palców i włosy? Tak. Ma pan rację, zastanawiałem się, skąd mogły się tam wziąć.

– Masz jakieś pomysły?

Owen potrząsnął głową.

– Wspinałem się w okolicach Skiold i przypuszczalnie przechodziłem obok miejsca, gdzie... wie pan. Pewnie mógłbym zgubić pojemnik na film, ale żadnego przy sobie nie miałem. Mówiłem panu, co się stało z moim aparatem. Co do włosów, przypuszczalnie kilka musiałem zgubić, choć nie potrafię wyjaśnić, jak się dostały na ubranie ofiary. Chyba że...

– Tak?

Przyniesiono kawę. Banks rozlał do kubków. Owen swoją podmuchał, po czym się napił.

– Bardzo dobra. Dziękuję. Chyba że – podjął – chociaż wiem, że to brzmi idiotycznie, wręcz paranoicznie, ale nie widzę innego wytłumaczenia poza tym, że ktoś, prawdziwy zabójca, postanowił wykorzystać moją złą reputację, zwalić winę na mnie, bo wiedział, że wszyscy w to uwierzą.

Przypuszczalnie ktoś próbował mnie zrobić w morderstwo Ellen Gilchrist.

Banks zaczął stukać ołówkiem o bibułę.

– Mów dalej.

– No cóż, jeśli przyjmiemy takie założenie, to sprawca musiał się włamać do mojego domu, kiedy siedziałem w więzieniu, i zdemolował je, żeby ukryć prawdziwe zamiary. A może po prostu przyszedł już po włamaniu. Drzwi nie były zamknięte na klucz, kiedy wróciłem. Zamek był wyłamany. Sprawca musiał uznać, że istnieje spora szansa, że mnie uniewinnią, i chciał się zabezpieczyć, na wypadek gdyby tak się stało i podejrzenia zwróciły się ku niemu. Musiał znaleźć pusty pojemnik w koszu na śmieci i domyślił się, że są na nim moje odciski. To znaczy, jeśli pojemnik był pusty, a ja go otworzyłem... No i zebrał kilka włosów z poduszki w sypialni. To byłoby bardzo łatwe.

Banks kiwnął głową.

– Dlaczego nie wybrać czegoś bardziej oczywistego, żeby połączyć cię z morderstwem?

– Poza moją krewią, której nie mógł zdobyć, nie przychodzi mi na myśl nic bardziej oczywistego niż włosy i odciski palców. A panu?

Banks się uśmiechnął.

– Chodziło mi o coś z twoim nazwiskiem, na przykład. Żeby pomyłkę wykluczyć. W końcu odciski na pojemniku mogły być zamazane. Sprawca nie mógł mieć pewności, że doprowadzą nas do ciebie.

– Ale jak się nad tym zastanowić – Owen spojrzał znacząco na Banksa – to nie potrzebował wiele, prawda? Wierzyliście, że zamordowałem Deborę Harrison, więc łatwo było was przekonać, że Ellen Gilchrist też zabiłem. Wiedział, że moja reputacja dokona reszty. Nawet bez odcisków mógł mieć pewność, że się mną zajmiecie. Założę się, że na widok pojemnika od razu pomyślał pan o mnie, bo wiedział pan, że zajmuję się fotografią.

– Nadal pozostaje nam odpowiedź na ważne pytanie. Kto? Oczywiście może być tak, że morderca po prostu wykorzystał cię jako wygodnego kozła ofiarnego i nie było w tym nic osobistego, ale to także mógł być ktoś, kto chciał, żebyś cierpiał. Przychodzi ci na myśl ktoś, komu na tym mogło zależeć?

– Zastanawiałem się nad tym, ale nie. Jedyna osoba, która do tego stopnia mnie nienawidzi, to Michelle. Czy sprawcą mogła być kobieta?

– Nie sądzę, Michelle nie jest wystarczająco wysoka – odparł Banks. – Ale owszem, to mogła być kobieta.

Owen pokręcił głową.

– Przykro mi. Żałuję, że nie mogłem pomóc. Jak pan powiedział, to pewnie nie było nic osobistego. To znaczy ten, kto to zrobił, po prostu chciał, żeby wina spadła na kogoś innego. Nieważne na kogo.

– Pewnie masz rację. Ale gdyby ktoś przyszedł ci na myśl...

– Oczywiście. Jeden z sąsiadów mógł coś widzieć. Wcześniej nic nie mówili, bo byli przekonani, że jestem winny i zasługuję na to, żeby zdemolowano mi dom, ale teraz?... Nie wiem. Warto ich popytać. Mógłby pan zacząć od tego fiuta Ivora i jego żony Siobhan, którzy mieszkają obok.

– Tak zrobimy. – Banks wstał, dając do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca.

Owen dopił kawę, niezgrabnie się podniósł i ruszył do drzwi. Wciąż nie potrafił uwierzyć, że od wolności znowu dzieli go tylko kilka kroków.

– Co teraz? – zapytał Banks.

Owen wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Mam sporo rzeczy do przemyślenia. Może na jakiś czas wyjadę, zejdem ludziom z oczu, jak za pierwszym razem wszyscy mi sugerowali.

Banks pokręcił głową.

– Nie ma powodu, żebyś uciekał. Wiemy, że tego nie zrobiłeś. Media staną na głowie, żeby cię wspierać, a nas rozerwą na strzępy, bo złapaliśmy niewłaściwego człowieka. Niekompetencja policji.

Owen zmusił się do uśmiechu.

– Może. Z czasem. I nie powiem, że będzie mi przykro. Zasłużyliście na to. Pamiętam, na co mnie naraziliście. Pamiętam wszystkie okropne rzeczy, o które jeszcze wczoraj pan mnie oskarżał. Zboczenie. Tchórzostwo. Nie wspominając o morderstwie. Ale jakoś nie widzę możliwości odzyskania pracy i przyjaciół, a pan? No i wyobrażam sobie, że znajdzie się w tych stronach mnóstwo ludzi, którzy nie będą się śpieszyli ze zmianą zdania, choćby nie wiem co. Błoto lubi się przyklejać, inspektorze. Ta sytuacja mnie tego nauczyła.

Banks kiwnął głową.

– Może. Przez jakiś czas.

Owen się zatrzymał.

– Proszę posłuchać, nie oczekuję przeprosin ani nic w tym rodzaju, ale czy mógłby pan powtórzyć, że wierzy pan w moją niewinność? Nie tylko w to, że nie uznano mnie za sprawcę, ale że jestem niewinny. Powtórzy pan to? Muszę to usłyszeć.

– Jesteś niewinny, Owenie. To prawda. Jesteś wolny i możesz iść do domu.

– Dziękuję. – Owen odwrócił się i zaczął otwierać drzwi.

– Owienie? – zawołał za nim Banks.

Owen poczuł lekki dreszcz paniki.

– Tak?

– Bardzo przepraszam. Życzę szczęścia.

Owen kiwnął głową, zamknął za sobą drzwi i wyszedł szybko z budynku.

Rozdział 19

I

Dopiero późnym wtorkowym popołudniem wiele elementów wskoczyło na miejsce i to, co wcześniej umykało Banksowi, co przez wiele dni go niepokoiło, nagle stało się jasne.

Na razie nie znaleziono żadnych tropów dotyczących morderstwa Ellen Gilchrist. Tamtego wieczoru zauważono kilka samochodów na King Street, wielkich i małych, jasnych, ciemnych, japońskich, francuskich, ale nikt nie miał powodu, żeby zanotować numery albo im się dokładnie przyjrzeć. Jeśli zabójca korzystał z własnego samochodu, myślał Banks, to mógł zaparkować gdzie indziej, tuż za rogiem na jednej z bocznych uliczek.

Dwoje turystów, którzy nie mogli zasnąć na nierównych materacach w pensjonacie Gratly, słyszało przejeżdżający samochód tuż po wpół do dwunastej, czyli we właściwym czasie, ale niczego nie widziało. Jak dotąd nie trafili na nikogo, kto zaniepokoiłby się wydarzeniami w sobotnią noc, choć to Banksa nie zaskoczyło. Jeśli zabójca był inteligentny, a wszystko na to wskazywało, zapewne zaparkował poza drogą, daleko od samej wioski.

Pod dowództwem koordynującego ich poczynania nadinspektora Gristhorpe'a Susan Gay i Jim Hatchley nadal rozmawiali z przyjaciółmi i znajomymi ofiary, żeby sprawdzić, czy mogła zginąć z ręki kogoś, kogo znała, albo czy ktoś nie wiedział więcej niż mówił. Im dłużej Banks o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że kluczem do rozwiązania morderstwa Ellen Gilchrist jest sprawa Debory Harrison.

Kiedy tego dnia rano Banks przyszedł do pracy, znalazł w swojej przegródce wiadomość, że poprzedniego dnia po południu dzwoniła Rebecca Charters i prosiła o kontakt. Kiedy do niej zatelefonował, opowiedziała mu, jak w poniedziałek zaskoczyła kogoś na cmentarzu. Nie, nie widziała intruza, nie potrafiła nawet go opisać. Teraz śmiała się ze swoich obaw, przepraszała za zawracanie mu głowy i przyznawała, że ostatnio jest trochę nerwowa. Wczoraj nie wahała się, żeby do niego zadzwonić, ale teraz miała czas, żeby się nad tym zastanowić. Uznała, że to pewnie był jakiś dzieciak. Banks nie do końca się z nią zgadzał, ale na razie odsunął tę sprawę na drugi plan.

Po rewelacjach Stotta, po nieuchronnym opieprzu od Jimmy'ego Riddle'a i przypomnieniu, że kończy się tydzień przewidziany na rozwiązanie sprawy, Banks i Gristhorpe zajęli się ograniczaniem szkód.

Na razie udało im się ukryć przed prasą nielegalną obserwację prowadzoną przez Stotta,

a Owenowi Pierce'owi z całą pewnością nie zależało na robieniu zamętu. Jeśli chodzi o media, Pierce miał niepodważalne alibi. Wiadomo było tylko, że kolejna niewinna osoba spędziła noc w celi z powodu niekompetencji policji. Nic nowego. Wydział śledczy w Eastvale wyszedł z tego, wyglądając na konkursowych palantów, a nie na kombinację KGB i gestapo.

Jeśli chodzi o Barry'ego Stotta, nie zrezygnował, ale poszedł na zaległy urlop. Bóg wie, gdzie teraz przebywał. Pewnie gdzieś tam gryzło go sumienie, domyślał się Banks. Z jego punktu widzenia Stott reagował przesadnie. No dobrze, uległ obsesji na punkcie winy Pierce'a. I co z tego? Takie rzeczy czasami się zdarzają i rzadko mają groźne następstwa. W końcu Stott tylko śledził Pierce'a, nie skatował go ani nie zabił.

Pomimo godzin pracy, które pochłaniało dochodzenie w sprawie morderstwa, w wydziale śledczym Eastvale rutynowe działania prowadzono jak zwykle i jak zwykle stosy dokumentów trafiały na biurko Banksa. W tamto wtorkowe popołudnie, kiedy myśli zaprzętały mu Ellen Gilchrist, Debora Harrison, Barry Stott i Owen Pierce, była to przekazana do rozważenia propozycja, by w związku ze wzrostem kradzieży samochodów w North Yorkshire każdy wóz patrolowy wyposażyc w komputer na desce rozdzielczej.

Ponieważ Banks o tym nie myślał, ponieważ słowa po prostu popłynęły do tej chaotycznej, intuicyjnej i twórczej części jego umysłu, zamiast zająć fragment z logiką i rozsądkiem, doznał rzadkiego uczucia olśnienia, gdy brakujące elementy wskoczyły na właściwe miejsca. Każde słowo trafiało do odpowiedniego otworu jak kuleczki podczas losowania numerów loterii: Samochód. Komputer. Kradzież. Spinks.

W gruncie rzeczy to nie była sprawka intuicji, ale całkowicie logiczny proces, w którym pewne fakty zostały połączone w sposób nadający im sens, choć wydawał się nagłym olśnieniem.

Kiedy w piątek Banks przesłuchiwał Johna Spinksa, pytając o Michaela Claytona i Sylvie Harrison, miał to przed oczami, ale tego nie widział. W sobotę, po rozmowie z Claytonem, czuł, że jest blisko, choć nie wiedział czego. Teraz już wiedział. Musiał jeszcze posprawdzać daty, ale odsuwając na bok propozycję, był przekonany, że w sierpniu zeszłego roku John Spinks ukradł samochód i komputer Michaela Claytona. Pozostało się przekonać, jakie to ma znaczenie.

Podeksytowany teorią, Banks sprawdził daty i pobiegł do gabinetu Gristhorpe'a. Kiedy otworzył drzwi, nadinspektor był pogrążony w lekturze zeznania najlepszej przyjaciółki Ellen Gilchrist. Przeciągnął się i potarł krzaczaste brwi, które po tym zabiegu wyglądały jak ptasie gniazda.

– Alan. Jak mogę ci pomóc?

Banks wyjaśnił swój tok rozumowania. Gristhorpe od czasu do czasu kiwał głową, a kiedy Banks

skończył, położył palec wskazujący na ustach i zmarszczył czoło.

– Więc siedemnastego sierpnia lady Sylvie Harrison i Michael Clayton przyłapali Spinksa i Deborę, którzy pili wino w ogrodzie?

Banks potaknął.

– A dwudziestego sierpnia Clayton zgłosił kradzież samochodu. Pamiętam, bo kiedy przyszedł zapytać o postępy w dochodzeniu, uważał, że sprawa jest niezwykle ważna, dlatego chciał się widzieć z kimś z samej góry.

– Jestem zaskoczony, że nie zwrócił się wprost do Jimmy’ego Riddle’a.

– Zwrócił się, tylko że Riddle był w Northallerton, a dla Claytona to było o wiele za daleko, żeby codziennie tam jeździć. Riddle powiedział mu, żeby kontaktował się ze mną. Przydzieliłem sprawę Barry’emu i Susan. Clayton szalał, jakby siedział na rozżarzonych węglach. Chociaż nie chodziło mu o samochód.

– O komputer?

– Strzał w dziesiątkę.

– Tak. Susan o tym mówiła – powiedział z namysłem Banks. – Kiedy poszliśmy pierwszy raz porozmawiać z Harrisonami, Clayton ją rozpoznał. Powinienem być się zorientować.

Gristhorpe uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Moim zdaniem można ci to wybaczyć, Alanie. To wtedy pojawił się trop związany z Pierce’em?

– Tak, ale...

– Nieważne. Załóżmy, że Spinks ukradł samochód Claytona dwudziestego sierpnia – ciągnął Gristhorpe. – Uszkodził go, ale niezbyt poważnie. A Claytonowi zależało na notebooku. Wiemy, że był bardzo drogi, ze wszystkimi najnowocześniejszymi bajerami, ale Clayton jest bogaty, bez problemu mógł sobie kupić nowy. Więc to przez zawartość tego komputera taki był rozdygotany. Jak sobie przypominam, komputer w doskonałym stanie trafił na rynek dwa tygodnie później.

– Z tego, co widziałem – podjął Banks – Spinks miał taką szansę na posługiwanie się komputerem Claytona jak orangutan. Tyle że wtedy jeszcze spotykał się z Deborą. Istnieje możliwość, że wiedziała, co Spinks zrobił. Niekoniecznie musiała mówić o tym Claytonowi albo rodzicom, zwłaszcza że przeżywała okres buntu. A Debora była inteligentna, doskonale radziła sobie w naukach ścisłych. Komputer pewnie nie sprawił jej najmniejszego problemu.

– I jeśli znalazła na nim coś ważnego...? – zasugerował Gristhorpe.

– Może jednak wcale nie chodziło o to, że Clayton miał romans z lady Harrison – powiedział Banks. – Na początku tak sądziłem. Niewykluczone jednak, że byli wplątani w jakiś przekręt, na

przykład Clayton oszukiwał sir Geoffreya albo coś w tym rodzaju.

– Nie musisz tak daleko się posuwać – odparł Gristhorpe. – Pamiętaj, HarClay Industries to gruba ryba w branży obronnej. Na tyle gruba, że sir Geoffrey spotkał się prywatnie z Oliverem Jacksonem z Wydziału Specjalnego w dniu, w którym zamordowano jego córkę.

– Myślisz, że to ma związek?

– Mówię, że taki związek może być. Mikroelektronika, komputery, mikroczipy, handel bronią, takie sprawy. Oznaczają nie tylko wielkie pieniądze, ale mają też ważny wymiar polityczny. Jeśli Debora natknęła się na coś, czego nie powinna widzieć... Jeśli Clayton pracował dla kogoś, dla kogo nie powinien pracować... na przykład sprzedawał elementy broni wrogim rządóm...

– To wtedy albo Clayton, albo jego szefowie mogli kazać zlikwidować Deborę, jeśli zagroziła, że o wszystkim rozpowie?

– Tak.

– A potem zabójca Ellen Gilchrist po prostu wybrał przypadkową ofiarę, żeby rzucić winę na Pierce'a?

Gristhorpe wzruszył ramionami.

– Nic prostszego. Nie dla takich ludzi.

– Ale nie wzięli pod uwagę Barry'ego Stotta.

– „Najmędrsze plany...”.

– Dlaczego czekał tak długo? – zapytał Banks. – Tego nie rozumiem. Debora weszła do komputera dwudziestego sierpnia, jeśli rzeczywiście tak się stało, a zamordowano ją dopiero szóstego listopada. To prawie trzy miesiące.

Gristhorpe poskrobał się po zarośniętym podbródku.

– Tu mnie masz, choć może jest wytłumaczenie. Na przykład dużo czasu jej zajęło zrozumienie, co wie. A może Claytonowi dużo czasu zajęło zorientowanie się, że ktoś grzebał w jego komputerze. Wiesz, jak szybko sprawy się zmieniają, Alanie. Może informacja, którą zdobyła, nabrała znaczenia dopiero trzy miesiące później, w świetle ówczesnych wydarzeń.

Banks potaknął.

– To niewykluczone. Ale nie jestem pewien, czy Debora była na tyle bystra, żeby zrozumieć elektroniczne schematy Clayтона. Wiem, że ja nie jestem. Widziałem je niedawno i zakreśliło mi się od nich w głowie.

– No cóż, wiesz, jakim jestem luddystą, jeśli chodzi o komputery – powiedział Gristhorpe. – Ale to mogło być coś dla niej oczywistego. Nie musiała zrozumieć w pełni, wystarczyło, że z czymś

skojarzyła, z jakimś nazwiskiem albo coś w tym rodzaju. Może wplątany był jeszcze ktoś, kogo znała?

– Okej – odparł Banks. – Ale pozwalamy szaleć naszej wyobraźni. Czy Clayton zanotowałby tego rodzaju ważną informację w komputerze? Poza tym mam prostą propozycję: wezwijmy Spinksa i przekonajmy się, czy zdołamy wyciągnąć z niego prawdę.

– Dobry pomysł – zgodził się Gristhorpe.

– A tym razem – dodał Banks – chyba będziemy mieli kartę przetargową.

II

Gdzie był? W Swiss Cottage w Londynie. Kasa dzwoniła, gwar rozmów i śmiechy wznosiły się i opadały. Pomyślał, że z zewnątrz dobiega odległe dudnienie grzmotu, czuje się napięcie przed burzą, elektryczny zapach powietrza jak ten palący się kurz w kościele.

Kiedy policja go zwolniła, poszedł do domu. Przepchnął się przez tłum dziennikarzy, wsiadł do samochodu i odjechał, zostawiając wszystko za sobą. Nie miał pojęcia, dokąd zmierza, w każdym razie nie na poziomie świadomości. Głównie nadal był oszołomiony rozwojem wypadków: nie tylko tym, że policja go wypuściła, ale też faktem, że ktoś dołożył starań, żeby go zrobić.

A jak powiedział policji, jedyną osobą, która do tego stopnia go nienawidziła, była Michelle.

Nie podejrzewali jej, uważali, że sprawcą jest mężczyzna, ale Owen znał ją lepiej. Nie dałby za nią głowy. Jeśli nie zrobiła tego sama, mogła kogoś wynająć, wykorzystać seks do manipulowania jakimś biednym chorym draniem, a to potrafiła doskonale.

Z takimi na wpół ukształtowanymi myślami, w jednej chwili wyglądającymi na czystą fantazję, a w drugiej na szczerą prawdę, Owen złapał się na tym, że jedzie do Londynu. Teraz pił w Swiss Cottage, próbując zdobyć się na odwagę, żeby pójść i rzucić te oskarżenia Michelle w twarz.

Ciekawiło go, co by mu powiedziała, gdyby stanął na jej progu. Nawet jeśli nie zorganizowała morderstw, żeby go zdyskredytować, to przecież obrzuciła go błotem w prasie. To wiedział na pewno. O tak. Nie mógł się doczekać, kiedy usłyszy, co Michelle ma na swoją obronę.

– Dobrze się czujesz, stary?

– Słucham? – Pytanie zadał siedzący obok mężczyzna. – Tak, tak... w porządku. – Owen uświadomił sobie, że musiał mamrotać pod nosem. Mężczyzna obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem i odwrócił się od niego.

Czas się zbierać. Dziewiąta. Jaki dzień tygodnia? Wtorek? Środa? Czy to naprawdę ma znaczenie? Istniała spora szansa, że zastanie Michelle. Ludzie, którzy pracują od dziewiątej do piątej, zwykle

w tygodniu wieczory spędzają w domu, a w każdym razie wracają wcześniej.

Znalazł telefon i wiszącą obok niego podniszczoną książkę. Niektóre strony wyrwano, inne pomazano pisakami, ale była ta, na której mu zależało. Przesuwał palcem, aż znalazł jej nazwisko: Chappel. Imienia nie podano, tylko inicjały M.E. Michelle Elizabeth. To był jej numer.

Poczuł ucisk w klatce piersiowej, kiedy szukał w kieszeniach monety. W głowie mu się kręciło i zanim zaczął wybierać numer, musiał na moment oprzeć się o ścianę. Minęli go dwaj wychodzący mężczyźni i dziwnie na niego spojrzeli. Po ich odejściu wziął cztery głębokie wdechy, żeby odzyskać panowanie nad sobą, chwycił słuchawkę, wrzucił monetę w otwór i wybrał numer. Rozległ się pierwszy, drugi, trzeci, czwarty sygnał. Po piątym kobiecy głos, dość zirytowany, zapytał:

– Słucham, kto mówi?

To był jej głos, na sto procent. Owen wszędzie rozpoznabył to wibrowanie z lekkim śladem seplenienia małej dziewczynki.

Odsunął słuchawkę i pozwolił, żeby powtórzyła to pytanie głośniej:

– Kto mówi?

Ponieważ milczała, rzuciła do słuchawki: „Zbok” i rozłączyła się.

Owen przez chwilę patrzył na słuchawkę, potem się uśmiechnął i wyszedł, chociaż zbierało się na burzę.

III

John Spinks nie wydawał się specjalnie zaskoczony, że tuż po zmroku znowu znalazł się na posterunku w Eastvale. Jak przewidywano, był w Swainsdale Center, gdzie chwalił się kumplom, jak to spędził weekend w pudle i stanął przed sędzią pokoju. Pojawienie się dwóch potężnych funkcjonariuszy w mundurach tylko uwiarygodniło jego opowieści; policjanci powiedzieli później Banksowi, że cała paczka wybuchnęła śmiechem, kiedy wyciągnął ręce do skucia, tak jak widywał to w telewizji.

Zdziwił się jednak, kiedy zaprowadzono go do gabinetu Banksa, a nie do cuchnącego pokoju przesłuchań. Jeszcze bardziej się zdumiał, kiedy Banks zaproponował mu kawę, papierosy i herbatniki w nieograniczonych ilościach.

Gristhorpe i Banks postanowili porozmawiać z nim we dwóch, stosując podejście „dobry gliniarz, zły gliniarz”. Spinks znał Banksa, za to nadinspektor był dla niego niewiadomą. Chociaż jego niemowlęce błękitne oczy budziły w złoczyńcach strach większy niż komplet zgniataczy do kciuków, Gristhorpe potrafił być uosobieniem dobroduszości. Mieli jeszcze jedną kartę do rozegrania: był

wyższy rangą od Banksa. W jego gabinecie czekał Stafford Oakes, gdyby ich plan zakończył się sukcesem.

– Dobrze, Johnie – zaczął Banks. – Nie będę owijał w bawełnę. Masz kłopoty. Poważne kłopoty. Spinks parsknął, jakby kłopoty były jego specjalnością.

– Jasne, racja.

– Nie tylko postawiliśmy ci zarzut kradzieży i ucieczki – ciągnął Banks – ale kiedy nasi ludzie przeszukali twój dom, znaleźli dość cracku, ecstasy i LSD, żeby cię oskarżyć o handel narkotykami.

– Mówiłem, to gówno nie jest moje.

– A czyje?

– Nie znam jej nazwiska. Jakaś dziwka spędziła u mnie noc. Musiała zapomnieć i zostawić.

– Spodziewasz się, że uwierzę, że ktoś zapomni o wartych fortunę narkotykach? Daj spokój, John, są twoje, dopóki ktoś się o nie nie upomni, a prędzej kaktus mi na ręce wyrośnie niż tak się stanie.

Spinks przygryzł dolną wargę. Już nie wyglądał jak hollywoodzki ideał chłopaka, bardziej przypominał przerażonego nastolatka. Zaczął obgryzać paznokcie, kosmyk włosów zasłaniał mu oko. Brawura zawsze w którymś miejscu się kończy, pomyślał Banks, choć wiedział, że błędem byłoby podchodzić do tej sprawy lekceważąco. Głupota połączona z uporem bywa wartościowym źródłem siły, kiedy wszystkie armaty są w ciebie wycelowane. Przez osiemnaście lat dobrze służyła Spinksowi.

– Masz coś do powiedzenia? – zapytał Banks.

Spinks wzruszył ramionami.

– Mówiłem, to nie moje. Nie możecie tego udowodnić.

– Możemy udowodnić, co nam się podoba – odparł Banks. – A sędzia albo przysięgły będzie musiał tylko raz na ciebie spojrzeć, żeby wyrzucić klucz.

– Moja doradczyni prawna...

– Ci doradcy są zwykle tak użyteczni jak sito w czasie powodzi, Johnie. Powinieneś to wiedzieć.

Przepracowani i źle opłacani.

– Jasne, moja doradczyni mówi, że nie możecie mi tego przypiąć. To znaczy narkotyków.

Banks uniósł brwi.

– Naprawdę tak powiedziała? Oj, to fatalnie, John. – Pokręcił głową. – Myślałem, że jest źle, ale nie zdawałem sobie sprawy, że w dzisiejszych czasach prawnicy zaczynają praktykować, zanim skończą studia.

– Kurwa, ale śmieszne.

Drugie krzesło skrzyknęło, gdy Gristhorpe pochylił się do przodu.

– Mój inspektor chyba traktuje cię trochę zbyt szorstko, chłopcze – powiedział. – Widzisz, dla niego to sprawa osobista. Stracił syna przez dragi.

Spinks spojrział na Banksa przez zmrużone oczy.

– Tracy nigdy o tym nie mówiła.

– Bo nie lubi o tym mówić – powiedział Banks szybko. Postanowili wcześniej, że będą improwizować w zależności od sytuacji, ale Gristhorpe rzucił mu niezłą przynętę. Uśmiechnął się do siebie. Dlaczego nie? Zagra w to. O ile się orientował, Brian był cały i zdrowy, wciąż studiował architekturę w Portsmouth, ale nie istniał żaden powód, żeby Spinks miał o tym wiedzieć. – Jak wszyscy w tym wieku – ciągnął – myślał, że jest nieśmiertelny, niezniszczalny. Myślał, że jemu to się nie może zdarzyć. Jasne, innym tak, ale nie jemu. – Pochylił się i klasnął w dłonie. – Guzik mnie obchodzi, czy palisz tyle cracku, że mózg wyleci ci dupą, za to bardzo mnie obchodzi, że sprzedajesz to innym, zwłaszcza grupie, do której w pewnym okresie należała moja córka. Rozumiemy się?

Spinks poprawił się na krześle.

– O co chodzi? Czego pan chce? Żebym się przyznał? Nie powiem ani słowa. Moja doradczyni...

– Pierdolić ją – przerwał mu Banks, waląc w chwiejne metalowe biurko. – I pierdolić ciebie.

Rozumiesz, co mówię?

Spinks wyglądał na roztrzęsionego. Gristhorpe znowu się włączył.

– Inspektorze – powiedział – nie wydaje mi się, żeby zwracanie się w taki sposób do pana Spinksa było właściwe. Nie wątpię, że doskonale pana rozumie.

– Przepraszam, szefie. – Banks wytarł czoło wierzchem dłoni. – Trochę mnie poniosło. – Wygrzebał z paczki papierosa i zapalił.

– Pan jest jego szefem? – zapytał Spinks, szeroko otwartymi oczami patrząc na Gristhorpe'a. – Nazwał pana szefem.

– Myślałem, że to jest jasne – odparł Gristhorpe, po czym mrugnął znacząco. – Nie przejmuj się, synu. Nie pozwolę, żeby się zerwał ze smyczy.

Spojrział na Banksa, który zdjął marynarkę i poluznił krawat.

– Tego trzeba zamknąć – ciągnął Spinks ośmielony. – I jego kumpla, tego tłustego. Raz mnie uderzył. Walnął moim nosem w pierdolony stół.

– No tak, ludzi czasem ponosi – przyznał Gristhorpe. – Stres związany z tą pracą. Problem w tym, że pod pewnym względem ma rację. Rzeczywiście masz poważne kłopoty. W tej chwili jesteśmy chyba twoimi jedynymi przyjaciółmi.

– Przyjaciółmi?

– Tak – odparł Banks, znowu przyciągając jego uwagę. – Możesz w to wierzyć albo nie, John, ale zamierzam ci wyświadczyć największą przysługę, jaką ktokolwiek wyświadczył ci w życiu.

Spinks przymrużył oczy.

– Tak? Dlaczego mam panu wierzyć?

– Powinieneś. W przyszłości może mi nawet za to podziękujesz. Masz teraz osiemnaście lat, John, nie wywiniesz się. Wziąwszy pod uwagę zarzuty, które ci grożą, pójdiesz do więzienia. Czekają cię ciężkie czasy. Wiem, jesteś dużym chłopcem, twardzielem i tak dalej, ale pomyśl o tym. Pomyśl. Chodzi nie tylko o to, że będą cię gwałcić rano, po południu i wieczorem, że z nożem na szyi będziesz musiał robić loda, może złapiesz AIDS. To życie pozbawione absolutnie wszystkiego, John. Jedzenie jest podłe, z rur cuchnie i nikomu nie można się poskarżyć. A kiedy wyjdiesz – o ile wyjdiesz – wiele lat później, stracisz większą część młodości. Będziesz znał wyłącznie więzienne życie. I wiesz co, John? Migiem tam wrócisz. Nazywają to recydywą. Zastanów się nad tym. Nazwij to czymś w rodzaju pragnienia śmierci, ale ktoś taki jak ty po odsiadce nie jest w stanie funkcjonować w normalnym świecie. Potrzebuje więzienia. A jeśli chodzi o robienie loda i gwałty...

– Banks wzruszył ramionami. – Cóż, jestem pewien, że z czasem nawet to polubisz.

Monolog nie podziałał na Spinksa, czego Banks się spodziewał. Miał na celu zmiękczyć chłopaka na tyle, żeby się zgodził na układ. Banks wiedział, że Spinks już jest skazany na egzystencję, którą mu przedstawił, ale nie potrafi tego zrozumieć i nie jest w stanie dokonać zmian, by jej uniknąć.

Nie. Zamierzali mu zaproponować chwilową zwłokę, szansę na wolność i robienie dalej tego, co robi teraz, aż znowu go złapią, o ile najpierw nie zabije siebie albo kogoś innego. Szprotka wykorzystana do złapania makreli. Bardzo smutne, ale bardzo prawdziwe.

– Więc jaką wielką przysługę chce mi pan wyświadczyć?

– Na początek – odparł Banks – powiesz nam prawdę o tym, co się zdarzyło w zeszłym roku w sierpniu. Powiesz, jak ukradłeś samochód i komputer Michaela Clayтона i co dokładnie stało się później.

Spinks lekko pobladł, ale się nie poddał.

– Dlaczego miałbym coś takiego zrobić?

– Żeby uniknąć więzienia.

– To znaczy, mam przyznać się do jednego przestępstwa, a drugie mi darujecie?

– Coś w tym rodzaju.

– Chryste, jesteście gorsi od pieprzonych kryminalistów. Co za banda. – Spinks zwrócił się do

Gristhorpe'a. – Może tak zrobić? Jest do tego upoważniony?

– Ja mogę – odparł łagodnie Gristhorpe. – Jestem nadinspektorem, pamiętasz?

– Nie potrzebujemy prawnika ani nic?

– Co jest, John? Nie ufasz nam?

– Nie ufam panu. Zresztą czemu mam gadać z płótką, skoro rekin tu jest?

Banks się uśmiechnął. Plan zaczął działać. Spinks jeszcze nie powiedział, że nie ukradł samochodu

Claytona.

– W budynku jest prokurator – odezwał się Gristhorpe. – Może ci wyjaśnić szczegóły dotyczące zarzutów i prawdopodobnych wyroków, jeśli chcesz z nim porozmawiać.

Spinks zmrużył oczy.

– Może później. Co to za układ?

– Odpowiedz szczegółowo na nasze pytania – odparł Gristhorpe – a my dopilnujemy, żebyś nie poszedł siedzieć. Handel stanie się zwykłym posiadaniem.

– To nie wystarczy. Wycofajcie wszystkie zarzuty.

Gristhorpe pokręcił głową.

– Przykro mi, synu, tego nie możemy zrobić. Widzisz, dokumenty już są w systemie.

– Możecie je zgubić.

– Owszem, jedną, dwie kartki, ale nie wszystkie – powiedział Gristhorpe. – Prawnik to wyjaśni.

Spinks milczał, pogrążony w myślach.

Banks wstał.

– Mam tego dość – zwrócił się do Gristhorpe'a. – Mówiłem, że nic z tego nie będzie. Mózg ma tak otumaniony, że nie poznaje daru losu, nawet kiedy się o niego potyka. Poza tym rzygać mi się chce od tego siedzenia z kretynem handlującym narkotykami. Wsadźmy go do więzienia, tam jego miejsce. Niech złapie HIV-a. Ciekawe, czy się przejmę. – Ruszył w stronę drzwi.

– Zaraz, chwila. – Spinks podniósł rękę. – Niech pan przystopuje. Jeszcze nic nie powiedziałem.

– I to jest właśnie problem – oznajmił Gristhorpe. – Lepiej się szybko zdecyduj, synu. Takich okazji nie dostaje się codziennie. Przypuszczalnie uda się nam ograniczyć wyrok do dozoru kuratorskiego, może kilku godzin prac społecznych, ale całkiem oczyścić cię nie możemy.

Spinks ze złością spojrział na Banksa, który z pogardliwym grymasem stał przy drzwiach, trzymając dłoń na klamce, potem przeniósł wzrok na Gristhorpe'a, uosobienie dobroci i wyrozumiałości. Po chwili położył nogę na biurku Banksa.

– Dobra – powiedział. – Dobra. Macie układ. Sprowadźcie prawnika.

IV

Wielkie krople deszczu znaczyły chodnik, kiedy Owen wyszedł z pubu. Na południu niebo przeszyła błyskawica, grzmot zaburczał jak pusty brzuch Boga. Goście stojący na dusznej ulicy pobiegli do środka, by schronić się przed ulewą.

Owenowi kręciło się w głowie od wypitego alkoholu i zdawał sobie sprawę, że nie myśli jasno. Procenty sprawiły, że był dostatecznie odważny i lekkomyślny, żeby stawić czoło Michelle.

Szedł główną ulicą, mijając otwarte do późna puby i sklepy. Głowę miał pochyloną, kołnierz kurtki podniesiony w daremnej próbie uchronienia się przed zamoczeniem. Światła witryn i latarnie uliczne rzucały smugi na chodnik i rynsztoki. Włosy, które wcześniej były wilgotne od potu, teraz deszcz przykleił do czaszki.

Zapomniał, gdzie dokładnie zaparkował samochód, ale to nie miało znaczenia. Mieszkanie Michelle nie może być daleko.

Zatrzymał parę młodych ludzi wychodzących z pubu i zapytał o ulicę, przy której mieszkała. Podali mu wskazówki, majstrując przy parasolu. Jak podejrzewał, to nie było daleko, ze dwieście metrów główną ulicą, potem w lewo, kawałek w prawo i znowu w lewo. Podziękował i ruszył, świadomy, że tamci stoją i odprowadzają go wzrokiem.

Teraz, kiedy wiedział, że się z nią zobaczy, poczuł natłok myśli. Oczywiście nie będzie chciała go wpuścić, wzięwszy pod uwagę, co próbowała mu zrobić, co o nim mówiła.

Czuje się na tyle odważny, żeby się włamać? Może. Nie wiedział. Sądząc z adresu, jej mieszkanie pewnie jest w jednym z tych trzy-, czteropiętrowych londyńskich domów. A gdyby poczekał, aż ona wyjdzie, i zaczepił ją na ulicy... Może pójdzie do sklepu czy na spotkanie, choć na to trochę za późno. Albo skorzysta z przyjścia innego lokatora, wtedy przynajmniej dostanie się do budynku.

Kierowca białego sportowego samochodu zatrafił, kiedy Owen przy czerwonym świetle przechodził przez ulicę. Pokazał kierowcy znak V, później stopa uwięzła mu przy krawężniku i potknął się, wpadając na starszego mężczyznę, który wyprowadzał psa na spacer. Staruszek spojrzał na niego ze złością, poprawił okulary i poszedł dalej.

Owen zgodnie ze wskazówkami skręcił w lewo i znalazł się na cichej uliczce zamkniętej dla ruchu kołowego. Domy były tu najwyżej trzypiętrowe, podzielone na mieszkania, z domofonem przy drzwiach. To nie będzie łatwe.

W wielu pokojach świeciło się światło, niektóre okna nie były zasłonięte; idąc, Owen widział kawałki niebieskiej ściany, górny róg regału na książki, odbitkę obrazu Dalego w ramkach, ozdobny żyrandol, migający ekran telewizora, dwoje rozmawiających ludzi, kota siedzącego na parapecie

i obserwującego deszcz – panoramę życia.

Spacer sprawił, że para uszła z Owena, ale nadal chciał zobaczyć się z Michelle twarzą w twarz, choćby tylko po to, żeby obserwować, jak będzie się wiła, kiedy oskarży ją o jej zbrodnie.

Wszedł po schodach i spojrzął na spis nazwisk w domofonie. M. E. Chappel, numer 4. Pierwsze czy drugie piętro? Nie wiedział. Przeszedł na drugą stronę ulicy i powiódł spojrzeniem po frontonie. Na drugim piętrze oba okna były ciemne, podobnie jak na parterze. Na pierwszym w jednym przez zasłony migotał telewizor, przez drugie, otwarte, dostrzegł tapetę w stylu Williama Morrisa. To na pewno nie jest pokój Michelle, już raczej ten z telewizorem.

Stał w cieniu i zastanawiał się, co robić. Deszcz padał, tworząc na nawierzchni oleistą warstwę. Owen już nie czuł się taki odważny jak w chwili, gdy wychodził z pubu. Alkohol wywietrzał, pozostawiając ból głowy. Potrzebował kolejnego drinka, ale zbliżała się jedenasta, knajpy zaraz zostaną pozamykane. Poza tym Michelle pewnie niedługo się położy. Skoro już tu przyjechał, nie może czekać do jutra.

Do domu zbliżyli się skuleni pod parasolem kobieta i mężczyzna, skęcili na ścieżkę i weszli po schodach. Obserwując ich, Owen domyślił się, że są wstawieni. Prawdopodobnie bezrobotni, nie muszą rano wstawać do pracy. Schował się głębiej w cieniu. Mężczyzna coś powiedział, kobieta się roześmiała. Strząsnęła parasol na trawnik. To nie była Michelle.

Kiedy znowu odwróciła się do drzwi, Owen przebiegł przez ulicę. To było ryzykowne, ale mogło się udać. Tamci stali plecami do słabo oświetlonej ulicy i nie mogli go usłyszeć w szumie deszczu i dudnieniu grzmotów. Adrenalina dodała mu energii i najwyraźniej ożywiła wcześniejszą brawurę. Pozostało mu kilka kroków. Teraz wszystko zależało od tego, jak wolno będą zamykać się drzwi.

Oboje przekroczyli próg i Owen na palcach pokonał schody, wyciągając rękę. Zdażył je zatrzymać zanim się zatrzasnęły.

Popatrzył na domy po drugiej stronie ulicy. O ile mógł stwierdzić, nikt go nie obserwował. Usłyszał szcęk otwieranych i zamykanych drzwi w budynku, w jednym z mieszkań na parterze zapaliło się światło.

Po cichu pchnął frontowe drzwi i wsunął się do środka.

V

Stafford Oakes szybko upewnił Spinksa, że zarzuty przeciwko niemu będzie można zredukować do rozsądnego poziomu, zwłaszcza te dotyczące narkotyków. Jeśli do tego dodać czystą kartotekę Spinksa, przygnębienie z powodu utraconej szansy na pracę i najróżniejsze okoliczności wpływające

na jego poziom stresu w czasie, gdy ukradł i rozbił samochód, prawdopodobnie dostanie kilka miesięcy prac na rzecz społeczności. Szczęśliwej społeczności.

– No dobrze – powiedział Banks po wyjściu Oakesa. – Może teraz nam wszystko opowiesz?

Potem zaprzęgniemy prokuratora do spisania łżejszych zarzutów. Jeszcze kawy? Papierosa?

Spinks wzruszył ramionami.

– Czemu nie.

Banks nalał kawy z dzbanka, po który wcześniej posłał.

– Tak między nami – zaczął – czy dwudziestego sierpnia zeszłego roku ukradłeś samochód Michaela Claytona?

Spinks odłamał filtr i zapalił papierosa.

– Nie pamiętam dokładnej daty, ale to było coś koło tego. I nie ukradłem go. Pożyczyłem na krótki wypad, to wszystko.

– Dlaczego?

– Co dlaczego? Bo mnie potraktował jak gówno, dlatego. Pierdolony snob. Jakbym nie był dość dobry, żeby mną wytrzeć nos jego drogocennej córki chrzestnej.

– To było zaraz po tym, jak on i lady Harrison przyłapali ciebie i Deborę na picciu wina w ogrodzie?

– Tak. Nic złego nie robiliśmy. Piekliśmy mięso na grillu i wypiliśmy trochę wina. On się zachowywał, jakby to wino było za dobre dla kogoś takiego jak ja. Na litość boską, wzięliśmy tylko jedną jebaną butelkę. Nie musiał tak wrednie do mnie mówić, nazywać leniwym chamem, tępakiem i w ogóle. To nie moja wina, że nie mogę dostać pracy, no nie?

– Więc z zemsty uszkodziłeś mu samochód?

– Nie. To był wypadek. Jeszcze się uczyłem, no nie? Samochód miał strasznie czuły pedał gazu.

Z tego, co Banks dotąd słyszał o postępkach Spinksa za kierownicą, może dobrym pomysłem byłoby, gdyby sąd mógł mu uniemożliwić otrzymanie prawa jazdy. Choć do tej pory brak prawka chłopakowi jakoś nie przeszkadzał.

– Wziąłeś też notebooka z samochodu?

– Był na tylnym siedzeniu pod płaszczem.

– Wziąłeś go?

Spinks spojrział na Gristhorpe'a.

– Wszystko w porządku, synku – powiedział nadinspektor – możesz bez konsekwencji odpowiedzieć na każde pytanie inspektora Banksa.

– Co? Niech pan powtórzy.

– Nie oskarżymy cię o to. Rozmawiamy nieoficjalnie. Nie nagrywamy ani nie zapisujemy.

Pamiętaj, co powiedział prawnik. Odpręż się. Czuj się swobodnie.

Spinks napił się kawy.

– Tak – przyznał. – Pomyślałem, że może być coś wart.

– I był?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Pierdolenie. Facet na targu zaproponował mi marne siedemdziesiąt pięć funtów.

A sam chciał go sprzedać za sto pięćdziesiąt, przypomniał sobie Banks. Sto pięćdziesiąt funtów za komputer wart sześć tysięcy.

– I sprzedałeś mu go?

– Tak.

– A zanim go sprzedałeś, korzystałeś z niego?

– Ja? Nie. Nie wiem, jak to działa.

– A Debora?

– Co z nią?

– Była bystrą dziewczyną. W szkole miała informatykę. Wiedziała, jak go uruchomić.

– Taa, no...

– W tamtym czasie spotykałeś się z Deborą, prawda?

– Taa.

– Odwiedzała cię w twoim domu?

– Tak. Była raz czy dwa, ale kręciła nosem. Mówiła, że cuchnie i jest brudno. – Roześmiał się. –

Za skarby świata nie poszłaby do łazienki, choćby nie wiem jak jej się chciało.

– Jasne – powiedział Banks. – Chcielibyśmy się teraz dowiedzieć, John, czy Debora uruchomiła komputer?

– No, po prawdzie to tak. – Spojrzał na Gristhorpe'a, jakby chciał się upewnić, czy może mówić dalej bez konsekwencji. Gristhorpe kiwnął głową jak ksiądz. – Tak, Deb była ze mną, kiedy... no wiecie... wybrałem się na przejażdżkę.

– Debora była z tobą, kiedy ukradłeś samochód Michaela Claytona?

– Właśnie to powiedziałem. Tylko że nie użyłem słowa „ukradłem”. Nie podoba mi się. No bo z nią to wszystko pozostało w rodzinie, nie? Jak pożyczanie rodzinnego samochodu.

– Mówiłeś mi, że to wy dwoje „pożyczyliście” jego samochód?

– Jasne, że nie. Myśli pan, że jestem głupi albo co?

– Mów dalej.

– No, na początku pomysł wcale jej się nie podobał. Mało wypić. Ale kiedy cichutko otworzyłem wóz i ten szwedzki silnik zaczął mruczeć, poczuła się jak ryba w wodzie. To Deb zauważyła komputer. Powiedziała, że się dziwi, że Clayton spuścił go z oka, bo był takim gościem, co to zapisywał w nim nawet wizyty u dentysty. Ja powiedziałem, żebyśmy go zostawili. Nie zgodziła się, chciała do niego zajrzeć.

– I co zrobiła?

– Jak skończyliśmy z autem, poszliśmy do mnie. Mamy jak zwykle nie było, a ja się napaliłem po tej fajnej szybkiej jeździe. Miałem ochotę na wiecie co, ale Deb zrobiła się dziwna, czasami taka była, i po chwili mnie też przeszło. Tak się zachowywała. Potrafiła być odpychająca, lodowata.

– Komputer, John.

– No, jak Deb raz go włączyła, to nie mogłem jej od niego oderwać.

– A co z hasłem?

– Jeśli jakieś było, nie zajęło jej zbyt wiele czasu. Ale trochę ją zaskoczyło, że to było takie łatwe.

– Hasło?

– To, co było potrzebne do włączenia.

– Co powiedziała?

– „Ja pierdolę!”. Nie dosłownie, ale o to chodziło. Deb nie lubiła przeklinać. Mówiła „o rany” albo „jejku”.

– A potem?

Spinks wzruszył ramionami.

– Potem się nim bawiła. Ja się znudziłem i poszedłem na piętro się położyć.

– Nadal się bawiła, kiedy wróciłeś na dół?

– Kończyła. Wyglądało na to, że coś wyjęła. Te małe kwadratowe rzeczy, jak się nazywają?

– Dyskietki?

– Właśnie.

– Skąd ją miała?

– Nie wiem. Komputer był w torbie, a tam ich było pełno w takich małych kieszeniach. Pewnie stamtąd.

– Co zrobiła z dyskietką?

– Włożyła do kieszeni.

– Orientujesz się, co na niej było?

– Nie. Zapytałem ją, co knuje, ale mi odpowiedziała, żebym pilnował własnego nosa.

– Zrobiła coś jeszcze z komputerem?

– Tak. Stuknęła w kilka klawiszy, przez chwilę patrzyła na ekran, uśmiechała się do siebie, tak dziwnie, a potem wyłączyła.

– Co dalej?

– Powiedziała, że mogę go sprzedać, jeśli chcę, i zatrzymać pieniądze. – Spinks spojrział na Gristhorpe'a. – Praktycznie mi go dała, no nie? W końcu Clayton był jej ojcem chrzestnym. To nie kradzież, prawda?

– Wszystko w porządku – upewnił go Gristhorpe. – Świetnie sobie radzisz. Tylko nadal odpowiadaj na pytania tak wyczerpująco i szczerze, jak potrafisz.

Spinks kiwnął głową.

– Czy powiedziała ci, co znalazła w komputerze?

– Nie. To znaczy ja jej o to nie pytałem. Widziałem, że nie chce nic powiedzieć. Moim zdaniem dowiedziała się, że majstrował przy księgach rachunkowych albo coś w tym rodzaju.

– Czemu tak uważasz?

– To logiczne, no nie?

– A później wracała do tej sprawy?

– Nie. No, jakiś tydzień później jej matka przyłapała nas w łóżku. Dla mnie to oznaczało czerwoną kartkę. Spadaj, stary.

– Wiesz, czy Michael Clayton odkrył, że ty wzięłeś komputer albo że Debora z niego korzystała?

– Ja na pewno mu nie mówiłem. Może Deb tak, ale żadne z nich nigdy mi o tym nie wspomniało.

– Zainkasowałeś swoje siedemdziesiąt pięć funtów?

– Jasne.

– Jest coś jeszcze?

– Nie, to wszystko. Powiedziałem wszystko. – Spinks spojrział na Gristhorpe'a. – Mogę już iść?

– Alanie?

Banks kiwnął głową.

– Jasne, chłopcze – zwrócił się do Spinksa Gristhorpe. – Zbieraj się.

– Nie zapomnicie o układzie, co?

Gristhorpe pokręcił głową. Spinks posłał Banksowi triumfalny uśmiech i wyszedł.

– Chryste – powiedział Banks. – Muszę się napić, żeby zmyć z ust smak gówna.

Gristhorpe się roześmiał.

– Ale warto było. Chodźmy, ja stawiam. Musimy wiele spraw przemyśleć, zanim zdecydujemy, jaki będzie nasz następny krok.

Ledwo jednak doszli do schodów, zadzwonił telefon Banksa. Spojrzał na zegarek. Dochodziło wpół do jedenastej.

– Lepiej odbiorę – powiedział. – Ty idź. Spotkamy się na miejscu.

– Poczekam – odparł Gristhorpe. – To może być ważne. – Wszedł do gabinetu za Banksem, który chwycił za słuchawkę.

– Inspektor Banks?

– Tak.

– Mówi Vjeko. Vjeko Batorac. – Głos był lekko stłumiony i schrypnięty.

– Vjeko, co się stało? Coś złego?

– Pomyślałem, że powinienem panu powiedzieć, że Ive Jelačić właśnie u mnie był. Pokłóciliśmy się. Uderzył mnie.

– Co się stało, Vjeko? Niech pan zacznie od początku.

Vjeko wziął głęboki wdech.

– Ive przyszedł tu mniej więcej pół godziny temu z książką, tak na początku myślałem. To był pamiętnik oprawiony w dobrej jakości skórę, napisany po angielsku. Jelačić powiedział, że dzięki niemu stanie się bogaty. Nie potrafi czytać po angielsku, więc przyniósł go do mnie, żebym mu powiedział, co w nim jest. Obiecał, że mi da pieniądze. – Vjeko na moment umilkł. – Ta dziewczyna, którą zamordowano, nazywała się Debora Harrison, czy tak?

– Tak. – Banks poczuł, jak dłoń mu się zaciska na słuchawce. – Proszę mówić, Vjeko.

– To jej pamiętnik. Zapytałem, skąd go ma, ale nie powiedział. Chciał, żebym go przetłumaczył.

– I zrobił to pan?

– Przejrzałem zapiski, później powiedziałem Jelačićowi, że to nic ważnego, w każdym razie nic, za co dostałby pieniądze. Niech zostawi pamiętnik u mnie, a ja go wyrzucę.

– Co się stało potem?

– Zrobił się podejrzliwy. Pomyślał, że coś odkryłem i chcę go obrabować z jego pieniędzy. Chyba miał nadzieję znaleźć kogoś, kogo mógłby szantażować. Powiedział, że zabierze pamiętnik do Milego. On też umie trochę czytać po angielsku. Powtórzyłem, że to bezwartościowe i nie ma sensu. Próbował wyrwać mi pamiętnik, ale go mocno trzymałem. Zaczęliśmy się szarpać. On jest silniejszy ode mnie, inspektorze. Uderzył mnie. Dragica krzyczała, mała Jelena zaczęła płakać. To było

straszne.

– A potem co się stało?

– Ive uciekł z pamiętnikiem.

– Mówił pan, że go czytał.

– Fragmenty.

– Co w nich było?

– Jeśli mam rację, inspektorze, ta dziewczyna miała okropne kłopoty. Myślę, że powinien pan kogoś wysłać, żeby odebrał pamiętnik, zanim Ive zrobi coś szalonego.

– Dziękuję, Vjeko – powiedział Banks, już sięgając do widełek. – Niech pan zostanie w domu. Zaraz zadzwonię do wydziału śledczego West Yorkshire. Jelačić szedł do domu Milego Pavelicia, tak?

VI

Owen w ciemności wszedł po wyłożonych chodnikiem schodach na pierwsze piętro. Tam znalazł kontakt i zapalił światło. Zapukał do drzwi z numerem 4 – bez judasza – i wstrzymał oddech. Istniała szansa, że jeśli miała przyjaciół w budynku, zwłaszcza takich, którzy wpadają po karton mleka albo pogadać, otworzy od razu. W końcu nikt nie zadzwonił domofonem i nikt nie mógł ot tak wejść z ulicy.

Usłyszał, jak podłoga skrzypi za drzwiami, i zobaczył, że gałka zaczyna się przekręcać. A jeśli jest łańcuch? Jeśli Michelle z kimś mieszka? Serce biło mu szybko. Drzwi się uchyliły.

– Tak? – zapytała.

Łańcucha nie było.

Owen pchnął, Michelle zatoczyła się i drzwi otworzyły się na oścież. Zamknął je za sobą i oparł się o nie. Michelle z rozpędu opadła na sofę. Miała na sobie granatowy szlafrok, który się rozchylił. Pośpiesznie się nim otuliła i spojrzała na Owena.

– Ty. Cholera, czego chcesz? – W jej głosie więcej było gniewu niż strachu.

– Dobre pytanie po tym, co mi zrobiłaś.

– Piłeś. Jesteś zalany.

– I co z tego?

– Dzwonię na policję.

Michelle rzuciła się do telefonu, ale Owen ją uprzedził i zrzucił aparat ze stolika. Sprawy układały się inaczej niż sobie wyobrażał. Chciał porozmawiać, dowiedzieć się, dlaczego próbowała go

wrobić, ale ona to utrudniała.

Przez kilka sekund wpatrywali się w siebie jak myśliwy i jego ofiara, nieruchomi, zdyszani, spięci. Potem Michelle pobiegła do drzwi. Owen znowu ją uprzedził i odepchnął. Tym razem trafiła na oparcie sofy i przewróciła się na plecy. Szlafrok się zsunął na brzuch i rozdzielił na lędźwiach, odsłaniając trójkąt kręconych złotych włosów. Owen stanął jak wryty. Michelle posłała mu lodowate pogardliwe spojrzenie, okryła się i usiadła.

– No dobra – powiedziała, zakładając włosy za uszy. – Więc jesteś. Muszę przyznać, że trochę mnie to zaskoczyło, ale chyba nie powinnam się dziwić. – Wzięła papierosa i zapaliła wielką stołową zapalniczką, po czym wypuściła dym nosem. Przypomniawszy sobie zmieszany zapach tytoniu i pasty do zębów w jej ustach, kiedy po seksie leżeli w łóżku. – Czemu nie siadasz?

– Nie boisz się?

Michelle się roześmiała, przygryzając koniuszek różowego języka zębami.

– A powinnam?

Jej niebieskie oczy były chłodne, opanowane. Chociaż Michelle miała dwadzieścia cztery lata, nadal wyglądała na nastolatkę. Po części zawdzięczała to nieskazitelnej alabastrowej cerze, długiej szyi, delikatnemu nosowi i wykrojowi ust, z których doskonałych linii każdy rzeźbiarz byłby dumny.

Ale przede wszystkim swojemu charakterowi, uświadomił sobie Owen. Była jak okrutna nastolatka, która innych obrzuca wyzwiskami, przywódczyni gangu wymyślająca coraz to nowe tortury, zupełnie nieprzejmująca się uczuciami dręczonych i terroryzowanych.

– Jeśli naprawdę wierzysz, że zamordowałem te dziewczyny, to powinnaś się bać. Wiesz, były do ciebie podobne.

– W ich osobach zabijałeś mnie. To chcesz mi powiedzieć?

– Możesz mi podać choć jeden dobry powód, dla którego nie miałbym tak mówić? Nie boisz się, bo wiesz, że tego nie zrobiłem. Mam rację?

– No cóż – odparła Michelle. – Naprawdę trudno było mi uwierzyć, że wystarczyło ci odwagi. Ale z drugiej strony myliłam się, sądząc, że trzeba odwagi, żeby udusić kobietę.

– I przekonałaś się, że jest inaczej?

– O co ci chodzi? – zapytała, lekko skonsternowana.

– Ty to zrobiłaś, prawda, Michelle? Nie jestem pewien w przypadku tej pierwszej, Debory Harrison, ale druga to twoja sprawka, tak? Zabiłaś ją, żeby mnie wrobić. Albo znalazłaś kogoś, kto to zrobił.

Michelle się roześmiała i znowu popatrzyła na drzwi.

– Oszalałeś – powiedziała. – Wpadłeś w paranoję. Jeśli myślisz, że zrobiłabym coś takiego, zadała sobie tyle trudu, to kompletnie ci odbiło. – Wstała i podeszła do barku. Jej nogi z szelestem ocierały się o poły szlafroka. Owen szedł tuż za nią. – Zaproponowałabym ci drinka, ale myślę, że już za dużo wypiliśmy.

– Dlaczego to zrobiłaś, Michelle? Na Boga, dlaczego?

Uniosła brwi.

– Co niby zrobiłam?

– Wiesz, o co mi chodzi. Zabiłaś dziewczynę, żeby zrzucić winę na mnie. Włamałaś się do mojego domu, ukradłaś pojemnik na film z moimi odciskami palców, zebrałaś kilka włosów z poduszki. A potem zdemolowałaś pokoje, żeby to wyglądało na zbrodnię z nienawiści.

Michelle pokręciła głową.

– Zwariowałaś. – Naląła szkockiej do kryształowej szklaneczki. Owen widział, że ręka jej drży.

– I jeszcze to, co o nas powiedziałaś policji – ciągnął. – Artykuły w gazetach. Dlaczego tyle im o mnie nakłamałaś?

– Dobrze zapłacili. – Roześmiała się. – Nie policja, gazety. I nikogo nie zabiłam. Nie bądź idiotą, Owenie. Nie mogłabym nic takiego zrobić. A poza tym nie kłamałam.

– Wiesz, że wcale tak nie było.

– To wszystko wersje, Owenie. Z mojego punktu widzenia tak to wyglądało. Jestem gotowa przyznać, że z twojego inaczej. Przepraszam. Wiem, że nie powinnam być taka niewdzięczna. Pomogłeś mi skończyć college. Wspierałeś mnie finansowo, zapewniłeś mi dach nad głową i z całą pewnością dzięki tobie miałam lepsze oceny. Przez pewien czas było fajnie... Ale nie miałeś prawa mnie szpiegować, wszędzie za mną chodzić. Nie byłam twoją własnością. I nie miałeś prawa wyrzucać mnie na ulicę. Nikt nigdy tak mnie nie potraktował. – Jej błękitne oczy lśniły jak lód.

– Fajnie... przez pewien czas? Michelle, ja byłem w tobie zakochany. Mieliśmy zamiar... Nie wierzę, że coś takiego mówisz, że w twoich ustach wszystko to brzmi jak rzecz bez znaczenia. Dlaczego tak bardzo mnie nienawidzisz?

Wzruszyła ramionami.

– Nie nienawidzę cię. Po prostu guzik mnie obchodzisz.

– Ty suko.

Owen zrobił krok w jej stronę. Stała w miejscu koło barku i popijała drinka. Odrzuciła głowę do tyłu, włosy rozsypały się jej na ramionach. Pamiętał ten gest. Spojrzała na niego z góry z ustami wygiętymi w grymasie pogardy.

– Och, dajże spokój, Owen – powiedziała, okręcając pasek szlafroka na palcu. – Przecież stać cię na więcej. A może nie? Czyżbyś teraz musiał mordować uczennice, żeby ci stanął? – Jej uśmiech go torturował: krzywy, nadający oczom lodowaty i nikczemny wyraz. – Cieszę się, że w końcu znalazłeś coś, co cię kręci. Co chcesz zrobić, Owenie? Mnie też zabijesz? Wiesz co? Nie wydaje mi się, żebyś potrafił. Dlatego wybierasz uczennice i udajesz, że to ja. Tak to jest, prawda, Owenie?

Owen wyrwał jej szklaneczkę z ręki i opróżnił jednym haustem.

– Musisz sobie dodać odwagi? Tego ci potrzeba? Wciąż nie potrafię uwierzyć...

Nie wiedział, jak to się stało. W jednej chwili patrzył na swoje odbicie w jej źrenicach, w następnej trzymał ręce na jej gardle. Pchnął ją na barek, przewracając butelki i szklanki. Wyciągnęła zgięte palce ku jego oczom, ale miała za krótkie ręce. Drapała go po nadgarstkach, szarpała, wydając głębokie gardłowe tony. Plecami leżała na blacie barku i kopała go.

Dusił ją za wszystko, co kiedykolwiek mu zrobiła: za to, że była bezwstydną kurwą i rozkładała nogi przed każdym, kto zabrał ją na drogą kolację, że całemu krajowi powiedziała, że on jest chorym zbrojcem i powinien trafić do więzienia, jeśli system sprawiedliwości w ogóle jakoś funkcjonuje, że go wrobiła.

I za całą resztę także: za aresztowanie, upokorzenie w więzieniu, utratę pracy i przyjaciół. Owen wpadł w furję. Za to wszystko i jeszcze za traktowanie go jak głupca, jak kogoś, kim może manipulować niczym marionetką. Kogoś, kto jej zdaniem nie miał nawet odwagi, żeby ją zabić.

Wcisnął palce głęboko w jej gardło. Jeden z jej wymierzanych na oślep kopniaków trafił go w krocze. Skrzywił się z bólu, ale nie puszczał, przyciskając ją do ściany. Siedziała na barku pomiędzy potłuczonymi kryształami i rozlanym alkoholem, oplatając go nogami, jakby uprawiali seks. Owen czuł whisky i dżin. Szlafrok pod jej udami był przesiąknięty krwią i alkoholem, jakby się zmoczyła.

Michelle nadal się szarpała, przewracając kolejne butelki, z trudem łapiąc powietrze. Raz udało się jej przeorać paznokciami jego policzek – o włos ominęła oczy.

Ale skończyło się tak nagle, jak się zaczęło. Owen rozluźnił uchwyt na jej szyi i Michelle zsunęła się z barku na podłogę, po czym znieruchomiała, oparta o mebel plecami.

Ktoś walił w drzwi i krzyczał:

– Michelle! Wszystko w porządku?

Owen chwilę stał, próbując odzyskać oddech i pojąć, co zrobił, potem otworzył drzwi i wybiegł na schody, mijając zdumionego sąsiada, a później na ulicę.

– Myślę, że Debora Harrison okłamała matkę, mówiąc, że zgubiła pamiętnik – powiedział Banks, kiedy z Gristhorpe'em czekali na telefon Kena Blackstone'a. Pora zamknięcia pubów dawno minęła, nie było szans na wypicie piwa. – Moim zdaniem trzymała go gdzieś w ukryciu.

– Na to wygląda – zgodził się Gristhorpe. – Pytanie brzmi, skąd pamiętnik wziął się u Jelaćicia. Wiemy, że nie mógł być w Eastvale w wieczór, kiedy dziewczynę zamordowano. Nawet jeśli pamiętnik był w jej tornistrze, Jelaćić nie mógł go zabrać.

– Chyba znam odpowiedź – odparł Banks. – Rebecca Charters wczoraj zaskoczyła kogoś na cmentarzu w zalesionej części koło mauzoleum Inchcliffe'ów. Kiedy mi o tym powiedziała, uznałem to za nieważne – nie przyjrzała się dobrze intruzowi – ale to nie może być zbieg okoliczności. Stawiam funta przeciwko pensowi, że to był Jelaćić.

– Pamiętnik był tam ukryty?

Banks potaknął.

– A on wiedział gdzie. Widział, jak Debora go ukrywa. Kiedy w zeszłym tygodniu zwolniono Pierce'a i poszedłem ponownie przesłuchać Jelaćicia, musiał sobie o tym przypomnieć i dojść do wniosku, że może mieć z tego jakiś zysk. Ironia losu, można powiedzieć. Ten otwarty tornister od początku mi się nie podobał. Kiedy go zobaczyłem, myślałem, że może zabójca wyjął z niego coś, co go obciążało, i najprawdopodobniej zniszczył. Ale lady Harrison powiedziała mi, że Debora zgubiła swój pamiętnik. Nie widziałem powodu, żeby któraś z nich miała na ten temat kłamać.

– Chyba że Debora nie chciała, żeby ktoś przypadkiem poznał tajemnice, które w nim opisała?

– Albo lady Harrison. Jeśli się nad tym zastanowić, każda z nich mogła kłamać. Sir Geoffrey wcześniej mi powiedział, że Debora prowadziła pamiętnik, więc jego żona nie mogła twierdzić, że pamiętnik nie istnieje.

– Mogła natomiast powiedzieć, że Debora jej mówiła o zgubieniu pamiętnika, czego my w żaden sposób nie byliśmy w stanie zweryfikować.

– Właśnie. No i liczyła, że nie zaprzętałibyśmy sobie głowy szukaniem. Jak zresztą się stało.

– Ale przecież technicy przeszukali cmentarz dzień po zabójstwie Debory?

– Tak, przeszukali teren. Nie chodziło o narzędzie zbrodni, tylko majtki Debory i przedmioty, które sprawca ewentualnie mógł zgubić. Znaleźliśmy kilka pustych paczek po papierosach i niedopałki. W większości zostawił je Jelaćić, a wiedzieliśmy, że tam pracował. Resztę przypisaliśmy dziewczynom ze szkoły, które się wymykały na dymka. Poza tym tylko w książkach mordercy palą papierosy, w mgłę czekając na ofiary. Zwłaszcza że teraz wszyscy wiedzą, że istnieje spora szansa na uzyskanie DNA ze śliny.

– A co z mauzoleum? Debora mogła do niego wejść?

– Tak. Ale mauzoleum też przeszukaliśmy po tym, jak znaleźliśmy puste butelki. W każdym razie...

Zadzwoił telefon. Banks złapał słuchawkę.

– Alan, mówi Ken Blackstone. Przepraszam, że tak długo to trwało.

– Powiodło się?

– Mamy go.

– Wspaniale. Sprawił wam kłopot?

– Zarobił kilka siniaków. Okazało się, że kiedy nasi chłopcy przyjechali, przed chwilą wyszedł z domu Pavelicia. Poszli za nim przez nieużytki. Zobaczył ich i odbił w prawo, przebiegł przez York Road na Richmond Hill i w dół. Kiedy w końcu go dogonili, nie miał pamiętnika.

Banksowi zrzędała mina.

– Nie miał? Ale, Ken...

– Nie tak szybko, stary. Wyglądało na to, że wyrzucił pamiętnik, kiedy sobie uświadomił, że go gonią. Nie chciał, żeby go złapano z obciążającymi dowodami. W każdym razie chłopcy zawrócili trasę, którą biegł, i znaleźli pamiętnik w koszu na śmieci przy York Road.

Banks odetchnął z ulgą.

– Co mamy z nim zrobić? – zapytał Blackstone. – Jest północ, będzie druga w nocy, jak przywieziemy go do Eastvale.

– Zatrzymajcie go na noc – odparł Banks. – Nikt w tej sprawie nigdzie się nie śpieszy. Przywieziecie go rano. Ale, Ken...

– Tak, to pamiętnik Debory Harrison.

– Czytałeś go?

– Wystarczająco.

– No i?

– Jeśli prawidłowo zrozumiałem sens, Alanie, to jest prawdziwa bomba.

– Opowiedz mi o tym.

Blackstone mu opowiedział.

Rozdział 20

I

O dziesiątej rano następnego dnia, kiedy Jelačić czekał w celi na dole, Banks usiadł przy biurku z kubkiem kawy w ręce, zapalił papierosa i otworzył pamiętnik Debory Harrison. Wieczorem Ken Blackstone przez telefon opowiedział mu w skrócie treść – w rezultacie Banks źle spał – ale chciał sam go przeczytać, zanim wykona następny ruch.

Tak jak na wewnętrznej stronie klapy tornistra, tu też po imieniu i nazwisku następował adres z kolejnymi rozszerzeniami kończącymi się na wszechświecie.

Przejrzał część z adresami i numerami telefonów, ale nie znalazł nic odbiegającego od normy, tylko rodzinę i szkolne koleżanki, zaczął więc przerzucać strony.

Wkrótce się przekonał, że wiele zapisów dotyczyło wyłącznie faktów, bez próby analizy czy poetyckiej ich interpretacji. Niektóre dni zostawiła puste. Dopiero latem, kiedy rzekomo „zgubiła” pamiętnik, zaczęło być naprawdę interesująco:

5 sierpnia

Nuda. To chyba najnudniejsze lato w całym moim życiu. Wczoraj poszłam na zakupy do Swainsdale Center, żeby mieć coś do roboty. Co za ponure miejsce. Absolutnie żadnych przyzwoitych butów, za to pełno miejscowych ćwoków i strasznie zaniedbanych kobiet wlokących ze sobą jeszcze brudniejsze dzieci. Muszę popracować nad mamą, żeby niedługo zabrała mnie na zakupy do Paryża, w przeciwnym razie przysięgam, po prostu umrę z nudów w tym przerażającym prowincjonalnym miasteczku. W centrum handlowym spotkałam tę pospolitą małą dziwkę Tiffy Huxtable ze szkółki ujeżdżania. Była z grupą znajomych i zapytała, czy chcę do nich dołączyć. Nie byli przesadnie interesujący. Wszyscy siedzieli dokoła fontanny, wyglądali niechlujnie i głupio, choć jeden był całkiem do rzeczy, więc powiedziałam, że pewnie któregoś dnia wpadnę. Życie jest takie (ziewnięcie) nudne, że chyba rzeczywiście to zrobię. Och, jak bardzo potrzeba mi przygody.

Przez kilka następnych dni wpisów nie było, potem pojawił się taki:

9 sierpnia

Paczka Tiffy to banda głupich, pospolitych nudziarzy, tak jak myślałam. Potrafią mówić tylko o telewizji, piłce nożnej, seksie i muzyce pop. No naprawdę, kochanie, kogo to obchodzi?

Jestem pewna, że żadne z nich od lat nie przeczytało książki. Szczerze, wolałabym raczej zostać w domu i oglądać filmy na wideo. Tracy Banks sprawia wrażenie dość inteligentnej, ale okazuje się, że jest córką ni mniej, ni więcej, tylko policjanta. Jeden chłopak jest podobny do tego przystojnego aktora z Sąsiadów i nosi rewelacyjną skórzaną kurtkę. Ma bardzo ładne oczy z długimi rzęsami.

Od tego momentu sprawy toczyły się szybciej:

12 sierpnia

John (och, co za rozczarowanie! Co za prostackie, nudne i zwyczajne imię, jak „Tracy”!) ukradł samochód dzisiaj wieczorem i zabrał mnie na przejażdżkę! Mnie!!! Małą świętoszkę, wzór cnót. Było super! Gdyby tata się o tym dowiedział, padłby trupem. Samochód był marny, ciasna astra, ale on prowadził naprawdę szybko. Wyjechaliśmy z Helmthorpe i zaparkowaliśmy na polu. Było ekscytująco, chociaż trochę się bałam, że złapie nas policja. Kiedy stanęliśmy, John zaczął mnie wszędzie dotykać! Powiedziałam mu, że nie jestem taką dziewczyną, która to robi na pierwszej randce, nawet jeśli dla mnie ukradł samochód. Chłopcy! No, sami powiedzcie. Zapytał, co w takim razie mógłby zrobić, a ja odpowiedziałam, że możemy się pocałować. Nie przeszkadzało mi, kiedy wsunął język w moje usta, ale nie pozwoliłam mu położyć rąk na piersiach. Nie powiedziałam, że nigdy tego nie robiłam, chociaż w zeszłym roku byłam blisko z Pierre’em w Montclair i gdyby tak bardzo się nie śpieszył i nie miał tego małego wypadku, pewnie byśmy to zrobili.

Trzy dni później napisała:

15 sierpnia

Dzisiaj wieczorem w kolejnym „pożyczonym” samochodzie, jak nazywa je John, naprawdę po raz pierwszy to zrobiliśmy! Kazałam mu wziąć vana, bo w małej astrze jest ciasno, i przenieśliśmy się do tyłu. Na początku nie miałam zamiaru iść na całość, ale sprawy wymknęły się spod kontroli. Nie bolało, jak mówią. Nie wiem, czy to mi się podoba, czy nie. Rzeczywiście czułam się podniecona, grzeszna i rozwiązła, choć nie wydaje mi się, żebym miała orgazm. Nie wiem, bo nie mam pojęcia, jak to jest, ale ziemia się nie poruszyła, nie były dzwony ani nic w tym rodzaju, tylko poczułam to śmieszne doznanie między nogami i później trochę mnie tam szczypało. Ciekawe, czy kiedykolwiek będę miała wielokrotne orgazmy? Charlene Gregory powiedziała, że miewa orgazmy od wibracji silnika, kiedy jedzie autobusem, ale jej nie wierzę. A Kristy McCracken mówi, że dostaje orgazmu od tarcia

o siodełko roweru w czasie jazdy. Może to prawda. Ja czasami czuję się dziwnie, jeżdżąc na koniu. Tak czy owak, kiedy skończył, ohydne było to, jak zawiązał prezerwatywę i wyrzucił z okna na pole, a w drodze powrotnej wcale nie chciał ze mną rozmawiać. Czy tak się dzieje, kiedy ulegasz chłopakom i dajesz im to, na czym im zależy? Tak powiedziała by mama, chociaż jest Francuzką, a Francuzi podobno są tacy seksowni i w ogóle.

17 sierpnia

Dzisiaj John przyszedł do naszego domu. Mamy nie było i John chciał, żebyśmy poszli na piętro i tam to zrobili, ale ja za bardzo się bałam, że nas przyłapią. Na tylnym patiu zrobiliśmy na grillu hot dogi, z piwniczki wzięłam butelkę specjalnego wina ojca i piliśmy. Oczywiście mama wróciła! Była bardzo miła, naprawdę, ale widziałam, że John nie przypadł jej do gustu. Wujek Michael też przyszedł i od razu się domyśliłam, że od pierwszego spojrzenia znienawidził Johna. John mówi, że nikt nigdy nie daje mu szansy.

20 sierpnia

Dzisiaj wszyscy, mama, tata i wujek Michael, pojechali do Leeds na jakiś głupi koktajl, więc powiedziałam Johnowi, żeby znowu przyszedł do mnie. Wiedziałam, że tym razem długo ich nie będzie, dlatego zrobiliśmy to w moim łóżku! Grzech! Zły, cudowny grzech! Nie wiem, czy miałam orgazm, ale na pewno czułam lekki dreszcz i tym razem wcale nie byłam obtarta. John chce, żebyśmy nie korzystali z prezerwatywy, ale powiedziałam, żeby nie był głupi. Nawet przez myśl by mi to nie przeszło. Nie chcę zajść z nim w ciążę ani zarazić się jakąś chorobą weneryczną. Dotknęło go, że myślałam, że mógłby mnie czymś zarazić. On potrafi być czasami taki dziecinny. Dziecinny i nudny.

Dopiero jednak w jednym z późniejszych wpisów Banks na własne oczy się przekonał, co miał na myśli Ken Blackstone, kiedy powiedział, że pamiętnik może być „prawdziwą bombą”.

21 sierpnia

Nie mogę w to uwierzyć, wujek Michael jest we mnie zakochany! Mówi, że mnie kocha, odkąd skończyłam dwanaście lat, i nawet raz podglądał, jak się rozbierałam w Montclair. Mówi, że wyglądam jak Wenus Botticellego! Trochę przesadza, gdyby mnie ktoś pytał. Pamiętam, jak w zeszłym roku widziałam ten obraz w galerii Uffizich, kiedy z mamą pojechałyśmy do Florencji. Zaczniemy od tego, że mam krótsze włosy i w innym kolorze. Nigdy nie sądziłam, że wujek Michael w ogóle zna się na literaturze i sztuce. Część z tego, co napisał, brzmi bardzo poetycko. I wszystko jest o mnie! Nie wiem, co mam zrobić. Na razie to będzie moja mała

tajemnica. On oczywiście nie jest moim prawdziwym wujkiem, tylko przyjacielem taty, więc przypuszczam, że może się we mnie kochać, bo to nie jest kadzirodztwo. Chociaż czuję się dziwnie, bo znam go od zawsze. Ups, zapomniałam powiedzieć, skąd to wiem. Wczoraj wieczorem John i ja ukradliśmy samochód wujka Michaela, bo tak okropnie potraktował Johna w zeszłym tygodniu na naszym grillu (teraz wiem dlaczego: musiał być zazdrosny!!!). W każdym razie wujek Michael zostawił swój komputer na tylnym siedzeniu. Zabraliśmy go do domu Johna (dzięki Bogu jego strasznie cuchnącej matki nie było – naprawdę na jej widok przechodzą mnie dreszcze). Nie potrafiłam wejść w pliki techniczne, ale mniej więcej po kwadransie odkryłam hasło do folderu z plikami tekstowymi: oczywiście to MONTCLAIR. Później już było łatwo. Wujek Michael wszystko wpisuje do komputera, nawet listy zakupów! Kiedy skończyłam, przeformatowałam twardy dysk. To mu pokaże!

Banks odłożył pamiętnik i podszedł do okna. Przedpołudnie w upalny i parny czerwcowy dzień, brukowany rynek wypełniony samochodami. Zastanawiał się, czy to lato będzie tak gorące jak ubiegłe. Miał nadzieję, że nie. Oczywiście w komendzie nie było klimatyzacji – ani nigdzie w całym Eastvale, o ile się orientował. Trzeba było sobie radzić z otwartymi oknami i wentylatorami, co na niewiele się zdaje, kiedy nie wieje wiatr i powietrze jest rozgrzane.

Pamiętnik nie był dowodem, to jasne. Debora Harrison przeczytała prywatne zapiski Michaela Claytona i odkryła, że był w niej zadurzony, ale to jeszcze nie znaczyło, że ją zabił. Kiedy jednak Banks wrócił do lektury, z każdą stroną utwierdzał się w przekonaniu, że mordercą Debory jest Clayton.

Zadzwonił telefon. Kiedy Banks odebrał, usłyszał od sierżanta Rowe'a, że chce z nim rozmawiać sierżant Leaside ze Swiss Cottage.

Banks się zdziwił, to nazwisko nic mu nie mówiło.

– Połącz go.

W słuchawce rozległ się głos Leaside'a:

– Chodzi o Michelle Chappel. Jak rozumiem z informacji podanych w policyjnej sieci komputerowej, jej nazwisko pojawiło się w dochodzeniu, które ostatnio pan prowadził.

Banks mocniej zacisnął dłoń na słuchawce.

– Tak. Co się stało?

– Napadnięto ją, sir. Doznała poważnych obrażeń. Rany szarpane i siniaki, próba uduszenia.

– Gwałt?

– Nie, sir. Zastanawiałem się... Od sąsiada dostaliśmy rysopis podejrzanego... – Odczytał na

głos.

– Tak – powiedział Banks, kiedy tamten skończył. – Jasny gwint, tak. To prawdopodobnie Owen Pierce. Dobrze, dziękuję, sierżancie. Będziemy go szukać.

II

Ive Jelačić był w kiepskim nastroju po nocy w celi. Banks kazał go przyprowadzić do pokoju przesłuchań, ale dopiero po niemal godzinie poszedł z nadinspektorem Gristhorpe'em go przesłuchać. Nie włączyli magnetofonu.

– No, Ive – powiedział Banks – masz potężny kłopot, wiesz o tym?

– Jaki kłopot? Ja nic nie robię.

– Skąd wzięłeś pamiętnik?

– Jaki pamiętnik? Nie widzę go wcześniej. Policjant mi go daje.

Banks westchnął i potarł się po czole. Już widział, że to będzie jeden z tych dni.

– Ive – powiedział cierpliwie – Mile Pavelić i Vjeko Batorac widzieli cię z tym pamiętnikiem. Prosiłeś, żeby ci go przeczytali. Nawet uderzyłeś Vjeka, kiedy nie chciał ci go oddać.

– Nic nie pamiętam. Nie robię nic źle. Vjeko i ja kłócimy się, nic wielkiego.

– Dajże spokój, chłopcze – wtrącił Gristhorpe – pomóż nam.

– Nic nie wiem.

Gristhorpe gestem dał znać Banksowi, żeby wyszedł z nim z pokoju. Przez kilka minut stali w milczeniu na korytarzu, potem wrócili. Najwyraźniej zadziało – Jelačić z pewnością był bardziej zdenerwowany.

– Gdzie idziecie? – zapytał. – Co robicie?

– Posłuchaj mnie, Ive – powiedział Banks – bo powiem to tylko raz i powoli, żebyś zrozumiał każde słowo. Gdyby nie ty, niewinny człowiek nie spędziłby ponad pół roku w więzieniu, nie cierpiałby upokorzeń podczas procesu i nie wzbudziłby gniewu ludzi. Innymi słowy, przez ciebie Owen Pierce przeszedł piekło, a chociaż teraz jest wolny, wiele osób nadal uważa, że on zabił te dziewczyny.

Jelačić wzruszył ramionami.

– Może to zrobił. Może sąd się pomylił.

– Ale ważniejsze od cierpień Owena Pierce'a jest życie Ellen Gilchrist. Gdyby nie ty, może ta dziewczyna nie musiałaby umrzeć.

– Mówię wam wcześniej. W moim kraju ludzie umierają. Nikogo to nie ob....

Banks walnął pięścią w chwiejny stół.

– Zamknij się! Nie chcę więcej słuchać twoich skamlących usprawiedliwień i uzalania się nad sobą, ty gnoju. Rozumiesz mnie?

Jelačić otworzył szeroko oczy. Kiwnął głową i zerknął na Gristhorpe'a, żeby się upewnić, że nie zostanie sam na sam z tym szaleńcem. Gristhorpe miał kamienny wyraz twarzy.

– Przez ciebie brutalnie zamordowano niewinną dziewczynę. Może nie będę mógł cię oskarżyć o morderstwo, choć bardzo bym tego chciał, ale na pewno postawię ci zarzuty, które zapewnią ci długi pobyt za kratkami. Rozumiesz mnie?

– Chcę prawnika.

– Zamknij się. Dostaniesz prawnika, kiedy zdecydujemy, że jest na to pora. Na razie słuchaj. Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli wiele problemów ze skłonieniem Daniela i Rebekki Chartersów do zeznania, że próbowałaś od nich wyłudzić pieniądze w zamian za wycofanie oskarżeń przeciwko pastorowi. Na początek mamy wyłudzenie. Dorwiemy cię też za manipulowanie dowodami, przeszkadzanie policji w śledztwie i wykroczenia zbyt liczne, żeby je teraz wymieniać. I wiesz, co się stanie, Ive? Każemy cię odesłać z powrotem do Chorwacji, i tyle.

– Nie! Nie możesz tego zrobić. Jestem obywatelem brytyjskim.

Banks spojrzał na Gristhorpe'a i obaj wybuchnęli śmiechem.

– Cóż, może to prawda – powiedział Banks. – Ale wiesz, kim jest ojciec Debory Harrison, prawda? To sir Geoffrey Harrison. Człowiek dysponujący ogromną władzą i wpływami w kołach rządowych. Nawet ty musisz choć trochę się orientować, jak ten kraj funkcjonuje, Ive. Co teraz powiesz o swoich szansach?

Jelačić zbladł i zaczął obgryzać paznokieć kciuka.

– Będziesz współpracował?

– Nic nie wiem.

Banks się pochylił i oparł łokciami o stół.

– Ive, powtórzę to jeszcze raz, a potem do widzenia. Jeśli nam nie powiesz, co wiesz i gdzie znalazłeś pamiętnik, to osobiście dopilnuję, żeby cię zrzucili ze spadochronem prosto w środek strefy wojennej. Jasne?

Jelačić chwilę ponuro rozmyślał, potem kiwnął głową.

– Dobrze. Cieszę się, że się rozumiemy. I tylko dlatego, że się zachowujesz jak kompletny jełop, dodam jeden warunek.

Jelačić zmrużył oczy.

– Wycofasz wszystkie zarzuty przeciwko Danielowi Chartersowi i publicznie go przeprosisz.

Chorwat się najeżył, ale po minucie albo dwóch prychnia i stękania przyznał, że istotnie źle zinterpretował gest pastora.

Banks wstał i ujął go pod ramię.

– Dobra, zbieramy się.

Podjechali pod kościół Marii Panny, potem poprowadzili go asfaltową ścieżką, z której skręcili na zwirowaną i weszli w gęste drzewa za mauzoleum Inchcliffe'ów. Głęboko w zagajniku Jelačić zatrzymał się przed drzewem i powiedział:

– Tutaj.

Banks przyjrzał się drzewu, ale nie widział nic odbiegającego od normy, żadnego rzucającego się w oczy schowka. Jelačić wyciągnął rękę i jakby wsunął dłoń w solidny pień. Dopiero teraz Banks dostrzegł coś bardzo dziwnego w tych cisach. Niezbyt wysokie, ale często rozłożyste, były twarde, silne i wytrzymałe. Niektóre ze starszych miały koronę o średnicy do dziesięciu metrów i tyle splecionych pni, że wyglądały jak żłobkowane kolumny. Ten, przed którym stali, przypuszczalnie rósł tu od siedemnastego wieku. Kolumny w rzeczywistości były pędami wyrastającymi z dolnej części pnia i pozornie zlewającymi się ze starszymi fragmentami, przez co drzewo wyglądało, jakby miało kilka pni złączonych w jeden. Banks pojął, że dzięki temu pełno tam było zakątków i szczelin, w których można ukryć różne rzeczy. Debora na swój schowek wybrała dziurę po sęku, zlokalizowaną pod takim kątem, że nie było jej widać, kiedy patrzyło się prosto. Na korzystaniu z niej podejrzwał ją Jelačić.

Banks go odsunął i włożył rękę do dziupli. Poczuł tylko warstwę liści i kawałków kory, które przez lata nawiał do środka wiatr. Później jednak, kiedy pogrzebał głębiej, odgarniając na bok pozostałości, był pewien, że jego palce musnęły coś gładkiego i twardego. Wsunął dłoń mocniej, oceniając, że Debora mogła bez problemu zrobić to samo, bo miała długie ręce. W końcu chwycił paczuszkę i wyjął ją. Gristhorpe i Jelačić stali obok, obserwując jego poczynania.

– Wygląda na to, że przegapiłeś główną wygraną, Ive – powiedział Banks.

Był to mały kwadratowy przedmiot owinięty w czarny worek na śmieci, który kilkakrotnie złożono dla lepszej izolacji. Kiedy Banks go odwinął, ze środka wyjął to, na co liczył: dyskietkę komputerową.

III

Po powrocie na posterunek Banks wręczył dyskietkę Susan Gay z prośbą o wydrukowanie

zawartości. Miał nadzieję, że dyskietka bez szkody przetrwała zimę w dziupli cisa. Nie było powodów sądzić inaczej: leżała owinięta w plastik i przykryta warstwą starych liści, kawałków drewna i kory, które stanowiły dodatkową ochronę, a zima nie była zbyt mroźna.

Po dziesięciu minutach Susan zapukała energicznie do drzwi Banksa, po czym wmaszerowała do środka z arkuszem papieru. Twarz miała bladą, dłoń jej drżała.

– Chyba powinien pan to przeczytać, sir – powiedziała.

– Wymieńmy się. – Banks pchnął ku niej pamiętnik i wziął do ręki wydruk.

De–bo–ra. De–bo–ra. Sylaby Twojego imienia staczają się z mojego języka jak poezja. Kiedy po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że Cię kocham? Pytam siebie, czy potrafię wskazać dokładnie ten moment w czasie i przestrzeni, gdy nastąpiła ta magiczna transformacja i przestałem patrzeć na Ciebie jak na zwykłą nastolatkę, zobaczyłem natomiast połyskliwą dziewczynę-dziecko, której każdą chwilą łapczywie się pożywiam. Kiedy, kiedy to się stało?

Och, Deboro, moja słodka dręczycielko, dlaczego musiałem, musiałem zobaczyć, jak przechodzisz z dzieciństwa do bujnej kobiecości? Gdybyś pozostała zwykłym dzieckiem, nigdy nie mógłbym Cię w taki sposób kochać. Nigdy nie myślałbym o Twoim prostym, pozbawionym włosków ciele, tak jak myślę o Twoim ciele kobiety.

Szukam Twojego towarzystwa, a jednak uciekam od Ciebie. Pozornie wszystko wydaje się normalne, ale gdyby ludzie potrafili zajrzeć we mnie i usłyszeć, co się dzieje w moim ciele, kiedy wchodzisz do pokoju albo siadasz obok mnie, zobaczyliby serce ściągające cugle, usłyszeliby ryk krwi płynącej w żyłach. Tamten dzień, kiedy wygrałaś konkurs ujeżdżania i podeszłaś do mnie w stroju do konnej jazdy z warstwą potu błyszczącą nad cudownym łukiem górnej wargi... pocałowałaś mnie w policzek i objęłaś mnie... czułem, jak Twoje drobne piersi naciskają łagodnie na mój bok, i mogłem tylko pozostać w bezruchu, z trudem wygłaszając konwencjonalne pochwały... świetna robota... świetna robota... wspaniała... świetna robota, moja miłości, moja Deboro.

Kiedy pierwszy raz zobaczyłem Cię nagą jako kobietę, stałaś w starej wannie w Montclair, wyglądając jak Wenus z obrazu Botticellego. Pamiętasz, moja miłości, w drzwiach w Montclair nie było zamków. Wszyscy po prostu wiedzieli, kiedy łazienki są zajęte, i nie wchodzili. Oczywiście popełniano błędy, ale bez ukrytych powodów. Poza tym wszyscy należeli do rodziny. Francuzi, krewni Sylvie, nie są pruderyjni w tych sprawach. Liczyłem na krótkie zerknięcie na Twoją nagość, gdy się kąpałaś. Wiedziałem, że nie mogę tej chwili

przedłużyć, że zanim się zorientujesz, że Cię widziałem, muszę przeprosić i wybiec, jakbym istotnie się pomylił. Takie pośpieszne, przelotne zerknięcie. I jeszcze teraz zadaję sobie pytanie, co by się stało, gdybym nie widział Cię w całej twojej glorii.

Bo stałaś tam, sięgając po ręcznik, i cały Twój urok roztaczał się przede mną. Para wisiała w powietrzu, promienie słońca wpadające ukośnie przez wysokie okna tworzyły wokół Ciebie tęcze. Kropelki wody perliły się na Twojej zaróżowionej skórze, mokre włosy przykleiły się do szyi i ramion, długie pasma przylgnęły do krzywizny Twoich piersi, gdzie nabrzmiwały sutki, różowe jak otwierające się pączki róży. Już na początku kobiecości Twoja talia podkreślała krągłe biodra. Pomiędzy Twoimi nogami maleńki trójkąt włosów jak złota przędza leżał na wzgórku Wenery; raj, o którym marzę, krople wody złapane pomiędzy kręconymi włosami, tworzące miniaturowe pryzmaty w promieniach słońca, niektóre wydają się połyskiwać w czystym świetle jak diamenty...

Są też inne obrazy zamknięte w mym wnętrzu: cienkie czarne ramiączko stanika na Twoim gołym ramieniu, wewnątrz Twoich ud, kiedy zakładasz nogę na nogę...

I tak dalej. To znowu nie był solidny dowód, ale niczym więcej nie dysponowali. Banks nie miał wyboru, musiał działać, korzystając z tego.

IV

Owen przez okno pociągu wpatrywał się w ciemność. Deszcz zostawiał smugi na brudnym szkle, dlatego widział jedynie odbicia światła z wnętrza wagonu. Żałował, że nie może się jeszcze napić, ale jechał pociągiem podmiejskim, nie InterCity, i nie było tu baru.

Pociąg z grzechotem toczył się przez zamkniętą wiejską stacyjkę na ostatnim etapie podróży, a Owen znowu myślał, jak przez całą noc w deszczu chodził po londyńskich ulicach, po części licząc, że policja go złapie i będzie miał to z głowy, po części bojąc się powrotu do więzienia, tym razem na zawsze.

Przemierzył cały miejski krajobraz, tak przynajmniej się wydawało: zachodni kraniec, gdzie jaskrawe neony odbijały się w kałużach i były otwarte nocne kluby, tu i tam krzyczeli albo się śmiali pijacy i prostytutki, zalane deszczem obszary po zburzonych domach, gdzie musiał ostrożnie stawiać nogi, grupy wieźowców otoczone spalonymi autami, place zabaw z zepsutymi huśtawkami, a potem szerokie, obrosnięte drzewami ulice i wielkie domy oddalone od drogi. Szedł przez rejony, w których poblizze nigdy by się nie zapuścił, gdyby go obchodziło, co się z nim stanie, a jeśli nie został okradziony ani pobity, to wcale nie przez brak beztroski.

Nic się nie stało. Widział mnóstwo groźnie wyglądających ludzi, jedni kryli się w wejściach do sklepów albo stali w grupkach i w cieniu klatek schodowych wieżowców palili crack, ale nikt go nie zaczepił. Kiedy szedł Finchley Road albo Whitechapel High Street, mijały go wozy policyjne, żaden jednak się nie zatrzymał, nie pytali, kim jest. Gdyby nie wiedział, że jest inaczej, powiedziałyby, że prowadzi zaczarowane życie.

W pewnym momencie, nad ranem, stał na moście i patrzył, jak deszcz dziurawi powierzchnię rzeki; czuł wokół siebie życie miasta, przypuszczalnie spokojnego, ale nigdy nie zapadającego w sen, to pomrukiwanie energii, które zawsze tu jest, zawsze płynie przez miasto jak rzeka. Nie sądził, że to jest most Westminsterki, mimo to na myśl przyszły mu wersy Wordswortha, słowa, które czytał i których uczył się na pamięć w więzieniu:

Poranek każdy szczegół urokiem nasycą:

Gmachy, statki, świątynie, kopuły, w obłoku

Skryte wieże – rozległe odłonią oku

*Lśniący w czystym powietrzu, wielka tajemnica.*⁴

Cóż, może nie było „czystego powietrza”, pomyślał Owen, ale trzeba brać pod uwagę czasy.

Czuł się zmęczony i pusty. Tak bardzo zmęczony i pozbawiony energii.

Dworzec w Eastvale znajdował się w północno-wschodniej części miasta przy Kendal Road, kilka kilometrów od North Market, co oznaczało krótką jazdę taksówką do centrum. Ale Owen nie chciał jechać do centrum ani też, choć był wyczerpany, wracać do domu.

Był zaskoczony, że policja nie czekała na niego na dworcu, pewnie już są u niego w domu. Nie miał zamiaru wchodzić im prosto w ręce, a choć czuł się wyczerpany, chociaż każda sekunda tej przedłużanej wolności wydawała się ostatnia, nie chciał jeszcze z niej zrezygnować. Może, pomyślał, jest jak chory na raka, który wie, że nie ma dla niego nadziei, ale czepia się życia mimo bólu, licząc na cud, na to, że choroba po prostu odejdzie, że to był tylko zły sen. Poza tym miał ochotę na następnego drinka.

Niezależnie od powodów złapał się na tym, że idzie Kendal Road. Dzień był tak upalny i duszny, że chłodniejsze wieczorne powietrze zmieniło się w parę, która wisiała nad miastem jak mgła. Na moście Owen spojrział wzdłuż porośniętego drzewami brzegu w stronę miasta i zobaczył wysoko na niebie księżyc w trzeciej kwadrze, rześkie oświetlony zamek na wzgórzu odbijający się w wodzie, z konturami rozmytymi letnią mgiełką.

Doszedł do skrzyżowania i jego wzrok padł na szyld Nag's Head. No cóż, pomyślał z uśmiechem, tu będzie tak samo dobrze jak gdzie indziej. Zatoczył pełne koło.

Kiedy Banks i Gristhorpe uzyskali zgodę komendanta Riddle'a na wezwanie Michaela Claytona na przesłuchanie, co nie było proste, zapadła już noc. Jednym z warunków była obecność Riddle'a przy przesłuchaniu.

Banks się ucieszył, że Clayton, jak należało się spodziewać, był w najgorszym razie lekko onieśmielony surowym i ponurym pokojem przesłuchań z jego wyblakłą regulaminową zielenią na ścianach, brudnym od much oknem, stołem i krzesłami przymocowanymi do podłogi i tym zmieszonym odorem uryny i dymu papierosowego.

Clayton, rzecz także oczekiwana, protestował przeciwko wywlekaniu go z domu jak pospolitego kryminalisty, ale jego pewność siebie nieco zmaląła. Miał na sobie szare spodnie z ostrym kantem i białą koszulę z krótkimi rękawami; okulary wisiały na łańcuszku na szyi.

– Oskarżacie mnie o coś? – zapytał Clayton, krzyżując ręce i zakładając nogę na nogę.

– Nie – odparł Gristhorpe. – W każdym razie jeszcze nie teraz. Inspektor Banks ma do pana kilka pytań, to wszystko.

Jimmy Riddle siedział za Claytonem w kącie pokoju pod oknem, przez co podejrzany nie mógł ciągle na niego spoglądać, szukając pociechy i wsparcia. Riddle sprawiał wrażenie skurczonego, nogi i ręce miał ciasno skrzyżowane. Przyrzekł, że nie będzie się wtrącał, ale Banks ani przez chwilę w to nie wierzył.

– W jakiej sprawie? – zapytał Clayton.

– W sprawie morderstwa pańskiej chrześniaczki, Debory Harrison.

– Myślałem, że już to zakończyliście?

– Nie całkiem.

Clayton spojrzał na zegarek.

– Cóż, w takim razie lepiej się pośpieszcie. Mam ważną pracę.

Banks włączył magnetofon, podał czas i nazwiska obecnych, po czym poinformował Claytona o jego prawach, tak jak zrobił to, osiem miesięcy temu przesłuchując Owena Pierce'a. Załatwiwszy formalności, przerzucił papiery, które leżały przed nim na biurku, i zaczął:

– Pamięta pan, panie Clayton, jak rozmawialiśmy wcześniej i zapytałem, czy ma pan romans z Sylvie Harrison?

Clayton powiódł spojrzeniem od Gristhorpe'a do Banksa.

– Tak – zwrócił się do tego drugiego. – Mówiłem panu wtedy, że to absurd, i teraz to powtarzam.

– Wiem.

Clayton przełknął ślinę.

– Słucham?

– Powiedziałem, że wiem, że to absurd.

Clayton pokręcił głową.

– Więc nie próbuje mnie pan o to oskarżyć? W takim razie dlaczego?...

– I pamięta pan, jak zasugerowałem, że Debora mogła zyskać dostęp do wrażliwych materiałów waszej firmy albo tajemnicy rządowej?

– To też są bzdury.

– Ma pan całkowitą rację. Nie miał pan romansu z Sylvie Harrison – powiedział Banks wolno – a Debora nie natknęła się na żadne tajemnice rządowe wielkiej wagi. Teraz to wiemy. Myliłem się. Pan był zakochany w swojej chrześniaczce Deborze. I dlatego pan ją zabił.

Clayton zbladł.

– T–t–to śmieszne. – Odwrócił się na krześle, żeby spojrzeć na Riddle'a. – Jerry, nie wiem, o czym oni mówią. Jesteś ich przełożonym. Nie możesz czegoś zrobić?

Riddle, który czytał pamiętnik i wydruk komputerowy, wolno pokręcił głową.

– Lepiej odpowiedz zgodnie z prawdą. Tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Podczas gdy Clayton z otwartymi ustami gapił się na Riddle'a, który tak otwarcie go zdradził, inspektor rzucił na stół wydruk z komputera. Clayton spojrział na kartkę, włożył okulary, podniósł ją i przeczytał kilka akapitów, po czym odepchnął na bok.

– Na Boga, co to jest? – zwrócił się do Banksa.

– Według mnie wytwór chorego umysłu.

– Mam nadzieję, że nie sugeruje pan, że to ma jakiś związek ze mną.

Banks nagle się pochylił, złapał kartki i uderzył nimi o stół.

– Och, niech pan przestanie z nas sobie kpić. To wydruk z pańskiego komputera. Tego, który ukradł John Spinks, kiedy „pożyczył” sobie pański samochód. Opowiedział nam, jak na jego oczach Debora skopiowała pliki na dyskietkę. Nie wiedział pan o tym, prawda?

– Ja... gdzie...

– Dobrze ją ukryła. Proszę posłuchać, doskonale pan wie, że to pański pamiętnik. Niech pan nie zaprzecza.

Chociaż w szoku, Clayton zdobył się na słaby uśmiech i opór.

– Zaprzeczyć? Ależ będę zaprzeczał. I obawiam się, że będziecie się musieli bardzo namęczyć, żeby udowodnić tego rodzaju wyssane z palca oskarżenia. Pańskie sugestie są oburzające. – Obejrzał

się na Riddle'a. – I Jerry też o tym wie. Absolutnie nic nie łączy mnie z tym wydrukiem. To mógł napisać ktokolwiek.

– Nie sądzę – odparł Banks. – Och, wiem, że Debora przeformatowała twardego dysku na tyle skutecznie, że komenda „przywróć” nic na to nie poradzi, ale musi pan przyznać, że treść tych zapisków, okoliczności, wszystko to wskazuje na pana. To bardzo obciążające.

– Fikcja – oznajmił Clayton. – Czysta fikcja i fantazja. Rojenia biednego zakochanego głupca. Nie ma w tym nic niezgodnego z prawem. Prawo nie zakazuje fantazjowania, w każdym razie jeszcze nie.

– Może nie – powiedział Banks. – Ale wie pan, nie sprawdziliśmy, czy na ubraniu Debory są pańskie włosy.

– I co z tego?

– Pewnie nie zostawił pan krwi ani tkanki, ale gotów jestem się założyć, że gdybyśmy ponownie zbadali próbki włosów, znaleźlibyśmy pańskie. To nie byłaby fantazja, prawda?

Clayton wzruszył ramionami.

– No i co? Wcale nie byłbym zaskoczony. Spędzaliśmy mnóstwo czasu razem – jako rodzina. Poza tym byłem w sądzie na tym tak zwanym zeznaniu eksperta. Włosy trudno uznać za dowód naukowy.

– Co z Ellen Gilchrist?

– Nigdy nie słyszałem o... zaraz, to ta druga zamordowana dziewczyna?

– Tak. A gdybyśmy na jej ubraniu także znaleźli pańskie włosy? Była krewną, przyjaciółką?

Clayton oblizał wargi.

– W życiu jej nie widziałem. Niech pan posłucha, nie wiem, na jakich podstawach wysuwa pan takie założenia, ale...

Banks upuścił przed nim kserokopię pamiętnika Debory.

– Niech pan to przeczyta – powiedział.

Clayton przeczytał.

Dłonie mu drżały, kiedy odkładał kartki.

– Fantazja – powiedział, starając się, by głos mu nie drżał. – To niewiele, żeby się na tym oprzeć, prawda? Może chodzić o kogokolwiek.

– Daj spokój, Michael – powiedział Banks. – To już koniec. Przyznaj się. Wiesz, co się stało. Przed chwilą przeczytałeś jej relację. Debora z kolei czytała twój dziennik i dowiedziała się, że w tajemnicy jej pożadasz, odkąd skończyła dwanaście lat. Była równocześnie wstrząśnięta i podniecona tą myślą. Ale tylko myślą. Pochlebiało jej to, chociaż była jeszcze za dziecinna, żeby zdać sobie sprawę, jak poważne to uczucie było dla ciebie. Poza tym podkochiwała się w tobie.

Więc się z tobą droczyła, ekscytowała romansem, flirtowała trochę w taki sposób, w jaki młode dziewczyny czasami flirtują z chłopcami, którym się podobają. Nie tak było, Michaelu?

– To absurd. Pan nie tylko mnie obraża, ale też kala pamięć mojej chrześnicy. – Znowu obejrzał się na Riddle'a. – Sir Geoff...

Banks nie pozwolił mu skończyć.

– Kalać? Świetne słowo, Michaelu. Podoba mi się. *Kalać*. Brzmi niegrzecznie. Bardzo w stylu szkoły prywatnej. Porozmawiajmy o kalaniu. Kiedy w końcu stało się jasne, że nie zostawisz jej w spokoju, Debora zagroziła, że powie ojcu. Zdawałeś sobie sprawę, że gdyby sir Geoffrey się dowiedział, zabiłby cię, a w najlepszym razie oznaczałoby to koniec waszych relacji biznesowych. To wiele dla ciebie znaczyło, prawda, Michaelu? Dwaj chłopcy z Oksfordu, nadal razem po tylu latach. Przyjaźń sir Geoffreya też wiele dla ciebie znaczyła, ale to cię nie powstrzymało od pożądanego jego dwunastoletniej córki, dziewczynki, której jeszcze nie było na świecie, kiedy wy się poznaliście.

Clayton patrzył z furją. Krew odpłynęła z jego twarzy.

– Pożalujecie tego – powiedział, patrząc na Gristhorpe'a i Riddle'a. – Wszyscy pożalujecie, jeśli natychmiast tego nie przerwiecie.

Banks niemal słyszał zgrzytanie zębów Clayтона. Gristhorpe milczał, Riddle polerował guziki dziewczęco białą chusteczką.

– Czekales na Deborę na cmentarzu przy Marii Pannie – ciągnął spokojnie Banks. – W tamten mglisty poniedziałkowy wieczór ukryles się w zaroślach, bo wiedzales, że będzie tędy sama wracała do domu z klubu szachowego. Miałes zamiar złapać ją i wciągnąć w krzewy, ale kiedy zobaczyles, jak skręca na zwirowaną ścieżkę, poszedles za nią w kierunku mauzoleum Inchcliffe'ów i tam ją udusiłes paskiem od jej tornistra. Może wiedziała, że to ty, może nie. Może najpierw z nią rozmawiales, próbowales przekonać, żeby nic nie mówiła, a może nie. Ale tak to się odbyło, prawda, Michaelu?

– Nic nie powiem.

– Nie wiedzales, że szła po pamiętnik, który ukrywała od lata, prawda? Och, Michaelu, gdybyś tylko był cierpliwy, dał jej kilka sekund więcej, doprowadziłaby cię prosto do niego i przypuszczalnie nie byłoby cię tutaj. Tak to się stało, prawda?

– Nie zaszczycę tego oskarżenia odpowiedzią.

– Kiedy Debora ci powiedziała, że czytała twój komputerowy dziennik, nie dodała, że skopiowała plik na dyskietkę, mam rację? Ty natomiast wiedzales, że swego czasu prowadziła pamiętnik. Sam

go jej kupiłeś. To kolejna ironia losu, no nie, Michaelu? Wiedziałeś, że mówiła Sylvie, że go zgubiła, ale wcale by mnie nie zdziwiło, gdybyś dokładnie rozejrzał się po jej pokoju, kiedy ją zabiłeś. Przecież miałeś klucz do domu sir Geoffreya, a on i lady Harrison wyjechali. Nawet gdyby wrócili i zastali cię, nie byłiby zaskoczeni. To ty otworzyłeś tornister Debory, żeby sprawdzić, czy nie miała tam nic obciążającego. Tak na wszelki wypadek. Jedynym miejscem, do którego nie miałeś dostępu, było jej biurko w szkole, ale uznałeś za mało prawdopodobne, żeby tam przechowywała rzeczy ważne albo osobiste.

Clayton zatkał uszy dłońmi.

– To jakieś idiotyzmy – powiedział. – Nie muszę tego słuchać. Nigdy nie będziecie w stanie tego udowodnić. Chcę...

– Ja się tylko domyślam – przerwał mu Banks – więc powstrzymaj mnie, jeśli się mylę, ale wydaje mi się też, że kiedy zamordowałeś Deborę, odkryłeś, że to ci się podoba. Że to cię stymuluje. Może nawet miałeś orgazm, kiedy zaciskałeś pasek na jej szyi. Wiem, że jesteś o wiele za mądry, żeby ją zgwałcić, bo orientujesz się, co to jest DNA i tak dalej. Ale po morderstwie zdarłeś z niej część ubrania – powiedziałbym, że trochę dla czystej przyjemności, a trochę, żeby to wyglądało na prawdziwą zbrodnię z pobudek seksualnych.

Z Ellen Gilchrist było tak samo, mam rację? Przez cały tydzień o tym rozmyślałeś, planowałeś, jak znowu zabijesz, wyczekiwałeś na intymność tego aktu, a kiedy to zrobiłeś, kiedy poczułeś jej miękkie ciało ocierające się o ciebie, to cię podnieciło, prawda?

– No nie, Banks – odezwał się z kąta komendant Riddle. – Nie sądzisz, że odrobinę za daleko się posuwasz?

Clayton odwrócił się i spojrzał na Riddle'a z okrutnym uśmieszkiem na cienkich ustach.

– Dziękuję, Jerry, za wsparcie, które mi okazujesz. Masz całkowitą rację. On oczywiście wygaduje brednie. Nigdy nawet nie spotkałem tej dziewczyny.

– To bez znaczenia – podjął Banks, w myślach wymierzając kopniaka Riddle'owi i starając się zignorować tę przerwę. – W przeciwieństwie do Debory Ellen Gilchrist była przypadkową ofiarą. Złe miejsce, zła pora. Miałeś szczęście, kiedy Owena Pierce'a aresztowano za zamordowanie Debory Harrison, prawda? Pomyślałeś, że zostanie oskarżony, skazany i na tym koniec. Pod koniec procesu zacząłeś się jednak martwić, że może mu się uda i go uniewinnią. Obrona była dobra, prokuratura dysponowała wyłącznie poszlakami, ale słyszałeś plotki o dowodzie, który z całą pewnością doprowadziłby do skazania Pierce'a, gdyby sędzia go nie odrzucił. Sprawa zaczynała się sypać, znowu mogłeś się znaleźć na celowniku. Poszedłeś więc do domu Owena Pierce'a, kiedy

przysięgli się naradzali, i albo zastałeś drzwi otwarte po wcześniejszym włamaniu, albo sam się włamałeś i narobiłeś bałaganu, żeby to wyglądało na dzieło wandalii. To naprawdę bez znaczenia. Zdjąłeś kilka włosów z poduszki Owena i ukradłeś pusty pojemnik po filmie, bo domyślałeś się, że będą na nim jego odciski palców. Świadomie podjąłeś kroki, żeby zrobić Owena Pierce'a w morderstwo Ellen Gilchrist, zdawałeś sobie bowiem sprawę, że w tej sytuacji obciążymy go odpowiedzialnością za śmierć Debory i zamkniemy oba dochodzenia. Ale wiesz co? Myślę, że to też sprawiało ci przyjemność. Tak jak z Deborą. Sądzę, że byłoby więcej ofiar, gdybyśmy cię nie złapali, prawda? Zasmakowałeś w tym.

– To jakiś obłąd – powiedział Clayton. – Nie macie żadnych dowodów.

– Och, myślę, że wręcz przeciwnie – odparł Banks. – Popatrz, co udowodniliśmy Owenowi Pierce'owi, a on nic nie zrobił.

Clayton się uśmiechnął.

– Ale go uniewinniono.

Banks chwilę milczał.

– Tak, owszem. Może jednak powinieneś z nim o tym porozmawiać. Jestem pewien, że bardzo chętnie się z tobą spotka. Niekiedy uniewinnienie to nie wszystko. Widzisz, niewykluczone, że masz rację, Michaelu, i nie będziemy w stanie przekonać przysięgłych, że szanowany obywatel, członek elity jak ty, zamordował dwie młode dziewczyny. Może nawet nie dokonają tego dowody w postaci twoich zapisków, jej pamiętnika i włosów, jeśli stwierdzimy zgodność. Ale wiesz, kto nam uwierzy, Michaelu? Kto będzie dobrze wiedział, kim jest „wujek Michael”, zna Montclair i doskonale się orientuje, że drzwi tamtejszych łazienek nie mają zamków? Kto od pierwszej chwili będzie wiedział, kim jest autor i o kim pisze? Sir Geoffrey. A ty nic nie zyskasz. Z wielu względów ja osobiście zaryzykowałbym raczej z przysięgłymi, nawet poszedłbym do więzienia niż naraził się na gniew sir Geoffreya, kiedy się dowie, że jego jedyną córkę zamordował człowiek, któremu ufał od ponad dwudziestu lat.

Clayton chwilę milczał, później wychrypiął:

– Chcę adwokata. Natychmiast. Sprowadźcie mojego adwokata. Nie powiem ani słowa więcej.

Do diabła, pomyślał Banks, znowu się zaczyna. Wezwał posterunkowego stojącego przed pokojem przesłuchań.

– Zaprowadź go do aresztu, Wigmore, dobrze? I dopilnuj, żeby mógł zadzwonić do adwokata.

Owen siedział w Nag's Head nad drugim piwem i szkocką, usiłując zebrać się na odwagę i pójść do Rebekki i Daniela. Problem w tym, że wstydził się spojrzeć im w oczy. Uwierzyli w jego niewinność, a on strasznie ich zawiodł. Zdawał sobie sprawę, że jeśli ma nastąpić jakiegokolwiek zbawienie czy przebaczenie, będzie musiał powiedzieć im całą prawdę, także o tym, co zrobił Michelle. Nie wiedział, czy się na to zdobędzie. Z trudem przyznawał sam przed sobą, że stał się dokładnie tym, za kogo wszyscy go uważali: mordercą.

Rozejrzał się po nieciekawym wystroju pubu i zadał sobie pytanie, co do diabła znowu tu robi. Kiedy zobaczył sztyl z mostu, wydało mu się, że jest w tym ironia – pełny krąg – ale teraz pomysł stracił na atrakcyjności.

W Nag's Head panował hałas, właściciel zabawiał kumpli przy kontuarze sprośnymi dowcipami, przy zapełnionych stołach śmiały się pary, krzyczeli smarkacze, którzy wypili trochę za dużo.

Owen nie wiedział, co robi, kiedy skończy drinki: albo pójdzie do domu i spotka policjantów, albo podejmie kolejną próbę i stawi czoło Rebecce i Danielowi. Choć w tym drugim wypadku więcej alkoholu mu nie pomoże. Gdyby był pijany, bardziej by się bał pójść do nich. Najlepiej się zalać i oddać samemu w ręce policji, a potem wrócić do aresztu, gdzie teraz powinien poczuć się całkiem jak u siebie.

– Co mówiłeś?

Owen podniósł głowę. Rozmowy i śmiechy na chwilę przycichły, właściciel, który zbierał puste naczynia, stał koło niego.

– Przepraszam, stary – powiedział. – Wydawało mi się, że coś mówiłeś.

Owen pokręcił głową. Uświadomił sobie, że musiał mamrotać pod nosem. Odwrócił się od uważnie mu się przyglądającego właściciela, ale nadal czuł na sobie jego wzrok, zrozumienie przebijające się na powierzchnię. Miał kilkudniowy zarost i więzienną bladość, z braku ćwiczeń fizycznych przybrał w pasie kilka kilogramów, ale poza tym niewiele się różnił od mężczyzny, który w tym samym pubie siedział samotnie w pewną mglistą listopadową noc w zeszłym roku.

Uznał, że najlepiej będzie dopić alkohol i wyjść. Osuszył szkocką jednym haustem, splukał ją piwem.

Wtedy nagle właściciel pubu powiedział:

– Kurde, to on! Kurde, nie wierzę. Ale tupet.

Wszyscy mężczyźni jak jeden odwrócili się i spojrzeli na Owena.

– To on – powtórzył właściciel. – Ten, co był tu tamtego wieczoru. Ten, co zamordował te dwie młode laski.

Owen wytarł usta wierzchem dłoni i wstał. Zaczął się wycofywać w stronę drzwi.

– Nie, puścili go – odezwał się ktoś.

– Tak, ale tylko dlatego, że nie mieli dość dowodów – powiedział ktoś inny. – Nie czytasz gazet?

– To był pieprzony przekręt.

– Raczej cholerny wstyd. Biedne dziewczyny.

– Parodia sprawiedliwości.

Kiedy Owen dotarł do samych drzwi, a wydawało mu się, że miał do przebycia sto kilometrów, nogi barowych stołków skrobały o podłogę i był świadomy, że tłum naciera na niego.

Nie ma czasu na ukradkowe wyjście. Wskoczył za próg i popędził na drugą stronę Kendal Road. Na szczęście światła drogowe mu sprzyjały. Obejrzał się i zobaczył pięć, sześć osób stojących przed pubem. Przez sekundę myślał, że będą go gonili, ale ktoś krzyknął coś, czego nie rozumiał, i wszyscy wrócili do środka.

Owen nadal biegł, jakby uciekał przed pościgiem. Było tylko jedno miejsce, do którego teraz mógł się udać. Przebiegł przez North Market Street i ruszył w kierunku kościoła Marii Panny. Kiedy znalazł się na asfaltowej ścieżce za bramą, mimo mgiełki dostrzegł, że w kuchni na plebanii świecą się światła.

VII

Wreszcie sam w swoim pokoju, Banks podszedł do okna, żeby spuścić żaluzje. Przez chwilę patrzył na cichy brukowany rynek i zapraszające światła Queen's Arms. Może przed powrotem do domu skoczy tam na jednego. Jeszcze ma czas. Spuścił żaluzje, zapalił lampę na biurku, potem papierosa. Przejrzał taśmy i wybrał trzeci kwartet smyczkowy Brittena.

Przez długi czas siedział i palił, wpatrując się w ścianę i pozwalając, by zalewała go muzyka, przy której świetnie się myśli. Wspominał przesłuchanie Claytona, a zwłaszcza chłód cechujący nastawienie komendanta Riddle'a do starego kumpla z łoży. Może Riddle nie jest jednak taki zły, przynajmniej ma na tyle otwarty umysł, by zmienić zdanie w obliczu faktów.

Papieros się skończył i Banks ponownie otworzył pamiętnik Debory, usiłując po raz kolejny zrozumieć, co zaszło pomiędzy nią a Claytonem w ciągu dwóch miesięcy poprzedzających śmierć dziewczyny.

24 sierpnia

Katastrofa! Dzisiaj po południu mama przyłapała Johna i mnie w łóżku. Miała być na jednym z tych zebrań dobroczynnych, ale nie czuła się dobrze i wróciła wcześniej. To była straszna

scena, mama i John wrzeszczeli na siebie i wcale mi się nie podobało jego zachowanie. Myślałam, że w końcu ją uderzy, ale rozbił wazon o ścianę i odłamek zranił mamę w twarz. Po jego wyjściu powiedziała, że nie mogę więcej się z nim spotykać, w przeciwnym razie powiecie. Kiedy się rozplakała i objęła mnie, zrobiło mi się jej żal. John mówił okropne rzeczy, obrzucał ją wstrętnymi wyzwiskami i groził, że zrobi jej takie rzeczy, których nie powtórzę nawet tutaj, w swoim pamiętniku. Nie obchodzi mnie, czy jeszcze go zobaczę. Nienawidzę go. Jest obrzydliwy. Ukradł rzeczy z naszego domu. Jest pospolitym złodziejem. Złodziejem i tępakiem. Co ja w nim widziałam?

27 sierpnia

Dzisiaj, kiedy nie było rodziców, przyszedł do nas Michael. Był wściekły z powodu Johna. Nie wiedziałam, że mama mu o wszystkim powiedziała. Wyzywał mnie i w pewnym momencie myślałam, że mnie uderzy. To wtedy mu powiedziałam. Nie mogłam się powstrzymać. Powiedziałam, że czytałam jego zapiski o mnie, i nazwałam go obleśnym starcem. Zbladł tak bardzo, że myślałam, że zaraz zemdleje. Potem zapytał, co mam zamiar zrobić. Odparłam, że nie wiem, będę musiała poczekać i się przekonać. Poczekać na co? – zapytał. Żeby zobaczyć, co się stanie, odpowiedziałam.

28 sierpnia

Michael naprawdę jest przystojny. I o wiele bardziej inteligentny i wyrafinowany niż John. Mary Taylor w zeszłym semestrze mówiła mi, że miała romans z żonatym mężczyzną, przyjacielem jej ojca, który skończył trzydzieści osiem lat! I mówi, że był cudowny i uważny w trakcie seksu, kupował jej prezenty, mnóstwo rzeczy. Myślę, że wujek Michael ma więcej niż trzydzieści osiem lat, ale nie jest tłusty ani brzydki i wcale nie wygląda jak inni starzy ludzie.

1 września

Dzisiaj wieczorem Michael przyszedł na kolację. Oczywiście rodzice też byli. Ubrałam się w obcisły czarny sweterek i krótką spódniczkę. Kącikiem oka widziałam, jak patrzy na moje uda i piersi, kiedy myślał, że go nie obserwuję. To naprawdę niesamowite, że potrafi zachowywać się tak normalnie i zwyczajnie, kiedy jesteśmy wszyscy razem, ale kiedy zostaje sam na sam ze mną, jest taki namiętny, że ledwo nad sobą panuje!

3 września

Dzisiaj Michael znowu przyszedł, kiedy rodziców nie było. Powiedział, że tak mocno mnie

pożąda, że nie wie, czy zdoła się opanować. Takiego wyrazu użył: pożądanie. Nie sądzę, by ktokolwiek wcześniej mnie pożądał. To dość ekscytujące. Oczywiście chciał to zrobić, a kiedy powiedziałam „nie”, bardzo się zdenerwował i zapytał, dlaczego nie chcę pozwolić jemu, skoro pozwoliłam na to takiemu bezwartościowemu chamowi jak John Spinks? Muszę przyznać, że nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Poza tym, że to wujek Michael i znam go przez całe życie.

6 września

To się staje świetną przygodą! Dzisiaj znowu widziałam Michaela i znowu pozwoliłam mu się pocałować. To go na chwilę uszczęśliwiło, ale potem powiedział, że chce pocałować moje piersi. Nie zgodziłam się na to, mógł tylko dotknąć ich przez sweterek. Robiąc to, wziął moją rękę i położył na swoich spodniach, żebym mogła poczuć, jaki jest twardy. Zaczęłam się bać, bo trzymał mnie naprawdę mocno, a potem zrobił się mokry pod moją dłońią i zaczął dyszeć, jakby ktoś go uderzył, tak samo jak John. Obrzydliwość. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego wtedy to poczułam, ale zaczęłam panikować, bo przecież tylko tak się z nim droczyłam, a on to WUJEK MICHAEL, i chociaż nie jest moim prawdziwym wujkiem, to jednak znam go, odkąd byłam mała. Nie mogę pozwolić, żeby to ze mną zrobił. To nie byłoby w porządku. Kiedy skończył, uspokoił się i nic nie mówił, więc wyszłam.

8 września

Znowu szkoła. Smutek, smutek, smutek. Na korytarzu widziałam Popaprańca Metcalfe'a. Ciekawe, czy wie, że ja wiem, iż robi to z żoną pastora?

Do października nie było żadnych wpisów i Banks założył, że w tym czasie Debora przyzwyczała się do szkolnej rutyny. Pod koniec października stało się jasne, że do Michaela Claytona prawda nie dotarła.

24 października

Czy wujek Michael nie potrafi zrozumieć, że cokolwiek między nami było, teraz się skończyło? Mówiłam mu, że go nie kocham, ale nic to nie dało. Ciągle przychodzi do domu, kiedy wie, że jestem sama. Teraz mówi, że chce mnie widzieć nago, że nawet mnie nie tknie, jeśli się przed nim rozbiorę i stanę jak w czasie tamtej kąpieli w Montclair. Pewnie to pochlebające, że wyrafinowany starszy mężczyzna się we mnie zakochał, choć szczerze mówiąc, wcale nie wygląda na bardzo wyrafinowanego, kiedy ciągle chce, żebym dotykała tego twardego czegoś w jego spodniach. Nie chcę dłużej w to grać. Przypuszczam, że on nadal

ma nadzieję, ale czy nie rozumie, że lato się skończyło, a ja wróciłam do szkoły?

Najwyraźniej nie rozumiał, pomyślał Banks. Dla Michaela Claytona to nie był tylko wakacyjny romans, ale mroczna, potężna obsesja. A pod warstwą światowości i doświadczenia Debora była po prostu naiwną nastolatką, błędnie odczytującą głębię namiętności dojrzałego mężczyzny, była dziewczynką, której się wydawało, że jest kobietą.

Chociaż jednak Deborę coraz bardziej niepokoił upór Claytona, nie zdradziła swojej tajemnicy, żyła nadzieją, że on zrezygnuje i przestanie ją napastować. Doskonale zdawała sobie sprawę z przerażających konsekwencji, które by nastąpiły, gdyby powiedziała rodzicom, i chciała tego uniknąć. Ale Clayton nie zrezygnował i nie dał jej spokoju. Nie potrafił, zabrnął za daleko. Ostatni wpis, datowany na dzień przed śmiercią, brzmiał następująco:

5 listopada (wieczór fajerwerków)

Wczoraj wujek Michael złapał mnie i tak ścisnął moją rękę, że aż mnie zabolęło. Mówił, że ukradłam jego duszę i inne takie brednie. Wiem, że byłam okrutna, drocząc się z nim, pozwalając mu się całować i tak dalej, ale na początku to była tylko zabawa, a on nie pozwolił mi jej przerwać. Chcę, żeby przestał teraz, bo zaczynam się bać, kiedy widzę, jak na mnie patrzy. Nikt by w to nie uwierzył, gdyby go widział w większym towarzystwie, ale on naprawdę się zmienia, gdy zostajemy sami. Jakby miał rozdwojenie jaźni albo coś w tym rodzaju. Zagroziłam, że jeśli nie obieca zostawić mnie w spokoju, jutro po powrocie ze szkoły powiem o wszystkim tacie. Nie wiem, czy to zrobię. Wcale nie chcę mówić tacie, bo wiem, jak się wścieknie i jakie problemy to wywoła. Życie w domu zmieni się w piekło. Tak czy owak, zobaczymy, co się stanie jutro.

Banks odepchnął pamiętnik i zapalił następnego papierosa. Przez szczeliny w żaluzjach sączyło się światło latarni gazowych z rynku. Kwartet dotarł do części finalnej, wzruszającej, introspektywnej passacaglii – Britten napisał ją niedługo przed śmiercią.

Dlaczego czujemy przymus rejestrowania naszych myśli i uczuć w pamiętnikach, na taśmach, zastanawiał się Banks, a nasze czyny uwieczniamy na filmach wideo i fotografiach? Może musimy czytać o sobie, oglądać siebie, by wiedzieć, że naprawdę żyjemy. Raz po raz prowadzi to wyłącznie do kłopotów, mimo to politycy nadal prowadzą pamiętniki, tykające jak bomby zegarowe, a dewianci seksualni przechowują swoje zbiory filmowe. I dzięki Bogu. Bez takich dowodów wiele spraw pewnie nigdy nie trafiłoby do sądu.

Muzyka się skończyła. Banks chwilę siedział w ciszy, potem zgasił papierosa. Już miał wstać

i pójść na to piwo, zanim zamkną pub, ale zadzwonił telefon. Zaklął, przelotnie rozważając, czy go nie zignorować, ale policyjne poczucie obowiązku i jeszcze głębiej zakorzeniona ciekawość nie pozwoliły mu na to.

– Mówi Banks.

– Sierżant Rowe, sir. Dostaliśmy informację, że Owen Pierce jest na plebanii Marii Panny.

– Kto dzwonił?

– Rebecca Charters, sir. Żona pastora. Mówi, że Pierce jest gotów oddać się w nasze ręce za zamordowanie Michelle Chappel.

– Ale ona żyje.

– On pewnie o tym nie wie.

– Dobrze – powiedział Banks. – Zaraz tam będę.

Westchnął, wziął swoją sportową marynarkę i wybiegł w mglistą ciemność.

Podziękowania

Przede wszystkim chciałbym podziękować kilku osobom za czytanie i komentowanie kolejnych wersji rękopisu. Są to: mój agent Dominick Abel, Cynthia Good z Penguin Books, Canada, Natalee Rosenstein z Berkley i moja redaktorka Mary Adachi.

Pragnę także wyrazić wdzięczność ekspertom z różnych dziedzin. Jak zawsze jest to sierżant Keith Wright z wydziału śledczego Nottingham, który odpowiadał na moje często niemądre pytania z typową dla siebie cierpliwością i poczuciem humoru. Dziękuję Pamelii Newall z Ośrodka Nauk Kryminalistycznych za uratowanie mnie przed wyjściem na kompletnego idiotę w kwestiach związanych z DNA, Paulowi Bennettowi za przeczytanie i skomentowanie scen sądowych, Johnowi Halladayowi za informacje o procedurach prawnych oraz dr Marcie Townsend za omówienie przeniesienia.

Pragnę także przekazać specjalne podziękowania Elly Pacey i Nancy Galic za chorwackie obelgi, a Emiliy Langran za gwara uczenic z Yorkshire. Na końcu, choć nie dlatego, że jest najmniej ważny, muszę podziękować Johnowi Irvine'owi za przeprowadzenie mojego komputera przez czasy dobre i złe oraz za wygłaszane od czasu do czasu złośliwe kwestie.

Jak zwykle za wszelkie błędy całą odpowiedzialność ponoszę wyłącznie ja. Zostały popełnione dla dobra opowieści.

[1](#) A. Marvell, *Do nieskorej bogdanki*. Przekład S. Barańczak.

[2](#) *Well hung low* – wyrażenie oznaczające mężczyznę dobrze wyposażonego przez naturę.

[3](#) W. Shakespeare, *Juliusz Cezar*, przeł. L. Ulrich.

[4](#) W. Wordsworth, *Ułożone na moście Westminsterkim 3 września 1802 r.*, przeł. S. Barańczak.

